



„PIERWSZORZĘDNY THRILLER PSYCHOLOGICZNY”

10x Times

NICCI FRENCH

BEZPIECZNY DOM

-Książnica-

French Nicci

Bezpieczny dom

Miasteczkiem Stamford wstrząsa makabryczna zbrodnia: na oczach nastoletniej Fiony zostają zamordowani jej rodzice. Dziewczyna cudem uchodzi z życiem. Ponieważ grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo, miejscowa policja szuka dla niej bezpiecznej kryjówki. Idealnym miejscem ma być dom doktor Samantha Laschen - specjalistki w leczeniu zaburzeń pourazowych, która z kilkuletnią córką przeprowadziła się niedawno w tamte strony. Samantha zgadza się przyjąć pod swój dach nieznajomą. Wkrótce bezpieczny dom przestaje być azylem dla jego mieszkańców.



1

Pierwszą rzeczą, jaka ją zaniepokoiła, były drzwi. Otwarte drzwi. Zawsze je zamykano. Zamykano je nawet latem poprzedniego roku, w te cudowne, prawdziwie hiszpańskie upały. A tu proszę: zimny ranek, wisząca w powietrzu wilgoć szczypie w policzki, mimo to drzwi są lekko uchylone. Juana Ferrer poprawiła rękawiczkę i nie dowierzając własnym oczom, ostrożnie pchnęła je ręką.

- Pani Mackenzie?

Cisza. Juana zawołała ponownie, tym razem trochę głośniej, i zbita z tropu znieruchomiała, słysząc echo zamierające w wielkim, przestronnym holu. Weszła do środka i jak zawsze z przesadną starannością wytarła nogi. Potem zdjęła rękawiczki i zacisnęła je w lewym ręku. Wtedy poczuła ten zapach. Ten ciężki, słodki zapach. Z czymś się jej kojarzył. Z wiejskim podwórzem. Nie, nie z podwórzem. Raczej ze stodołą. Tak, ze stodołą.

Przychodziła tu codziennie o wpół do dziewiątej rano. Skinieniem głowy pozdrawiała panią Mackenzie, stukając obcasami po wypolerowanej drewnianej posadzce przecinała hol, schodziła do sutereny, zdejmowała palto, wyjmowała z pakamery odkurzacz i na godzinę ginęła w kojącej mgle hałasu. Szerokie schody od frontu, korytarze na pierwszym piętrze, korytarze na piętrze drugim, wąskie schody prowadzące

na tył domu. Ale gdzie była pani Mackenzie? Przystępując z nogi ha nogę, Juana Ferrer stała niepewnie na wycieracze w zapiętym pod szyję palcie koloru porannej owsianki. Gdzieś w domu grał telewizor. Pani Mackenzie nigdy nie włączała telewizora. Juana starannie wytarła nogi. I spojrzała w dół. Przecież już je chyba wycierała. Wycierała czy nie? - Pani Mackenzie?

Weszła na podłogę - pszczeli wosk, ocet i parafina - i zajrzała do pokoju po lewej stronie; rzadko go używano, mimo to regularnie tam odkurzała. Zaciągnięte zasłony, zapalone światło. Nikogo. Oczywiście, że nikogo. Zajrzała do pokoju po prawej stronie, do tego przy schodach. Oparła rękę na słupku balustrady, na wieńczącym go bogato rzeźbionym kołpaku w kształcie ciemnego, spiczastego ananasa; nacierała go olejem lnianym, koniecznie gorącym, zagotowanym, broń Boże zimnym. Tu też nikogo. Wiedziała, że telewizor jest w salonie. Sunąc ręką po ścianie, niepewnie zrobiła krok do przodu. Półka. Książki w skórzanych okładkach, które przecierała lanoliną wymieszaną ze smalcem z nóżek. Oglądają telewizję, pomyślała, i nie słyszą, jak wołam. A te otwarte drzwi? Pewnie przyszedł ktoś ze sklepu. Tak, ktoś ze sklepu albo ten od czyszczenia okien. Wszedł i zapomniał zamknąć. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że to jedynie zwykły przypadek, weszła do salonu i kilka sekund później zwymiotowała obficie na dywan, który od półtora roku codziennie odkurzała.

Zgięta wpół długo nie mogła złapać oddechu. Poszperała w kieszeni palta, znalazła chusteczkę i wytarła usta. Zwymiotowała. Coś takiego. Była zaskoczona, niemal zażenowana. Kiedyś, przed wieloma laty, wujek zaprowadził ją do rzeźni pod Fuenteovejuna. Wszędzie krew, wszędzie krwawe ochłapy mięsa i cuchnąca para buchająca z zimnej, kamiennej posadzki. Wujek uśmiechał się do niej, myśląc, że siostrzenica zemdleje, a ona wcale nie zemdląca. Ten zapach. Tak, to był taki sam zapach. Nie stodoła, tylko rzeźnia.

Tu też wszędzie była krew, nawet na suficie i na ścianie.

Wyglądało to tak, jakby pan Mackenzie nagle wybuchł, eksplodował. Ale najwięcej krwi zebrało się na jego brzuchu, na kolanach i na sofie. Boże, tyle krwi. Czy to możliwe, żeby pochodziła od jednego człowieka? Ale najbardziej poruszyła ją chyba jego piżama. Zapięta na ostatni guzik, była taka zwyczajna, tak bardzo angielska. Głowę miał idiotycznie zadartą, odchyloną do tyłu pod absurdalnym kątem i niemal całkowicie odciętą od szyi, tak że podtrzymywał ją tylko zagłówek sofy. Te kości, te ścięgna, te nedorzeczne okulary na martwych oczach... I ta blada twarz. Błada i upiornie sina.

Juana wiedziała, gdzie jest telefon, ale zapomniała i musiała go poszukać. Stał na małym stoliku na końcu pokoju, za wielką kałużą krwi. Numer знаła z telewizji. Dziewięć-dziewięć-dziewięć. Odebrała jakąś kobietę.

- Halo? Tu jest... Tu jest straszne morderstwo.

- Słucham?

- Morderstwo...

- Proszę nie płakać, niech się pani uspokoi. Czy mówi pani po angielsku?

- Tak, tak. Przepraszam. Pan Mackenzie nie żyje. Zabity.

O jego żonie pomyślała dopiero wtedy, gdy odłożyła słuchawkę. Weszła na górę, by natychmiast odkryć to, czego się najbardziej obawiała. Pani Mackenzie była przywiązana do łóżka. Niemal tonęła we własnej krwi, oblepiała ją błyszcząca od krwi koszula. Jaka ona chuda, pomyślała Juana. Jaka chuda... A gdzie Finn? Weszła na schody, czując wielki ciężar w piersi. Korytarz, drzwi do jedyne go pokoju, którego nie pozwalano jej sprzątać. Z trudem ją dostrzegła. Co oni jej zrobili? Błyszcząca, brązowa taśma na ustach. Ręce przywiązane do metalowych prętów wezgłowia. Umazana krwią koszula.

Juana rozejrzała się. Wszędzie słóiczki i buteleczki, na toaletce i na podłodze. Porwane, okaleczone zdjęcia z wydłubanymi twarzami. Na ścianie wymalowany szminką napis, słowo, którego nie rozumiała: „Świnie”. Odwróciła się. Co to? Zduszony charkot. Stamtąd, od strony łóżka. Dotknęła czoła

dziewczyny. Było ciepło. Przed domem zahamował jakiś samochód, w holu zadudniły kroki. Juana zbiegła na dół, przystanęła na półpiętrze i zobaczyła policjantów w mundurach. Jeden z nich podniósł głowę.

- Ona żyje - wykrztusiła sprzątaczką. - Żyje.

2

Rozejrzałam się. To nie był wiejski krajobraz. To było pustkowie, dzikie uroczysko, które ktoś ozdobił nielicznymi fragmentami wiejskiego krajobrazu. Nie tyle ozdobił, co zaczął ozdabiać. Zaczął i nie skończył. Tu zasadził drzewo, tu i ówdzie krzak albo nagi żywopłot, a tam, pośród moczarów i błot, ni z tego, ni z owego wytyczył zarys łąki. Szukałam czegoś konkretnego, jakiegoś wzgórza czy rzeki, ale niczego takiego nie znalazłam. Ściągnęłam zębami rękawiczkę, upuściłam ją na oślizgłą trawę i zerknęłam na mapę. Ponieważ łopotała na wietrze jak wielki żagiel, złożyłam ją na czworo, po czym wbiłam wzrok w beżo-wobrazowe plamy pól, wykropkowane na czerwono dróżki i w czerwone kreseczki ścieżek. Szłam tymi dróżkami i szłam, mimo to nie udało mi się dotrzeć do grobli i wrócić wzdłuż niej do miejsca, z którego wyruszyłam. Spojrzałam w dal. To tam, ten szary pasek na tle wody i nieba, wiele kilometrów stąd.

Ponownie zerknęłam na mapę, która zmieniła się nagle w bezładną plątaninę kropek, kreseczek i linii. Wiedziałam, że jeszcze trochę i spóźnię się po Elsie. Nie znoszę się spóźniać. Nigdy się nie spóźniam. Zawsze przychodzę za wcześnie i zawsze na nią czekam: stoję zła pod zegarem albo siedzę w kawiarni i z niecierpliwym tikiem prawego oka chłodzę nerwy filiżanką herbaty. Nie, po Klsie się nie spóźniam. Nigdy, przenigdy. A ten spacer miał trwać dokładnie irzy i pół godziny.

Przekrzywiłam mapę: musiałam przeoczyć jakieś rozwidlenie czy coś. Gdybym poszła w lewo, wzdłuż tej cienkiej,

czarnej linii, mogłabym ominąć bagnisko i dotrzeć do grobli za wioską, gdzie zostawiłam samochód. Mapa rozłaziła się w szwach. Schowałam ją do kieszeni kurtki, podniosłam rękawiczkę, wepchnęłam skostniałe z zimna palce w zimne, uwalane błotem paluchy i ruszyłam przed siebie. Bolały mnie mięśnie łydek, ciekło mi z nosa i szczypało w policzki. Bezkresne niebo groziło deszczem.

Raz tuż obok mnie przeleciało wielkie ptaszysko. Miało długą, wyciągniętą szyję i ciężko łopotało skrzydłami, ale poza tym byłam zupełnie sama. Tylko ja, szarozielony krajobraz i szarobłękitne morze. No i ten ptak. Pewnie bardzo rzadki i niezwykle interesujący, ale nie znam się na ptakach. Ani na drzewach. Rozpoznaję tylko te najpospolitsze, jak płaczące wierzby czy jawory, które rosną na każdej londyńskiej ulicy, wypuszczają długachne korzenie i podkopują nimi wszystkie domy. Na kwiatkach też się nie znam, choć wiem, jak wygląda jaskier, stokrotka czy kwiaty, które kupuje się w piątek wieczorem i wkłada do wazonu przed przyjściem gości: róże, irysy, chryzantemy i goździki. Ale wątych roślinek, które drapały mi buty, gdy szłam w kierunku uparcie oddalającego się zagajnika, nie znałam. W Londynie czasami przytłaczały mnie te wszystkie billboardy, szyldy, numery domów, tabliczki z nazwami ulic i kodami pocztowymi, kolorowe napisy na burtach ciężarówek - „Świeże ryby”, „Miłe przeprowadzki” -i neonowe litery mrugające na tle pomarańczowego nieba. Tu nie potrafiłabym nazwać prawie niczego: brakowało mi słów.

Doszłam do ogrodzenia oddzielającego wrzosowisko od splechotka ornej ziemi. Mocno przytrzymałam drut i przerzuciłam przezeń prawą nogę.

- Mogę w czymś pomóc?

Męski głos. Brzmiał dość przyjaźnie, więc odwróciłam się w tamtą stronę i w kroczu moich dzinsów utkwiał zardzewiały kolec.

- Nie, dziękuję, jakoś sobie poradzę. - Za prawą nogą powędrowała noga lewa.

Stał przede mną jakiś brodac. Czterdzieści kilka lat, brązowa kurtka z kawałków materiału, zielone buty. Był niższy ode mnie.

- Jestem farmerem.

- Dojdę tędy do szosy?

- To moje pole.

- Ale...

- To nie jest droga publiczna. To prywatny teren. Moja ziemia.

- Aha.

- Musi pani iść tamtędy. - Z poważnym wyrazem twarzy wyciągnął rękę. - Dojdzie pani do ścieżki.

- Nie mogłabym po prostu...

- Nie.

Uśmiechnął się, i to nawet całkiem przyjaźnie. Miał źle zapiętą koszulę.

- Myślałam, że na wsi można chodzić wszędzie.

- Widzi pani ten las? - spytał ponuro. - Jeździli tamtędy chłopcy z Lymne. - W jego ustach zabrzmiało to jak „Lumney”. - Najpierw rowerami, potem motocyklami. Płoszyli krowy i ryli kołami bruzdy w ziemi. Mój sąsiad zamyka wszystkie bramy. Zeszłej wiosny na jego pole weszli jacyś ludzie z psem i zabili mu trzy owce.

- Bardzo mi przykro, ale...

- A Rod Wilson? Mieszka tam, niedaleko. Wysyłał cielaki do Ostendy. Zaczęli od pikietowania portu w Goldswan Green, a dwa miesiące temu spalili mu stodołę. Teraz spalą pewnie czyjś dom. A Winterton? A Thell Hunt?

- Dobrze, już dobrze. Wie pan co? Przeleżę przez ten nieszczęsny płot i ominę pańską ziemię szerokim łukiem.

- Pani z Londynu?

- Tak. Kupiłam Dom pod Wiązami, ten po drugiej stronie Lymne. To znaczy, Lumney. Wie pan, ten, przy którym nie rośnie ani jeden wiąz.

- W końcu udało im się go sprzedać, co?

- Przyjechałam na wieś, żeby uciec od stresu.

- Naprawdę? Lubimy gości z Londynu. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Przyjaciele myśleli, że żartuję, kiedy oznajmiłam, że chcę pracować w Stamford i zamieszkać na wsi. Od zawsze mieszkałam w Londynie. Tam wyrosłam - co prawda na dalekich przedmieściach, ale przedmieścia to też Londyn - tam skończyłam uniwersytet, tam robiłam staż, tam rozpoczęłam pracę. A co z chińszczyzną na wynos? - spytał któryś. A co z nocnymi kinami, z nocnymi sklepami, z opiekunkami do dziecka, z barami, z partnerami do szachów?

Ale Danny zareagował inaczej. Kiedy zebrał się na odwagę, w końcu mu o tym powiedziałam, spojrzał na mnie z urazą i wściekłością w oczach.

- Co ci jest? Chcesz spędzić życie na wsi zielonej? Na niedzielnych obiadkach z dzieckiem i na sadzeniu kwiatków w ogródku?

Jakby zgadł: rzeczywiście chciałam posadzić kilka kwiatków.

- A może chcesz mnie zostawić? O to chodzi? To dlatego nie uprzedziłaś mnie, że starasz się o posadę na tym zadupiu?

Wzruszyłam ramionami chłodno i wrogo, w pełni świadoma nikczemności swego postępowania.

- To nie ja - odparłam. - To oni starali się o mnie. Poza tym pamiętaj, że mieszkamy osobno. Zawsze chciałeś być wolny.

Jęknął głucho i rzekł:

- Posłuchaj, może nadeszła pora, żeby...

Nie pozwoliłam mu dokończyć. Miałby powiedzieć, że powinniśmy w końcu zamieszkać razem? Albo że powinniśmy się w końcu rozstać? Co to, to nie, chociaż wiedziałam, że prędzej czy później będziemy musieli podjąć jakąś decyzję. Położyłam mu rękę na opornym ramieniu.

- Danny, to tylko pół godziny jazdy stąd. Możesz mnie odwiedzać.

- Odwiedzać?

- Mógłbyś nawet zostać.

- O tak, na pewno, kochanie, nie omieszkam. - Te ciemne włosy, ten szpeciniasty zarost na twarzy, ten zapach trocin i potu: szarpnął mnie za pasek, przyciągnął do siebie, rozpiął mi dżinsy, osłonił głowę rękami i upadliśmy na kuchenną podłogę; była ciepła, bo tuż pod deskami biegła rura z gorącą wodą.

Gdybym biegła, może bym zdążyła. Na grobli wył wiatr, a żarłoczne morze zjadało niebo. Pękały mi płuca. W piętę lewej nogi uwierało ziarenko żwiru, ale nie chciałam się zatrzymywać. To dopiero drugi dzień szkoły. Nauczycielka pomyśli, że zła ze mnie matka. Domy. Nareszcie widać domy. Lata trzydzieste: kwadratowe pudełka z czerwonej cegły, jak z rysunku małego dziecka. Puf-puf-puf: smużki i kółeczka dymu z idealnie równego rzędu kominów. Jest i samochód. Kto wie, może jednak zdążę.

Elsie czekała, bujając się na piętach i kołysząc prostymi, jasnymi włosami. Była w brązowej kurtce i w czerwono-pomarańczowej sukience, a na krótkich, tłustych nóżkach miała różowe, cętkowane rajstopy, mocno pomarszczone na rytmicznie poruszających się kostkach u nóg. („Mówiłaś, że mogę ubierać się, jak chcę, a ja chcę te w cętki” - oznajmiła wojowniczo przy śniadaniu). Miała czerwony nos i obojętne oczy.

- Spóźniłam się? - Objęłam ją, choć się opierała.

- Mungo ze mną była.

Rozejrzałam się po opustoszałym boisku.

- Nikogo nie widzę. Nie teraz, przedtem.

Tego wieczoru, kiedy Elsie poszła spać, poczułam się samotnie w moim nadmorskim domu. Ciemność na dworze była taka ciemna, cisza tak przeraźliwie cicha. Usiadłam przy wygasłym kominku z Anatolem na kolanach i podrapałam go za uchem. Mruczał na cały pokój. Wstałam, poszperałam w lodówce, zjadłam kawałek stwardniałego sera, pół jabłka i kawałek mlecznej czekolady z orzechami i rodzynkami. Potem zadzwoniłam do Danny'ego, ale zamiast jego usłyszałam beznamiętny głos automatycznej sekretarki. Nie zostawiłam żadnej wiadomości.

Włączyłam telewizor, żeby obejrzeć wieczorny dziennik. Brutalne morderstwo. Gdzieś tu, po sąsiedzku. Zginęło zamożne małżeństwo, podejrzięto im gardła. Zdjęcie ich sztucznie uśmiechniętych twarzy: jego była pulchna i rumiana, jej blada i ascetycznie pociągła. Zdjęcie ich wielkiego, czerwonego domu na końcu szerokiego, wyżwirowanego podjazdu. Ich nastoletnia córka przebywała w szpitalu w Stamford. „Czuła się dobrze”. Jej zdjęcie też pokazano, choć było bardzo niewyraźne i musiało pochodzić sprzed wielu, wielu lat, jeszcze z czasów szkolnych. Dziewczynka miała pulchną, okrągłą twarz. Biedactwo. Wielki, potężnie zbudowany policjant mówił coś o nieustających wysiłkach, miejscowy polityk wyraził głębokie ubolewanie i gniew, po czym wezwał policję do szybkiego działania.

Pomyślałam o tej nastolatce w szpitalu, o jej bestialsko sponiewieranej przyszłości. Ale potem prezenter zaczął mówić o przeszkodach w procesie pokojowym - nie pamiętam, w której części świata - i szybko o niej zapomniałam.

3

- Proszę.
- Proszę, zaczekam.
- Na miłość boską, bierzecie tę kawę czy nie?

Kłębili się wokół ekspresu w głębokim na cztery osoby kordonie, walcząc o cukier i dzbanuszek z mlekiem. Spieszyli się, i mundurowi, i ci po cywilnemu. Krzesel w rzadko wykorzystywanej sali konferencyjnej było mało i nikt nie chciał stać, zwłaszcza podczas tak ważnej narady.

- Trochę za wcześnie na odprawę sytuacyjną.
- Nadinspektor uważa, że nie.
- Moim zdaniem trochę za wcześnie.

Sala konferencyjna mieściła się w nowo wybudowanym skrzydle posterunku policji w Stamford; wszędzie laminaty, jarzeniówki i cichy szum dmuchaw z ciepłym powietrzem. Nadinspektor Bill Day, kierownik urzędu śledczego do spraw kryminalnych, zwołał naradę na jedenastą czterdzieści pięć w dniu morderstwa. Rozsunęto zasłony i za oknami ukazał się biurowiec, w którego lustrzanych ścianach odbijało się jasne zimowe niebo. Rzutnik i magnetowid upchnięto w kącie. Rozebrano stos plastikowych krzeseł pod ścianą, by ustawić je wokół długiego stołu.

Detektyw inspektor Frank „Rupert” Baird przedarł się przez tłum policjantów - prawie nad wszystkimi górował - usiadł, rzucił na stół teczkę z aktami i w zadumie podkręcając wąża, spojrzął na zegarek. Gdy do sali wszedł Bill Day w towarzystwie starszego umundurowanego mężczyzny, natychmiast zapadła pełna skupienia cisza. Day usiadł obok Ruperta Bairda, natomiast ten w mundurze przystanął w drzwiach, opierając się lekko o ścianę. Jako pierwszy głos zabrał Day.

- Witam panów. I panie - dodał, pochwyciwszy ironiczne spojrzenie Pam McAllister siedzącej na drugim końcu stołu. -Zaraz was puszcze. To tylko narada wstępna. - Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. - Posłuchajcie. Musimy załatwić to szybko i skutecznie. Dlatego nie chcę tu żadnej leserki. -Podwładni zgodnie pokiwali głowami. - Korzystając z okazji, przedstawiam wam nadinspektora Anthony'ego Cavana z Londynu, którego zapewne nie znacie.

Mężczyzna w mundurze oderwał się od ściany.

- Dzięki, Bill - powiedział. - Dzień dobry państwu. Przyjechałem tu na konferencję prasową, ale chciałem do was zajrzeć, zachęcić was do pracy. Udawajcie, że mnie tu nie ma.

- Jasne - odrzekł Day z lekkim uśmiechem na twarzy. - Odprawę poprowadzi inspektor Baird. Rupert?

- Dziękuję, panie nadinspektorze. - Baird zdecydowanym ruchem otworzył teczkę i zaszeleścił papierami. - Celem tej odprawy jest zapoznanie was z faktami. Chcemy, żeby wszystko było jasne, i to od samego początku. Będziemy na widelcu, więc lepiej uważajmy. Nie zrobmy z siebie durniów. Pamiętacie sprawę Portera?

Pamiętali ją i znali doskonale, choćby tylko ze słyszenia: telewizyjne filmy dokumentalne, apelacja, książki, odwołania, przeniesienia, wcześniejsze przejścia na emeryturę. Atmosfera wyraźnie pochłodziła.

- Będę się streszczał - kontynuował Baird. - Odpowiem na każde pytanie. Chcę, żeby wszyscy mieli jasność sytuacji. - Nałożył okulary i zajrzał do notatek. - Zwłoki odkryto o wpół do dziewiątej rano. Dzisiaj, w czwartek, osiemnastego stycznia. Ofiarami są Leopold Victor Mackenzie i jego żona Elizabeth. Mackenzie był prezesem firmy Mackenzie Carlów. Robią lekarstwa, proszki, pigułki i tak dalej. Ich córkę Fionę odwieziono do szpitala w Stamford.

- Przeżyje?

- Nie wiem. Umieściliśmy ją w separacie i nikogo tam nie wpuszczamy. Nalegał na to jej lekarz i uznaliśmy, że ma rację. Przy drzwiach postawiliśmy dwóch mundurowych.

- Powiedziała coś?

- Nie. Zawiadomiła nas ich sprzątaczką, Hiszpanka nazwiskiem Juana Ferrer. Zatelefonowała mniej więcej o wpół do dziewiątej. Dziesięć minut później miejsce zbrodni było już zabezpieczone. Pani Ferrer jest teraz tutaj, na dole.

- Widziała coś?

- Chyba nie. Z tego, co zdążyliśmy...

Baird urwał i podniósł głowę. Otworzyły się drzwi i do sali wszedł rozczochrany mężczyzna w drucianych okularach na nosie. Niósł pękata torbę i ciężko posapywał.

- Philip - powiedział Baird. - Dzięki, że wpadłeś. Dacie mu krzesło?

- Nie, nie, nie mam czasu. Byłem tam i pędzę na Farrow Street. Chcę przeprowadzić autopsję, i to natychmiast. Mogę zostać tylko chwilę, zresztą na nic się pewnie nie przydam.

- Przedstawiam państwu doktora Kale'a, naszego patologa. Co nam powiesz, Philipie?

Doktor Kale postawił torbę na podłodze i zmarszczył czoło.

- Jak dobrze wiecie, patolog sądowy nie powinien wysnuwać przedwczesnych wniosków, ale... - Podniósł rękę i zaczął wyliczać na palcach. - Na podstawie oględzin przeprowadzonych na miejscu zbrodni mogę stwierdzić, że obie ofiary zamordowano w identyczny sposób. Przyczyna śmierci: niedokrwistość i niedotlenienie tkanek, którego powodem były głębokie rany cięte szyi; niektórzy z was je widzieli. Sposób zadania ran: gardła ofiar zostały poderżnięte ostrzem, prawdopodobnie gładkim, długości co najmniej dwóch centymetrów. Tak więc narzędziem zbrodni mógł być zarówno zwykły scyzoryk, jak i rzeźnicki nóż. Rodzaj śmierci: zabójstwo.

- A czas? Ustalił pan czas?

- Jeszcze nie. Zrozumcie, wszystko, co mówię, wymaga dokładnego sprawdzenia i potwierdzenia... - Myślał chwilę. -No, dobrze. Przeprowadzając oględziny na miejscu zbrodni, zauważyłem początki przekrwienia opadowego, dlatego powiedziałbym, że śmierć nastąpiła od dwóch do pięciu, a nawet sześciu godzin wcześniej. Ale na pewno nie wcześniej niż sześć godzin przed odkryciem zwłok.

- A ta dziewczyna? Przeżyłaby pięć godzin z poderżniętym gardłem?

Doktor Kale zmarszczył brwi.

- Nie widziałem jej, ale raczej nie.

- Co jeszcze? Może pan powiedzieć coś jeszcze?

Na ustach Kale'a zagościł cień uśmiechu.

- Ten, kto ich zabił, jest praworęczny i nie ma awersji do krwi. No, muszę już iść. Do trzeciej powinienem skończyć. Prześlę wam protokół.

Kiedy wyszedł, w sali zapanował rozgwar, który Baird uciszył, stukając w blat stołu.

- Ekipa laboratoryjno-daktyloskopijna - rzucił. - Macie coś jeszcze? Kilku siedzących najbliżej policjantów pokręciło głowami.

- Rozmawiałem z tą sprzątaczką - odezwał się detektyw Chris Angeloglou.

- No i?

- Przykro mi, ale mam złe nowiny. Mówi, że Mackenzie wydał przedwczoraj przyjęcie na dwieście osób.

- Chryste.

- Właśnie.

- Trzeba zrobić listę i wszystkich przesłuchać.

- Już nad tym pracuję.

- Dobrze. Jak dotąd nie znaleźliśmy śladów włamania, ale minęło dopiero kilka godzin. Zresztą frontowe drzwi można łatwo otworzyć kartą kredytową, plastikową linijką, czymkolwiek. Wyniki wstępnych oględzin wskazują, że morderca lub mordercy szperali w szufladach, komodach i w kredensach. Jest dużo szkód. Mnóstwo podartych i zniszczonych fotografii.

- Szukali czegoś?

- Na spekulacje przyjdzie czas, kiedy zgromadzimy i posegregujemy wszystkie informacje. Nie chcę, żebyście szukali dowodów na potwierdzenie tej czy innej teorii. Chcę dowodów, jasne? Najpierw zbierzcie dowody, myśleć będziecie potem. -Zajrzał do notatek. - Co jeszcze... Na ścianie jest napis „Świnie”. Zrobiono go szminką pani Mackenzie.

- Manson - mruknął detektyw Angeloglou.

- Co?

- Jeśli dobrze pamiętam, to samo wypisali krwią ci z bandy

Mansona, ci, co zabili tych aktorów z Kalifornii. „Śmierć świniom”.
Cytat z Beatlesów.

- Dobra, sprawdź to. Tylko spokojnie, nie daj się ponieść wyobraźni. To pewnie ślepy zaułek. No i tak. Na razie nic więcej nie mamy. Jak sami widzicie, niewiele tego. Zaraz kończymy. Po naradzie wpadnijcie do Christine po przydział obowiązków. Rozpoczynamy śledztwo. Trzeba przeszukać każdy centymetr kwadratowy domu, porozmawiać z sąsiadami, przesłuchać tych, którzy byli na przyjęciu, pogadać z pracownikami firmy Mackenziego i tego, jak mu tam, Carlowa. Na drodze do Tyle postawiliśmy blokadę, wysłaliśmy ludzi na dworzec kolejowy. Szukamy świadków. Mam nadzieję, że złapiemy sukinsyna w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jeśli nie, chcę przynajmniej informacji, jak najwięcej informacji. Pytania?

- Czy oni mieli jakichś wrogów?

- Nie wiem. Okaze się w śledztwie.

- Trzymali w domu biżuterię?

- Idź i się dowiedz, jesteś policjantem.

- Sprawa może być bardzo prosta, panie inspektorze. Krzaczaste brwi Bairda powędrowały do góry i ułożyły się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wszyscy spojrzeli na Pam McAllister, która siedziała na drugim końcu stołu.

- Czyżby? Zechce nas pani oświecić?

- Ta dziewczyna. Jeśli przeżyje, wszystko nam powie.

- Możliwe - odparł oschle Baird. - Ale zanim wydobrzeje i złoży zeznania, udawajmy, że jesteśmy policjantami. I policjantkami. Jeśli pani trochę poudaje, poudaję i ja, zgoda?

Pam McAllister spiekła raka i tylko zacisnęła usta.

- Dobrze. - Baird zamknął teczkę i wstał. - Jeżeli natraficie na coś istotnego, przychodźcie do mnie. Ale nie zabierajcie mi niepotrzebnie czasu.

- Podkreć szybę.

- Gorąco mi.

- Jest zimno, dostaniemy zapalenia płuc. Podkreć. Nadąsana Elsie zmagala się chwilę z korbką. Szyba drgnęła i znieruchomiała.

- Nie mogę.

Pochyliłam się w lewo i wyciągnęłam rękę. Samochód gwałtownie skręcił.

- Możemy puścić moją kasetę? Tę z robakami?

- Jak tam w szkole? Dobrze? Cisza.

- Co robiłaś wczoraj?

- Nie wiem.

- Powiedz mi trzy rzeczy, które robiłaś wczoraj w szkole.

- Bawiłam się, bawiłam i znowu się bawiłam.

- Z kim? - Wesolutko. Z ożywieniem.

- Z Mungo. Mogę puścić kasetę?

- Zepsułaś odtwarzacz. Nie trzeba było wpychać tam monet.

- To niesprawiedliwe. Obiecałaś.

- Nieprawda.

- Obiecałaś.

Dochodziła dopiero dziewiąta, ale wstałyśmy już przed trzema godzinami. Elsie wślizgnęła się do mojego łóżka bladym, zimnym świtem, gdzieś koło szóstej. Ściągnęła ze mnie kołdrę, podrapała mi nogi paznokciami, które zapomniałam obciąć, przytknęła mi do pleców zimne stopki, wcisnęła głowę pod pachę, pocałowała mnie ciepłymi, wilgotnymi i ściągniętymi usteczkami, zapaliła lampę, po czym wprawnym ruchem palców rozwarła mi powieki, tak że sypialnia, pełna nie rozpakowanych pudeł i kartonów, z których sterczały wygniecione ubrania, zniknęła na chwilę w oślepiającym rozbłysku bólu.

- Dlaczego nie możesz po mnie przyjechać?

- Muszę trochę popracować. Przecież lubisz Lindę.

- Ma brzydkie włosy. Dlaczego musisz pracować? Dlaczego tatuś nie może? Ty powinnaś siedzieć w domu, jak inne mamusie.

Ona nie ma tatusia. Co jej odbiło?

- Obiecuję, że przyjadę do Lindy, jak tylko będę mogła. Zrobię ci twoją ulubioną kolację. - Zrobiła minę, ale udałam, że tego nie widzę. - A rano odwiozę cię do szkoły, zgoda? - Spróbowałam wymyślić coś wesołego. - Elsie, zagrajmy w naszą grę. Co jest w domu?

- Nie wiem.

- Wiesz. Co jest w kuchni? Zamknęła oczy i zmarszczyła czoło.

- Żółta piłka.

- Wspaniale. A w łazience?

- Paczka chipsów.

- Fantastycznie. A w twoim łóżku?

Nic z tego, już się zdekoncentrowała. Patrzyła w okno, na niski, ciemnoszary obłok. Włączyłam radio.

- ...bardzo zimno, silne północno-wschodnie wiatry.

To znaczy, że będzie wiało z północnego-wschodu czy na północny-wschód? Co za różnica. Pokręciłam gałką. Trzaski, jazz, trzaski, głupia dyskusja, znowu trzaski. Wyłączyłam radio i skupiłam wzrok na krajobrazie. To dlatego uciekłam z Londynu? Dla tej szarej, mokrej, zrytej bruzdami równiny? Dla tych paru rzucających się w oczy stodół z aluminium i żużlowych bloków? Fatalna kryjówka.

Kiedy zastanawiałam się, czy przyjąć pracę w Stamford, zrobiłam listę. Po jednej stronie spisałam argumenty „za”, po drugiej „przeciw”. Uwielbiam takie listy: codziennie sporządzam je w pracy. Są długie, długachne, z kolorowymi gwiazdeczkami, którymi oznaczam najważniejsze sprawy dnia. Kiedy sprowadzę życie do kilku krótkich zadań, zajmujących naj-

wyżej połowę kartki formatu A4, czuję, że mam nad nim choćby względną kontrolę, poza tym bardzo lubię wykreślać z listy to, co już zrobiłam. Czasami, tak dla nabrania rozpędu, na górze kartki dopisuję kilka punktów z poprzedniego dnia, spraw zamkniętych i załatwionych, dzięki czemu łatwiej mi uporać się z tymi, które mnie jeszcze czekają.

A więc Stamford. Argumenty „za” wyglądały mniej więcej tak:

Krajobraz

Większy dom

Więcej czasu z Elsie

Praca, o której zawsze marzyłam

Więcej pieniędzy

Więcej czasu na książkę

Spacery

Zwierzak dla Elsie (?) Mniejsza szkoła

Układ z Dannym - dopracować Przygoda i odmiana

Więcej czasu (ten punkt ozdobiłam kilkoma gwiazdkami, ponieważ dotyczył wszystkich pozostałych punktów). Po drugiej stronie kartki napisałam tylko: *Wyjazd z Londynu*.

Dorastałam na przedmieściach i już jako nastolatka chciałam przedrzeć się do centrum, do pępka, do serca Londynu. Kiedy byłam mała, chodziłam z mamą po zakupy na Oxford Street i to ona wybierała za mnie ubrania (skromne, obszerne spódnice, sweterki polo, schludne dzinsy, granatowe sandały z małutkimi klamerkami, praktyczne paltka z mosiężnymi guzikami i grube rajstopy, które ciągle spadały: „Coś takiego! Jak ty urosłaś!” - mówiła, próbując wbić mnie we wdzianko dla filigranowej dziewczynki). Siadałam na piętze autobusu i gapiłam się na tłumy przechodniów, na cały ten brud i chaos, na długowłosą młodzież o rozkołysanych biodrach, na całujące się pary, na eleganckie, jaskrawo rozświetlone sklepy.

Ileż było w tym piękna, ileż strachu i rozkoszy. Zawsze mówiłam, że zostanę lekarką i zamieszkać w centrum Londynu. Podczas gdy Roberta ubierała lalki, by z nimi gaworzyć i tulić je do piersi, ja amputowałam im ręce i nogi. Chciałam zostać lekarką, ponieważ nikt z naszych znajomych lekarką nie był. ponieważ połowa dziewczyn z klasy chciała zostać pielęgniarzkami i ponieważ mama znacząco unosiła brwi i wzruszała ramionami, ilekroć zdradzałam jej swoje ambitne plany.

Londyn dał mi poczucie nieustającego zmęczenia, poranne wstawanie, korki uliczne, tysiąc hałaśliwych stacji radiowych, wiecznie brudne ubranie i psie kupy na chodnikach. W Londynie mężczyźni w wieku mojego ojca nazywali mnie „panią doktor”. Londyn oznaczał awans i pieniądze w banku, które mogłam wydawać na krzykliwe kolczyki, niepraktyczne palta i szpiczaste buty z wielkimi klamrami. Londyn to seks z przygodnymi znajomymi w pełne przygód weekendy, z których dzisiaj pamiętałam jedynie to, że moje ogarnięte euforią ciało przepełniała świadomość, iż nareszcie porzuciłam Edgware. nie Edgware geograficzne, tylko psychiczne, to, które kojarzyło mi się z niedzielnymi lunchami i trzema ulicami na krzyż. Londyn dał mi Elsie i odebrał jej ojca. Londyn podarował mi Danny'ego. Londyn był mapą mojej dorosłości. I kiedy w drodze do Stamford uwolniłam kurtkę od paluszków Elsie, kiedy wycalowawszy jej zaróżowione policzki obiecałam, że jednak odbiorę ją ze szkoły osobiście, nagle zatęskniłam za nim jak za zmysłowym kochankiem, jak za nieosiągalnym obiektem pożądania. Chociaż z drugiej strony, po narodzinach Elsie Londyn mnie zdradził, zmieniając się w sieć ogródków jordanowskich, żłobków i przedszkoli, w nieustającą paradę opiekunek do dzieci, w istniejący równolegle wszechświat, który odkryłam dopiero wówczas, gdy weń wkroczyłam, harując przez pięć dni w tygodniu, przez dwa dni pchając wózek i poprzysięgając zemstę.

To było coś, o czym zawsze marzyłam. Czas. Dom. a w domu ja. Sama. Ani dziecka, ani niani, ani Danny'ego, ani tykającego w głowie zegara. Usłyszałam ciche miauknięcie i w nogę ukłuły mnie ostre pazurki. Otworzyłam puszkę, trzymając ją jak najdalej od siebie, napełniłam miseczkę Anatola, po czym wraz z miseczką wypchnęłam go za drzwi. W twarz dmuchnęło mi zapachem tuńczyka i królika w galarecie, co natychmiast spowodowało atak kaszlu i wspomnienia choroby morskiej. Jak koty mogą coś takiego jeść? Zmyłam talerz i kubek Elsie, wsypałam do filiżanki łyżeczkę rozpuszczalnej kawy i zalałam ją nie przegotowaną wodą, tak że prawie wszystkie granulki wypłynęły. Na mój mokry ogród padał mokry deszcz; różowe hiacynty, z których jeszcze wczoraj byłam taka dumna, przekrzywiły się i pochyliły, a ich gumowate płatki oblepiła ziemia. Słyszałam tylko deszcz, nic więcej. Nie dochodził mnie nawet szum morza. Koszmar. Sposepniałam.

O tej porze zazwyczaj siedziałam już w pracy, i to od dwóch, trzech, czasem nawet od czterech godzin. Dzwonił telefon, na biurku rósł stos papierów, sekretarka przynosiła mi herbatę, a ja ze zdumieniem stwierdzałam, że już prawie południe. Włączyłam radio: „Czworo małych dzieci zginęło...”, i szybko je wyłączyłam. Żeby tak ktoś do mnie napisał. Nawet głupi prospekt reklamowy byłby lepszy niż nic.

Doszłam do wniosku, że powinnam trochę popracować. Znad biurka oskarżycielsko spoglądał na mnie rysunek Elsie; podarowała mi go w zeszłym tygodniu, kiedy poskarżyłam się, że ściany w gabinecie są smutne, puste i że obłazą z farby. Było zimno i wilgotno, więc włączyłam piecyk. Grzał mnie w lewą nogę i po chwili nabrałam ochoty na poranną drzemkę.

Ekran monitora jarzył się ciepłym, zielonkawym blaskiem. Kursor pulsował sześćdziesiąt razy na minutę; tak jest ponoć zdrowo. Klik-klik. Myszka, twardy dysk, folder z nagłówkiem „Książka”. „Nawet tysiackilometrowa podróż musi rozpocząć się od pojedynczego kroku”. Irytujące. Utworzyłam i otworzyłam nowy plik - nazwałam go „Wstęp” - uruchomiłam edytor

i na górze pierwszej strony ponownie napisałam: „Wstęp”. „Wstęp” był żałośnie mały i patrzył na mnie ze skraju wielkiej, zielonkawej pustyni. Podświetliłam go, powiększyłam, zmieniłam czcionkę, następnie pogrubiałam i pochyliłam w prawo. Teraz wyglądał trochę lepiej, bardziej imponująco.

Próbowałam przypomnieć sobie, co napisałam w konspekcie dla wydawcy, lecz umysł miałam lśniący i pusty jak ekran monitora. Trzeba zacząć od tytułu. Tak, oczywiście. Jak zatytułować książkę na temat urazów psychicznych czy nerwic pourazowych? W konspekcie pisałam po prostu o „Urazach psychicznych”. „Urazy psychiczne”? Nie, trochę to za odważne, brzmi jak tytuł przewodnika dla idiotów, a ja chciałam, żeby książka była kontrowersyjna, polemiczna i ekscytująca, żeby wykazała, iż określenie „uraz psychiczny” jest często nadużywane i źle interpretowane, skutkiem czego prawdziwe ofiary często pozostają w cieniu, ustępując miejsca histerycznym furiiatom. Przesunęłam kursor i nad „Wstępem” wielkimi literami napisałam: „Ukryta rana”. Wypośredkowałam i... Nie. To z kolei brzmi jak tytuł rozprawy o menstruacji. Szybkim ruchem myszki wymazałam „Ukrytą ranę” i wystukałam: „Od szoku wojennego do szoku kulturowego”. Nie, nie, nie. „Uraz psychiczny: ofiary i nałogowcy”? Tego dotyczył ledwie jeden z kilku wątków książki, nie cała książka. „W poszukiwaniu duszy”. Nie, to tytuł broszury religijnej. „Na tropach smutku”. Okropne. A może: „Wiek urazu”? Taki tytuł będą miały moje wspomnienia. Fajnie, przynajmniej zabijałam czas. Prawie przez trzy kwadransy pisałam i wymazywałam tytuły, by skończyć na tym, od czego zaczęłam. Na „Wstępie”.

Przygotowałam sobie kąpiel, dołałam kosztownych olejków i czytając książkę o końcówkach szachowych i słuchając deszczu, leżałam w śliskim cieple, dopóki nie pomarszczyły mi się opuszki palców. Potem zjadłam dwie grzanki z sardyńskim purée, resztkę sernika, który leżał w lodówce od kilku dni, dwa czekoladowe herbatniki i kawałek papkowatego melona.

Wróciłam do melancholijnej zieleni monitora i stanowczymi uderzeniami palców wystukałam: „Samantha Laschen urodziła się w 1961 i dorastała w Londynie. Jest psychiatrą, kierowniczką Centrum Leczenia Psychiczych Zaburzeń Pourazowych w Stamford. Mieszka na wsi, w Essex, z pięcioletnią córką i kotem. W chwilach wolnych grywa w szachy”. Wykreśliłam wzmiankę o kocie (zbyt dziwaczne). I wzmiankę o szachach. Wymazałam też rok urodzenia (zbyt młoda, żeby wzbudzać szacunek, zbyt stara, żeby wzbudzać podziw), wzmiankę o dorastaniu w Londynie i o Essex (nudne). Na końcu wymazałam Elsie, bo wyglądało na to, że próbuję zrobić z niej współniczkę. Przeczytałam to, co zostało; może my, lekarze, za bardzo podkreślamy swój status? No i proszę, całkiem nieźle: „Samantha Laschen jest psychiatrą”. A może po prostu „Samantha Laschen jest”? To by było w moim stylu. Zawsze lubiłam minimalistyczne podejście do życia. Odchyliłam się w fotelu i zamknęłam oczy.

- Nie ruszaj się. - Ten głos. Te dwie stwardniałe dłonie na moich oczach.

- Hmm... - Przekrzywiłam głowę. - Oślepią mnie przez obcego. Pocałował mnie w szyję. Osunęłam się w fotelu, czując, jak paruje ze mnie napięcie.

- „Samantha Laschen jest”. Fakt, trudno zaprzeczyć. Od rana napisałaś tylko te trzy słowa? Są lepsze sposoby spędzania czasu.

- Na przykład? - Wciąż zasłaniał mi oczy, a ja wciąż leniwie pólleżałam.

Obrócił fotel i moja twarz znalazła się o kilka centymetrów od jego twarzy. Te oczy. Były tak brązowe, że pod prostymi, ciemnymi rzęsami robiły wrażenie czarnych. Te nie umyte włosy kłębiące się na kołnierzyku wyświechtanej skórzanej kurtki. Ten dołeczek w porośniętym szczecina podbródka, ten zapach smaru, trocin i mydła. Nie dotykaliśmy się. On patrzył mi prosto w twarz, ja na jego rękę.

- Nie słyszałam, jak przyjechałeś. Miałeś budować dach.

- Dach jest już zbudowany. Naprawiony. I zapłacony. Kiedy jedziesz po Elsie?

Spojrzałam na zegarek.

- Za dwadzieścia minut.

- Cóż, musimy się sprężyć. Chodź.

- Mamusiu.

- Tak?

- Lucy powiedziała, że masz rudę we włosach.

- Nie rudę we włosach, tylko rude włosy, farbowane.

- Jej mamusia ma brązowe.

- Chciałabyś, żebym też miała brązowe?

- Twoje są jaskrawoczerwone.

- Masz rację, są. - Wciąż doznaję szoku, kiedy spoglądając posepnym rankiem w upstrzone cętkami lustro, widzę swoją twarz: białą twarz z coraz bardziej zaborczymi kurzymi łapkami i ogniste włosy opadające na szlachetną szyję.

- Wyglądają jak... - Poluźniła pas i spojrzała w okno. - Jak czerwone światło.

Zamilkła, a kiedy znowu na nią spojrzałam, już spała z kciukiem w buzi i z przekrzywioną na bok głową.

Siedziałam na brzegu łóżka, czytając na głos bajkę i od czasu do czasu pokazując jej „trudne” słowa, żeby mogła je przesyłabizować - niezdarnie i z wielkim trudem - albo odgadnąć - najczęściej błędnie - ich znaczenie. Danny siedział po drugiej stronie i robił z papieru maleńkie, kwadratowe kwiatki, gibkie ludziki i filigranowe pieski. Elsie siedziała między nami. Miała wyprostowane plecy, jasne oczy i zaróżowione policzki. Uroczo nieśmiała i poważna, zerkąca to na mnie, to na niego. Wyglądaliśmy jak prawdziwa rodzina. Cała płonęłam na wspomnienie krótkiego epizodu na zakurzonej

podłódze w gabinecie i niecierpliwie oczekiwałam tego, co miał przynieść wieczór. Czytając, czułam na sobie wzrok Danny'ego. Atmosfera coraz bardziej gęstniała i kiedy Elsie zaczęła niewyraźnie mamrotać, kiedy wreszcie zamilkła i zamknęła oczy, poszliśmy do sypialni, bez słowa się rozebraliśmy, dotknęliśmy się i po chwili słychać było jedynie deszcz, a czasem oddech, głośniejszy niż zwykle i bolesny. Było tak, jakbyśmy nie widzieli się od tygodni.

Potem odgrzałam pizzę w piecyku i kiedy jedliśmy ją przed kominkiem - Danny rozpałił ogień - opowiedziałam mu o postępach w centrum, o pierwszych dniach Elsie w szkole, o tym, jak próbuję ruszyć z pisaniem książki i o spotkaniu z farmerem na polu. Danny opowiedział mi o przyjaciołach, których spotkał w Londynie, o tym, jak w szczypiący mróz siedział na mokrych, przegniłych krokwiach, a potem roześmiał się i rzekł, że podczas gdy ja konsekwentnie awansowałam, on konsekwentnie się staczał: od aktorstwa, poprzez ciesielkę do łatania dachu w domu zręczliwej staruchy.

- Przestań - powiedział, gdy pospiesznie wtrąciłam, że sukces to coś więcej niż praca. - Nie truj. Ty lubisz swoją, ja swoją. Nie musisz się o mnie martwić.

Kiedy ogień zgasł, trzeszczącymi schodami ponownie weszliśmy na górę. Popatrzyliśmy na Elsie śpiącą w gniazdku z kołdry i pluszowych misiów, zawróciliśmy do sypialni i twarzami do siebie położyliśmy się na podwójnym łóżku. Było sennie i nieskomplikowanie.

- Może i byśmy mogli - powiedział.

- Co?

- Mieszkać razem. - Potarł mi ręką kark. - A nawet - dodał lekko i obojętnie - zafundować sobie dziecko.

- Może - wymamrotałam. - Może... To był jeden z naszych lepszych dni.

- Wszystko w porządku, panie inspektorze?

- Nie.

- Rozweselę pana. Chce pan coś poczytać?

Detektyw Angeloglou rzucił na biurko cienką broszurę. Baird podniósł ją i jęknął, widząc wyblakły druk.

- „Pięścią w kark”? Co to jest?

- Nie prenumeruje pan? Na dole mamy tego od groma. To czasopismo OPZ.

- OPZ?

- obrońców Praw Zwierząt.

Baird jęknął jeszcze głośniejsze i delikatnie przyklepał włosy, które przykrywały, choć nie ukrywały łysiny na czubku głowy.

- Naprawdę?

- O tak. To oni włamali się na farmę w Ness w dziewięćdziesiątym drugim. Uwolnili norki. - Angeloglou zajrzał do akt. - W dziewięćdziesiątym trzecim puścili z dymem supermarket w Goldswan Green. Potem przywarowali, ale już w zeszłym roku podłożyli bombę na uniwersytecie. Poza tym maczali palce w najbardziej drastycznych akcjach protestacyjnych przeciw producentom cielęciny i firmom transportowym.

- No i?

- Proszę spojrzeć na to.

Angeloglou otworzył broszurę na środkowej stronie i wskazał palcem rubrykę z czerwonym nagłówkiem: „Rzeźnicy”.

- Czy to ma jakiś związek ze sprawą?

- To jedna z ich usług. Drukują nazwiska i adresy ludzi, których oskarżają o torturowanie zwierząt. Proszę. Profesor Ronald Maxwell z Instytutu Linnaeus. Prowadzi badania nad śpiewem ptaków, takich w klatce. Christopher Nicholson zszywa powieki kociętom. Charles Patton prowadzi rodzinną firmę futrzarską. A tu mamy Leo Mackenziego, prezesa spółki Mackenzie & Carlów...

Baird chwycił broszurę i zmrużył oczy.

- O co... Niby o co go oskarżają?

- O eksperymentowanie na zwierzętach.

- Jasna cholera... Dobra robota, Chris. Sprawdziłeś to?

- Tak. Spółka ma laboratoria w Fulton. Pracują nad projektem częściowo finansowanym przez ministerstwo rolnictwa. Stres w hodowli zwierząt.

- Na czym polega ta praca? Angeloglou uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie, to jest najlepsze - odrzekł. - Rażą świnie prądem elektrycznym i kaleczą je, żeby sprawdzić ich reakcje. Widział pan, jak szlachtuje się świnie?

- Nie.

- Podrzyna jej się gardło. Krew sika na wszystkie strony. Robią z niej kaszankę.

- Nie znoszę kaszanki. - Baird przerzucił kilka kartek. - Nie ma daty. Wiadomo, kiedy to wydali?

- Tej broszury nie kupi pan w kiosku. Wychodzi sporadycznie, a jej dystrybucja jest bardzo nierównomierna. Tę zdobyliśmy półtora miesiąca temu.

- Ostrzeżono go?

- Mackenziego? Tak, wiedział, że o nim piszą, ale się nie przejął. W jego biurze powiedzieli mi, że zdążył do tego przywyknąć.

Baird zmarszczył czoło.

- Potrzeba nam nazwisk, nazwisk... - wymruczał. - Kto zajmował się tymi od zwierząt? Mitchell?

- Tak, ale Mitchell siedzi teraz w West Midlands. Rozmawiałem przez telefon z jego zastępcą, Phi lem Carrierem. Od dwóch miesięcy łązi po spalonych stodołach i ogląda wraki zniszczonych ciężarówek. Kto jak kto, ale on tych ludzi zna.

- Dobrze. Musimy się tym zająć, i to jak najszybciej. Co z dziewczyną?

- Jest przytomna. Najgorsze ma już za sobą.

- Może zeznawać?

Angeloglou pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Lekarze mówią, że jest w stanie głębokiego szoku. Cały czas milczy. Zresztą i tak nałożyli jej kaptur. Nie liczylibym na żadne rewelacje.

Do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego Melissa Hol-lingdale uczyła biologii w szkole średniej i nie miała na swoim koncie nawet mandatu za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Teraz była stałą bywalczynią policyjnych sal przesłuchań, a jej akta z trudem mieściły się w pękatej teczce. Chris Angeloglou patrzył przez weneckie lustro na beznamietną kobietę w wiejcu trzydziestu kilku lat. Miała długie, ciemne, związane z tyłu włosy i bladą, gładką, nie umalowaną twarz. Ubrana na sportowo -cętkowany golf, džinsy i adidas - ręce trzymała na stole dłońmi do dołu. Były białe, zaskakująco delikatne i bardzo spokojne. Czekala, nie okazując najmniejszych oznak zniecierpliwienia.

- Zaczynamy od Melissy? Angeloglou odwrócił głowę. Baird.

- Gdzie Carrier?

- Wyjechał. Dostaliśmy meldunek, że ktoś przysłał bombę na indyczą fermę.

- Chryste...

- W karcie świątecznej.

- Rany boskie. Trochę za późno na życzenia, co?

- Niedługo powinien wrócić.

Nadszedł policjant z tacą, na której stały trzy filiżanki herbaty. Angeloglou wziął ją, westchnął i weszli do sali przesłuchań.

- Dziękujemy, że zechciała nas pani odwiedzić. Herbaty?

- Nie piję herbaty.

- Papierosa?

- Nie palę.

- Masz akta, Chris? O co panią podejrzewamy?

- O przynależność do Sojuszu Przeciwników Wiwisekcji i Eksportu Zwierząt.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam - odparła spokojnie Melissa.

- Kiedy pani wyszła? Dwa miesiące temu, prawda? Nie, trzy. Złośliwe uszkodzenie sprzętu, czynna napaść na funkcjonariusza policji, zakłócenie spokoju publicznego.

Melissa pozwoliła sobie na smutny uśmiech.

- Siedziałam przed ciężarówką w Dovercourt. O co wam chodzi?

- Gdzie pani teraz pracuje?

- Trudno mi znaleźć pracę. Moje nazwisko figuruje na różnych czarnych listach.

- Jak pani myśli, dlaczego? Melissa nie odpowiedziała.

- Trzy dni temu w Castletown na przedmieściach Stamford zamordowano biznesmena nazwiskiem Leo Mackenzie i jego żonę. Ich córka przebywa w szpitalu. Przeżyła silny wstrząs.

- Naprawdę?

- Czytuje pani czasopismo o nazwie „Pięścią w kark”?

- Nie.

- To podziemna broszura wydawana przez terrorystów z organizacji zajmujących się obroną praw zwierząt. W najnowszym numerze opublikowano nazwisko i adres Leo Mackenziego. Półtora miesiąca później jemu, jego żonie i córce poderżnięto gardło. Co pani na to?

Melissa Hollingdale wzruszyła ramionami.

- Popiera pani tego rodzaju działalność ?

- Zaprosiliście mnie tu na dyskusję o prawach zwierząt? - spytała z sarkastycznym uśmiechem na ustach. - Jestem przeciwna podrzynaniu gardła jakimkolwiek stworzeniu. To chcieliście usłyszeć?

- Potępiłaby pani tego rodzaju czyn?

- Nie bawią mnie pompatyczne gesty.

- Gdzie była pani nocą z siedemnastego na osiemnastego stycznia?

Hollingdale długo milczała.

- Chyba w łóżku, jak wszyscy.
- Nie wszyscy. Ma pani jakichś świadków?
- Ze dwóch bym znalazła.
- Na pewno. Tak przy okazji, panno Hollingdale. Jak się miewają pani dzieci?

Drgnęła, jakby coś ją zabolęło, jej twarz zhardziała.

- Nikt nie chce mi powiedzieć. Pan też nie powie?
- Mark Featherstone. A może woli pan Loki? To pański pseudonim, prawda?

Loki miał na sobie ekstrawagancką, cokolwiek bezkształtną bluzę z kawałków materiału i obszerne białe spodnie. Na kark opadały jaskrawoczerwone dready, grube i sztywne niczym monstrualne sztyfty do czyszczenia fajki. Pachniał olejkiem paczulowym i papierosami.

- Czy „Loki” rymuje się z „doki”? Tak, i z „foki”. „Foki” byłoby odpowiedniejsze. - Angeloglou zajrzał do akt. - Włamanie. Wtargnięcie z zamiarem włamania. Włamanie. Napaść. Myślałem, że występujecie przeciwko przemocy, hmm?

Loki milczał.

- Inteligentny z pana człowiek. Skończył pan chemię, zrobił pan doktorat... Pewnie przydaje się to panu przy produkcji środków wybuchowych, co?

- Bo co? Tych dwoje wyleciało w powietrze?

- Nie, ale moi koledzy na pewno spytają pana o tę paczkę z kurzej fermy.

- Wybuchła?

- Na szczęście nie.

- No więc o co chodzi? - rzucił pogardliwie Loki.

- Panu Mackeziemu i jego żonie poderżnięto gardło. Co pan na to?

Loki wybuchnął śmiechem.

- Teraz dwa razy pomyśli, zanim zacznie torturować zwierzęta.

- Ty zwyrodniały sukinsynu. Co chcecie osiągnąć, mordując takich jak on?

- Mam wygłosić panom wykład o teorii przemocy rewolucyjnej?

- Proszę bardzo.

- Torturowanie zwierząt jest częścią naszej gospodarki, naszej kultury. Problem ten nie różni się wcale od tego, przed którym stanęli przeciwnicy niewolnictwa, amerykańscy koloniści, członkowie wszelkich represjonowanych grup. Trzeba po prostu sprawić, żeby ten barbarzyński proceder stał się niestrawny, nieopłacalny ekonomicznie.

- Nawet kosztem morderstwa? Loki odchylił się na krześle.

- Wojny wyzwolenicze mają swoją cenę.

- Ty gówniarzu zawszony - warknął Baird. - Gdzie byłeś nocą siedemnastego stycznia?

- Spałem. Niespokojnym snem. Tak samo jak Mackenzie i jego żona.

- Lepiej módl się o świadka.

Loki uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Ja? Nie muszę.

Przeczytam coś panu, profesorze - powiedział Baird, podnosząc kartkę maszynopisu. - Proszę wybaczyć, jeśli nie zrobię tego z odpowiednim namaszczeniem. „Wszyscy rozumiemy, że istnieją granice poszanowania prawa. Po doświadczeniach Holokaustu rozumiemy również, że bywają takie chwile, gdy naszym obowiązkiem jest pogwałcić prawo, a nawet granice tego, co w innych okolicznościach uznalibyśmy za normalne zachowanie. Jestem przekonany, że przyszłe pokolenia spytają nas o nasz własny holokaust, o masową rzeź zwierząt, że spytają nas, jak mogliśmy stać z boku i nic nie robić. Dla nas, Brytyjczyków, ofiary Auschwitz są codziennością. Ale tym razem jest gorzej, bo nie możemy wymawiać się niewiedzą.

Jemy je na śniadanie. Robimy z nich ubrania. Więc co im powiemy? Co powiemy przyszłym generacjom? Być może spojrzeć im w oczy będą mogli jedynie ci, którzy coś zrobili, którzy odpowiedzieli ciosem na cios". Poznaje pan to?

Włosy profesora Franka Laroue były tak krótkie, że przypominały cieniutką gazę. Jego bladoniebieskie oczy miały dziwnie małe źrenice, tak że wyglądał jak człowiek oślepiiony nagłym rozbłyskiem fotograficznego flesza. Był w nienagannie skrojonym płowym garniturze, białej koszuli i płóciennych butach. W rękę trzymał długopis, którym natrętnie obracał i postukiwał w blat stołu.

- Tak. To fragment przemówienia, które wygłosiłem na zeszłorocznym wiecu. Nawiasem mówiąc, nikt go jak dotąd nie opublikował. Ciekawe, jak do panów trafiło.

- Och, lubimy bywać w mieście. Co pan chciał przez to powiedzieć?

- Ale o co chodzi? Moje poglądy na temat zwierząt są powszechnie znane. Zgodziłem się przyjść i odpowiedzieć na pytania, ale nie bardzo rozumiem, do czego panowie zmierzają.

- Pisuje pan do „Pięścią w kark”.

- Nie. - Uśmiechnął się lekko i skinął głową. - Owszem, rzeczy, które napisałem, mogły zostać przedrukowane zarówno przez nich, jak i przez inne czasopisma, ale to zupełnie inna sprawa.

- A więc czytał pan to?

- Czytałem. Ta problematyka bardzo mnie interesuje. Chris Angeloglou stał pod ścianą. Baird zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła po drugiej stronie stołu i usiadł.

- To przemówienie jest jawną zachętą do przemocy. Laroue pokręcił głową.

- Jestem filozofem. Zrobiłem porównanie.

- Sugeruje pan, że ludzie powinni stosować terror w obronie zwierząt. Profesor milczał chwilę, a potem cierpliwie odrzekł:

- To nie jest kwestia moich sugestii. Po prostu uważam,

i to obiektywnie, że naszym obowiązkiem jest przedsięwziąć konkretne działania.

- Naszym? To znaczy, pańskim też?

- Też - odparł z uśmiechem Laroue. - To chyba logiczne.

- Ci z „Pięścią w kark” są podobnego zdania, prawda?

- Nie bardzo rozumiem.

- Publikują nazwiska i adresy tych, których oskarżają o torturowanie zwierząt. Czyżby zachęcali do czynnej napaści na tych ludzi?

- Może nie na ludzi, a na ich mienie.

- Na mienie? W przemówieniu nic pan o tym nie wspomina.

- Nie.

Baird pochylił się ciężko nad stołem.

- Czy uważa pan, że Leo Mackenzie i jego żona zginęli niepotrzebnie? Stuk, stuk, stuk.

- Obiektywnie rzecz biorąc, nie. Czy mógłbym dostać filiżankę herbaty albo trochę wody?

- A niewinne ofiary?

- Niewinność jest określeniem trudnym do zdefiniowania.

- Gdzie był pan nocą z siedemnastego na osiemnastego stycznia?

- W domu, z żoną w łóżku. Baird spojrzał na Chrisa.

- Podasz mi akta? Dzięki. - Otworzył teczkę, przerzucił kilka kartek, wreszcie znalazł to, czego szukał. - Chantal Bernard Laroue. To pańska żona, prawda?

- Tak.

- Utrudnianie polowania. Utrudnianie polowania. Naruszanie porządku publicznego. Naruszanie porządku publicznego. Utrudnianie wykonywanie obowiązków służbowych... Oho, posunęła się nawet do czynnej napaści.

- I dobrze.

- Może dla niej, ale nie dla pana, profesorze. Chce pan porozmawiać ze swoim adwokatem?

- Nie, panie władzo.

- Inspektorze.

- Nie, panie inspektorze. - Laroue podniósł głowę i pierwszy raz od początku przesłuchania spojrzął Bairdowi prosto w oczy. Na jego bladej, kościstej twarzy zagościł szeroki uśmiech. - To wszystko bzdura. Moje przemówienia i to, gdzie byłem nocą któregoś tam stycznia. Wychodzę. Jeśli kiedykolwiek zaprosicie mnie tu ponownie, upewnijcie się najpierw, czy będziemy mieli o czym rozmawiać. Zechce pan otworzyć drzwi?

Angeloglou spojrział na przełożonego.

- Słyszałeś sukinsyna - mruknął Baird. - Otwórz. W progu Laroue odwrócił się i rzekł:

- Panowie, my i tak wygramy.

Paul Hardy nie powiedział ani słowa. Nie zdjął nawet długiego, płóciennego płaszcza, jakby doszedł do wniosku, że czynność ta będzie swoistym ustępstwem. Kilka razy przeczesał ręką kręcone, brązowe włosy, kilka razy zerknął na Bairda i Angeloglou, ale głównie patrzył przed siebie, w pustkę. Nie odpowiadał na pytania, nie dawał po sobie poznać, że je słyszy.

- Czytał pan o morderstwie rodziny Mackenziech?

- Gdzie pan był nocą siedemnastego stycznia?

- Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli sprawa trafi do sądu, pańskie milczenie może zostać wykorzystane jako dowód przeciwko panu.

Nic. Cisza. Po kilku minutach bezowocnych prób ktoś cicho zapukał i do sali zajrzała młoda policjantka.

- Przyszła jego adwokatka.

- Niech wejdzie.

Sian Spenser, czterdziestokilkuletnia kobieta o zaciętym wyrazie twarzy, była zła i zadyszana.

- Chcę zostać sam na sam z klientem.

- O nic go nie oskarżamy.

- W takim razie co on, do diabła, tu robi? Wyjdźcie. Natychmiast.

Baird nabrał powietrza i wyszli, on i Angeloglou. Kiedy Spenser poprosiła ich do sali, Hardy siedział tyłem do drzwi.

- Mój klient nie ma nic do powiedzenia.

- Zamordowano dwoje ludzi - odparł podniesionym głosem Baird. - Mamy podstawy przypuszczać, że maczali w tym palce obrońcy praw zwierząt. Pani klienta skazano za udział w zмовie w celu dokonania przestępstwa. Miał kupę szczęścia, że nie przyłapano go z materiałami wybuchowymi w ręku. Chcemy zadać mu kilka pytań.

- Panowie, jeśli za pięć minut pan Hardy nie znajdzie się na ulicy, wystąpię o nakaz.

- Chris?

- Tak?

- Zanotuj, że Paul Michael Hardy odmówił współpracy w śledztwie.

- Skończyliście? - spytała Spenser z kpiarskim rozbawieniem w głosie.

- Niezupełnie, ale proszę. Może pani zabrać stąd tego śmiecia. Hardy wstał, ruszył do drzwi i przystanął przed Chrisem, jakby przyszła mu do głowy jakaś myśl.

- A jak się miewa ta dziewczyna? - spytał i nie czekając na odpowiedź, wyszedł na korytarz.

Godzinę później Baird i Angeloglou zameldowali się u Billa Daya, żeby złożyć mu meldunek. Day stał przy oknie, patrząc w mrok.

- No i? - rzucił.

- Nic konkretnego, panie nadinspektorze - odrzekł ostrożnie Chris.

- Niczego konkretnego nie oczekiwałem - dodał Baird. -Chciałem tylko ich zobaczyć, wyczuć. Powąchać.

- Wnioski?

- Myślę, że warto próbować dalej. To dobry trop.
 - Co macie?
 - Prawie nic. Wzmiankę w tej broszurze, słowo wypisane szminką na ścianie...
 - Pięknie - prychnął sarkastycznie Day. - A miejsce zbrodni? Baird pokręcił głową.
 - Kiepsko. Kilka dni przed morderstwem było tam wielkie przyjęcie. Wszędzie włosy i włókna materiału, kompletna klęska. W pokoju dziewczyny jest trochę lepiej.
 - Co z nią? Powiedziała coś? Baird tylko westchnął.
 - Co my z nią zrobimy?
 - Chcą ją wypisać.
 - No i w czym problem?
 - Ryzykowna rzecz. Może grozić jej niebezpieczeństwo. Podkreślam, nie musi, ale może.
 - Ze strony tych furiatów od zwierząt?
 - Na przykład.
 - To niech przetrzymają ją tam kilka dni dłużej.
 - To może potrwać kilka miesięcy.
 - W jakim jest stanie?
 - Lekarze mówią, że doznała silnego wstrząsu. Day zmełł przekleństwo.
 - Chryste, były dwie wojny światowe i przeżyliśmy je bez żadnych terapeutów. Rupert, robię to bardzo niechętnie, ale dobrze: znajdź dla niej jakieś dyskretne miejsce. Tylko na miłość boską, niech to będzie gdzieś, gdzie nie znajdą jej ci z prasy.
 - Ale gdzie?
 - Nie mam zielonego pojęcia. Spytaj Philipa Kale'a. On zna masę ludzi.
- Baird i Angeloglou ruszyli do drzwi.
- Rupert?
 - Tak?

- Cholera jasna, znajdźcie wreszcie jakiś dowód. Zaczynam się denerwować.

6

Budowa nowego życia trwała ledwie dwa tygodnie. Zostałam właścicielką domu i ogrodu. Dom był stary, kwadratowy, miał wielkie okna i stał w miejscu, gdzie dawno temu musiało ciągnąć się wybrzeże. Teraz od morza oddzielało go szerokie na kilkaset metrów wrzosowisko, tak że wyglądał smutno i samotnie.

Kupiłam go w listopadzie i po kilku pierwszych, kompletnie zwariowanych dniach zaczęłam rozpytywać o opiekunkę do dziecka. Zajrzałam do agenta handlu nieruchomościami, do sklepu w Lymne i znalazłam Lindę. Linda była drobna i szczupła. Miała ziemistą cerę, wyglądała starzej niż na dwadzieścia lat, mieszkała w Lymne i brakowało jej doświadczenia, była za to bardzo spokojna i umiała prowadzić samochód, na czym najbardziej mi zależało. Już podczas pierwszego spotkania Elsie bez słowa usiadła jej na kolanach, co ostatecznie przeważyło szalę. Uzgodniliśmy też, że jej najlepsza przyjaciółka, Sally, będzie u mnie sprzątała, dwa, może nawet trzy razy w tygodniu.

Najbliższa podstawówka jest w Brask, prawie pięć kilometrów za Lymne i któregoś dnia wybrałam się tam, żeby popatrzeć przez płot. Zielone boisko, kolorowe malowidła na ścianach i ani jednego zapłakanego czy pozostawionego samemu sobie dziecka. Weszłam do sekretariatu, wypełniłam formularz i Elsie została przyjęta.

Wszystko szło niepokojąco gładko: i dorosłe życie, i bardzo dorosła praca. W połowie stycznia, kiedy Anglia zaczęła dochodzić do siebie po Bożym Narodzeniu i kiedy Danny mieszkał u mnie już od pięciu dni, nie wykazując chęci do wyjazdu, zaśmiecając dom puszkami po piwie i grzejąc mi łóżko, pojechałam na spotkanie z zastępcą dyrektora trustu, który

zarządzał szpitalem. Nazywał się Geoffrey Marsh, był mniej więcej w moim wieku i wyglądał tak sztywnie, jakby miał za chwilę poprowadzić dziennik telewizyjny. Wprost ze swojego gabinetu, tak wielkiego i elegancko urządzonego, że mógł uchodzić za studio. Natychmiast poczułam się niestosownie ubrana i pewnie o to mu chodziło.

Wziął mnie za rękę - „Mów mi Geoff, Sam” - i wyznał, że strasznie się cieszy, zarówno z tego, że tam jestem, jak i z tego, że poprowadzę ten ośrodek. Był przekonany, że stworzę nowy model opieki nad pacjentem. Potem zwiedzaliśmy różne schody i korytarze, a jeszcze potem pokazał mi puste skrzydło gmachu, w którym chciał mnie umieścić. Poza pustymi salami i pokojami nie było tam nic do oglądania. Wszystkie mieściły się na parterze, co bardzo mi odpowiadało, gdyż za oknami było coś w rodzaju ogródka. Mogłabym go jakoś urządzić.

- Co tu kiedyś było?

Pokręcił głową, jakbym spytała o nieistotny szczegół.

- Wracajmy, Sam - odrzekł. - Musimy zwołać naradę, Sam, zorganizować burzę mózgów. - Powtarzał moje imię jak mantrę.

- Ale po co?

- Żeby porozmawiać o naszym ośrodku.

- Czytał pan mój projekt? Myślałam, że sprawa jest jasna, zarówno od strony obsady personalnej, jak i od strony założeń terapeutycznych.

- Tak, czytałem, wczoraj wieczorem. Fascynujący materiał wyjściowy. Chcę panią zapewnić, że mocno wierzę w to, iż dzięki temu ośrodkowi, i dzięki pani naturalnie, nasz szpital znajdzie swoje miejsce na mapie. Zrobię wszystko, żeby tak było.

- Będę musiała nawiązać kontakt ze służbami socjalnymi.

- Tak, tak, oczywiście - odparł, jakby nie usłyszał albo nie chciał tego usłyszeć. - Ale najpierw musi pani porozmawiać z naszym personalnym i z kierownictwem zarządu. - Weszliśmy do gabinetu. - Opracowałem schemat struktury przepływu energii. Zaraz go pani pokażę. - Narysowałem trójkąt. -

Otóż na tym wierzchołku... - Zadzwoił telefon. Marsch zmarszczył brwi i podniósł słuchawkę. - Doprawdy? - mruknął i spojrzał na mnie. - Do pani. Jakaś doktor Scott.

- Doktor Scott? - powtórzyłam z niedowierzaniem, biorąc słuchawkę. - Thelma, to ty? Jak mnie, u licha, znalazłaś?... Tak, oczywiście, jeśli to ważne... Może w Stamford?... Dobrze, jak chcesz. Będiesz miała okazję zobaczyć, jak mieszkam. Mówię ci, to zupełnie nowy styl. - Podałam jej adres, powiedziałam, jak ma dojechać - drogę znałam na pamięć: rondo, trzeci zjazd, wiadukt, kaczy staw bez kaczek - i pożegnałam się.

Tymczasem Marsch rozmawiał już przez drugi telefon.

- Obawiam się, że będę musiał iść, to pilne. - Skinął mi głową i pomachał ręką, odgrywając pantomimę człowieka bardzo zajętego.

- Zadzwoię w przyszłym tygodniu - rzuciłam, a on, pochłonięty już czymś innym, ponownie kiwnął głową.

Pojechałam prosto do domu. Furgonetka wciąż stała na podjeździe, ale Danny'ego nie było, a z wieszaka zniknęła jego skórzana kurtka. Kilka minut później za oknem zapyркаł stary morris traveller, z którego wysiadła Thelma. Wysiadła, rozejrzała się na wszystkie strony, jakby chciała sprawdzić, gdzie w końcu wylądowałam, i ruszyła ścieżką w stronę domu. Miała na sobie džinsy i długi tweedowy płaszcz. Wyglądała niezbyt elegancko. W niczym nie wyglądała elegancko, ale nie było w niej nic śmiesznego. Nikt z lekarzy, których badania nadzorowała, nie widział w niej nic śmiesznego. Otworzyłam drzwi i mocno ją uścisnęłam, co wymagało trochę zręczności, gdyż była o trzydzieści centymetrów niższa ode mnie.

- Dom jest, ale gdzie wiąży? - spytała.

- Mogę zaprowadzić cię na podwórze i pokazać trzy pniaki, które po nich pozostały. To właśnie tu zeszły na brzeg żarłoczne żuczki rodem z Holandii.

- Niesamowite. Zielone pola, cisza, ogród. Błoto.

- Ładnie, prawda?

Niepewnie wzruszyła ramionami i weszła do kuchni.

- Masz kawę?
- Czuj się jak u siebie w domu.
- Jak książka?
- Świetnie.
- Aż tak źle? Danny jeszcze nie wyjechał?
- Nie.

Bez pytania otworzyła szafkę, wyjęła paczkę mielonej kawy i herbatniki. Wsypała do dzbanka kilka kopiastych łyżeczek i dodała trochę soli.

- Szczypta soli - powiedziała. - Tajemnica dobrej kawy.
- A tajemnica twoich odwiedzin?

- Prowadzę badania dla ministerstwa spraw wewnętrznych. Neurologiczna patologia zdolności odtwarzania wydarzeń z dzieciństwa. Mamy sprawdzić wiarygodność zeznań małych dzieci w procesach sądowych. - Z wielkim skupieniem rozlała kawę do dwóch kubków. - Jedną z korzyści pracy dla wielkich, bogatych i wpływowych jest to, że dostajesz bilety na imprezy, o których przedtem nie mogłaś nawet marzyć.

- Fajnie. Przyjechałaś zaprosić mnie do opery?

- Natomiast zdecydowanym minusem jest to, że dzwonią do ciebie ludzie z dziwnymi prośbami. Ot, choćby wczoraj. Pytano mnie o psychiczne zaburzenia pourazowe, o których nie mam zielonego pojęcia.

Parsknęłam śmiechem.

- Lekarz, który wie, że nic na ten temat nie wie, jest lekarzem szczęśliwym.

- Mało tego. Sprawa dotyczy pacjentki ze Stamford. Spójrz tylko, co za przypadek: najlepsza specjalistka od stresu pourazowego, jaką znam, ucieka z Londynu i kupuje dom pod Stamford. Dlatego przyjechałam.

- Pochlebiasz mi. Co mogę dla ciebie zrobić? Thelma odgryzła kawałek herbatnika i zmarszczyła brwi.

- Powinnaś trzymać je w puszcze. W otwartej paczce miękną. Jak len. - Mimo to zjadła cały.

- Trzeba zjadać całą paczkę w jeden dzień, wtedy nie miękną.

- Mamy dziewiętnastoletnią dziewczynę. Zamordowano jej rodziców. Ją też próbowano, ale przeżyła.

- Pozwól, że posłużę się swymi słynnymi zdolnościami detektywistycznymi: chodzi o morderstwo tego milionera od pigulek i kosmetyków, tak?

- Tak. Znałaś go?

- Czasami kupuję jego szampony.

- A więc znasz szczegóły. Życiu Fiony Mackenzie nic nie grozi, sęk w tym, że dziewczyna prawie cały czas milczy. Odmawia spotkania ze znajomymi. Z tego, co wiem, nie ma żadnych krewnych, ale przyjaciół rodziny też nie chce widzieć.

- Nie widuje absolutnie nikogo? To nie moja broszka, ale powinno się ją zachęcić do odnowienia kontaktów.

- Wpuściła do siebie tylko lekarza rodzinnego, nikogo więcej.

- To już coś.

- Jak byś do tego podeszła? Co byś zaleciła?

- Przestań. Nie wierzę, że przyjechałaś z Londynu, żeby poradzić się w sprawie pacjentki, o której czytałam tylko w gazetach. Co się dzieje?

- Jest problem. Policja uważa, że może grozić jej niebezpieczeństwo ze strony tych, którzy zamordowali jej rodziców i ją też próbowali zamordować. Trzeba ją gdzieś umieścić, dlatego chciałam cię spytać, co byś nam radziła, co byłoby dla niej najlepsze.

- Chcesz, żebym z nią pogadała? Thelma pokręciła głową.

- Jestem tu nieoficjalnie. Ciekawią mnie twoje pierwsze wrażenia.

- Kto ją leczy? Pewnie Colin Daun.

- Tak.

- Jest dobry, dlaczego nie spytasz o radę jego?

- Bo pytam ciebie.

- Przecież wiesz, co odpowiem. Powinno się ją umieścić w znanym środowisku, wśród rodziny i przyjaciół.

- Ona nie ma rodziny. Rozwaliśmy czasowy pobyt

u przyjaciół, ale to kwestia czysto akademicka, bo Fina natychmiast stanęła okoniem.

- Nie sędzę, żeby długi pobyt w szpitalu dobrze jej zrobił.

- Ani ja. - Thelma dopiła kawę. - Masz ładny dom. Duży, prawda? I spokojny.

- O, nie.

- Nie chcę...

- Nie...

- Zaczekaj - przerwała mi natarczywie. - Ta dziewczyna ma poważne zaburzenia psychiczne. Najpierw opowiem ci o niej to, co wiem, a potem mnie stąd wyrzucisz. - Usiadła wygodniej, porządkując myśli. - Fiona Mackenzie ma dziewiętnaście lat. Jest dziewczyną inteligentną, choć niezbyt błyskotliwą. Zawsze była przymilna, ugodowa i wykazywała skłonności do konformizmu, a co za tym idzie, do frustracji. Przypuszczam, że była pod dużym wpływem ojca, który miał bardzo silną osobowość. W okresie dojrzewania zaczęła tyć. -Przypomniało mi się zdjęcie pulchnej dziewczyny w dzienniku telewizyjnym. - Kiedy miała siedemnaście lat, przeszła załamanie nerwowe i rodzice wysłali ją na pół roku do prywatnej kliniki w Szkocji. Musiała mocno to przeżyć, bo straszliwie schudła i zapadła na anoreksję, która omal jej nie zabiła.

- Kiedy ją wypisali?

- Latem. Straciła cały drugi semestr i nie zdawała egzaminów; jeśli się nie mylę, miała zamiar wziąć korepetycje i podejść do nich w tym roku. Zaraz po wyjściu z kliniki wyjechała w kilkumiesięczną podróż po Ameryce Południowej; rodzice uważali, przynajmniej tak myślę, że wyprawa w nieznane będzie dla niej nowym początkiem. Wróciła niedawno, parę tygodni temu. Wygląda na to, że morderca nie wiedział, że zasiane ją w domu. Była świadkiem zbrodni, może grozić jej niebezpieczeństwo, dlatego potrzebuje pomocy. Nie jesteś zaintrygowana?

- Przykro mi, Thelmo, ale nie, nic z tego. Przez półtora roku widywałam Elsie jedynie w weekendy, a gdy tylko za-

sneła, zabierałam się do roboty i do drugiej nad ranem ślezczałam nad papierami. Z tego okresu pamiętam tylko ciągle migreny i mgłę zmęczenia. Jeśli poważnie myślałaś, że mogłaby zamieszkać u mnie dziewczyna z ciężkim urazem psychicznym... W dodatku tu, razem z moją córeczką, i tylko dlatego, że może grozić jej niebezpieczeństwo... Nie, to niemożliwe.

Thelma kiwnęła głową, choć znałam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że wcale jej nie przekonałam.

- Właśnie: co słyhać u Elsie?

- Jest kłótniwa i nieposłuszna, jak zwykle. Niedawno poszła do nowej szkoły. - Kiedy wspomniałam o córce i o domu, na twarzy Thelmy zagościł drapieżny wyraz nagłego zainteresowania, co trochę mnie zaniepokoiło. Musiałam szybko zmienić temat. - Z tego, co mówisz, to bardzo ciekawe badania. Te dla ministerstwa...

- Hmm... - mruknęła, pracowicie dłubiąc herbatnikiem w kawowych fusach; niełatwo było ją zwieść.

- Prowadzę podobne - ciągnęłam uparcie, doskonale wiedząc, że ma to gdzieś. - Badamy urazy psychiczne u małych dzieci. Może cię to zainteresuje? Jak wiesz, dzieci mimowolnie odtwarzają minione przeżycia w grach i zabawach. Ci z Kentu próbują ocenić, jaki ma to wpływ na pamięć wydarzeń, które wywołały uraz.

- A więc to nie są twoje własne badania?

- Nie - odrzekłam ze śmiechem. - Moje badania nad pamięcią u dzieci sprowadzają się do gry, w którą gram z Elsie. Robię to tylko dla zabawy, ale zawsze interesowały mnie systemy organizowania procesów myślowych, a nasza gra jest chyba najstarszym z nich. Wymyśliłyśmy z Elsie dom. Wiemy, jak wygląda i jaki ma rozkład. W pokojach umieszczamy różne rzeczy i musimy pamiętać, gdzie co leży, żeby potem to znaleźć.

Thelma miała niepewną minę.

- Radzi sobie?

- Zaskakująco dobrze. Kiedy jest w dobrym humorze,

wieszamy coś na drzwiach, kładziemy na wycieraczce, w kuchni, na schodach, i tak dalej, i zwykle wszystko pamięta.

- Dla pięciolatki to ciężka praca.

- Nie robiłabym tego, gdyby sama nie chciała. Jest dumna, że daje sobie radę.

- Albo chce ci się przypodobać - mruknęła Thelma, wstając; wyglądała jak korpulentny, rozczochrany stworek w okruszkach. - Muszę jechać. Jeśli wymyślisz coś w naszej sprawie, zadzwoń.

- Dobrze.

- Tylko nie zapomnij. Najlepiej przypnij kartkę na drzwiach wymaginanego domu Elsie.

Czułam, że muszę coś powiedzieć.

- Wiesz, kiedy zostałam lekarką, chciałam uleczyć cały świat, żeby stał się miejscem zdrowszym i bardziej racjonalnym. Ale kiedy zaczęłam leczyć ofiary urazów psychicznych, zrezygnowałam ze świata i skupiłam się na ludziach, którzy nie umieją z nim sobie poradzić.

- To niemało - odrzekła Thelma.

Odprowadziłam ją do drzwi i patrzyłam, jak idzie ścieżką do samochodu. Kiedy odjechała, długo stałam w progu. Nie, to było śmieszne, absurdalne. Nie, nie, wykluczone. Usiadłam na sofie i pograżyłam się w zadumie.

7

- Skórka jest trochę za miękka. - Danny nabił na widelec pasek bladobrazowego mięsa, które bardziej przypominało kawałek podeszwy buta niż pieczoną świńską skórę.

- Poskarż się mikrofalówce. Przyrządzałam zgodnie ze wskazówkami na opakowaniu.

- Lubię taką. Jest jak ciągutka albo jak guma do żucia.

- Dziękuję. Elsie, zdejmij nogi ze stołu. To, że masz dzisiaj

wolny dzień, wcale nie znaczy, że możesz rozwalać się na krześle jak Danny. Danny, podaj mi sos jabłkowy. Ten w puszcze.

- Matka nie uczyła cię gotować?

- Spróbuj szpinaku. Dopiero co wyjęłam z torebki. Wzięłam sobie dwa kawałki białawego mięsa.

- Zrób ptaszka - poprosiła Elsie.

- Potem - odparł Danny.

- Takiego małego.

- Dobrze.

Oderwał róg gazety, wielkimi, zgrubiałymi palcami wykonał kilka zadziwiająco zwinnych ruchów i z dumą postawił na stole stworka o dwóch nogach i szyi, który mógł śmiało uchodzić za ptaka. Elsie aż krzyknęła z radości. Ja też byłam pod wrażeniem, jak zawsze.

- Dlaczego tylko mężczyźni to potrafią? - spytałam. - Nigdy w życiu nie potrafiłabym zrobić origami.

- To nie origami, to nerwy. Kiedy nie mam nic lepszego do roboty, muszę zająć czymś ręce.

Co prawda, to prawda. W domu roiło się od papierowych stworków jak od ciem. Elsie je zbierała.

- A teraz szczeniaczka - zażądała.

- Zaraz - odrzekł Danny.

- Czy po lunchu możemy trochę pomalować? Zresztą ja już skończyłam. Nie smakuje mi. Mogę dostać lody zamiast puddingu?

- Zjedz jeszcze dwa kawałki. Po lunchu pójdziemy na spacer i...

- Nie chcę na spacer! - Jej głosik skoczył dwie oktawy wyżej. - Spaceruję mnie męczą. Nogi mnie boją. Poza tym kaszlę. - I udała, że kaszle.

- Na jaki spacer? - wtrącił szybko Danny. - Pójdziemy na poszukiwanie przygód. Po muszelki, a z muszelek zrobimy... -W tym momencie opuściło go natchnienie. - Pudełko na muszelki - dodał bez większego przekonania.

- I weźmiesz mnie na barana?

- Jeśli przejdiesz kawałek sama, to wezmę.

- Dzięki - powiedziałam, kiedy Elsie poszła szukać torby na muszle.

Wzruszył ramionami i zapchał sobie usta mięsem. Mieliśmy za sobą dobrą noc, a dzień też nie był najgorszy; przynajmniej się nie kłóciliśmy. Danny nie wspominał nic o kolejnej robocie ani o powrocie do Londynu - o Londynie zawsze mówił jak o umówionym spotkaniu, nie jak o mieście - a ja o nic go nie pytałam. Nawet nieźle nam się układało. Musieliśmy szczerze pogadać, ale jeszcze nie teraz. Zmęczona, rozleniwiona i wy-luzowana przeciągnęłam się i odsunęłam talerz.

- Spacer dobrze mi robi.

Koniec końców na spacer nie poszłam, bo kiedy nakładałam Elsie długie buty, a ona wrzeszczała, że zaraz połamię jej nogi, usłyszeliśmy, że ktoś zajeżdża przed dom. Wyprostowałam się, wyrzłam oknem i zobaczyłam wysokiego, zażywnego mężczyznę o rumianej twarzy, który wysiadł z samochodu ze sztucznym uśmiechem na ustach. Towarzyszyła mu Thelma w koszmarnej niegustownym dresie. Popatrzyłam na Danny'ego.

- Chyba będzie wam milej, jeśli poszukacie przygody sami. Nie zmieniając wyrazu twarzy, wziął Elsie za rękę. Elsie

zapiszczała w proteście, ale zignorował ją i wyprowadził na dwór kuchennymi drzwiami.

- Nie.

- Pani Laschen...

- Pani doktor.

- Przepraszam. Pani doktor, doskonale rozumiem pani niechęć, ale zapewniam, że jest to rozwiązanie czasowe. Wyłącznie czasowe. Musimy umieścić ją w bezpiecznym miejscu, anonimowym i strzeżonym, z kimś, kto zrozumie jej sytuację...

Detektyw inspektor Baird posłał mi krzepiący uśmiech. Był tak wielki, to znaczy inspektor, że kiedy skuliwszy się w drzwiach, wszedł do salonu i oparł się o kominek, dom nagle zmałał i nabrał dziwnej kruchości, niczym teatralna dekoracja z malowanego płótna.

- Mam córkę, bardzo czasochłonną pracę i...

- Doktor Scott mówi, że zaczyna pani dopiero za kilka miesięcy.

Przeszłam Thelmę jadowitym spojrzeniem. Siedziała beztrąsko pośrodku sofy, z wielką uwagą głaskała Anatola i udawała, że nie słyszy, o czym rozmawiamy. Podniosła głowę.

- Masz coś do herbaty oprócz tych czerstwych ciasteczek?

- Nie - odparłam.

Inspektor Baird pił herbatę wielkimi łykami. Thelma uniosła okulary i zobaczyłam głęboką, czerwoną pręgę na jej nosie. Potarła oczy. Oboje milczeli.

- Dopiero co się przeprowadziłam. Chciałam mieć kilka miesięcy tylko dla siebie. - Mój głos, gniewny i zbyt piskliwy, przerwał ciszę i wypełnił cały pokój. Zamknij się, powtarzałam sobie w duchu. Gębę na kłódkę. Gdzie Elsie i Danny? Dlaczego ich jeszcze nie ma? - To dla mnie ważne. Bardzo tej dziewczynie współczuję, ale...

- Tak - odrzekła Thelma. - Ona potrzebuje pomocy. - Wrzuciła sobie do ust całe ciasteczko i zaczęła energicznie żuć.

- Chciałam powiedzieć, że chociaż bardzo jej współczuję, nie sądzę, żeby... - Mówiłam coraz ciszej i ciszej, wreszcie urwałam, zapomniawszy, co chcę powiedzieć. - Mówił pan, że na jak długo?

- Nie mówiłem. Najpierw musi się pani zdecydować.

- Tak, tak, ale na jak długo?

- Najwyżej na półtora miesiąca, prawdopodobnie krócej. Zamilkłam, gorączkowo myśląc.

- Gdybym się zgodziła, gdybym ją przyjęła, skąd miałabym pewność, że nie narażam na niebezpieczeństwo mojej córki?

- Załatwilibyśmy to bardzo dyskretnie - odrzekł Baird. - Nikt by nie wiedział, że ona tu jest. Niby skąd? Robimy to tylko na wszelki wypadek.

- Thelma?

Spojrzała na mnie niczym troll, który wychynął z lodowatej groty.

- Jesteś specjalistką od urazów psychicznych i blisko mieszkasz. Byłaś oczywistą kandydatką.

- Kiedy miałyby przyjechać?

Baird zmarszczył brwi, jakby próbował przypomnieć sobie rozkład jazdy podmiejskich pociągów.

- Kiedy? - powtórzył lekko. - Uznaliśmy, że najstosowniej byłoby jutro rano, powiedzmy o wpół do dziesiątej.

- Najstosowniej? Nie, o wpół do dwunastej.

- Dobrze. To nawet lepiej, bo będzie mogła przyjechać z lekarzem. A więc sprawa załatwiona.

Wychodząc, Thelma wzięła mnie za rękę.

- Bardzo mi przykro - skłamała, bynajmniej mi nie współczując.

- Wyjeżdżam.

- Danny, nie musisz. Po prostu myślę, że byłoby lepiej... Ze kiedy ona przyjedzie...

- Przestań pieprzyć. Czy kiedy zdecydowałaś się ją przyjąć, brałaś mnie pod uwagę? - Przeszył mnie wzrokiem. - Nie, prawda? Mogłaś przynajmniej ze mną porozmawiać, udać, że moje zdanie też się liczy. Co jest dla ciebie ważniejsze: nasza przyszłość czy przeszłość tej dziewczyny?

Mogłam powiedzieć, że ma rację, że bardzo mi przykro, sęk w tym, że wiedziałam, iż nie zerwę umowy. Mogłam prosić go i błagać. Albo wpaść w złość. Zamiast tego spróbowałam załagodzić różnice zdań starym, wypróbowanym sposobem. Objęłam go, odgarnęłam mu włosy, pogłaskałam po zarośniętym policzku, pocałowałam w kącik wściekle wykrzywionych ust i zaczęłam rozpinać mu koszulę. Ale on gniewnie mnie odepchnął.

- Przeleć go, to zapomni, co? Włożył buty i wziął kurtkę z krzesła.

- Wyjeżdżasz?

- Na to wygląda, nie? - Przystanął w drzwiach. - Cześć, Sam, do zobaczenia. Może. Kiedyś.

8

Najbardziej uciążliwą rzeczą przed przyjazdem gościa -a w tym przypadku pseudogościa - jest przestrzeganie uświęconej tradycji, która nakazuje gospodyni posprzątać. Fiona Mackenzie miała zawitać do nas w południe, co oznaczało, że po odwiezieniu Elsie do szkoły przez dwie godziny będę miotać się wściekle po domu. Nie, musiałam podejść do tego taktycznie. Racjonalne sprzątanie było niepraktyczne, a zaprowadzenie choćby względnego porządku z góry skazane na porażkę, gdyż wymagało szczegółowych konsultacji z Sally. Rzecz w tym, że Sally, dziewczyna bardzo powolna, miała skomplikowane życie emocjonalne, w którego labiryncie utykały wszelkie moje z nią rozmowy. Na razie miałam czas, by poupychać po kątach choć trochę szpargałów, żeby można było normalnie otworzyć drzwi, przejść korytarzem czy usiąść na krześle.

Błatu kuchennego stołu nie było prawie widać, ale wystarczyło wstawić do zlewu miseczkę i kubek Elsie, schować do szafki kilka paczek płatków kukurydzianych, wrzucić do kosza kilkudniowy stos pustych kopert i niemal połowa blatu ponownie nadawała się do wykorzystania. Uchyliłam okno nad zlewem i otworzyłam drzwi do ogrodu. Będzie przynajmniej ładniej pachniało. Chodziłam po domu, szukając czegoś do posprzątania. Z kaloryfera wyciekała rdzawa woda, więc ustawiłam pod nim puszkę. Zajrzałam do ubikacji i doszłam do wniosku, że wypadałoby odczyścić muszlę, ale ponieważ nie miałam płynu - jednego z tych w butelce z wygiętą szyjką, którą można wetknąć pod krawędź sedesu - zadowolłam się spuszczeniem wody. Dość. Jak na jeden dzień wystarczy.

Patrząc przez okno na piętrze, widziałam słoneczne pasy na trawniku i słyszałam świergotanie ptaków. Słońce i ptaki to podobno jedno z dobrodziejstw życia na tym zapomnianym przez Boga odludziu. Śpiew ptaków się podziwia. Czy to skowronek? Słowik? Nie, słowiki śpiewają w nocy. Rudzik? Gołąb? Wiedziałam tylko, że gołębie gruchają zamiast śpiewać. Powinnam kupić książkę o śpiewie ptaków. Albo kasetę, płytę, cokolwiek.

Nie, to nie tak. Byłam zaciekawiona, ale przede wszystkim zirytowana, że dałam się wrobić w układ, na który nie miałam żadnego wpływu. I czułam się podle w stosunku do Danny'ego. Gorzej niż podle: czułam się niezręcznie. Wiedziałam, że powinnam do niego zadzwonić i przyznać, że nie miałam racji, lecz ciągle to odkładałam. Trudno mi przyznać się do błędu. Zaparzyłam kawę i ułożyłam w głowie listę do odhaczania: robię to dla rozrywki; tracę czas; nie postępuje się tak z kimś, kto potrzebuje pomocy; to niebezpieczne; i niedobre dla Elsie; nie znoszę obcych w domu; nie znoszę mglistych, nie skonkretyzowanych zobowiązań. Czułam się wykorzystana. Sposepniałam. Wyjęłam z kosza starą kopertę i sporządziłam prawdziwą listę.

Im bliżej wpół do dwunastej, tym częściej krążyłam przy oknie wychodzącym na podjazd. Kolejne zmarnowane przedpołudnie. Próbowałam wmówić sobie, że powinnam doceniać te rozkoszne bezproduktywne chwile. Po latach nieustannej harówki chodziłam z pokoju do pokoju, nie będąc w stanie sformułować ani jednej spójnej myśli, która skłoniłaby mnie do konkretnego działania. W końcu usłyszałam warkot samochodu. Przywarłam plecami do ściany, żeby nikt mnie nie zobaczył, i ostrożnie wyjrzałam przez okno. Przyjechali nie rzucającym się w oczy czterodrzwiowym samochodem, takim w kształcie klina albo paczkowanego cheddara z supermarketu. Ani migających świateł, ani pomarańczowych pasów na karoserii. Otworzyło się troje drzwi. Naraz, jednocześnie. Tymi z przodu wysiadł Baird i jakiś mężczyzna w garniturze, tylnymi zaś mężczyzna w długim, czarnym palcie. Ten w płaszczu

wyprostował się z ulgą, pewnie dlatego, że był wysoki. Miał pociągłą, drapieżną twarz i proste, ni to jasne, ni ciemne włosy. Pochylił się, zajrzał do samochodu i przypomniało mi się, jak ledwie przed rokiem przeklinałam pasy na foteliku Elsie i akrobacje, które musiałam uskuteczniać, żeby wydostać ją ze starego fiata. Najpierw zobaczyłam ubraną w dżinsy nogę, a potem z samochodu wysiadła młoda kobieta. Widziałam jak przez mgłę, bo szyba była gruba i ziarnista. Dżinsy, granatowa kurtka, ciemne włosy, blada skóra i nic więcej. Usłyszałam pukanie do drzwi i zesłam na dół.

Baird wszedł do domu z miną dobrego wujaszka, która wzbudziła we mnie odrazę. Podejrzewałam, że to nie on wpadł na pomysł tej koszmarnej imprezy - a przynajmniej, że to nie on podsunął zwierzchnikom moją kandydaturę - a mimo to postanowił demonstracyjnie dotrzeć do końca. Stał z boku, żeby przepuścić pozostałych. Mężczyzna w długim płaszczu delikatnie podtrzymywał dziewczynę.

- To jest detektyw Angeloglou - powiedział Baird. - A to doktor Daley.
- Daley krótko skinął mi głową. Był nie ogolony, mimo to wyglądał całkiem nieźle. Zmrużył oczy i rozejrzał się podejrzliwie. I nic dziwnego.
- A to jest Fiona Mackenzie. Finn Mackenzie.

Wyciągnęłam rękę, ale Finn patrzyła w drugą stronę i jej nie widziała, więc udałam, że to tylko taki gest. Zaprosiłam ich do pokoju i niezręcznie usiedliśmy na sofie. Zaproponowałam herbatę. Baird powiedział, że Angeloglou zaparzy. Angeloglou posłusznie wstał, ale chyba się trochę zirytował. Wyszliśmy do kuchni. W salonie panowała głucha cisza.

- Czy to na pewno dobry pomysł? - szepnęłam, płucząc kubki.

Wzruszył ramionami.

- Może coś z tego będzie - odrzekł. - Niczego innego nie wymyśliliśmy, tylko niech pani nikomu o tym nie mówi.

Wróciliśmy do wciąż cichego salonu. Baird podniósł z podłogi stare czasopismo i machinalnie je przeglądał. Doktor

Daley, już bez płaszcza - miał na sobie przeraźliwie żółtą koszulę, którą mógł kupić zarówno w luksusowym włoskim sklepie, jak i na ciuchach - siedział na sofie obok Finn. Podałam mu herbatę. Wziął dwa kubki, postawił je na stole i pomacał się po kieszeniach, jakby chciał sprawdzić, czy czegoś nie zgubił.

- Mogę zapalić? - Miał niemal nienaturalnie głęboki głos, mówił powoli i lekko przeciągał samogłoski. Pamiętałam ten typ facetów ze studiów: pewnością siebie bili mnie na łeb.

- Przyniosę popielniczkę - odrzekłam. - Albo coś zamiast.

Natychmiast poczułam się przy nim swobodniej niż z Bairdem czy z Angeloglou. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i bardzo długie palce, tak że paczka papierosów jakby w nich malała. Od razu zapalił i zaczął strzepywać popiół na spodeczek, który mu podałam. Musiał mieć czterdzieści cztery, czterdzieści pięć lat, ale trudno było to ocenić, ponieważ robił wrażenie zmęczonego i rozkojarzonego. Miał ciemne smugi pod szarymi oczami, proste, trochę przetłuszczone włosy i ciekawą twarz o mocno zarysowanych brwiach, wystających kościach policzkowych i szerokim, sardonicznym uśmiechu. Natomiast Finn była drobna, krucha i nijaka. Gęste, ciemne włosy i ciemne ubranie jeszcze bardziej podkreślały bladość jej wychudłej twarzy; najwyraźniej od wielu dni biedactwo nic nie jadło. Siedziała nienaturalnie nieruchomo, poruszała jedynie oczami, nie zatrzymując na niczym wzroku. Czubkami palców prawej ręki nieustannie skubała bandaż na szyi.

Biedne, okrutnie skrzywdzone stworzenie. Powinnam była powiedzieć, że bardzo jej współczuję, lecz sytuacja peszyła mnie i niemal paraliżowała. Poznawać nową pacjentkę w tych okolicznościach? W tym otoczeniu? Ale z drugiej strony nie była moją pacjentką, prawda? W takim razie kim dokładnie była? I kim miałam być ja? Jej lekarzem? Starszą siostrą? Przyjaciółką? Przynętą i policyjną informatorką? Detekty-wem-amatorem, który próbuje wywęszyć jakiś trop?

- Podoba się pani życie na wsi? - spytał pogodnie Baird. Zignorowałam go.

- Panie doktorze - powiedziałam. - Proponuję, żeby zabrał pan Finn na górę i pokazał jej pokój, w którym będzie mieszkać. Ostatnie drzwi po lewej stronie; okno wychodzi na ogród. Niech się pan rozejrzy i sprawdzi, czy o czymś nie zapomniałam.

Doktor Daley zerknął na Bairda.

- Tak, teraz, panie doktorze, teraz - rzuciłam. Wyprowadził Finn z salonu i usłyszeliśmy, jak powoli wchodzi na piętro. Spojrzałam na policjantów.

- Wyjdziemy popatrzeć na wiejski krajobraz, który podobno powinien się bardzo podobać? Możecie panowie zabrać herbatę.

Kiedy Baird zobaczył, w jakim stanie jest mój ogród, tylko pokręcił głową.

- Wiem - powiedziałam, kopiąc mały przedmiot z różowego plastiku; pewnie Elsie go wyrzuciła. - Miałam ambitne plany. Chciałam być samowystarczalna.

- Nie w tym roku - odparł Angeloglou.

- Fakt. Ale mamy na głowie inne rzeczy. Panie inspektorze...

- Proszę mówić mi Rupert.

Parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać.

- Poważnie? Dobra. Rupert. Zanim cokolwiek zrobię, musimy obgadać kilka spraw. - Wyjęłam z kieszeni kopertę z listą.

- To oficjalna rozmowa? Pokręciłam głową.

- Gównu mnie obchodzi, jak ją potraktujecie. Przyszliście do mnie jako do specjalistki od urazów psychicznych, tak?

- Do specjalistki od urazów psychicznych, która mieszka na odludziu pod Stamford.

- Świetnie. Jesteście tu tylko wy, mimo to, jako profesjonalistka, zacznę od stwierdzenia, że wasze przedsięwzięcie jest wysoce nieprofesjonalne.

- Za to wygodne.

- Nie wiem dla kogo, ale Finn powinna przebywać w znajomym otoczeniu, wśród ludzi, których zna i którym ufa.

- Ludzie, których zna i którym ufa, już nie żyją. Przyjaciele odpadają. Nie chce się z nimi widzieć. Toleruje tylko doktora Daleya.

- Jak zapewne panu mówiono, jest to typowa reakcja na silny wstrząs psychiczny, która sama w sobie nie stanowi dostatecznego powodu, żeby umieszczać tę dziewczynę w zupełnie obcym środowisku.

- Mamy powody sądzić, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

- Zgoda, nie zamierzam z tym polemizować. Chciałam tylko przedstawić wam obiektywną opinię lekarską. - Zerknęłam na kopertę. - Poza tym, jeśli spodziewacie się, że odegram w tym śledztwie jakąś nieformalną rolę, to z góry uprzedzam, że...

- Ależ skąd - przerwał mi Baird słodkim, kojącym tonem, który doprowadzał mnie do szewskiej pasji. - Wprost przeciwnie. Jak pani wie, Fiona Mackenzie nie powiedziała nic na temat tych morderstw, ale nikt nie oczekuje, żeby pobudzając jej wspomnienia, spróbowała pani wpaść na jakiś trop. Broń Boże. Mogłoby to przynieść więcej szkody niż pożytku. Zresztą z tego, co zrozumiałem, nie pochwała pani tego rodzaju terapii.

- Właśnie.

- Jeśli Fiona Mackenzie zechce złożyć zeznanie, ma do tego prawo, jak każdy obywatel. Proszę się wtedy ze mną skontaktować i chętnie wysłuchamy tego, co będzie miała do powiedzenia. Wszystko zależy od przebiegu śledztwa, ale niewykluczone, że od czasu do czasu będziemy ją odwiedzać.

- Dlaczego uważacie, że grozi jej niebezpieczeństwo? Baird spojrzał na mnie z udawanym zaskoczeniem.

- Widziała pani jej szyję?

- Czy mordercy zwykle ponawiają próbę, jeśli za pierwszym razem im nie wyjdzie?

- To nietypowa sprawa. Chcieli zabić całą rodzinę.

- kupert, nie interesują mnie szczegóły waszego śledztwa, ale jeśli już powierzacie mi Finn, musicie powierzyć mi również dotyczące jej informacje.

- Słusznie. Chris?

Angeloglou trzymał właśnie kubek przy ustach. Zakrztusił się, prychnął herbatą na wszystkie strony i zakaszał.

- Przepraszam - wychrypiał. - Podejrzewamy, że maczali w tym palce ci od obrony praw zwierząt. To jedna z wersji.

- Dlaczego mieliby chcieć ją zabić?

- Żeby nikt nie wcierał proszków, maści i balsamów w rany celowo zadane małym świnkom. Jest winna, bo jest członkiem rodziny.

Nagle przyszło mi coś do głowy.

- Podczas studiów należałam do grupy przeciwników polowań. Krótko, ale należałam. Aresztowano mnie i ostrzeżono.

- Tak, wiemy.

- W takim razie, skąd pewność, że Fiona będzie ze mną bezpieczna?

- Złożyła pani przysięgę Hipokratesa, prawda?

- Już się tego nie robi, to tylko legenda.

- Aha - mruknął skonsternowany Baird. - Cóż, proszę jej nie zabijać.

Śledztwo idzie wolno i bez tego.

Ponownie spojrzałam na kopertę.

- Mam dziecko, przyjaciół i znajomych, którzy mnie odwiedzają. Co mam im powiedzieć? Danny'emu, mojemu... chłopakowi, powiedziałam prawdę.

- Nie komplikujmy tego, tak będzie najlepiej. W zawiłych historiach łatwo się pogubić. Czy Fiona nie mogłaby być na przykład studentką, która chwilowo z panią mieszka? Co pani na to?

Długo milczałam. Nie, nie dam sobie rady.

- Mam gdzieś wasze przebieranki, szpiegowskie sztuczki i filmowe gierki. Ani sobie nie poradzę, ani nie pomogę Fionie.

- Dlatego chcemy to wszystko maksymalnie uprościć. Pani doktor, wiem, że to układ daleki od ideału, ale inne byłyby jeszcze gorsze.

- Dobrze. Zresztą chyba się już zgodziłam.

- Niewykluczone, że Fiona pani pomoże.

- Oby.

- I nie musi pani zmieniać jej imienia. Nazwijmy ją Fioną Jones. To nazwisko łatwe do zapamiętania.

- Dobrze, ale niech pan posłucha. Zastrzegam sobie prawo do natychmiastowego zerwania umowy. Jeżeli się nie zgodzicie, od razu zabierając ją z powrotem. Gdy tylko uznam, że ta maskarada źle wpływa na mnie, na moją córkę, no i naturalnie na nią, na Fionę, natychmiast ją przerwę. Zgoda?

- Oczywiście, bez dwóch zdań. Ale wszystko będzie dobrze. Darzymy panią wielkim zaufaniem.

- Jeśli tak, to za bardzo nim szafujecie.

Gdy wróciliśmy do domu, poprosiłam doktora Daleya, żeby pomógł mi odnieść kubki do kuchni. Chciałam porozmawiać z nim sam na sam. Było mało prawdopodobne, żeby przyszła tam Finn. Było mało prawdopodobne, żeby to pokiereszowane wewnętrznie biedactwo w ogóle ruszyło się z sofy.

- Przepraszam, że tak pana wywabiłam. Powinniśmy byli porozmawiać przed przyjazdem Finn, ale wygląda na to, że na nic nie mam wpływu. I bardzo mi się to nie podoba.

Na jego ustach wykwitł automatyczny uśmiech. Podeszłam bliżej, zadrzałam mu w twarz i orzekłam:

- Marnie pan wygląda.

On też otaksował mnie spojrzeniem. Miał bardzo głębokie oczy, takie nieprzeniknione. Ładne. Patrzył chwilę, wreszcie się uśmiechnął.

- To były ciężkie dni - odrzekł.

- Dobrze pan sypia?

- Nic mi nie jest.

- Nie musi mi pan imponować. Niech pan zachowa to dla swoich stażystek. Lubię wrażliwych mężczyzn.

Roześmiał się i umilkł. Zapalił papierosa.

- Tak, powinienem lepiej sobie z tym radzić. I przykro mi z powodu tego... tego zamieszania - dodał, robiąc enigmatyczny gest ręką, jakby przeproszał mnie za całą sytuację. - Ja tylko wykonuję polecenia.

Nie odpowiedziałam. Zaczął mówić jak ktoś, kto nie znosi ciszy.

- Tak przy okazji, czytałem pani artykuł w „BMJ”. „Wydumany syndrom”? Chyba tak, nie pamiętam, w każdym razie ten, który wywołał tyle zamieszania. Świetna rzecz.

- Dzięki. Nie sądziłam, że zainteresuje lekarzy takich jak pan. Lekko się zaczerwienił i zmrużył oczy.

- To znaczy jakich? Lekarzy ogólnych z prowincji?

- Nie, nie to miałam na myśli. Lekarzy niespecjalistów. Zapadło niezręczne milczenie, lecz Daley ponownie się uśmiechnął.

- Fragment znam na pamięć: „Dogmat oparty na nie sprawdzonych przesłankach i nie potwierdzony żadnymi dowodami”. Po lekturze czegoś takiego ci od stresu musieli pewnie zasięgnąć porady kolegów po fachu.

- A jak pan myśli, dlaczego zakładam własny ośrodek w tej miejscinie? Kto by mnie teraz zatrudnił? Aha: uważam, że „mieścina” to bardzo ładne słowo.

- W porządku, proszę się nie tłumaczyć. - Podwinął rękawy i sięgnął po kubki. - Pani zmywa, ja wycieram.

- Nie, pan zmywa, a ja stawiam je na suszarce. Same obciekną. Jak ona się czuje?

- Finn? Rany są powierzchowne, więc...

- Nie o to chodzi. Jest pan jej lekarzem: co pan o niej sądzi?

- Pani doktor...

- Sam.

- Michael. Jeśli pytasz o nastrój, o siłę wstrząsu, jaki przeżyła, sprawa wykracza poza moje kompetencje.

- Innych to nie powstrzymuje. No więc?

- Myślę, że to poważny uraz psychiczny. Co jest chyba zrozumiałe...

- A jej mowa?

- Pytasz, czy to, że Fiona prawie nie mówi, ma związek z ranami? Owszem. Doszło do częściowego paraliżu krtani i do lekkich uszkodzeń strun głosowych.

- Świst krtaniowy? Dysfonia? Daley znieruchomiał.

- W tym się też specjalizujesz?

- Nie, to moje hobby. Stopień wyżej niż zbieranie znaczków. Albo stopień niżej.

- Powinnaś porozmawiać z doktorem Daunem - odrzekł, wracając do szorowania kubków. - Tak czy inaczej, Fiona jest teraz twoją pacjentką.

- Nie - odparłam. - Jest twoją pacjentką. Bardzo na to nalegam. I tak postępujemy wbrew wszelkim możliwym zasadom. Pomagam jej nieformalnie i mam nadzieję, że choć trochę pomogę, ale wiem, że leczysz ją od lat, dlatego absolutnie niezbędne jest, żeby nadal uważała cię za swego lekarza. Zgoda?

- Jasne. Zrobię, co się da.

- Mam nadzieję, że będziesz ją regularnie odwiedzał. Jesteś jej jedynym łącznikiem ze światem, z którego pochodzi.

- Już. Wszystko. - Zmył nie tylko kubki, ale i naczynia ze śniadania i z wczorajszej kolacji. - Przyznam, że podchodziłem do tego z dużą rezerwą. Do tego pomysłu. Ale teraz widzę, że Finn nie mogła trafić w lepsze ręce.

- Chciałabym usłyszeć to samo, kiedy coś pójdzie nie tak.

- Dlaczego coś miałoby pójść nie tak? - spytał ze śmiechem i jego brwi ułożyły się w kształt odwróconej litery „V”. - Martwi mnie tylko, że Finn odcina się od swego otoczenia, od ludzi, których zna.

- Wierz mi, że mnie też.

- Znasz się na tym lepiej ode mnie, ale gdyby poproszono mnie o radę, zaproponowałbym tylko jedno: żeby Fiona widywała jak najwięcej ludzi. Oczywiście zakładając, że zechce i że zgodzi się na to policja.

- Spróbujemy krok po kroku, dobrze?

- To ty jesteś lekarzem. No dobrze, ja też, ale ty jesteś tym właściwym lekarzem.

- Nieprawda - zaprotestowałam. - Ja jestem lekarzem i ty

jesteś lekarzem. Oboje jesteśmy lekarzami, dlatego spróbujemy wybrnąć z tej głupiej i tragicznej sytuacji najlepiej, jak potrafimy. Chciałabym przejrzeć jej kartę zdrowia, kartę leków, i tak dalej. Aha, i daj mi swój numer. Nie chcę jeździć do Bairda z każdym pytaniem.

- Wszystko mam w bagażniku.

- I jeszcze coś. Sytuacja jest absurdalnie niejasna, dlatego stanowczo żądam jednego. Powiem to tobie, powiem Bairdowi: chcę, żebyśmy ustalili konkretny termin, nieprzekraczalną datę zamknięcia tego cyrku.

Trochę go tym zaskoczyłam.

- To znaczy?

- Jeśli wszystko wypali, istnieje niebezpieczeństwo, że Finn zacznie traktować nas jak zastępczą rodzinę, a tak nie może być. Którego dzisiaj mamy? Dwudziestego piątego stycznia, tak?

- Dwudziestego szóstego.

- Powiem jej, że bez względu na to, co się wydarzy, bez względu na to, jak się będzie między nami układało, układ przestaje obowiązywać... piętnastego marca. Może być?

- Jak najbardziej. Jestem pewien, że potrwa to znacznie krócej.

- Świetnie. A więc... czy dołączymy do pań?

- Myślisz, że to żart? Poczekaj tylko, aż sąsiedzi zaproszą cię na kolację.

- Nie mogę się już doczekać. Przygotowałam nawet puder.

9

Stałam naprzeciwko Fiony i dopiero teraz spokojnie się jej przyjrzałam. Miała gęste, ciemnobrązowe włosy, kształtne brwi i bladą, owalną twarz. Twarz była kompletnie bez wyrazu, a brązowe oczy patrzyły w pustkę. Ładna dziewczyna, w in-

nich okolicznościach mogła być doprawdy urocza, lecz ten makabryczny wstrząs wyssał z jej twarzy całą osobowość.

- Oprowadzę cię po domu - powiedziałam. - Długo to nie potrwa.

Pochyliła się, żeby wziąć walizczkę, ale była zbyt osłabiona i apatyczna, by cokolwiek nieść.

- Daj, pomogę ci. Zaczniemy od twego pokoju, chociaż już go widziałas. - Drgnęła, gdy musnęłam dłonią jej dłoń na uchwycie walizki. - Masz zimne ręce. Zaraz włączę ogrzewanie. Chodźmy. Tędy.

Weszłam na schody, ona posłusznie za mną. Jak dotąd nie powiedziała ani słowa.

- No i jesteśmy. Przepraszam za te pudła. Potem wyniesiemy je na strych. - Postawiłam walizkę na łóżku; w wysokiej sypialni żałośnie skarłowaciała. - Trochę tu pusto, prawda?

Finn stała pośrodku pokoju. Nawet się nie rozejrzała. Ręce zwisały jej wzdłuż boków, palce miała bezwładne, jakby nie należały do niej. Wskazałam szafę i małą komodę, którą Danny znalazł dla mnie w pobliskiej wiosce.

- Możesz powkladać tam swoje rzeczy. Wyprowadziłam ją na korytarz. Na podłodze dostrzegłam

coś małego, białego i kwadratowego. Ukucnęłam i ostrożnie podniosłam to dwoma palcami.

- A to, moja droga, jest papierowy ptaszek. Zrobił go Danny, mój chwilowo nieobecny chłopak. - Chwilowo czy na dobre? Odłożyłam to na później. - Spójrz, porusza nawet skrzydłami. Ładny, prawda? Pomieszkaś z nami kilka dni i zaczniesz znajdować te stworki w swoim ubraniu, we włosach, na rękach, nogach, nawet w jedzeniu. Są wszędzie. Ech, ci mężczyźni...

Mówiłam głównie do siebie.

- To jest mój pokój, a to... - Szła krok za mną i kiedy przystawałam, przystawała i ona. - To jest pokój mojej córeczki Elsie. - Drzwi nie chciały się otworzyć, bo tuż za progiem leżał stos lalek Barbie, piórników i plastikowych koników. -

Elsie to zdrobienie od Elsie. - Spojrzałam na nią, ale zamiast się roześmiać - cóż, nie było to szczególnie śmieszne - skinęła głową, a raczej gwałtownie nią potrząsnęła. Zobaczyłam plaster na jej szyi.

Na dole pokazałam gabinet („nikomu nie wolno tu wchodzić”), salon i kuchnię. Otworzyłam lodówkę.

- Bierz, co chcesz. Nie gotuję, ale chętnie kupuję.

Tu jest kawa, tam herbata, a tu dziura, gdzie postawię zmywarę. Opowiedziałam jej o Lindzie, o Sally, o tym, co i jak robią.

- I to tyle. Oczywiście jest jeszcze ogród... - Machnęłam ręką w stronę okna, za którym widać było mokre badyły zeschniętych chwastów, stosy zgniłych liści, których nie zdążyłam wywieźć, i wystrzępione brzegi łysiejącego trawnika. - Ogród jest jeszcze nieuporządkowany.

Finn odwróciła głowę, ale chyba wciąż nic nie widziała. Ponownie otworzyłam lodówkę i wyjęłam z niej karton wiejskiej zupy jarzynowej.

- Podgrzeję zupę. Idź się odświeżyć, a potem zjemy razem lunch.

Finn stała jak sparaliżowana pośrodku kuchni.

- Na górę - rzuciłam wesoło, wskazując sufit. Dziewczyna odwróciła się powoli, weszła na niskie, szerokie

schody i jak wiekowa staruszka, stopień po stopniu, ruszyła na górę.

Widywałam już ofiary urazów psychicznych, które nie odzywają się tygodniami; innym zaś słowa wylewają się z ust niczym błotnisty potok. Ostatnio przyszedł do mnie pewien mężczyzna w średnim wieku. Miał fart, bo wyszedł cało z katastrofy kolejowej. Przez całe życie był małomówny, milczkowaty. W szoku wywołanym katastrofą „miał wypróżnienie” (wypowiedział te słowa z zasznurowanymi ustami) i wstrząsnęło nim to równie głęboko jak widok trupów. Od wyjścia ze szpitala nie mógł przestać mówić. Na przystanku autobusowym, przed swoim domem, w sklepie - wszystkim

opowiadał, co mu się przydarzyło. Odtwarzał tę scenę w nieskończoność, ale mówienie nie przynosiło mu żadnej ulgi. Był jak człowiek, który drapiąc się i czochrając, nie potrafi pozbyć się uporczywego świądu. Wiedziałam, że Finn też z czasem przemówi. A kiedy przemówi, na pewno jej wysłucham, jeśli tylko przemówi do mnie. Na razie potrzebowała jakiejś formy, modelu czy struktury działania, w której mogłaby poczuć się bezpiecznie.

Patrzyłam, jak nabiera odrobinę zupy i ostrożnie podnosi łyżkę do ust. Co by powiedziała, gdyby mogła mówić?

- Elsie wraca o szóstej. Czasami wcześniej. Często sama odbieram ją ze szkoły. Jest bardzo podekscytowana twoim przyjazdem. Powiem jej to samo co innym: że jesteś studentką i że przez jakiś czas będziesz z nami mieszkała. I że nazywasz się Fiona Jones.

Finn wstała i ciszę zburzył głośny hurgot krzesła sunącego po kamiennych płytkach. Z na wpół opróżnioną miseczką podeszła do zlewu, wymyła ją, postawiła na suszarce, wróciła do stołu i nie patrząc na mnie, usiadła naprzeciwko. Objęła dłońmi filiżankę herbaty, którą dla niej zrobiłam, i zadrżała. Potem podniosła wzrok i spojrzała mi w oczy. Zrobiła to pierwszy raz i, nie wiedzieć czemu, doznałam lekkiego wstrząsu. Czułam się tak, jakbym mogła zajrzeć do jej głowy.

- Jesteś bezpieczna, Finn - powiedziałam. - Nie musisz nic mówić, chyba że chcesz. Nie musisz nic robić. Ale wiedz, że jesteś bezpieczna.

Wskazówka sekundnika na kuchennym zegarze, zielonkawe cyferki mrugające na tarczy radiowego budzika, monotony ruch wahadła zegara w holu: wszystko zdawało się potwierdzać, że popołudnie jest długie i ospałe. Czas, który zawsze mijał błyskawicznie, boleśnie się wałkonił.

Zrobiłam Fionie kąpiel i dolałam do wody swego ulubionego płynu. Weszła do łazienki, zamknęła drzwi. Słyszałam, jak się

rozbiera i jak wchodzi do wanny, lecz niecałe pięć minut później wróciła w tym samym ubraniu. Poprosiłam ją, żeby pomogła mi wybrać zasłony do jej pokoju. Wyciągnęłam je spod łóżka, ukłękłyśmy na podłodze, rozwinęłam kilka, przełożyłam je przez rękę, a ona nic, tylko patrzyła. Postanowiłam wybrać te najweselsze, matowoczerwone, żółte i granatowe, i chociaż były o wiele za długie, przyczepiłam je do karnisza nad małym, kwadratowym oknem. Zanim wyszłam z pokoju, widziałam, jak Fiona patrzy na otwartą walizkę, na swoje ubrania. Kilka minut później zeszła na dół i przystanęła w drzwiach gabinetu; akurat zaczęłam układać teczki z dokumentami. Zaprowadziłam ją do ogrodu z nadzieją, że cebulki, które zasadziła poprzednia właścicielka, zdążyły już wykiełkować, ale znalazłyśmy tylko kilka przebiśniegów i pęknięty wazon na kwiaty.

Wróciłyśmy do domu. Rozpaliłam w kominku (nie ma to jak stos chemicznych podpałek i ciasno zwinięte kulki z gazet) i Fiona usiadła w moim fotelu, patrząc na nikły, chybotliwy płomyk. Usiadłam obok niej, żeby zajrzeć do krzyżówek szachowych, które powycinałam z gazet. Trzasnęła klapka w drzwiach i do salonu wszedł Anatol. Kilka razy potarł mokrym pyszczkiem o moje podkurczone kolana, a potem położył się między nami. Dwie kobiety i kot przed kominkiem: było niemal przytulnie.

I nagle Fiona przemówiła.

- Krwawię. - Miała niski, chrapliwy głos.

Przerażona spojrzałam na jej szyję, ale oczywiście nie o to jej chodziło. Mocno ściągnęła brwi, jakby coś apatycznie ją zdumiało.

- Nie szkodzi. - Wstałam. - W łazience jest pełno tamponów, ręczników i podpasek. Powinnam ci była pokazać. Chodź.

- Krwawię - powtórzyła szeptem.

Wzięłam ją za chudą, zimną rękę. Fiona była znacznie niższa ode mnie i wyglądała straszliwie młodo. Za młodo, żeby krwawić.

- To jest - powiedziała Elsie - ramię. - Zanurzyła prostokątną grzanekę w żółtku i zaczęła ją głośno ssać. Żółtko ściekało jej po policzku jak klej. - Masz ramiona? - Zwykle ostrożna i małomówna, nie czekając na odpowiedź, paplała dalej, jakby milczenie Fiony rozwiązało jej język: - Jedliśmy dzisiaj kurze paluszki. Alexander Cassell - brzmiało to jak „Ale-ksooon-der” - schował je do kieszeni i się rozdusiły! - Radośnie zapiszczała i cmok-cmok, ponownie possała grzanekę. - Skończyłam. Chcesz obejrzeć mój rysunek? - Zsunęła się z krzesła. - Chodź, tędy. Mamusia mówi, że rysuję lepiej od niej. Myślisz, że to prawda? Moim ulubionym kolorem jest różowy, mamusi czarny, ale ja nie znoszę czarnego, za to bardzo lubię Anatola, a on jest czarny jak pantera. Masz ulubiony kolor? Jaki?

Milczenie Fiony zupełnie jej nie przeszkadzało. Pokazała jej rysunek domu (frontowe drzwi sięgające dachu, dwa krzywe okna), zademonstrowała, jak robi salto (omal nie roztrzaskała przy tym krzesła), a potem powiedziała, że chce obejrzeć film na wideo: usiadły przed telewizorem, ona na dywanie, Fiona w fotelu, i gapiąc się na ekran pełen szczeniactków - Elsie z ożywieniem, Finn apatycznie - przesiadziały razem do końca *101 dalmatyńczyków*. Gdy zabierałam Elsie na kąpiel („dlaczego zawsze muszę się kąpać?") Fiona nadal siedziała w salonie. Patrzyła na czarny ekran telewizora.

Założyłam, że najgorsze będą wieczory: kompletny brak porozumienia, wlokący się czas i tylko my dwie, ja i Finn, która po prostu siedzi i czeka na coś, co się nigdy nie zdarzy. Myślałam chwilę o tym, jak na mnie patrzy. Poszperałam w zamrażalniku: stek i pudding z cynaderek od Marksa Spencera, kurczak w jarzynach, paczka lasagne (porcja na dwie osoby), zapiekanka z serem i szpinakiem (porcja na jedną osobę). Włożyłam lasagne do mikrofalówki, żeby się rozmroziła. Ciekawe, czy znajdę trochę mrożonego groszku... Za-

stanawiałam się, gdzie jest Danny. I z kim. Czy szuka pocieszenia i wyładowuje złość w czyimś łóżku? Był z kimś, gdy tymczasem ja pielęgnowałam niemą inwalidkę? Kładł swoje twarde dłonie na czyimś uległym ciele? Na tę myśl przez chwilę nie mogłam oddychać. Pewnie powie, że ja też jestem mu niewierna, oczywiście na swój sposób. Moją zdradą była Finn siedząca apatycznie w salonie. Żałowałam, że go tu nie ma, że to nie dla niego odgrzewam lasagne i groszek; potem moglibyśmy obejrzeć film w telewizji, pójść razem do łóżka i przytulić się do siebie w ciemności. Żałowałam, że nie mogę wyrzucić Finn z domu, zapomnieć o tej głupiej, pospiesznej decyzji i wrócić do przeszłości sprzed kilku dni.

- Gotowe. Proszę - Wniosłam tacę do salonu, lecz Finn tam nie było. Zawołałam w górę schodów, najpierw cicho, potem głośniejsze, ze zniecierpliwieniem. Nic. Cisza. W końcu zapukałam do jej drzwi i otworzyłam. Leżała w ubraniu na łóżku. Ssała kciuk. Kiedy nakrywałam ją narzutą, otworzyła oczy. Spojrzała na mnie spode łba i odwróciła głowę do ściany.

I tak skończył się nasz pierwszy dzień razem. Z tym że później, kiedy już się położyłam i kiedy za oknem zapadła nieprzenikniona ciemność, jaka zapada tylko na wsi, usłyszałam głuchy stukot. Po chwili kolejny, nieco głośniejszy. Dochodził z jej pokoju. Naciągnęłam na siebie szlafrok i potruchtałam zimnym korytarzem. Finn spała, zasłaniając sobie twarz jak ktoś, kto nie chce, żeby go sfotografowano. Wróciłam do wygrzanego łóżka i do samego rana nie słyszałam już nic, poza straszliwymi wiejskimi odgłosami: hukaniem sowy i westchnieniami wiatru.

10

Jej obecność mnie deprymowała. Ilekroć zerkałam na nią kątem oka, siedziała gdzieś jak kupka nieszczęścia albo dokądś człapała. Podczas tych wszystkich rozmów, tych z Bairdem,

Angeloglou i Daleyem, nie przedyskutowaliśmy jednego: tego, co Fiona ma u mnie robić, jak ma spędzać czas. Przez pierwsze dwa dni wstawała wcześnie; słyszałam plaskanie bosych stóp na nagich deskach półpiętra. W porze śniadania pukałam do jej drzwi i pytałam, czy coś przynieść. Nie odpowiadała. Odwoziłam Elsie do szkoły, a gdy wracałam, była już na dole. Siedziała na sofie, oglądając poranną telewizję: teleturnieje, publiczne spowiedzi, wiadomości i australijskie seriale. Miała kamienną twarz, prawie się nie poruszała, nie licząc tego, że nieustannie skubała plaster na szyi. Skub-skub, skub-skub, skub-skub. Przynosiłam kawę, czarną, bez cukru, a ona obejmowała filiżankę dłońmi, jakby chciała wyssać z niej całe ciepło. To był najintymniejszy kontakt, jaki zdołałam z nią nawiązać. Przyniosłam grzanekę, ale pół godziny później musiałam ją zabrać. Była nietknięta, a masło pożółkło.

Ilekcio się na nią natykałam, przemawiałam do niej pogodnie, jak przemawia się do pogrążonego w śpiączce pacjenta, to znaczy nie wiedząc, czy robię to ze względu na nią, czy na siebie. Masz, zaparzyłam kawę. Uważaj na ręce. Ładny dziś dzień. Posuń się. Co oglądasz? Pytania padały bezwiednie, po czym zapadała niezręczna cisza. Byłam zażenowana i wściekła na siebie za to, że jestem zażenowana. Byłam zbита z tropu, zarówno jako specjalistka, jak i jako ja. Specjalistka? Bzdura. Zachowywałam się absurdalnie, nieprofesjonalnie i bezproduktywnie. Ale to sytuacja jako taka była katastrofalna, nie moje w niej zachowanie. Przyjęłam pod ciach chorą dziewczynę, wprowadziłam ją do własnej rodziny - postąpiłam wbrew wszelkim ogólnie przyjętym procedurom. Poza tym tęskniłam za Dannym tak bardzo, że aż mnie skręcało.

Trzeciego dnia milczenia Finn, jadąc po Elsie, jeszcze raz przeanalizowałam wszystkie za i przeciw. Weszłam do klasy i zastałam córkę pochyloną nad rysunkiem niemal lak dużym jak ona. Z zaciekłym skupieniem w oczach wykańczała go czarną kredką. Ukłękłam i zajrzałam przez ramię, czując zapach jej miękkiej skóry i dotyk wełnistych włosów na policzku.

- Ładny słoń - powiedziałam.
- Nie słoń, tylko koń - odparła stanowczo.
- Wygląda jak słoń. Ma trąbę.
- Wygląda jak słoń, ale to koń. Nie zamierzałam tego odpuścić.
- Wyglądam jak zwyczajna kobieta, prawda? Czy mogłabym być koniem?

Elsie spojrzała na mnie z nagłym zainteresowaniem.

- A jesteś?

Naszły mnie wyrzuty sumienia, że próbuję narzucić swoją wolę temu zagniewanemu, złocistowłosemu skrzatowi. Powinnam coś dla niej zrobić. Tak, musiałam coś dla niej zrobić, i to natychmiast. Rozejrzałam się.

- Z kim się bawisz?
- Z nikim.
- Nie, poważnie, z kim?
- Z Mungo.
- A oprócz Mungo?
- Z nikim.
- Wymień imię jednej koleżanki, z którą się bawisz.
- Penelopa.

Poszłam do jej wychowawczynie, panny Karlin - długa, kwiecista sukienka, druciane okulary, niedbale związane włosy, słowem, nauczycielka jak marzenie - spytałam ją o Penelopę, a ona powiedziała, że ani w klasie, ani nawet w całej szkole nikogo o takim imieniu nie ma. Skoro tak, to czy mogłaby wskazać mi kogoś, z kim Elsie choć raz się bawiła czy choćby przy kim stała dłużej niż dwie minuty? Panna Karlin wskazała myszowatą dziewczynkę o brązowych włosach imieniem Kirsty. Niczym prywatny detektyw zacząłam się za drzwiami i kiedy do Kirsty podeszła matka, żeby wbić ją w ciasną, płócienną kurtkę, wychyłam z ukrycia i przystąpiłam do ataku.

- Dzień dobry - zaczęłam bezpardonowo. - Cieszę się, że Elsie, to moja córeczka, ta dziewczynka na podłodze, tak bardzo zaprzyjaźniła się z Kirsty.

- Naprawdę? Nie wiedziałam, że...

- Kirsty koniecznie musi nas odwiedzić.

- Może...

- Jutro?

- Ale ona nie...

- Nie szkodzi, wszystko będzie dobrze. Pani Karlin mówi, że nasze córeczki są po prostu nierozłączne. Linda odbierze je ze szkoły, a potem odwiezie Kirsty do domu. Mogłabym prosić

o adres? A może woli pani przyjechać po nią osobiście? Życie towarzyskie Elsie miałam z głowy. Wieczór był do

kitu. Wróciwszy do domu, robiłam wszystko, żeby nie spotkała się z Finn. Kolację zjadłyśmy same, a potem zaprowadziłam ją do sypialni. Kiedy się kąpała, siedziałam na brzegu wanny

i czytałam jej bajki.

- Fing jest?

- Finn.

- Fing.

- Finn.

- Fing.

- Fin-n-n-n-n!

- Fing-ng-ng-ng! Miałam dość.

- Jest.

- Gdzie?

- Chyba śpi - zełgałam.

- Dlaczego?

- Jest zmęczona.

- Chora?

- Nie. Po prostu musi odpocząć.

To ją przystopowało i mogłam zmienić temat.

Nazajutrz rano uciekłam do gabinetu, żeby pogapić się w ekran monitora. Smętek. Kliknęłam myszą na program szachowy, uznawszy, że jedna szybka partyjka na pewno mi nie zaszkodzi. Otwarcie pionkiem sprzed króla, kilka ruchów i skomplikowana wersja obrony sycylijskiej. Niewiele myśląc,

trochę ją uprościłam i wkrótce doszłam do swego ulubionego ustawienia. Komputer przegrywał, ale dopiero po długiej serii zawitych manewrów zdołałam zrobić z pionka damkę. Bezmyślne pudło, dobrze mu tak. Pękła cała godzina. Cholera jasna, pora wziąć się do roboty.

Wyjęłam z kieszeni wizytówkę i przeciągnęłam nią między klawiszami klawiatury. Ponieważ wydhubałam zaskakująco dużą ilość kurzu, nitek i włosów, postanowiłam podejść do problemu metodycznie. Przeciągnęłam wizytówką nad rzędem klawiszy QWERTY, potem między rzędem QWERTY i ASDF, następnie między ASDF i ZXCV. Zebrała się kopka paprochów, na tyle duża, że można by nią wypchać poduszkę dla koszałki. Dmuchnęłam i spadła za biurko.

Już sama myśl o jakiegokolwiek pracy była absurdalna. Nie znoszę pajaków. To idiotyczne, ponieważ wiem, jak bardzo są interesujące, ale po prostu ich nie znoszę. Czułam się tak, jakbym zobaczyła w pokoju pajaka i jakby ten pajak uciekł. Wiedziałam, że gdzieś tam jest i nie mogłam myśleć o niczym innym. W domu była Finn, Finn była w mojej głowie. Spojrzałam na wizytówkę; miała teraz zagięte i brudne rogi. Michael Daley. Zadzwoiłam. Nie zastałam go i zostawiłam wiadomość. Oddzwonił niecałą minutę później.

- Co z nią? - spytał bez wstępów.

Opisałam jej zachowanie i wyraziłam wątpliwość w sens naszego przedsięwzięcia. Kiedy skończyłam, długo milczał.

- Halo? Jesteś tam?

- Tak, tak. - Zaczął coś mówić i urwał. - Nie wiem, co powiedzieć. To beznadziejne, dla ciebie i dla niej. Muszę to przemyśleć.

- Michaelu, będę z tobą szczerą: myślę, że to farsa. Nie wierzę, żeby ktokolwiek na tym skorzystał.

- Masz rację. Musimy porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy.

- Przepraszam, tak... Mogę ją odwiedzić?

- Kiedy?

- Zaraz.

- Nie pracujesz?

- Właśnie skończyłem, mam godzinę przerwy.

- Świetnie. Chryste, lekarz, któremu chce się przyjechać do pacjentki.

Powinniśmy cię wypchać i wstawić do gabloty.

Przyjechał niecały kwadrans później. Ubrany jak do pracy, w ciemnym garniturze, jasnym krawacie i w płaszczu. Chociaż tym razem ogolił się i przyczesał, nadal sprawiał wrażenie miłego abnegata. Twarz miał zatroskaną, a nawet niespokojną.

- Mogę do niej pójść?

- Jasne, ogląda telewizję. Siedz z nią, ile chcesz. Napijesz się czegoś? Może herbaty?

- Potem. Daj mi kilka minut. Chciałbym na nią zerknąć. Zniknął w salonie i zamknął drzwi. Rozłożyłam gazetę.

Przez ścianę słyszałam tylko telewizor, nic więcej. Daley wyszedł kilka minut później. Był równie posepny jak przedtem. Zajrzał do kuchni.

- Teraz napiję się herbaty. - Przeczesał ręką włosy. Nalałam wody i włączyłam czajnik.

- No i?

- Do mnie też się nie odezwała. Zbadałem ją. Pobieźnie. Fizycznie nic jej nie dolega.

- Ale nie w tym rzecz, prawda?

- Właśnie.

Ustawiłam kubki, znalazłam herbatę, zabrzczałam łyżeczkami. Czekaliśmy na wodę.

- Trzeba patrzeć na czajnik. Wtedy trwa to trzy minuty. Nie odpowiedział. W końcu postawiłam na stole dwa kubki

i usiadłam naprzeciwko niego.

- Nie mogę poświęcić ci dużo czasu. Zaraz wróci Linda z Lisie i jej nową przyjaciółką. A właściwie z namiastką przyjaciółki.

- Nie, nie, i tak muszę iść. Posłuchaj. Przykro mi, że cię w to wpakowano. Nic z tego nie będzie. To nie twoja wina. Daj mi dwa dni. Zadzwoń do Bairda i uwolnimy cię od niej.

Poczułam się niezręcznie.

- Nie chodzi o to, żeby mnie od kogoś uwalniać.

- Nie, nie, wiem. Mówię jako jej lekarz. Uważam, że ten... ten układ źle na nią wpływa. Po drugie, źle wpływa na ciebie. Zadzwoń jutro po południu i powiem, co ustaliliśmy.

Podparł głowę ręką, uśmiechnął się i dodał:

- Dobrze?

- Przykro mi - odrzekłam. - I przepraszam. Bardzo chciałam pomóc, ale... - Wzruszyłam ramionami.

- Jasne. Nie ma sprawy.

Pierwsze chwile nie były zbyt obiecujące. Elsie minęła mnie i pobiegła na górę. Potem weszła Linda, trzymając za rękę dziewczynę o ponurej twarzy.

- Cześć, Kirsty - powiedziałam.

- Chcę do mamy.

- Chcesz jabłko?

- Nie. Chcę do domu. - I rozplakała się, ale tak naprawdę, bez udawania: po jej zaczerwienionych policzkach spływały wielkie łzy.

Wzięłam ją na ręce i zaniiosłam do salonu. Dzięki Bogu, że nie było tam Finn. Przerzuciłam Kirsty z prawej ręki na lewą, wyciągnęłam zza sofy pudło z zabawkami i krzyknęłam do Lindy, żeby sprowadziła na dół Elsie, choćby nawet siłą. W pudle były lalki bez ubrania i ubrania bez lalek.

- Poubieramy laleczki? - spytałam.

- Nie.

Linda przywlokła do salonu nadąsaną Elsie.

- Elsie, pomożesz Kirsty ubierać laleczki?

- Nie.

Zadzwoił telefon w korytarzu.

- Odbierz, Linda. Elsie, przecież lubisz swoje laleczki, prawda? Pokaż je koleżance.

- Nie chcę.

- Cholera jasna, to takie z was przyjaciółki?! Kiedy do salonu zajrzała Linda, płakały już obie.

- To Thelma.

- Chryste. Powiedz jej, że... Nie, odbiorę w gabinecie. Pilnuj ich. Nikt nie ma prawa stąd wyjść.

Thelma chciała spytać, jak mi idzie, więc opisałam jej sytuację najszybciej, jak potrafiłam. Mimo to, zanim skończyłam, upłynęło ponad dwadzieścia minut, dlatego wychodząc z gabinetu, spodziewałam się najgorszego: przeraźliwych wrzasków i krwi na ścianach, kroków prawnych ze strony matki Kirsty, interwencji służb socjalnych i policyjnego śledztwa, po którym wyrzucą mnie ze szpitala. Tymczasem usłyszałam... cichutki dziecięcy śmiech. Linda to cudotwórczyni, pomyślałam, ale wtedy spostrzegłam, że Linda stoi przed lekko uchylonymi drzwiami do salonu.

- Co się... - Urwałam, bo przytknęła palec do ust i z uśmiechem skinęła na mnie głową.

Podeszłam bliżej, ostrożnie, na palcach i zerknęłam przez szparę.

Głośny okrzyk radości i gardłowy śmiech.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem.

Czyj to głos? Niemożliwe.

- Wiesz! Wiesz! - To Elsie i Kirsty.

- Nie, ale może jest w uchu Kirsty. Sprawdzimy? Tak, jest tutaj.

I znowu radosny krzyk, i znowu perlisty śmiech.

- Jeszcze raz, Fing, jeszcze raz!

Elsie i Kirsty klęczały na dywanie. Powolutku zajrzałam za framugę drzwi. Naprzeciwko nich siedziała Finn z małą, żółtą kulką między kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki.

- Nie wiem, czy potrafię. - Potarła dłonią o dłoń, przekładając kulkę z lewej ręki do prawej.-'Ale spróbujmy.-Wyciągnęła lewą rękę. - Dmuchnicie?

Dziewczynki zmarszczyły brwi, nadeły policzki i dmuchnęły.

- A teraz wypowiedzcie magiczne zaklęcie.
- Abrakadabra.

Finn otworzyła dłoń. Oczywiście kulki w niej nie było. Sztuczka była strasznie prosta, mimo to Elsie i Kirsty rozdziawiły usta, radośnie zapiszczały i wybuchnęły głośnym śmiechem. Nie widziały nas, ani one, ani Finn, dlatego szybko się wycofałam.

- Nie przeszkadzajmy im - szepnęłam i po cichutku odeszłyśmy od drzwi.

- Niesamowite - powiedziała dwie godziny później matka Kirsty. - Nigdy dotąd tak się nie zachowywała. Nigdy i nigdzie.

- Cóż - odrzekłam skromnie. - Chciałyśmy, żeby czuła się tu jak u siebie w domu.

- Nie wiem, jak pani to zrobiła. Chodź, córeczko, musimy już iść. Dobranoc. Elsie, przyjedziesz do nas pobawić się z Kirsty?

- Nie chcę iść. - Kirsty znowu miała w oczach łzy. - Chcę zostać z Fing.

- Kto to jest Fing? - spytała matka. - To pani?

- Nie, to Fiona. Fiona jest... Fiona... Fiona z nami mieszka.

- Nie chcę iść! - wrzasnęła Kirsty.

Matka chwyciła ją pod pachę i wyniosła z domu. Zamknęłam drzwi. Krzyk powoli ucichł. Trzasnęły drzwi samochodu i zapadła cisza. Uklękłam i przytuliłam Elsie.

- Fajnie było? - szepnęłam. Skinęła głową. Dosłownie promieniała.

- To dobrze. Teraz biegnij na górę i ściągnij ubranie. Zaraz przyjdę i zrobię ci kąpiel.

- Fing też przyjdzie? Przeczyta mi bajkę?

- Zobaczymy. No, biegnij.

Patrzyłam, jak przebierając małymi, silnymi nóżkami wchodzi na schody, potem wróciłam do salonu. Grał telewizor.

Przed telewizorem siedziała Finn. Usiadłam obok niej, ale chyba mnie nie zauważyła. Zerknęłam na ekran, chcąc sprawdzić, co ogląda. Nagle wzięła mnie za rękę. Odwróciłam głowę. Patrzyła mi w oczy.

- Przeszkadzam wam - powiedziała.

- Nie szkodzi.

- Bicie dała mi prezent.

Nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam śmiechem.

- Tak? Ciekawe co.

- Spójrz. - Pokazała mi zaciśniętą pięść i powoli rozwarła palce. Na jej dłoni stał maleńki papierowy ptaszek.

Tego wieczoru zadzwoniłam do Danny'ego. Dzwoniłam o dziesiątej i o jedenastej, ale odebrał dopiero o dwunastej. Miał zaspany głos, jakbym go obudziła.

- Tęsknię za tobą. Tylko chrząknął.

. - Myślę o tobie cały czas. Miałeś rację. Przepraszam.

- Sammy, Sammy... Ja też o tobie myślę. Nie mogę przestać.

- Kiedy przyjedziesz?

- Przebudowuję kuchnię w domu ludzi, którzy nie uznają weekendów i uważają, że sen to niepotrzebny luksus. Najwcześniej za tydzień.

- Wytrzymam cały tydzień?

- Musimy porozmawiać. Sam.

- Wiem.

- Kocham cię, ty niewdzięcznico. Nic odpowiedziałam.

Milczysz - mruknął posępnie. Czy to dla ciebie aż tak trudne słowo?

Stałyśmy przed dużym lustrem w łazience, wyglądając jak dwie czarownice na sabacie. Wbiłam się w czarną spódnicę do kolan, czarną bluzkę z grubego jedwabiu i w czarny żakiet, a potem, stwierdziwszy, że mam upiornie czerwone włosy, ukryłam je pod czarnym kapeluszem w kształcie wojskowego hełmu. Finn włożyła czarne polo i moją o wiele za dużą czarną sukienkę. Siegała jej do kostek, lecz pośród atramentowych zmarszczek i fałd Finn wyglądała wzruszająco i wdzięcznie. Miała ciemne, lśniące włosy, bladą twarz i napuchnięte usta. Nagle, nie odrywając oczu od lustra, zrobiła coś dziwnego i zupełnie do niej nie pasującego: wysunęła kościste biodro i lekko nim zakręciła. W innych okolicznościach pewnie bym zachichotała, rzuciła ironiczną lub kpiarską uwagę. Ale nie powiedziałam nic. Bo cóż mogłam powiedzieć?

W lustrze widać też było Elsie, a raczej jej pulchne kolano. Nie poszła do szkoły, bo miała katar objawiający się tym, że co dwadzieścia minut demonstracyjnie pociągała nosem. Gdybym się odwróciła - nie chciałam tego robić ze względu na subtelny dramat, który przeżywała przed lustrem Fiona - zobaczyłabym, jak siedzi na podłodze i z podwiniętymi pod pupę nogami owija się sznurami tanich koralików z mojej szkatułki. Słyszałam tylko, jak do siebie mamrocze:

- Bardzo ładnie. Jestem z ciebie dumna, mała księżniczko.

Padał deszcz. Podczas deszczu na wsi jest bardziej mokro niż w mieście; pewnie dlatego, że na liściach i źdźbłach trawy osiada więcej wody. Zdawało się też, że deszcz po prostu wisi w powietrzu i nie spada, jakby przesycone wodą moczary i błota nie mogły wchłonąć ani odrobiny wilgoci więcej. To był mój kawałek Anglii: kawałek, który nie mógł się zdecydować, czy chce być morzem, czy lądem.

Dobiegł nas ryk silnika i chrzęst wyrzucanego spod kół żwiru.

- Danny - powiedziałam.

Elsie ześlizgnęła się z nie posłanego łóżka i ciągnąc za sobą kołdrę, wywijając sznurami kolorowych koralików i gubiąc po drodze różową koronę z plastiku, wypadła na korytarz.

- Na pewno tego chcesz? - spytałam. Finn kiwnęła głową.

- I na pewno chcesz, żebym z tobą pojechała? Pamiętaj, że nie będę mogła koło ciebie siedzieć. Więc?

- Tak, na pewno.

Nie grzeszyłam pewnością. Wiem, że pogrzeby pomagają. Że dzięki nim uświadamiamy sobie, iż ukochany czy ukochana nie żyje, że już nie wróci. Wiem, że pogrzeb to ostatnie pożegnanie i początek prawdziwej żałoby. Bywałam na pogrzebach - w pamięci utkwił mi szczególnie jeden - i wiem, że to wszystko prawda, że dopiero wtedy zaczyna tajać w człowieku smutek, który przygniatał go dotąd niczym wielka bryła lodu. Wzruszają go znajome słowa, a widok równie sposepniałych twarzy sprawia, że nie czuje się opuszczony i samotny. Muzyka, wstrząsający piersią szloch, długa, ciężka trumna, świadomość, kto w niej leży - smutek wzbiera w nim i z czasem się przelewa, dając początek wielkiej odwilży.

Lecz na tym pogrzebie będzie policja, będą dziennikarze, fotoreporterzy i gapie. Każdy zechce na nią spojrzeć, a Finn będzie musiała spojrzeć na ludzi, od których uciekała od śmierci rodziców. Miała jechać tam pod eskortą policjantów w cywilu, którzy, niczym goryle, będą otaczać ją murem podczas ceremonii w kościele i na cmentarzu. Zbyt łatwo mówi się o stawianiu czoła stracie, o tym, że trzeba się z nią pogodzić. Uważałam, że Finn bardziej potrzebuje ochrony niż samopoznania. Cierpiący na depresję pourazową unikają kontaktów ze światem: jest to strategia powszechna i zła. Nie ulegało wątpliwości, że Finn też ją stosuje, lecz bezpieczna i łagodna terapia uśmierniająca mogła stanowić początek skutecznej rekonwalescencji.

- Ty decydujesz - powiedziałam. - Jeśli zechcesz wyjść, wystarczy, że mi powiesz. Dobrze?

- Po prostu muszę... - Urwała.

- Chodźmy. Poznasz Danny'ego. Posłała mi błagalne spojrzenie.

- Nie ugryzie cię. W każdym razie nie jak krwiożerczy wampir.

Za rękę wyciągnęłam ją z pokoju. Później Danny śmiał się na wspomnienie chwili, kiedy pierwszy raz zobaczył Finn - schody, na nich my, obie w melodramatycznej czerni - ale wtedy odrzucił włosy na ramiona i spojrzał na nas bez cienia uśmiechu. Finn też się nie uśmiechnęła, ale też ani nie przystanęła, ani się nawet nie zawahała. Puściła moją rękę i podeszliśmy do niego: ja głośno stukając obcasami skórzanych butów, ona w miękkich pantofelkach. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Ona maleńka, on wielki jak góra, oboje bardzo poważni.

- Jestem Finn - szepnęła zza jedwabistej zasłony włosów.

Kiwnął głową. Wyciągnął rękę, a ona, zamiast ująć ją i potrząsnąć, położyła mu na dłoni palce, jak małe dziecko, które postanowiło komuś zaufać. Dopiero wtedy Danny spojrzał na mnie.

- Cześć, Sammy - rzucił nonszalancko, jakby od naszego rozstania minęła godzina, a nie dwa tygodnie. - Wiesz, jak wyglądasz?

- Nie, ale na pewno mi powiesz.

- Później.

Z kuchni wyszła Elsie.

- Przyjechał jakiś Mike - powiedziała.

- Czas na nas, Finn.

Danny pocałował mnie w usta. Przytknęłam dłoń do jego policzka, on otarł się o nią i uśmiechnął. Poczułam zapach jego skóry. A potem wyszliśmy z Finn na deszcz. Z samochodu wysiadł Daley. Miał na sobie wymięty granatowy garnitur z szerokimi klapami. Bardziej przypominał skacowanego jazzmana niż żałobnika. Nagle Finn przystanęła.

- Nie.

Położyłam jej rękę na plecach.

- Finn?

Daley podszedł bliżej.

- Chodź - ponagłał. - Wszystko... Nie pozwoliłam mu dokończyć.

- Nie musisz, Finn.

- Wy jedźcie - odrzekła. - Ty i Michael. Za mnie.

- Ty też powinnaś pojechać. Prawda, Sam? Musisz zacząć widywać ludzi.

- Proszę cię, Sam. Pojedziesz za mnie? Daley przeszył mnie spojrzeniem.

- Nie uważasz, że dobrze by jej to zrobiło? Nie może bez końca unikać ludzi.

Finn miała coraz bardziej spanikowane oczy, a ja coraz bardziej mokłam. Chciałam jak najszybciej wyjść z błota i schronić się pod dachem. Nie, do niczego nie mogliśmy jej zmuszać.

- Niech sama zdecyduje - odrzekłam.

Machnęłam ręką w stronę drzwi. Danny i Elsie podbiegli do nas, by dowiedzieć się o nagłej zmianie planów. Zanim samochód skręcił na drogę, widziałam jeszcze, jak Finn, drobna, mokra figurka wspierająca się bezwładnie na ramieniu Danny'ego, powoli wraca do domu. Za nimi biegła w podskokach Elsie. A deszcz padał i padał.

Podczas nabożeństwa stałam nieruchomo i milczałam, natomiast Daley milczał i nieustannie się wiercił. Przeczesał ręką włosy, pocierał policzki, jakby chciał zetrzeć cienie pod oczami, które nadawały mu wygląd starego rozpustnika, i prze-stępował z nogi na nogę. W końcu nie wytrzymałam i położyłam mu rękę na ramieniu. Weź urlop - szepnęłam.

Chlebem pa-a-a-ańskim... - zaintonowała żarliwie starsza kobieta w filcowym kapeluszu z podwiniętym rondem siedząca po drugiej stronie przejścia, śpiewając donośnym vibrato.

Bezgłośnie mamrotałam słowa hymnu i rozglądałam się po kościele. Próbowałam wczuć się w świat Finn i jej rodziny.

Jak dotąd uważałam Finn za dziewczynę żałośnie samotną i wyalienowaną. Ten pogrzeb był dla mnie czymś nierealnym. Nie miałam nic wspólnego ze zmarłymi, znałam tylko ich córkę. Na dobrą sprawę nie wiedziałam nawet, jak wyglądali, bo widziałam tylko ich fotografię w gazecie, zamazane zdjęcie z balu dobroczynnego, na którym uśmiechali

się grzecznie do kogoś spoza kadru, tonąc w cieniu straszliwej śmierci. -
Na-a-a-akarm nas do-o-o syta...

Czasami zastanawiam się, czy ludzie wyczuwają we mnie mieszkankę przedmieść, podobnie jak pies wyczuwa w ludziach strach. Cieszących się szacunkiem bogaczy wyczuwam na kilometr i wyczułam ich tam, w kościele. Skromne, czarne sukienki, obcisłe, czarne rękawiczki, szare, gabardynowe żakiety, odrobina przepychu pod szyją, czarne rajstopy, czarne buciki na niskim obcasie (sprzączki na moich butach świeciły jak dwie latarnie w półmroku wiktoriańskiego kościoła), małe kolczyki w setkach uszu, niewidoczny, acz obecny makijaż na twarzach kobiet w średnim wieku, akuraty smutek, tu i ówdzie dyskretna łza, katafalk, skromne i kosztowne bukiety wczesnowiosennych kwiatów na odważnie wyeksponowanych trumnach. Musiałam kiedyś załatwić pogrzeb: zaliczyłam wszystkie katalogi i znam występujące w nich słownictwo. Twarze, twarze, morze twarzy. W jednej z ław przede mną siedziało siedem nastoletnich dziewcząt; ich słodkie profile zachodziły na siebie jak profile aniołków na bożonarodzeniowej kartce. Zauważyłam, że trzymają się za ręce, że poszturchują się wzajemnie i od czasu do czasu pochylają głowę, żeby usłyszeć, co szepcze sąsiadka. Szkolne koleżanki Finn - postanowiłam, że po pogrzebie spróbuję je zagadnąć. Po drugiej stronie przejścia siedziała pulchna kobieta w błyszczącej czerni. Na głowie miała wielki kapelusz, cały czas szlochała i co chwilę wycierała nos wielką chustką. Natychmiast domyśliłam się, że to sprzątaczką, tą, która znalazła zwłoki. Była jedyną osobą w kościele, która okazywała szczery, hałaśliwy, niegodny żal. Co z nią będzie?

Przy suchym trzasku znękanych wiekiem kolan uklękliśmy

w milczeniu, by wspomnieć drogich zmarłych. Zastanawiałam się, co ci ludzie wspominają: jakie rozmowy, jakie incydenty? Co było aż tak istotne, ważniejsze niż śmierć tych dwojga? O czym myśleli? O tym, że zapomnieli zakręcić gaz w piecyku? O tym, w czym pójdą na wieczorny koncert? O łupieżu na spowitych w czerń ramionach? Którzy z nich darzyli Finn najgłębszym uczuciem? Starzy przyjaciele rodziny? Ci, którzy znali ją od dzieciństwa, widzieli, jak cierpiała, jak dorastała, jak z brzydkiego kaczątka zmieniła się w piękną łabędzicę? A którzy z nich przyszli tylko dlatego, że chowano ofiary okrutnego morderstwa, że przy drzwiach kościoła stali policjanci i dziennikarze?

- *Ojciec nasz...* - zaintonował pastor.

- *Któryś jest w niebie* - podchwycili zebrani. - *Święć się imię twoje...*

A sprzątaczką - nie pamiętałam jej nazwiska - zaszlochała jeszcze głośniej.

Ferrer. Tak, nazywała się Ferrer. Kiedy ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, została daleko z tyłu, więc ruszyłam pod prąd w jej stronę. Pochylała się między ławkami, tak że ledwo ją widziałam. Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że zbiera coś z podłogi i chowa do torebki. Zaczęła wkładać płaszcz, ponownie straciła torebkę i ponownie wszystko wysypała.

- Pomogę pani. - Przykucnęłam i wymacałam pod ławką pęk kluczy, portmonetkę, kilka monet i złożonych na pół karte-luszków. - Wychodzi pani? - Zobaczyłam z bliska jej twarz, bladą skórę i napuchnięte od płaczu oczy. - Wychodzi pani?

Ktoś trącił mnie w plecy. Detektyw Baird. Z uśmiechem skinął mi głową, zreflektował się i spoważniał.

Widzę, że już się panie poznały.

Czy ktoś coś dla niej zrobił? spytałam, Baird wzruszył ramionami.

Nie wiem. Za kilka dni wraca do Hiszpanii.

- Jak się pani czuje? Pani Ferrer milczała.

- Wszystko w porządku - powiedział Baird powoli i głośno, jak Anglik przemawiający do cudzoziemca. - To jest pani Laschen. Doktor Laschen. Jest lekarką. - Sprzątaczką była zdenerwowana i rozkojarzona. - Umm, doktora, mediko...

Pani Ferrer zignorowała mnie i zaczęła mówić do Bairda szybko i niezrozumiale. Miała rzeczy dla „małej dziewczynki”. Niedługo wracała do domu i chciała dać je pannie Mackenzie. Chciała się z nią pożegnać. Musiała się z nią pożegnać, nie mogła tak po prostu wyjechać. Gdzie ona jest? Rozplakała się żałośnie. Zauważyłam, że trzęsą jej się ręce. Była w strasznym stanie.

Baird posłał mi nerwowe spojrzenie.

- Pani Ferrer, jeśli chce pani dać coś Fionie, proszę zostawić to u mnie i w odpowiednim czasie na pewno... - Dał mi znak, żebym odeszła. - Proszę się nie martwić, pani doktor. Odprowadzę ją.

- Wygląda pani na brydżystkę. Pomoże nam pani? Dwie kobiety - jedna o sztywnych, brązowych włosach

i wydatnym nosie, druga drobniejsza, o włosach białych jak mleko i ukrytych pod maleńkim, czarnym kapeluszem - próbowały wciągnąć mnie do rozmowy. Kiedy miałam trzynaście lat, matka zapisała mnie do szkolnego klubu brydżowego, żeby wyedukować mnie towarzysko. Wytrzymałam dwa tygodnie i nauczyłam się tylko liczyć punkty.

- Jeśli zgłaszam dwa bez atu, to co to znaczy, he?

- Atu? - spytałam poważnie. - To czarne karty czy czerwone? Zaniemówiły, a ja odeszłam z filiżanką herbaty w rękę

i przepaszającym uśmiechem na twarzy. Po drugiej stronie sali zobaczyłam Michaela pogrążonego w głębokiej rozmowie z jakimś łysielcem. Zastanawiałam się, kto to wszystko załatwił, kto wynajął lokal, zrobił kanapki i przytargał tu wielki dzban z herbatą. Nagle zastrzygłam uszami.

- Myślałam, że Fiona tu będzie. Biedactwo. Czy ktoś z nią rozmawiał? Przystanąłam z pustą filiżanką przy ustach.

- Nie, chyba nie. Słyszałam, że wyjechała za granicę, na leczenie. Podobno ma krewnych w Kanadzie...

- A ja słyszałam, że wciąż jest w szpitalu czy w prywatnej klinice. Biedactwo, omal nie umarła. Taka miła, taka ufna dziewczyna. Jak ona sobie poradzi?

- Monika mówi... - Zaczęły rozmawiać teatralnym szeptem, tak że słyszałam wszystko lepiej niż przedtem. - Że ją, no wiesz, zgwałcili.

- Boże, to straszne.

Odeszłam, ciesząc się, że Finn została w domu. Żałoba i oplakiwanie rodziców mogły poczekać. Baird i pani Ferrer stali w kącie sali i zobaczyłam, że ruszają do drzwi. Hiszpanka dostrzegła mnie, podeszła bliżej, chwyciła moją rękę i wymamrotała coś, co zabrzmiało jak podziękowania. Próbowałam jej wytłumaczyć, że bardzo chcę pomóc, że wezmę od Bairda adres i przyjadę ją odwiedzić. Kiwnęła głową, ale nie wiem, czy cokolwiek zrozumiała. Potem puściła rękę i odeszła.

- Co z nią? - Wyrósł przede mną Michael Daley. - Wszystko dobrze?

- Nie jest twoją pacjentką?

- Tak, przyjąłem ją na prośbę Mackenziego. - Ze zmarszczonymi brwiami patrzył, jak pani Ferrer wychodzi z sali. - Wie, kim jesteś?

- Baird nas sobie przedstawił, ale nie sędzę, żeby rozumiała, co łączy mnie z Finn.

- Czego chciała?

- Chyba pomocy. Pilnej pomocy. Poza tym ma coś dla Finn. Chce zobaczyć ją przed powrotem do Hiszpanii.

Daley w zadumie sączył sherry.

- Czemu nie? - odrzekł. - Spotkanie z kimś, kogo dobrze zna, dobrze jej zrobi.

- Nie wiem, czy to bezpieczne, ale z drugiej strony nie przypuszczam, żeby Finn poczuła się przy niej zagrożona.

- Właśnie. Zamilkliśmy.

- Muszę z kimś porozmawiać - powiedział z lekkim uśmiechem. - Niestety, z obowiązku. Znajdę cię.

W kącie sali tłoczyły się dziewczęta, które widziałam w kościele. Podeszłam bliżej i kiedy jedna z nich na mnie spojrzała, dołączyłam do kręgu.

- Jesteście koleżankami Finn?

Wysoka dziewczyna o długich do ramion włosach i zadartym, piegowatym nosie wyciągnęła rękę, zerknęła na mnie podejrzliwie i przeniosła wzrok na przyjaciółki. Myślały pewnie: kto to jest?

- Tak, szkolnymi. Mam na imię Jenny.

Chciałam porozmawiać o Finn z kimś, kto ją zna, ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Znałam jej ojca. Zawodowo.

Bez większego zainteresowania czekały, aż powiem coś więcej.

- Jaka ona jest?

- Finn? - spytała blondyna o krótko ostrzyżonych włosach i spiczastym nosie. - Miła. - Spojrzała na koleżanki. Te kiwnęły głową.

- Była miła - dodała inna. - Poszłam do szpitala, żeby ją odwiedzić, ale nie chcieli mnie wpuścić. To głupie.

- Czy...

- Gotowa?

Michael. Wziął mnie pod rękę i uśmiechnął się do dziewcząt. Odpowiedziały uśmiechem, jakim nie raczyły mnie obdarzyć.

Parking przed małym kościołem parafialnym w Monkeness był usytuowany tuż za groblą i siedzieliśmy tam kilka minut. Ja skubałam orzechowe ciastko, które wzięłam z tacy przy

drzwiach, on próbował zapalić papierosa. Zmarnował kilka zapalek, wreszcie musiał przykucnąć pod murem.

- Jak układało się jej z rodzicami? Wzruszył ramionami.

- Byli sobie bliscy? Kłócili się? Pomóż mi. Ja z nią mieszkam.

Zaciągnął się głęboko i bezradnie rozłożył ręce.

- Chyba dość bliscy.

- Musiał być jakiś problem. Miała depresję i anoreksję, wysłano ją do szpitala. Byłeś jej lekarzem.

- Tak - odrzekł, patrząc na odległe morze. - Lekarzem nastolatki. Dla większości z nas to paskudny okres, więc... -Nie dokończył i ponownie wzruszył ramionami.

- Trudno ci było przyjaźnić się z jej rodzicami? Spojrzał na mnie ciemnymi, zmęczonymi oczami.

- Tak, trudno. Policja mówiła ci, co im zrobili?

- Trochę. Przepraszam.

Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy. Krajobraz był szary, poszarpany i niewyraźny. Jak mój nastrój. Wracałam z pogrzebu i nie odczuwałam smutku. Próżny trud. Myślałam, myślałam i nic nie wymyśliłam. Spojrzałam w okno. Chaszczów Dolny.

- To było nie fair. Powinnam się wstydzić.

- Dlaczego?

- Myślę, że wysyłając mnie na pogrzeb rodziców, Finn chciała mi coś powiedzieć, tymczasem ja cały czas węszyłam i wypytywałam o nią ludzi.

- Dlaczego? - spytał zdziwiony.

- Pacjent w próżni to nie pacjenl. Szukałam kontekstu.

- I czego się dowiedziałaś?

- Niczego poza tym, co już wiedziałam: że nawet o najbliższych przyjaciółach wiemy tyle co nic. „Miła”. Dowiedziałałam się, że Finn jest miła.

Położył mi rękę na ramieniu, zmienił bieg i położył ją ponownie.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś. Jeśli chcesz, przedstawię cię ludziom, którzy ich dobrze znali.

- Chętnie.

Uśmiechnął się psotnie.

- Wprowadzę cię do wiejskiej śmietanki towarzyskiej.

- Nie wpuszczą mnie. Pochodzę z niższej klasy średniej. Parsknął śmiechem.

- Jestem pewien, że dla ciebie zrobią wyjątek.

12

- Ona uważa mnie za darmozjada. Dlaczego mam być dla niej miły?

- Bo jesteś darmozjadem. Albo będziesz bardziej uprzejmy, albo spływasz. Idź na długi spacer.

Stał za mną - zmywałam naczynia - objął mnie w pól i ugryzł w ramię.

- Jestem głodny i dobrze mi tu.

- Ja zmywam, Danny. - Działał mi na nerwy i tego dnia, i poprzedniego. Chociaż po pogrzebie długo rozmawialiśmy z Finn, chociaż Michael Daley został na drinka - Danny łykał na niego spode łba, jakbyśmy spędzili kilka godzin w podwójnym łóżku, zamiast w kościele, a Michael był dziwnie zdenerwowany - chociaż, kiedy Elsie poszła spać, doszło między nami do namiętnego zbliżenia, w ciągu następnych dwóch dni wszystko się popsuło. Danny, jak to Danny: wstawał późno, jadł olbrzymie śniadania - talerze zostawiał Sally - szedł spać nad ranem, a w łóżku cuchnął piwem, co mnie irytowało; no i był niemiły dla Finn, co irytowało mnie jeszcze bardziej. Brudne naczynia zostawiał w zlewie, brudne ubranie w kącie sypialni, wyjadł wszystko z lodówki i nic uzupełnił zapasów. Irytowała mnie również moja małostkowość. Czyż nie chciałam, żeby Danny był po prostu sobą?

- Nie mógłbyś przynajmniej nakryć do stołu?

- Nakryć do stołu? Niech sama weźmie widelec z szuflady. Przyjdzie dopiero za piętnaście minut. Chodźmy na górę. -I włożył mi łapy pod bluzkę.

Odepchnęłam je i przy okazji uwaląłam mydlinami.

- Są w sąsiednim pokoju.

- Ślęczą nad układanką.

- Jest całkiem miła, prawda?

Danny puścił mnie i usiadł ciężko przy stole.

- Naprawdę?

- A nie?

- Chryste. - Przeczesał ręką włosy. - Nie chcę gadać o twojej pacjentce.

Z plastikowego pojemnika przy zlewie wyjęłam pięć widelców i rzuciłam je z brzękiem na stół.

- Zapiekanka jest w lodówce. Podgrzej. Lody są w zamrażalniku. Jesteś o nią zazdrosny, i tyle.

- Niby dlaczego miałbym być zazdrosny? - Założył ręce i łypnął na mnie spode łba.

- Bo ja ją lubię, bo Elsie ją lubi i kiedy raczysz nas odwiedzić, nie czujesz się już jak król na zamku, dlatego.

- Wiesz, co ci powiem? Zaczęłaś łączyć pracę z życiem osobistym. Będziesz miała kłopoty. I skoro już o tym mówimy, pomyśl tylko: najpierw rywalizuję o ciebie z trupem, a teraz z chorą psychicznie dziewczyną. Jak mogę wygrać?

Ktoś głośno zapukał do drzwi. Roberta. Choć raz ucieszyłam się, że przyjechała za wcześnie.

Czasami bywam dla niej niemiła, ponieważ boję się mieszanych i sprzecznych ze sobą uczuć, jakie do niej żywię. Nie chcę wiedzieć, czy jest nieszczęśliwa. Kiedy byłyśmy małe, odgórnie ustalono, że ona jest piękna, a ja inteligentna. Nie miała ze mną szans. Ona nosiła różowe sukienki, a na jej półce w sypialni stały rzędy lalek. Ja nosiłam dzinsy (choć, ku mej odrazie nie miały ani kieszeni, ani pasków na nogawkach) i przy świetle latarki czytałam książki pod kołdrą. Ona

malowała wymanikiurowane paznokcie perłowym lakierem (ja swoje ogryzałam), wyskubywała sobie brwi i chodziła w ślicznych bluzeczkach. Kiedy zaczęły jej rosnać piersi, pojechały z mamą aż do domu towarowego Stacey'a po piękny staniczek i majteczki do kompletu. Kiedy dostała okres, wszystkie podpaski i plamy krwi na bieliźnie otaczała atmosfera tajemniczości i euforii. Była małą, zagubioną dziewczynką, która wkroczyła w kobiecość odważnie, acz z lękiem, jakby było to jej straszliwe powołanie.

Gdy ja, już jako stażystka w Sussex, harowałam na trzydobowych dyżurach, ona była mamusią i mieszkała w Chigwell, a kiedy jako kobieta w średnim wieku schudłam i zmizerniałam, ona zaokrągliła się ze znużenia. Mąż nazywał ją Bobsie i kiedyś powiedział mi, że moja siostra robi najlepsze placuszki w Essex. Z drugiej strony ciekawe, co ona myślała, patrząc na mnie? Kogo widziała? Znaną lekarzkę czy zaniedbaną, samotną matkę o szpetnych, czerwonych włosach, która ma, a raczej miewa, wulgarnego chłopaka, i która nie potrafi nawet przyrządzić zapiekanki na lunch z siostrą?

- Jak ci się mieszka z Sam, Fiono?

- Dobrze.

Finn prawie nie tknęła jedzenia. Powiadają, że anorektyczka pozostanie anorektyczką, tak samo jak alkoholik alkoholiem, a palacz palaczem. Siedziała z nerwowym uśmiechem na twarzy, Danny jak zwykle rozwalał się przy stole i rzucał kokieterijne uwagi, ja gniewnie marszczyłam czoło, a Bobbie żałowała, że tak rzadko się widzimy.

- Wolisz mieszkać na wsi czy w mieście? - Wyrobiona towarzysko Bobby przemawiała do niej jak do sześciolatki.

- Nie wiem.

- Ciociu. - Elsie przysunęła się tak blisko Roberty, że niemal siedziała jej na kolanach. Ilekroć podnosiła łyżeczkę do nienasyconych i usmarowanych lodami ust, dźgała ją łokciem.

- Tak?

- Zgadnij, kim będę, kiedy dorosnę.

Tak, tego rodzaju rozmowa bardzo Robercie odpowiadała. Odwróciła się od siedzących naprzeciwko dorosłych i spojrzała na Elsie.

- Niech pomyślę... Lekarką, jak mamusia?

- A nie.

- Pielęgniarką?

- Nie.

- Baletnicą?

- Nie. Poddajesz się? Będę mamusią jak ty.

- Naprawdę? Jesteś urocza.

Danny wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu, nałożył sobie lodów i zaczął głośno siorbać. Spiorunowałam go wzrokiem.

- Jesteś dla niej wzorem, Roberto - wymlaskał.

Bobbie uśmiechnęła się niepewnie. Cały czas jej dogryzamy, pomyślałam.

- Zbiorę naczynia. - Zaczęła pobrzękiwać talerzami.

- Wstawię wodę - powiedziałam - a potem pójdziemy na spacer.

- Beze mnie - odparł Danny. - Chyba się położę. Leżenie to moja specjalność, prawda. Sam?

Chcąc uciec od Danny'ego. Finn wzięła ze stołu dwie szklanki i poszła za nami do kuchni. W kuchni przystanąła i spojrzała na Robertę, która wściekle szorowała czyściutkie naczynia.

- Gdzie kupiłeś tę bluzkę? - spytała. - Jest piękna. Bardzo twarzowa.

Znieruchomiałam z czajnikiem w ręku. Rozpromieniona Bobbie uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- A w takim małym sklepiku koło nas. Nie jestem w niej za tęga?

- Ależ skąd - odrzekła Fiona.

Zalała mnie fala uczuć i odczuć: zdumienia, że Finn wykazała tak wielką pewność siebie, wstydu, że zaniedbałam rodzoną siostrę i gwałtownej dla niej czułości: pomyśleć tylko, że tak niewinna uwaga mogła sprawić jej aż tyle przyjemności. Nagle usłyszałam, że Roberta pyta Finn o kierunek studiów, na szczęście w tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Dobiegły nas zduszone głosy i do kuchni wszedł Danny.

- Pan Baird - powiedział.

- Porozmawiam z nim tutaj. Możesz odprowadzić panie do salonu?

- Czuję się jak pieprzony kamerdyner - mruknął Danny i spojrzał na Robertę. - To znaczy, jak cholerny kamerdyner.

Do kuchni wszedł Bird. Usiadł i zaczął się bawić kubkiem stojącym na stole.

- Może wleję tam trochę kawy? - zaproponowałam.

- Nie, dziękuję. Trzeba naprawić wyciąg. Inaczej nie pozbędzie się pani tych zapachów. Jeśli pani chce, mogę spróbować. Rozbiorę go na części, naprawię i złożę.

Usiadłam naprzeciwko niego.

- Co się dzieje?

- Nic, po prostu przejeżdżałem.

- Koło tego domu nikt po prostu nie przejeżdża.

- Doktor Daley mówi, że Fionie się polepszyło.

- Trochę.

- Powiedziała coś na temat tych morderstw?

- Rupercie, czy coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku - odrzekł zdawkowo. - Chciałem tylko spytać, co słyhać.

- U nas też wszystko dobrze. Wstał, jakby miał zamiar wyjść.

- Proszę tylko - dodał po namyśle - żeby zachowała pani czujność.

- Naturalnie.

- Na pewno nic się nie stanie, ale jeśli zauważy pani coś niezwykłego albo jeśli Fiona coś powie, proszę zadzwonić na policję i poprosić o Stamford Central dwadzieścia dwa czterdzieści trzy. To najszybszy sposób. Złapie mnie pani pod tym numerem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Co, oczywiście, nie będzie konieczne, ponieważ zapewnił mnie pan solennie, że jesteśmy tu całkowicie bezpieczne i nie musimy się niczym martwić.

- Absolutnie, chociaż sądziliśmy, że do tej pory uda nam się schwytać sprawców... Tu jest dwoje drzwi? Frontowe i te tutaj, tak? - Przekreślił klamkę i szarpnął. Nie robiły wrażenia zbyt mocnych.

- Powinam założyć kraty?

- Ależ skąd.

- Rupercie. czy nie lepiej by było, gdybyś mi powiedział, na kogo mamy uważać?

- Na nikogo.

- Macie już podejrzanego? Jakiś rysopis czy portret pamięciowy?

- Rozważamy różne możliwości.

- Rupercie, tu się nic nie wydarzy. Nikt się nią nie interesuje, nikt nie wie, że ona tu jest.

- To lubię, tak trzymać.

- Na miłość boską, w poniedziałek był pożar na parkingu ciężarówek. Ile chłodni spłonęło? Czterdzieści?

- Trzydzieści cztery wozy do transportu cielęciny.

- Sam pan widzi. Nie powinniście raczej ścigać tych od praw zwierząt, zamiast przychodzić tu i mnie stresować?

- Tym też się zajmujemy. Szczerze mówiąc... - Nie dokończył.

- No więc jak? Macie już podejrzanego? Po co pan właściwie przyjechał?

- Po prostu zajrzałem. Już idę. Będziemy w kontakcie.

- Chce pan zobaczyć Finn?

- Lepiej nie. Nie chcę jej denerwować.

- Rozmawiał pan z panią Ferrer?

- Nie.

- Chciała się z nią spotkać, coś jej dać. Moim zdaniem Finn bardzo by na tym skorzystała.

- To chyba nie najlepszy pomysł, przynajmniej na razie.

- Martwię się, że nikt jej nie pomógł. Chciałabym ją odwiedzić. Porozmawiać o Finn, o jej rodzicach. Da mi pan adres?

Baird, głęboko zamyślony, przystanął i ogarnął wzrokiem dom. Potarł oczy.

- Zobaczymy.

Podaliśmy mu rękę, a on uściśnął ją i przetrzymał ułamek sekundy za długo. Myślałam, że coś powie, ale nie; skinął głową i odszedł. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam w oknie bladą twarz Finn. O nie, nie zamierzałam dać się tak łatwo spławić. Poza tym w salonie czekali Roberta i Danny. zrobiłabym wszystko, żeby spędzić choć kilka minut bez nich. Podniosłam słuchawkę telefonu i zadzwoniłam do Daleya.

13

- Jak sobie radzisz? - spytał.

- Z czym?

Parsknął zduszonym śmiechem.

- Nie wiem, od czego zacząć. Z Finn. Z dzieckiem. Z życiem na wsi. Z nową pracą.

- Jakoś sobie radzę. Nic innego nie robię.

Jechaliśmy obwodnicą w kierunku Castletown, gdzie mieszkała pani Ferrer. Michael początkowo się opierał, ale powiedziałam mu, że na swój sposób czuję się za nią odpowiedzialna. Niepokoił mnie jej stan psychiczny, jej nastrój. Poza tym uważałam, że spotkanie dobrze im zrobi, i jej, i Finn, więc postanowiłam do niego doprowadzić. Zresztą wyglądało na to, że pani Ferrer bardzo pragnie ją odnaleźć i pożegnać się przed powrotem do Hiszpanii. Tak czy inaczej chciałam z nią porozmawiać. Ale nie, nie przez telefon. Od naszego spotkania w kościele wiedziałam, że nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu ze sprzątaczką wymaga dużej cierpliwości, nie wspominając już o języku migowym.

- Wystarczy, jak dasz mi adres. Pojadę tam z samego rana.

- Ona rano pracuje. Zaczekaj do południa, pojedziemy razem. Ostatecznie jestem jej lekarzem. Wpiszę to sobie jako wizytę domową.

Jadąc, pokazywał mi ruiny rzymskich fortyfikacji, starożytne kurhany, miejsca, gdzie podczas wojny domowej ktoś tam kogoś oblegał, ale już wkrótce otoczyły nas szkolne boiska, działki, ulice, supermarkety i stacje benzynowe, o których nie było co mówić.

- A ty? - spytałam. - Jak sobie radzisz?

- Dobrze - odparł z nutką zadziorności w głosie. - Dlaczego pytasz?

- Z grzeczności.

- Przy mnie nie musisz być grzeczna.

- Nie widziałeś mnie, kiedy jestem niegrzeczna.

- Jakoś bym sobie poradził.

Nie odrywał oczu od drogi, dlatego nie widziałam wyrazu jego twarzy.

- Czujesz się urażony, że się tu znalazłam?

- Gdzie? W moim samochodzie?

- Nie, w ogóle. Jesteś jej lekarzem...

- Już ci mówiłem, że nie.

- Ja bym się czuła, to naturalna reakcja.

Ponownie wjechaliśmy między domy dzielnicy mieszkaniowej.

- Gdybyśmy skręcili w lewo. dojechalibyśmy do starego domu Mackenziech, ale my skręcimy w prawo. Tu zaczyna się uboższa i mniej zdrowa część Castletown. Wiesz, myślę, że jesteśmy do siebie podobni.

Czyżby próbował ze mną flirtować?

- Naprawdę? - rzuciłam szyderczo.

- Tak. Oboje lubimy wyzwania. Lubimy stawiać im czoło.

- Tak?

- Jako mały chłopiec bałem się wysokości. Koło mojej szkoły było coś w rodzaju wieży, pomnik zbudowany przez

starego, ekscentrycznego księcia. Na wieżę wiodły schody, dokładnie sto siedemdziesiąt stopni, i ten, kto stanął na jej szczycie, miał wrażenie, że spada. Wchodziłem tam co tydzień.

- No i? Wyzbyłeś się lęku wysokości?

- Nie, znudziło mi się. Praca? Praca to tylko praca, nie licząc takich przypadków jak pani Ferrer, oczywiście. Ale prawdziwym życiem żyję poza pracą. Zmuszam się do różnych rzeczy. Uprawiam szybownictwo. Jeżdżę konno... Żeglujesz?

- Nie, nie znoszę wody.

- Nie można tu mieszkać i nie żeglować. Muszę zabrać cię kiedyś na przejażdżkę.

- Cóż...

- Albo samochód. Znasz się na samochodach?

- Nie jesteśmy do siebie podobni. Nigdy nie robię tego, czego się boję.

- To chyba gdzieś tutaj...

- Tutaj? Można tu parkować?

- Spokojnie, jestem lekarzem. Mam naklejkę na szybie. Odwiedzam pacjentkę.

- Gdzie ona mieszka? U Woolworthsa?

Byliśmy na ruchliwej ulicy. Pani Ferrer wynajmowała jedno z tych mieszkań, których się nie zauważa: wąskie przejście między sklepami, szara wykładzina na schodach prowadzących na piętro, którego istnienia nikt by nawet nie podejrzewał, na piętrze dwoje drzwi. Na jednych widniała tabliczka z nazwiskiem jakiegoś dentysty, na drugich nie było nic.

- To pewnie tu - powiedział Daley. - Przynajmniej ma blisko do sklepu.

Nie było ani dzwonka, ani kołatki. Michael zapukał. Czekaliśmy w niezręcznej ciszy. Nikt nie odpowiadał. Michael zapukał ponownie. Wciąż nic.

- Może jest w pracy - powiedziałam. Daley przekręcił klamkę i drzwi ustąpiły.

- Chyba nie powinniśmy wchodzić - szepnęłam.

- Radio gra.

- Pewnie zapomniała wyłączyć.
- Może nas nie słyszy? Chodźmy sprawdzić.

Schody. Nagie, bez wykładziny. Gdy stanęliśmy na szczycie, w twarz uderzył mnie podmuch dusznego, gorącego powietrza. Michael aż się skrzywił.

- Grzejniki nawaliły?
- Hiszpański klimat.

- Pani Ferrer! - zawołałam. - Halo? Gdzie jest to radio? Daley wskazał małą, zapuszczoną kuchnię.

- Poszukam grzejnika - powiedział.

Weszłam do kuchni, w której rozbrzmiewała brzękliwa muzyka. Radio stało przy zlewie. Wcisnęłam jeden guzik, drugi, trzeci, wreszcie wyciągnęłam wtyczkę z gniazdka. Wtedy usłyszałam krzyk. W pierwszej chwili myślałam, że coś trzasnęło w głośniku, ale nie, ktoś krzyczał do mnie:

- Sam! Sam!

Wbiegłam do sąsiedniego pokoju i ujrzałam dziwną, zagmatwaną scenę. Nawet kilka minut później nie potrafiłam przypomnieć sobie, jakim cudem zdołałam zrozumieć, co się dzieje. Zobaczyłam kobietę. Leżała na łóżku, w szarej spódnicy i jaskrawym, nylonowym swetrze. Nie miała głowy. To znaczy, miała głowę, tylko że zasłaniało ją coś, z czym Michael gorączkowo się szarpał, co próbował rozerwać. Torba. Plastikowa torba, taka na owoce z supermarketu. Daley wepchnął kobiecie palce do ust, potem zaczął ugniatać jej pierś, podnosić i opuszczać ramiona. Telefon. Gdzie telefon? Tam. Wykręciłam numer.

- Tak, karetka. Słucham? Gdzie jesteście? Michael, gdzie my jesteście?

- Quinnan Street.

- Quinnan Street, koło Woolworthsa. Nad Woolworthsem. Tak, i policję. - Jak on się nazywa? Rupert. Rupert. - Proszę zawiadomić inspektora Bairda z urzędu śledczego do spraw kryminalnych w Stamford.

Odłożyłam słuchawkę. Michael siedział na brzegu łóżka,

zasłaniając ciało pani Ferrer; widziałam tylko jej otwarte oczy i potargane siwe włosy. Wstał, minął mnie i usłyszałam, że odkręca wodę w kuchni. Podeszłam do łóżka i usiadłam. Dotknęłam jej włosów, próbowałam je jakoś ułożyć, tylko nie pamiętałam, jak się czesała. A teraz ? Kogo miałam spytać?

- Przepraszam - powiedziała na głos do siebie i do niej. -Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro...

Karetką przyjechała kwadrans później i do pokoju wbiegli mężczyzna i kobieta, oboje w zielonych kombinezonach. Wbiegli, zwolnili, obejrzeni zwłoki, a potem rozejrzeli się wokół, jakby ktoś wyrwał ich z głębokiego snu. Zauważyli nas dopiero teraz i kiedy się przedstawialiśmy, do sypialni weszło dwóch młodych konstabli. Spytałam o Bairda i jeden z nich zagadał do krótkofalówki.

- Jak umarła? - szepnęłam do Daleya i natychmiast poczułam się głupio. Po co ta konspiracja? I po co pytam, skoro znam odpowiedź?

- Uduśiła się - odrzekł.

Rozbolał mnie brzuch. Ból dotarł przełykiem do głowy i pulsując, rozsadzał czaszkę. Nie mogłam trzeźwo myśleć i chciałam tylko stamtąd wyjść, choć wiedziałam, że muszę zostać. Ulżyło mi dopiero kilka minut później, gdy do pokoju wszedł Baird w towarzystwie roztargnionego mężczyzny w wygniecionym płaszczu, niejakiego doktora Kale'a, patologa. Rupert skinął mi głową, stanął przed łóżkiem i przez kilka chwil patrzył bez słowa na zwłoki. Potem spojrzał na mnie.

- Co pani tu robi? - spytał przyciszonym głosem.

- Martwiłam się o nią. Błagała o pomoc. Wygląda na to, że przyjechałam za późno.

- Proszę nie robić sobie wyrzutów. To nie było tylko błaganie. Ona chciała umrzeć... Czy przynosiliście ciało?

- Nie. Michael robił jej sztuczne oddychanie.

- Kiedy umarła? Niedawno?

- Nie mam pojęcia. Trudno powiedzieć, bardzo tu gorąco... Baird pokręcił głową.

- Straszne.

- Tak.

- Nie musicie tu państwo zostawać.

- Chyba powinniśmy zawiadomić Finn.

- Ja to zrobię, jeśli można - wtrącił Michael. - Jestem jej lekarzem.

- Tak. Jesteś.

Droga powrotna była męcząca i kłopotliwa. Michael odwiózł mnie najpierw do lecznicy, gdzie zostawiłam samochód, a potem absurdalnym konwojem złożonym z dwóch samochodów wyjechaliśmy ze Stamford. Cały czas myślałam o pani Ferrer, o kobiecie, która odkryła zwłoki swoich chlebodawców, która widziała tyle krwi i cierpienia, o tym, że się załamała, że nikt jej nie pomógł, o czym wiedziałam już przedtem, i o tym, że przybyłam za późno.

Finn siedziała w kuchni, pomagając Elsie rysować literki. Bez słowa wzięłam je za ręce i wyszłyśmy przed dom, gdzie czekał Michael. Mocno przytuliłam córeczkę i zaczęłam paplać z nią o szkole, obserwując, jak Daley i Finn idą powoli w kierunku morza. Widziałam ich sylwetki, widziałam łąny trzciny, złotych w promieniach słońca, które stało tuż nad horyzontem, chociaż była dopiero czwarta. Rozmawiali i rozmawiali, podtrzymując się wzajemnie i wspierając, w końcu zawrócili. Postawiłam Elsie na ziemię, a wówczas Finn, wciąż bez słowa, padła mi w ramiona i przytuliła się tak mocno, że poczułam na szyi jej oddech. Poczulałam też, że Elsie ciągnie mnie za spodnie, więc roześmieliśmy się wszyscy i weszliśmy do domu, żeby uciec przed wiatrem.

- Jestem twoją pacjentką?

Wiedząc, że prędzej czy później pytanie to padnie i przygotowawszy sobie z góry kilka różnych odpowiedzi, poczułam się jak matka, którą córka pyta, skąd się biorą dzieci. Przez chwilę byłam rozdarta, gdyż z jednej strony pragnęłam ją uspokoić, z drugiej zaś nie chciałam kłamać.

- Nie. Jeśli już, to pacjentką doktora Daleya. Ale nie powinnaś tak o sobie myśleć.

- Nie mówię o sobie, tylko o tobie.

- Jak to?

- Nie wiem, co robię w twoim domu. Ukrywam się? Uciekam przed kimś? Jestem lokatorką? Przyjaciółką? Chorą, która potrzebuje opieki?

Siedziałyśmy w pseudobistrze niedaleko starego portu w Goldswan Green, pół godziny jazdy od Stamford, niemal pustym w ten zimny lutowy poniedziałek. Jadłam makaron z sosem, a Finn bawiła się sałatą, którą zamówiła: nadziała na widelec gorzki, niejadalny liść i obracała nim w miseczce.

- Chyba wszystkim po trochu - odrzekłam. - Z wyjątkiem tego ostatniego. Nie jesteś chora.

- Ale ja czuję się chora. Czuję się chora cały czas.

- Wiem.

- Sam, jesteś specjalistką? - spytała, nie przestając obracać liściem sałaty. - Jak powinnam się czuć?

- Posłuchaj. Jako specjalistka nigdy nie mówię pacjentom, co mają robić i jak powinni się czuć. Ale dla ciebie zrobię wyjątek.

Wyraźnie zaniepokojona, znieruchomiała.

- Tak?

- Tak. Otóż jako specjalistka od psychicznych zaburzeń pourazowych radziłabym ci przestać bawić się sałatą i zgrzytać widelcem po talerzu, bo zaraz trafi mnie szlag.

Finn szybko spojrzała w dół i na jej stężałej twarzy zagościł lekki uśmiech.

- Po drugie - ciągnęłam - mogłabyś przenieść trochę tej zieleniny z talerza do ust.

Wzruszyła ramionami, wepchnęła do ust wielki liść sałaty i zaczęła z chrzęstem żuć.

- No i proszę - rzuciłam z sardonicznym poczuciem triumfu. - To nie takie trudne.

- Jestem głodna - stwierdziła jak biologiczka obserwująca zachowanie egzotycznego zwierzęcia.

- Znakomicie.

- Może zamówię sobie porcję makaronu?

- Weź mój.

Podsunęłam jej talerz, a ona, podekscytowana nowością doświadczenia, zaczęła żarłocznie jeść. Przez kilka minut milczałyśmy. Nie musiałam nic mówić, wystarczył mi sam widok.

- Może to za dużo jak na pierwszy raz - powiedziała, wyczyściwszy oba talerze.

- Nie było tego tak dużo. Głównie to, czego zapomniałam zjeść. Chcesz kawy?

- Tak, z mlekiem.

- Bardzo dobrze. Proteiny i wapń. Szybko cię odbudujemy. Roześmiała się i gwałtownie umilkła.

- Dlaczego ona to zrobiła ?

- Kto? Pani Ferrer? - Wzruszyłam ramionami i postanowiłam wykorzystać okazję. - Chciała się z tobą zobaczyć. Zamierzała wrócić do Hiszpanii, ale przedtem chciała z tobą porozmawiać. - Przypomniało mi się, jak bardzo pragnęła odwiedzić „małą dziewczynkę” i jak leżała martwa na łóżku w jaskrawym, wesołym sweterku.

Finn spochmurniała. Miałam wrażenie, że przenika mnie wzrokiem i patrzy na coś w oddali.

Szkoda. Chyba żałuję, że nie przyszła. To, co tam widziała... Musiała przeżyć koszmar.

- Na pewno nie było jej lekko - rzuciłam z roztargnieniem.

- Mówisz, jakbyś w to nie wierzyła.
- Nie chciałam.
- Myślisz, że głupio zrobiłam? Z tym ogniskiem?

Tego symbolicznego i piromańskiego sobotniego popołudnia Danny wyjechał zaraz po Rupercie i Bobbie: zarzucił na ramię swoją przepastną torbę i nie zwracając uwagi na Michaela i Finn, krótko skinął mi głową. Gdy spróbowałam go zatrzymać („Wiem, że układ jest porąbany, ale pogadajmy o tym później”), znużony odrzekł, że na rozmowę ze mną czekał trzy dni, że cały czas odnosiłam się do niego wrogo i złośliwie, że ma robotę w Londynie, poza tym, czyżbym nie zauważyła, że moje „później” to czysta abstrakcja? Rozwścieczona syknęłam, że zachowuje się jak gówniarz, a on odwrócił się i wyjechał. Częste rozstania zaczynały wchodzić nam w krew. Ani Finn, ani Michael tego nie skomentowali, a Elsie prawie nie zauważyła, że już go nie ma. Jeśli zaś chodzi o mnie, myślałam o nim niewiele: dobiła mnie śmierć pani Ferrer, poza tym musiałam skupić się na Finn.

Nazajutrz rano niespodziewanie przyjechał Michael Daley. Byłam akurat w ogrodzie, budując ognisko ze starych desek, gałęzi i trzcin, gdy przed domem zatrzymało się jego audi. Zamiast do mnie podejść, wyjął z bagażnika kilkanaście wypchanych toreb. Czyżby postanowił zostać naszym zaopatrzeniowcem? Niestety. Policja wydała mu ubranie Finn i postanowił je przywieźć.

- Gdzie ja mam to wszystko trzymać? - spytałam, kiedy przenosiliśmy torby do holu.

- Może dzięki temu zrobi krok w stronę normalności.
- Właśnie się zastanawiałam, jak długo będzie chodzić w moich podwiniętych dżinsach.
- Przepraszam, ale nie mogę zostać. Pozdrów ją ode mnie.
- Nigdy nie wiem, jak to się robi.
- Coś wymyślisz.
- Jak się czujesz?

- Bo?

- Straciłeś kolejną pacjentkę.

- To miał być żart? - Nie powiedział nic więcej i odjechał, nie zobaczywszy się z Finn.

Zawołałam ją na dół.

- Zobacz, co Michael ci przywiózł.

Była poruszona. Wyjęła z torby ciemnobrązową bluzkę z marszczonego jedwabiu i przyłożyła ją do siebie.

- Mam robotę w ogrodzie - powiedziałam. - Palę wszystko, co się rusza. Jeśli chcesz, przejrzyj to i poukładaj.

Bez słowa kiwnęła głową. Kiedy zamykałam drzwi, widziałam jeszcze, jak klęka w korytarzu z bluzką przy policzku. Wyglądała jak małe, zagubione dziecko.

Ogrodnictwo na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą, ale uwielbiam robić ogniska. Poprzedniego dnia padał deszcz i wszystko było mokre, lecz im większy trud, tym większa satysfakcja. Ułożywszy śmieci w stertę, powtykałam w nie kulki z gazet -naturalnie od nawietrznej - i trzasnęłam zapałką. Papier zajął się i zgasł. W szopie znalazłam prawie puste pudełko chemicznych podpałek i plastikową butelkę po płynie do zmywania, która nie pachniała już płynem. Owinęłam pudełko gazetami, wepchnęłam je w stertę i oblałam resztką benzyny do czyszczenia. Zrobiłam coś w rodzaju wielkiego zapalnika, lecz nie byłam pewna, czy zapalnik nie zadziała jak bomba. Ponownie trzasnęłam zapałką i cisnęłam ją na śmieci. Rozległo się zduszone „lump”, jakby ktoś zrzucił worek treningowy na betonową podłogę. Błysnął żółty ogień, z wnętrza sterty buchnęły płomienie i musiałam się cofnąć, gdyż w policzki i czoło uderzyła mnie fala gorąca.

Ach, ten dreszczyk emocji: przejście z fazy, kiedy ogień nie chce się rozpalić, do fazy, gdy nie można go już powstrzymać, zawsze mnie fascynowało. Zaczęłam wrzucać do ognia śmieci z całego ogrodu. Poszarzałe ze starości drewniane kraty, przegniłe deski spod ściany domu - wszystko to trzeszczało wkrótce i syczało, strzelając w górę snopami iskier. Ktoś przy mnie stanął. Finn. W jej oczach tańczyły płomienie.

- Niezłe ognisko, co? - spytałam. - Powinnam być piro-manką. Jestem piromanką. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym obrabować bank lub kogoś zabić, ale nie ma większej przyjemności, jak podpalić coś i patrzeć, jak płonie. No, ale musi mi wystarczyć to.

Finn położyła mi rękę na ramieniu. Muskając mi ucho ustami, wyszeptała kilka słów i cofnęła się, lecz wciąż stała blisko mnie. Od ognia miała złotawe policzki.

- Na pewno? Kiwnęła głową.

- A może oddasz je do komisju?

- Nie. Nie chcę, żeby ktoś je nosił.

- Jak uważasz.

Wróciła do domu i przyniosła nareczce sukienek, spódnic i bluzek. Minęła mnie i rzuciła wszystkie na stos. Kolorowy materiał wydymał się jak balon, pokrywał się purchłami i pękał. Finn obróciła kilka razy. Wśród ubrań były naprawdę piękne rzeczy - kupiła je pewnie, gdy zeszczuplała - i musiałam mieć smutną minę, bo przed kolejnym powrotem do domu nałożyła mi na głowę filcowy kapelusz i owinęła szyję szalikiem ze śliwkowego kaszmiru. Kapelusz pasował idealnie.

- Mała pożyczka - rzekła z uśmiechem.

Dla siebie nie zatrzymała nic. Kiedy było po wszystkim, długo patrzyłyśmy w zadumie w ogień, który pochłaniał resztki wstążek i tasiemek. Odczuwałam lekkie mdłości, jak mistrz świata w jedzeniu hamburgerów, który przegrał w finale z innym obżartuchem.

- Co teraz? - spytała Finn.

- Nic. Jutro pojedziemy po zakupy.

- Przepraszam - powiedziała, dopiwszy kawę. - Gorzka. Fajnie. Wiem, że to melodramatyczne, ale po prostu musiałam to zrobić.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Muszę. Trudno mi ująć to w słowa, ale... Ci ludzie, którzy próbowali... No, wiesz. W pewnym sensie mnie splu-gawili, zburzyli mi życie, całkowicie je odmienili. Rozumiesz,

o co mi chodzi? Każdy chce wierzyć, że jego życie zmierza w dobrym kierunku, natomiast moim pokierował ktoś, kto nas nienawidził. Musiałam się od tego odciąć, narodzić się na nowo. Przebudować moje „ja”. Rozumiesz?

- Oczywiście - odparłam z celową obojętnością w głosie. -Ale już do tego przywykłaś, prawda?

- Jak to?

- Chorowałaś na anoreksję, omal nie umarłaś. A przecież wyszłaś z tego, dałaś sobie radę. Potrafisz wrócić do równowagi i to jest właśnie najcudowniejsze. - Zamilkłam, nie wiedząc, jak daleko mogę się posunąć.

- Wiesz, to zabawne. Pierwszy raz zobaczyłam cię na starym zdjęciu. Byłaś pulchna i wesoła. A tu proszę. Zupełnie inna dziewczyna, twarda, ożywiona...

Spojrzałam na Finn. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że musiała odłożyć nóż.

- Nienawidziłam tej dziewczyny. Gruba Fiona Mackenzie: nie czuję z nią żadnego związku. Stworzyłam sobie nowe życie, przynajmniej tak uważałam. Ale teraz trudno mi zaakceptować to, co w nim dobre. To, że spotkałam cię, Elsie, i w ogóle. Czasami myślę, że poznałam was tylko dlatego, że ci ludzie... Nie wiem, czy powinnam o tym mówić. Powinnam?

Przeżywałam huśtawkę uczuć i bałam się, że zależnie od nastroju wygłaszam sprzeczne ze sobą opinie. Gdybym omawiała jej przypadek z kolegą po fachu, moglibyśmy rozważyć zastosowanie wszelkich terapii o różnej, wielce niepewnej skuteczności działania. W towarzystwie kolegów najbardziej zaufanych powiedziałabym pewnie, że jeśli chodzi o leczenie psychicznych zaburzeń pourazowych, wciąż tkwimy w średniowieczu, w wieku przesądów, puszczenia krwi, zimnicy i krążących w ciele humorów. Finn pragnęła widzieć we mnie specjalistkę, lekarski autorytet, tymczasem ja wiedziałam na

ten temat tak dużo, że byłam mniej pewna siebie niż początkujący psychiatra. Większość tego, co mówiono o urazach i sposobach ich leczenia, miało się z prawdą. Prawda była taka, że rozmowa o wydarzeniu, które wywołało uraz, jednym robi dobrze, innym źle, a na jeszcze innych w ogóle nie wpływa. Nie takiej opinii pacjent oczekuje od lekarza.

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam jej tyle prawdy, ile obie mogłyśmy znieść:

- Nie wiem, Finn. Chciałabym udzielić ci prostej odpowiedzi, żebyś poczuła się lepiej, ale nie mogę. Chcę, żebyś miała do mnie zaufanie i mogła mi wszystko powiedzieć. Z drugiej strony, nie jestem policjantką i nie zamierzam cię o nic wypytywać. I powtarzam po raz setny: nie jestem twoim lekarzem. Nie lecę cię, nie stosuję żadnej terapii. Ale jeśli będę przez chwilę nielojalna wobec mojej zacnej, szlachetnej profesji, nie stanie się nic złego. - Wzięłam ją za rękę. - Czasami myślę, że lekarzom najtrudniej jest pogodzić się z czyimś cierpieniem. Przeżyłaś coś strasznego, coś niewypowiedzianie potwornego. Mogę tylko powiedzieć, że z czasem ból osłabnie. Na pewno będzie ci lżej, kiedy ci, którzy to zrobili, zostaną schwytani. Z drugiej strony, jeżeli coś doskwiera ci fizycznie, musisz powiedzieć o tym mnie albo doktorowi Daleyowi. On ci pomoże. W porządku?

- Mniej więcej.

- To już coś.

- Sam?

- Tak?

- Przeszkadzam ci, prawda?

- To dla mnie nie pierwszozna. Zawsze ktoś mi w czymś przeszkadzał. Ale jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, wiedz, że ty robisz to w bardzo sympatyczny sposób.

- Nie musisz być dla mnie miła. Przez mnie nie możesz pisać książki.

- Przed twoim przyjazdem też nie mogłam. Twórcza niemoc to moja specjalność. Jestem w tym znakomita.

- O czym będzie?

- Książka? O takich tam różnych. O urazach psychicznych.

- Nie, poważnie, o czym?

Zmrużyłam oczy, udając, że nie jestem zaskoczona jej zainteresowaniem. Przywołałam kelnerkę i zamówiłam jeszcze dwie kawy.

- No dobrze, sama tego chciałaś. Zasadniczo będzie to analiza psychicznego stresu pourazowego jako jednostki chorobowej. Bardzo często stawiamy sobie pytanie, czy patologia, czy konkretna choroba naprawdę istniała, zanim nadaliśmy jej łacińską nazwę. Wyobraź sobie, nie kto inny jak Bobbie zadała mi kiedyś bardzo ciekawe pytanie. Spytała, czy jaskiniowcy, ci z epoki kamienia łupanego, cierpieli na psychiczny stres pourazowy po walce z dinozaurami. Wyjaśniłam jej, że w epoce kamienia łupanego nie było dinozaurów, ale sprawa nie dawała mi spokoju. Wiemy, że neandertalczyki łamali sobie kości, ale czy po przerażających wydarzeniach mieli złe sny? Czy wydarzenia te wywoływały u nich konkretne reakcje psychiczne? Jeśli tak, to czy je w sobie tłumili? Czy próbowali

o nich nie myśleć?

- A próbowali?

- Bóg wie. Historia badań nad psychicznym stresem pourazowym jest pełna fałszywych analogii i odniesień do rozpoznawalnych urazów fizycznych. Zamierzam ją pokrótce przedstawić, a potem przeanalizować sprzeczności w diagnozowaniu

1 leczeniu pacjentów we współczesnej Anglii.

- Mój przypadek też przeanalizujesz?

- Nie. A teraz chodźmy przepuścić trochę pieniędzy.

Spędziłyśmy dwie deliryczne godziny, chodząc po dostępnym tylko dla pieszych centrum sklepowym w Goldswan Green. Przymierzyłam absurdalny kapelusz z woalką, który doskonale pasowałby do czarnej sukienki, czarne pończochy i czarne buty, których oczywiście nie kupiłam. Kupiłam za to

granatową kamizelkę i właśnie zastanawiałam się nad kupnem kolczyków, gdy przypomniałam sobie, że celem naszej wyprawy jest wyekwipowanie Finn, więc skupiłam uwagę na niej. Weszłyśmy do domu towarowego i tam ubrała się od stóp do głowy: nabyła skarpetki, majtki, stanik, kilka podkoszulków i dwie pary dżinsów, czarne i niebieskie. Zwykle kupuję w pośpiechu, często na chybił trafił, dlatego zaimponowała mi jej roztropność i dokładność. Wybierała ubrania powoli i z namaszczeniem, bez odrobiny frywolności czy niefrasobliwości, z precyzją alpinisty, który wie, że każda zbędna rzecz waży w górach tonę.

Chodząc po sklepie, zauważyłam, że przygląda nam się jakaś kobieta. Pomyślałam, że pewnie dziwi ją ilość kupionych przez nas ubrań. Szybko o niej zapomniałam, lecz chwilę później usłyszałam za plecami czyjś głos.

- Sam, prawda?

Odwrociłam się. Nie wiedziałam, kto to jest - głupie uczucie. Skądś ją znałam, ale nie miałam pojęcia skąd.

- Dzień dobry...

- Cześć. To ja, Lucy Myers.

- Lucy...

- Z uniwerku.

Dopiero teraz ją sobie skojarzyłam. Stowarzyszenie Chrześcijańskie. Okulary, których już nie nosiła. Poszła na pediatrię.

- Lucy! Jak się masz? Przepraszam, że cię nie poznałam. To przez te okulary, to znaczy przez ich brak.

- Ja też nie byłam pewna, czy to ty. Twoje włosy są... są... - Szukała odpowiedniego słowa. - Odważny kolor - wykrztusiła w desperacji. - Bardzo interesujący. Ale dużo o tobie słyszałam. Będiesz pracowała w szpitalu w Stamford, tak?

- Tak. Ty też tam pracujesz?

- Owszem, od lat. Stamford to moje rodzinne miasto.

- Naprawdę?

Zapadło niezręczne milczenie. Lucy spojrzała wyczekująco na Finn.

- To jest Fiona - powiedziałam. - Jones. Pracujemy razem.

Skinęły sobie głowami. Nie chciałam tego przedłużyć.

- Posłuchaj, Sam, cieszę się, że się spotkałyśmy. Kiedy będziesz w szpitalu, musimy, no wiesz...

- Koniecznie.

- No, to lecę. Zakupy czekają.

- Tak. Lucy odeszła.

- Nie byłaś dla niej zbyt miła - szepnęła Finn, kiedy oglądałyśmy swetry.

- Była na moim roku, ale prawie się nie znałyśmy. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, to zaprzyjaźnić się z kimś na siłę. Zwłaszcza tu, na tym odludziu.

Finn zachichotała.

- Widuję się z ludźmi tylko na umówionych spotkaniach -dodałam. - Masz. - Podałam jej szary sweter. - Kup go, to rozkaz.

- Kup go dla siebie.

- Skoro tak mówisz...

Leżałam po ciemku z otwartymi oczami. Popojutrze Walentynki. Czy Danny odwiedzi mnie z czerwoną różą, sarkastycznym uśmiechem, gniewnym słowem i sympatyczną miną? Czy w ogóle przyjedzie? A może już go straciłam, głupio i bezmyślnie, tylko dlatego, że nie poświęciłam mu należytej uwagi? Przyrzekłam sobie, że nazajutrz tło niego napiszę, że wszystko naprawię, i z tym postanowieniem zasnęłam.

15

W środę, kiedy w szlafroku Danny'ego- w pośpiechu zapomniał go zabrać - zeszłam zimnymi schodami na dół, na wycieraczkę znalazłam list. Było za wcześnie na listonosza,

poza tym po wielkim „SAM”, nabazgranym błękitnym flamastrem na kopercie, poznałam, że to list od Elsie, nie od Dan-ny'ego. Podkreśliwszy termostat i nastawiwszy czajnik, otworzyłam kopertę. Biała kartka, na kartce różowe serduszko z bibułki. Chwiejne literki były na pewno dziełem Elsie, lecz nie ulegało wątpliwości, że o pisownię zadbała Finn. „Wszystkiego najlepszego na Walentynki. Kochamy Cię”.

My? Trochę mnie to zaniepokoiło, ale i wzruszyło. W chwili słabości pozwoliłam Elsie zostać w domu - znowu miała lekki katar - więc usiadłyśmy we trzy przy kuchennym stole, żeby zjeść grzanki i ryżowe chrupki. Danny się nie odezwał. Nie przysłał kartki, nie zadzwonił, nie dał żadnego znaku, że

- o mnie myśli. Poprzedniego dnia wysłałam do niego szczery - i nie poprawiony - list i zaczynałam tego żałować. Co tam. Kogo obchodzi głupie Walentynki? Mnie.

Rano głównie zabijałyśmy czas. Finn przeglądała listy, które przyniósł jej Angeloglou; znajomi i przyjaciele zostawili je na policji z prośbą o przekazanie. Było ich bardzo dużo, cała paczka. Finn położyła ją sobie na kolanach i ukradkiem - a może raczej wstydliwie - otworzyła. Obserwowałam ją uważnie, żeby sprawdzić, czy się zdenerwuje, ale nie, była dziwnie obojętna, w ogóle nie zainteresowana. Po chwili zebrała listy i zaniósła je do swego pokoju. Nigdy później o nich nie wspominała, nie widziałam też, żeby kiedykolwiek je czytała.

Zafascynował ją temat urazu psychicznego - pewnie dlatego, że sama go przeżyła - więc opowiedziałam jej o początkach, o pierwszych próbach ustalenia, czym ten uraz jest, o nerwicy frontowej i o tym, że podczas pierwszej wojny światowej lekarze uważali, iż wywołują ją wybuchy pocisków artyleryjskich. Jej zainteresowanie bawiło mnie, ale i trochę niepokoiło, ponieważ nie wiedziałam, czy tego rodzaju dociekliwość jest zdrowa dla kogoś w jej stanie psychicznym. Po deszczu zamierzaliśmy pójść na spacer, ale deszcz nawet nie zelżał. Lał coraz mocniej, był tak gęsty i rześisty, że szyby w oknach stały się prawie matowe, jakbyśmy mieszkali za wodospadem.

- Jak na arce - powiedziałam, a Elsie spytała oczywiście, co to jest arka. Od czego by tu zacząć?

- Jest taka opowieść - odrzekłam. - Dawno, dawno temu Bóg stworzył świat - w tej opowieści - ale uznał, że coś poszło nie tak, bo ludzie byli niedobrzy. Dlatego postanowił zesłać na ziemię wielki deszcz i wszystkich pozabijać...

Okrutne słowo. Urwałam i niespokojnie zerknęłam na Finn, która leżała na sofie. Jak to przyjęła? Nie patrzyła na mnie. Patrzyła na Elsie siedzącą obok pudła z zabawkami. Nagle zsunęła się na podłogę i podeszła do niej na czworakach.

- Ale nie wszystkich zabił - powiedziała. - Żył wtedy pan imieniem Noe. Miał żonę i dzieci, i Bóg ich kochał. Dlatego kazał Noemu zbudować olbrzymią łódź i zabrać na nią zwierzęta, żeby ocalały. Noe zbudował łódź i wziął na podkład wszystkie zwierzęta, jakie tylko mógł znaleźć. Psy, koty...

- Lwy - dodała Elsie. - I pandy, i rekiny...

- Nie, rekiny nie - odrzekła Finn. - Rekinom nic nie groziło. Doskonale dawały sobie radę. Ale pozostali, Noe, jego rodzina i zwierzęta, wsiedli na arkę. Zaczęło padać. Padało i padało. Deszcz zalał cały świat, ale im było ciepło i sucho.

- Arka miała dach?

- Tak, to był taki dom na łodzi. Kiedy woda wreszcie opadła, Bóg przyrzekł, że już nigdy więcej nie ześle potopu. I wiesz, co zrobił na znak obietnicy?

- Nie. - Elsie rozdziawiła usta.

- Pokażę ci. Gdzie są flamastry? - Finn sięgnęła do pudła, wyjęła flamastry i blok rysunkowy. - Zgadnij, co to jest. - Narysowała czerwony łuk, nad nim łuk żółty, a nad żółtym niebieski.

- Wiem - powiedziała Elsie. - To tęcza.

- Tak, tęcza. Bóg namalował ją na niebie na znak, że dotrzyma słowa. Widać ją teraz?

Teraz nie. Może później, gdy słońce wyjdzie zza chmur.

Ale słońce nie wyszło. Zjadłyśmy prząsny, chłopski lunch, wymyślony zapewne przez jakiegoś sprytnego miejskiego restauratora: pyszny, świeży chleb z supermarketu (w sklepie jest na wpół upieczony i trzeba go dopiec w piekarniku), żółty ser (bez plastikowej skórki, którą ściągnęłam), pomidory z folii, słoik marynat i słonecznikowe masło. Wypiłyśmy z Finn dużą butelkę belgijskiego piwa. Elsie paplała, my mówiłyśmy niewiele. Piwo, ser i bębniący w dach deszcz. Nie potrzebowałam niczego więcej.

Przyniosłam z drewnutni kilka polan i rozpałam pod kominkiem. Kiedy ogień już płonął, ustawiłam szachownicę na dywanie. Podczas gdy ja rozgryzałam tajniki finałowego pojedynku o mistrzostwo świata między Karpowem i Kasparowem, Finn i Elsie bawiły się, to znaczy Elsie rysowała coś w nieprzytomnym skupieniu, a Finn niskim, konspiracyjnym głosem opowiadała jej jakąś bajkę. Od czasu do czasu Elsie coś do niej szeptała.

Zagubiłam się w misternej strategii Karpowa, który, wykorzystując każdą, nawet minimalną przewagę, potrafił zmiażdżyć przeciwnika niespodziewanym atakiem, i w odważnych, nieprawdopodobnie skomplikowanych posunięciach Kasparowa, przekonanego, że koniec końców i tak będzie górą. Ponieważ rozgrywałam partię z wariacjami, trwało to bardzo długo. Po jakimś czasie - nie wiem, po jakim - usłyszałam brzęk porcelany i w nozdrza uderzył mnie ciepły, znajomy zapach. Tuż obok klęczała Finn z tacą. Przyniosła mi grzanekę i herbatę, a dla Elsie dwie bułeczki z lukrem.

- I jak ja zdołam wrócić do biura? - spytałam.

- Nie wiem, jak można tak bardzo zatracić się w grze - odrzekła. - Odtwarzasz jakąś partię?

- Uhm. To tak jak obserwować, biorąc udział w akcji. Finn zmarszczyła nos.

- To chyba mało zabawne.

- Nie wiem, czy „zabawne” jest odpowiednim słowem. Kto powiedział, że życie jest zabawne? Znasz ruchy?

- Ruchy?

- Figur. Laufer na skos, królowa tylko o jedno pole, i tak dalej.

- Tyle wiem.

- No to popatrz.

Szybko ustawiłam figury w położeniu wyjściowym i zaczęłam rozgrywać partię, którą znałam na pamięć.

- Kto wygrywa? - spytała Finn.

- Czarne. Miał wtedy trzynaście lat.

- Twój znajomy? Roześmiałam się.

- Nie. Bobby Fisher.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Został mistrzem świata. Jego przeciwnik był zbyt pewny siebie i zlekceważył rozwój sytuacji.

Siedemnasty ruch białych.

- Spójrz - powiedziałam. - Co widzisz?

Finni myślała dobrą minutę, z tym poważnym skupieniem, którym zawsze mi imponowała.

- Białe mają przewagę.

- Bardzo dobrze. Dlaczego?

- Królowa czarnych i koń...

- Skoczek.

- I skoczek są pod ostrzałem. Jeden albo drugi padnie. Mimo to czarne wygrały? Jak?

Przesunęłam laufra na drugi koniec szachownicy i z rozbawieniem zerknęłam na zaskoczoną Finn.

- Przecież to nic nie daje.

- Daje. Uwielbiam tę pozycję.

- Dlaczego?

- Białe mają teraz mnóstwo możliwości. Mogą zdjąć królową, hetmana albo gońca. Mogą też nic nie robić i uszczelnić linię obrony. Ale tak czy inaczej przegrają. Śmiało, spróbuj.

Finn przyglądała się chwilę ustawieniu figur i zabiła gońca. Cztery ruchy później dostała pięknego mata.

- Cudowne - powiedziała. - Jak on do tego doszedł?

- Nie wiem. Dlatego aż skręca mnie z zazdrości.

- Mimo to nie przepadam za szachami. Wszystkie figury stoją na otwartym polu. Wolę pokera. Blef i oszukaństwo.

- Nie mów tego Danny'emu, bo nie da ci spać. Tak czy inaczej, właśnie na tym polega całe piękno gry. To znaczy szachów. Dwóch przeciwników zasiada naprzeciwko siebie. Między nimi tylko szachownica. Widzą wszystkie figury, żadnej nie mogą ukryć... Zaczekaj.

- Otworzyłam leżącą obok książkę. - Posłuchaj: „Szachy zabijają wszelkie kłamstwo i hipokryzję. Twórcza kombinacja obnaża już sam zamiar kłamstwa, a bezlitosna siła faktu, której kulminacją jest szach-mat, demaskuje hipokrytę”.

Finn uśmiechnęła się leciutko i niemal filuternie.

- Trochę to przerażające. Nie chcę, żeby ktoś mnie obnażał.

- Wiem. Wszyscy mamy swoje sekrety. Kłamstwa i kłamstewka są nam potrzebne, nie możemy się bez nich obejść. To znaczy, w prawdziwym życiu, chociaż nie wiem, co to tak naprawdę znaczy. Szachy są inne. W szachach każde kłamstwo wychodzi na jaw. W partii, którą ci pokazałam, mały chłopiec zmusił dorosłego mistrza do harakiri na otwartym polu. - Finn zaczynała się trochę nudzić. - Musimy kiedyś zagrać. Ale nie dzisiaj.

- Nie - odrzekła stanowczo. - Nie chcę być na twojej łasce i niełasce. Przynajmniej nie bardziej niż dotąd. Dolać ci herbaty?

- Ja chcę zagrać w szachy.

Elsie. Albo skończyła rysować, albo miała już dość.

- W szachy? Dobrze. Jak się nazywa ta figura?

- Nie wiem.

- Jak możesz zapamiętać te wszystkie ruchy? - spytała Finn.

- Bo mnie ciekawia.

- Mam beznadziejną pamięć.

- Wątpię. Coś ci pokażę. Wybierz siedem, osiem przedmiotów z tego pokoju i powiedz nam, co wybrałaś.

Kiedy skończyła, wyprosiłyśmy ją na kilka minut z pokoju, a potem zawołałyśmy. Usiadła na podłodze naprzeciwko nas.

- Dobrze. Elsie, powiedz nam, co to za przedmioty.
- Pionek szachowy... filiżanka... lampa... obrazek owcy, różowy mazak, żółty mazak... buty Finn i twój zegarek.
- Świetnie.
- Wspaniale, zwłaszcza jak na pięciolatkę - dodała Finn. - Jak ona to robi?
- Ćwiczy. Zapamiętywanie było kiedyś sztuką. Sposób jest bardzo prosty. Trzeba stworzyć sobie wyimaginowany dom i porozmieszczać w nim rzeczy do zapamiętania. Kiedy chcesz je sobie przypomnieć, wchodzisz do domu i od razu widzisz, gdzie co jest.
- Jaki jest twój dom, Elsie? - spytała Finn.
- Taki specjalny.
- A gdzie jest szachowy pionek?
- Na drzwiach.
- A filiżanka?
- Na wycieraczce.
- Niesamowite. Kto na to wpadł?
- Jest taka stara opowieść - odrzekłam. - Coś w rodzaju legendy czy mitu. Starożytny grecki poeta recytował wiersze na uczcie. Tuż przed końcem uczyty ktoś wywołał go z sali. Kilka minut później zawałił się sufit i wszyscy zginęli. Zwłoki były tak bardzo zniekształcone, że krewni nie mogli ich rozpoznać i pochować. Ale poeta pamiętał, gdzie kio siedział i bez trudu zidentyfikował zmarłych. Dlaczego? Ponieważ widział ich w konkretnym miejscu. Po tej katastrofie zdał sobie sprawę, że może w ten sposób zapamiętać, cokolwiek zechce.
- Finn miała zamyśloną twarz.
- Pamięć i śmierć - powiedziała. - Nie miałabym odwagi wejść do mego wyimaginowanego domu. Bałabym się tego, co mogę tam znaleźć.
- Ja się nie boję - odrzekła z dumą Elsie. - Mój dom jest bezpieczny. Poszłam spać bardzo późno. Danny się nie odezwał.

Nazajutrz Michael Daley zaprosił mnie na „spotkanie towarzyskie”.

- Chciałaś, żebym wprowadził cię do miejscowej socjety -powiedział. Nie mogłam sprawić mu zawodu i się zgodziłam.

Wyjęłam z szafy wszystkie ubrania i rzuciłam na łóżko. Długa, ciemnobrązowa sukienka o wysokiej talii: podobała mi się, ale uznałam, że jest za poważna. Odrzuciłam też dwie czarne mini, delikatną niebieską sukienkę z małym, miękko zarysowanym dekoltem i rękawami na trzy czwarte, której nie wiedzieć czemu nie wyrzuciłam, choć ani razu nie miałam na sobie. Skreśliłam też luźne spodnie z czarnego jedwabiu, które przypominały piżamę, i w końcu włożyłam czarną bluzkę i satynową spódnicę do kostek. Do tego ulubione czarne buty z brzęczącymi, srebrzystymi kłamrami (buty bez obcasa, naturalnie; i tak jestem wyższa od większości mężczyzn) oraz długie, kolorowe klipsy. Spojrzałam do lustra: nie wyglądałam zbyt szacownie. Makijaż? Nie, wystarczy szminka pod kolor włosów. Jeszcze kapelusz, ten od Finn. Nabiłam go na głowę. Żałowałam, że nie idę z Dannym. Bez niego czułam się jak aktorka, która ma zagrać nie w swojej sztuce. Gdzie on teraz był? Przełknęłam dumę i próbowałam się do niego dodzwonić, lecz na próżno. Wyłączył nawet automatyczną sekretarkę.

Elsie spała w kolorowym gniazdku z kołdry. Uklękłam i poczułam jej świeży, czysty zapach: oddech pachniał sianem, a włosy koniczyną. Niechcący dotknęłam kapeluszem jej ramienia. Zmarszczyła nos i mamrocząc przez sen, przekręciła się na bok. Na wszystkich ścianach wisiały rysunki. Z dnia na dzień było ich coraz więcej. Tęcze, ludzie ze skośnymi oczami, z rękami i nogami wyrastającymi z baloniastych głów, zwierzęta

o pięciu łapach, plamy jaskrawych kolorów. Finn wszystkie podpisała jej imieniem i opatrzyła datą, czasami nawet tytułem. Jeden z nich, wielka, szkarłatna plama z oczami i rękami tonącymi w chaosie kolorów, nazwała „Mamusia w pracy”. Przeszło mi przez myśl, że gdybym nagle umarła, Elsie nie zachowałaby o mnie prawdziwych wspomnień. Wiedziałam, że będzie tęskniła za Finn, lecz wiedziałam również, że szybko o niej zapomni.

Gdy weszłam do salonu, Finn i Linda spojrzały na mnie z sofy. Siedziały przed telewizorem, jedząc prażoną kukurydzę z mikrofalówki i pijąc colę. Finn nie chciała nawet słyszeć o spotkaniu ze starymi znajomymi, co mnie nie zaskoczyło. Zaskoczyło mnie natomiast to, że między nią i Lindą nawiązała się siostrzana, kojąca przyjaźń.

- Idę. Co oglądacie?

- Linda przyniosła *Tańczącego z wilkami*. Ładnie wyglądasz. - Finn uśmiechnęła się słodko i wsypała do ust garść prażonej kukurydzy. Czuła się jak u siebie w domu: zrzuciła buty, podkurczyła nogi i owinęła się obszernym swetrem. Miała zaplecione włosy i dałabym jej najwyżej piętnaście lat. Spróbowałam wyobrazić sobie, jak wyglądała kiedyś, gdy była gruba i okrągła, ale nie mogłam.

Na ekranie tańczył nagi Kevin Costner, świecąc gołymi, nader apetycznymi pośladkami.

- Irytujący facet - syknęłam jadowicie. Linda była zaszokowana.

- Jest cudowny!

Zatrąbił klakson. Wzięłam płaszcz.

- To Michael. Niedługo wracam, Lindo. Czestuj się czym chcesz. Do jutra, Finn.

No i wyszłam. Zimna noc, ciepłe wnętrze samochodu, pełne uznania spojrzenie Michaela, miękki płaszcz, miękki fotel -uwielbiam, jak mnie wożą. Pewnie dlatego, że prawie zawsze siedzę za kierownicą. Jechał ostrożnie i jego wielki wóz sunął gładko wąskimi alejami. Miał na sobie granatowe palto i kosz-

towny ciemny garnitur. Nareszcie o siebie zadbał. Musiał wyczuć, że na niego patrzę, bo spojrzał na mnie i wykrzywił usta w uśmiechu.

- O czym tak myślisz?

- O tym, dlaczego się nie ożeniłeś i nie masz dzieci -wypaliłam, nie zdążywszy ugryźć się w język.

Zmarszczył brwi.

- Mówisz jak moja matka. Żyję tak, jak chcę. Już niedaleko. - Byliśmy w Castletown, pośród rozległych trawników i kamiennych lwów broniących strzelistych bram. - Za parę minut będziemy na miejscu.

Usiadłam prosto i wepchnęłam włosy pod kapelusz.

- Ilu będzie gości?

- Około trzydziestu. I bufet. Laura to jedna ze znośniejszych lekarek w twoim szpitalu. Jej mąż, Gordon, pracuje w City. Są bardzo bogaci. Będzie też kilku innych lekarzy - dodał z ironicznym uśmieszkiem. - Cały przekrój prowincjonalnej socjety.

Skręcił i zaparkował na końcu podjazdu. Dom był nieprawdopodobnie wielki. Czy na pewno dobrze się ubrałam?

- W podobnym mieszkali pewnie rodzice Finn. Michael spoważniał.

- Tak, to tylko dwie ulice stąd. - Wysiadł i otworzył drzwi z mojej strony. Danny nigdy by czegoś takiego nie zrobił. -Laura i Gordon byli ich bliskimi przyjaciółmi. Na pewno spotkasz też kilku innych.

- Tylko pamiętaj: ja jej nie znam.

- Dobra. Nie znasz Finn - odrzekł z konspiracyjnym uśmiechem. - Spróbuję nie zapomnieć.

Wziął mnie pod rękę i poprowadził szpalerem rododendronów. Olbrzymi gregoriański dom, oświetlona lampą weranda, przed werandą mercedes. Przez cienkie zasłony widziałam grupki gości, słyszałam brzęk kieliszków, przytłumiony gwar rozmów i swobodny śmiech. Tak, powinnam była włożyć inną sukienkę, tę niebieską, i pociągnąć usta różową szminką. Michael głośno nabrał powietrza.

- Czujesz? - spytał.

- Co?

- Zapach pieniędzy. Jest wszędzie, a my możemy go tylko powąchać...

- W jego głosie zabrzmiała nutka gorzkości. - Nie masz wrażenia, że ludzie tacy jak Laura i Gordon żyją gdzieś tam, po drugiej stronie, a nam dane jest jedynie przyglądać się im z nosem rozplaszczonym na szybie?

- Zadzwoń, może nas wpuszczą.

- Zepsułaś moją wizję.

Zastukał ciężką, mosiężną kołatką, drzwi się otworzyły i w progu stanęła elegancka kobieta o kędzierzawych, stalowo-szarych włosach, w długiej do ziemi sukni z tafty. Ściany obszernego holu były obwieszane obrazami.

- Michaeli - Na francuską modłę trzy razy cmoknęła go w policzek. - Doktor Laschen, prawda? Mam na imię Laura. -Energicznie uścisnęła mi rękę.

- Samantha - odrzekłam. - Bardzo dziękuję za zaproszenie.

- Nie możemy się doczekać, kiedy zaczniesz pani u nas pracować. To już chyba niedługo, prawda?

Nie czekała na odpowiedź. A więc żadnych rozmów na tematy fachowe i oczywiście żadnych rozmów o Finn. W takim razie o czym będę z nimi gadać?

Pokój był pełen ludzi. Stali w ciasnych grupkach, z kieliszkami bursztynowego wina w ręku. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie ciemne garnitury; ryzykowali jedynie kolorem krawata. Większość kobiet przyszła w długich sukniach, połyskując gustowną biżuterią w uszach i na palcach. Michael czuł się wśród nich zaskakująco swobodnie. Rozerwał zwarty, czteroosobowy krąg gości i rzucił:

- Cześć, Bill. - Bill, rosły, tęgi mężczyzna - Boże, owinął się w pasie jakąś szarfą! - serdecznie uścisnął mu dłoń. -Karen, Penny, Judith, przedstawiam wam nową sąsiadkę. Samantha Laschen. Samantha jest lekarką. Zakłada nowy oddział w naszym szpitalu.

Pomruk głosów, dyskretnie stonowane zainteresowanie.

- Urazy psychiczne, prawda? Ludzie po wypadkach i tak dalej.

Wybąkałam coś bez sensu. Urazy psychiczne to moja działka i nie zamierzałam dyskutować o nich z głupkowatymi amatorami. Powitali mnie chóralnie i zapadło niezręczne milczenie. Ale nie, ci ludzie byli towarzyskimi zawodowcami. W ciągu pół godziny zdążyłam porozmawiać z Billem o ogrodnictwie, zamienić kilka słów o wsi i mieście z pulchnym jegomościem o ponurym głosie i wiecznie uniesionych brwiach, którego mi nie przedstawiono, i wysłuchać Bridget - miała wysoko upięty kok - o ostatnich wyczynach terrorystów z ruchu obrońców praw zwierząt: porwali kilka psów z ośrodka badawczego, dokonali kilku aktów sabotażu na uniwersytecie i zniszczyli kilka maszyn rolniczych.

- Nie jem cielęciny - wyznała. - Czytałam artykuł o cielaczkach, które są tak słabe, że nie mogą ustać na nóżkach, biedactwa. Zresztą mięso nigdy mi nie smakowało. Ale tu chodzi o coś innego. Ci ludzie są z miasta i nie rozumieją wiejskich zwyczajów...

- Na przykład tego, że chłopci zmuszają psy do palenia papierosów?

Głos z prawej strony. Młody, krótko ostrzyżony ponurak o wyblakłych oczach. Skinął mi głową i odszedł w stronę tacy z napitkami.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - powiedziała Bridget. - On to robi celowo.

Przekazywano mnie wprawnie z grupy do grupy. Kobiety w długich, czarnych spódnicach i białych bluzkach dolewały mi wina, podawały maleńkie kanapki z twardą, skreconą krewetką albo z kawałeczkiem wędzonego łososa, aż w końcu ponownie wylądowałam u boku Laury.

- Samantho, to jest mój mąż Gordon. Gordon, to jest Samantha Laschen. Przyjaciółka Michaela, pamiętasz. A to jest Cleo. - Cleo, wyższa ode mnie i szersza, była uczesana a la okrągła skrzynka na listy, a jej włosy, niegdyś jasne, a teraz

rdzawoszare, opadały luźno na inteligentną, starzejącą się i nieco już obwisłą twarz.

- Właśnie rozmawialiśmy o Leo i Liz.

Przybrałam stosownie zainteresowany wyraz twarzy, zastanawiając się, czy nie uwaląłam sobie policzka majonezem. Potarłam go, jakbym o czymś intensywnie myślała. Nie, chyba nie. Albo nic tam nie było, albo wszystko rozmazałam.

- Na pewno pani pamięta. Leo i Liz Mackenzie. Miesiąc temu zamordowano ich we własnym domu.

- Tak, czytałam.

- No i Fiona. Uroczą dziewczyną. Przeżyła, ale długo leżała w szpitalu. Podobno okropnie ją poranili. Potworne.

- Straszne -- powiedziałałam.

- Byli naszymi przyjaciółmi, niemal sąsiadami. W pierwszy czwartek miesiąca zawsze graliśmy z nimi w brydża. Leo miał wspaniałą pamięć do kart.

- Cóż za strata, cóż za strata... - Gordon energicznie pokiwał głową i przybrał smutną minę. Tworzyli zgrany duet: nie ulegało wątpliwości, że nie pierwszy raz odgrywają to przedstawienie.

- A co się stało z Fioną? - Cleo, która wreszcie zdobyła talerz, zgarnęła z tacy przechodzącej obok kelnerki garść owiniętych w bekon szparagów.

- Nikt nie wie. Zniknęła.

- Michael wie. - Gordon spojrzał na mnie i dodał: - Jest jej lekarzem, ale on nic nie powie. To chodząca dyskrecja.

- Jaka ona była? - Podziękowałam w duchu Cleo za pytanie, którego nie mogłam zadać, nie omieszkałszy zauważyć, że mówią o niej jak o zmarłej.

- Uroczą. Miała problemy z nadwagą, biedactwo... Donald. - Laura chwyciła za rękę trupiobladego mężczyznę, który nas mijał, i wciągnęła go do kręgu. - Cleo pyta o Fionę. Twoja córka kiedyś się z nią bawiła, prawda?

- Fiona? - Truposz zmarszczył brwi. Kawalek asparagusa wyslizgnął się z bekonowych objęć i wylądował między moimi stopami.

- Fiona, Fiona Mackenzie. Ta, której rodziców...

- Ach, Finn... - Truposz myślał chwilę. - Miła dziewczyna. Cicha. Nie taka jak dzisiejsza młodzież. Sophie nie widziała jej od wyjazdu, ale wysłała na policję list. Mieli go przekazać.

Spróbowałam wyciągnąć z niego garść konkretów.

- Trudny wiek, prawda? Chłopcy, prywatki, i tak dalej. - Powiedziałam to i mocno zacisnęłam usta, jakbym w ogóle się nie odzywała.

- Chłopcy? Nie, chyba nie. Jak już mówiłem, była bardzo układna i miła. Zawsze uważałem, że jest pod zbyt dużym wpływem ojca. Tak, była bardzo miła...

Tyle.

O wpół do dziesiątej zaczęliśmy jeść kolację. Zapiekaną z dziczyzny, sałatka, paszteciki z rybnym farszem, szaszłycki z kurczęcia, mnóstwo serów na wielkiej, drewnianej tacy, stos mandarynek w szklanej misie. Jadłam, piłam, uśmiechałam się, kiwałam na wszystkie strony głową i cały czas myślałam, że kiedyś musiała bywać tu Finn - jak to się stało, że pochodząc z tego eleganckiego, dystyngowanego świata, tak łatwo przywykła do życia w moim świecie? Przysiadłam na miękkim, żółtym krześle, postawiłam talerz na kolanach i ogarnęło mnie znajome uczucie całkowitego wyobcowania. Nie miałam nic wspólnego ani z nimi, z ludźmi, od których zawsze pragnęłam uciec, ani nawet (tu zalała mnie fala prawdziwej paniki) z własnym domem, w którym młoda dziewczyna o miękkich włosach doglądała mojej córki, śpiewając jej kołysanki, które śpiewać powinny tylko matki. Gdybym była sama, objęłabym się wpół w starym jak świat gościu rozpaczy i zaczęłabym się kołysać jak moi zestresowani pacjenci. Zaprażyłam mieć przy sobie Elsie, zaprażyłam mieć przy sobie Danny'ego, nikogo więcej nie potrzebowałam.

- Chuj z tobą, Danny - wymamrotałam. - Nie zamierzam przez ciebie beczeć.

- Mechaniczna pomarańcza?

- Słucham? - Wyrwana z zamyślenia, zmarszczyłam brwi. Przede mną stał mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach.

- Pani strój. Przypomina pani postać z filmu *Mechaniczna pomarańcza*.

- Nie widziałam.

- To komplement. Ta dziewczyna, ta z filmu, włamuje się do domu zacnych, powszechnie szanowanych obywateli, żeby nimi trochę potrząsnąć.

Powiodłam wzrokiem po sali.

- Myśli pan, że oni tego potrzebują? Parsknął śmiechem.

- Może mnie pani nazwać pijanym liberałem, ale po wieczorze takim jak ten dochodzę do wniosku, że Czerwoni Khme-rzy mieli rację. Zburzyć wszystkie miasta. Wymordować wszystkich okularników. Pozostałych zapędzić na wieś i zrobić z nich rolników.

- Pan też nosi okulary.

- Nie zawsze.

Ja patrzyłam na niego, on na mnie. Po trzydziestu sekundach znajomości powiedziałabym, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam od wyjazdu z Londynu. Podniósł kieliszek jak do ironicznego toastu i na jego palcu błysnęła ślubna obrączka.

- Jest pani przyjaciółką Michaela Daleya.

- Niezupełnie.

- Polującego doktora.

- Czyją?

- Na pełno słyszała pani o latających doktorach. O radiowych doktorach. I o śpiewającej zakonnicy. Michael Daley jest polującym doktorem.

- Co to znaczy?

To, co znaczy. Należy do tych, którzy jeżdżą konno, ścigają dzikie zwierzęta, chwytają je i rozrywają na strzępy. A potem, kiedy już je rozerwą, na znak triumfu mażą sobie

twarze ich wnętrzościami. To kolejna wiejska tradycja, o których tyle pani mówiono.

- Nie wiedziałam, że Michael poluje. Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Mam na imię Frank.

- A ja...

- Wiem, kim pani jest. Doktor Samantha Laschen, prawda? Czytałem pani artykuły na temat urazów psychicznych. Bardzo ciekawe. Zakłada pani nowy ośrodek w Stamford. Ci z trustu bardzo się do tego palą. Taki ośrodek to dla nich dojna krowa.

- Nie sędzę - odrzekłam z całą surowością, na jaką było mnie stać. Jego dwuznaczne uwagi i zabawny sposób bycia pociągały mnie, a zarazem niepokoiły.

- Musimy spotkać się kiedyś w jakimś normalnym miejscu, wypić kielicha i zastanowić się wspólnie, czy rola i cel takiego ośrodka są rzeczywiście takie, jak pani sądzi.

- Trochę to dla mnie zbyt abstrakcyjne.

- Już pani pracuje?

- Nie. Zaczynam latem.

- Więc co pani teraz robi?

- Piszę książkę, i w ogóle.

- I w ogóle?

Zamiast pojedynczego kieliszka, z tacy przechodzącej obok kelnerki wziął całą butelkę białego wina. Jeszcze raz zerknęłam w zadumie na jego obrączkę i uznałam, że narastający we mnie brak rozwagi jest kolejnym dowodem na to, że jestem nieszczęśliwa. Dolał mi wina i zamyślony zmrużył oczy.

- Patrzę na panią i widzę same paradoksy. Gości pani w domu Laury i Gordona Simsów, ale, dzięki Bogu, nie należy pani do kręgu brydżystów i arystokratycznych snobów. Przychodzi pani na przyjęcie z Michaeliem Daleyem, ale utrzymuje, że nie jesteście przyjaciółmi. Same tajemnice. Dlaczego specjalistka od urazów psychicznych...

- Witam, profesorze. Frank urwał.

- O wilku mowa. Nasz polujący doktor. Właśnie opowiadałem pani doktor o pańskim hobby.

- Nie mam żadnego hobby.

Był zły. Tak zły, że aż zaciskał zęby. Dziwne. Spojrzał na mnie i rzekł:

- Muszę ci wyjaśnić, że Frank Laroue jest jednym z teoretyków, którzy popierają palenie wiejskich stodół, włamania do laboratoriów i niszczenie chłodni do przewożenia mięsa.

Frank ironicznie skłonił głowę.

- Pochlebia mi pan, doktorze, ale nie sądzę, żeby aktywiści z ruchu obrońców praw zwierząt potrzebowali rady cichego, skromnego akademika. Pańska działalność jest o niebo skuteczniejsza.

- To znaczy?

Frank puścił do mnie oko.

- Cóż za skromność. Pozwoli pani, że zrobię mu trochę reklamy. Doktor Daley jest doradcą tajnego i nieformalnego komitetu złożonego z naukowców, policjantów oraz innych dzielnych obywateli, komitetu, który śledzi działalność i publikacje ekologów takich jak ja. od czasu do czasu załączając im za skórę, *pour decourager les autres*. Prawda?

Michael nie odpowiedział.

- Obawiam się, że musimy już iść. Sam.

Wziął mnie pod rękę. Nie lubię, jak ktoś mnie do czegoś zmusza, dlatego kusiło mnie, żeby dać mu odpór i zostać, a jednak uległam.

- Do zobaczenia - szepnął Frank, gdy go mijałam.

- To prawda? - spytałam, gdy wsiedliśmy. Odpalił silnik.

- Tak, jeżdżę na polowania. Tak, jestem doradcą komitetu nadzorującego działalność tych terrorystów. - Zamilkł. Wyjechaliśmy ze Stamford. - Widzisz w tym jakiś problem? - spytał w końcu.

- Nie wiem. Pozostawia lekki niesmak. Powinieneś być mi powiedzieć.

- Wiem. Przepraszam.

- To wszystko jest takie dziecinne. To szpiegowanie, to... Gwałtownie skręcił, zahamował i wyłączył silnik. Samochód

zadygotał i zapadła cisza. Z oddali, gdzieś z dołu, dochodził cichy szum morza. Michael spojrzał na mnie. Nie widziałam jego twarzy, tylko sylwetkę głowy.

- To nie jest dziecinne - powiedział. - Pamiętasz sprawę Chrisa Woodesa, tego behawiorysty?

- Tak, pamiętam.

- Wszyscy wiemy, że behawiorysty każą szczeniom biegać po labiryntach, prawda? No więc ktoś przysłał mu w paczce bombę, która poharatała go i oślepiła. On ma troje dzieci, wiesz?

- Wiem.

- Frank Laroue potrafi być czarujący, kobiety za nim szaleją. Ale Frank potrafi też szafować ideami i czasami bywa tak, że ludzie wcielają te idee w czyn, a on nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

- Tak, ale...

- Przepraszam, że mówię o tym dopiero teraz. Baird mi zabronił, ale pies go trącał. Ci z ruchu obrońców praw zwierząt wydają czasopismo. Jest nielegalne, podziemne i często zamieszcza adresy ludzi, którzy mają jakoby torturować zwierzęta. To jawna zachęta do napaści. W grudniowym numerze podali adres Leo Mackenziego, multimilionera od kosmetyków i środków farmakologicznych.

- Na miłość boską, dlaczego mi o tym nie powiedziano? Baird tylko wspomniał o tych od zwierząt. Nigdy nie mówił, że istnieje bezpośredni związek...

- To nie była moja decyzja.

Wciąż nie widziałam jego twarzy. Jaką miał minę? Skruszoną? Wojowniczą?

- Ty o tym wiedziałeś, policja o tym wiedziała, mimo to

umieściliście Finn na odludziu razem ze mną i Elsie. Nie mogę w to uwierzyć!

- Nie zrobilibyśmy tego, gdybyśmy uznali, że to niebezpieczne.

- Łatwo powiedzieć, zwłaszcza tobie.

- Może powinienem dodać, że dowiedziałem się o tych adresach od Philipa Carrier, detektywa, który prowadzi śledztwo w sprawie tych wojujących ekologów. Zadzwoił do mnie, ale nie chodziło mu o Mackenziego.

- Nie? A o kogo? Może o mnie? Zamieścili tam mój adres? Świetnie. Tylko tego mi brakowało.

- Nie. Zamieścili mój adres.

- Twój? - Powtórzyłam zbita z tropu i zażenowana. - Boże, przepraszam...

- Nie szkodzi.

- Zabezpieczyłeś się jakoś? Uruchomił silnik i ruszyliśmy.

- Nocą zamykam drzwi na podwójny zamek, to wszystko. Nie martw się, jestem silny.

- Pewnie dlatego, że polujesz.

- Nie tylko. Muszę pokazać ci moją łódź. Któregoś dnia wybierzemy się razem na przejażdżkę. Trzeba od tego wszystkiego uciec, chociaż na chwilę.

Wymamrotałam coś pod nosem.

- Co robisz w sobotę? Wymamrotałam pod nosem coś innego.

- Przyjadę po ciebie po śniadaniu.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Włożyłam Irotowy szlafrok - pachniał Dannym - usiadłam przy oknie i wsłuchałam się w szum morza. Chyba płakałam. Gdyby do pokoju wszedł Danny, bez słowa pchnęłabym go na łóżko, powoli rozebrała, czule wycalowała, nakryła sobą, rozchyliła szlafrok i obserwując jego twarz, wciągnęłabym go w siebie i wessała. Potem

poprosiłabym go, żeby nas stąd zabrał, żeby z nami zamieszkał, wziął mnie za żonę i dał mi dziecko. O świcie usnęłam.

17

- Dojna krowa?

Geoff Marsh robił wrażenie rozbawionego i mile połączanego.

- Tak powiedział.

- Nie powinnaś wierzyć obcym mężczyznom, zwłaszcza na przyjęciu.

Kto to był?

- Frank Laroue. - Geoff uśmiechnął się tajemniczo. -Znasz go?

- Tak, znam. Laroue uważa, że cała zachodnia medycyna to spisek kapitalistów, którzy robią wszystko, żeby zwiększyć wskaźnik zachorowań klasy robotniczej, ale w tym przypadku ma rację. Nie ulega wątpliwości, że leczenie psychicznych zaburzeń pourazowych ma wielką przyszłość.

Był poniedziałek i jedliśmy robocze śniadanie złożone z kawy i croissantów. Dla zabawy przytoczyłam mu słowa Laroue i z zaskoczeniem spostrzegłam, że potraktował je zupełnie poważnie.

- Urazy psychiczne i pieniądze? Wątpię.

- Oho, jeszcze się zdziwisz. Czytałaś o strażakach z North-wick? W zeszłym tygodniu przyznano im odszkodowanie, między innymi za ciężkie urazy psychiczne. Wiesz ile? Pięć milionów z hakiem.

- I dobrze, niech się cieszą.

- To my powinniśmy się cieszyć. Przypuszczam, że towarzystwa ubezpieczeniowe zaczną teraz wymagać zaświadczeń z klinik psychiatrycznych i z ośrodków terapii pourazowej, żeby ustrzec się przed podobnymi procesami. Twój ośrodek podbije rynek, zobaczysz. Wyprzedzimy konkurencję.

- Myślałam, że celem ośrodka jest wypełnienie luki terapeutycznej, a nie ochrona interesów towarzystw ubezpieczeniowych.

- To idzie w parze, Sam. Powinnaś być z siebie dumna. Ostatecznie ten ośrodek to twoje dziecko.

- Czasami myślę, że moje dziecko jest inne, niż bym chciała.

Geoff dopił kawę i przybrał mądrą minę.

- Cóż, każde dziecko powinno kroczyć własną drogą.

- Dziękuję, doktorze Spock - odparłam kwaśno - ale dziecko jeszcze się nie urodziło.

Geoff wstał i wytarł usta serwetką.

- Chodź. Coś ci pokażę.

Podprowadził mnie do dużego, wysokiego okna i wskazał narożnik szpitalnej działki, gdzie stało kilku robotników w pomarańczowych kaskach.

- Rozbudowujemy się - powiedział. - Stamford się rozbudowuje. To dobre miejsce. Blisko Londynu, blisko Europy, a wokoło zielone pola i łąki. Mam marzenie. Wyobraź sobie, że nasz szpitalny trust realizuje swój wielki potencjał i wchodzi na giełdę. Boże, byłibyśmy Microsoftem podstawowej opieki medycznej...

Przerażona poszłam za jego wzrokiem.

- Pewnie zażądasz teraz, żebym przemieniła kamienie w chleb. Niestety, czterdzieści dni na pustyni to dla mnie za długo. Nie mam czasu, muszę wracać do domu. Książka czeka, a postępów wciąż brak.

Skonsternowany Geoff zatrzepotał powiekami.

- O czym ty mówisz?

- Nieważne. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, w prawdziwym świecie.

- Sam, to jest właśnie prawdziwy świat.

Jadąc znajomą trasą, pomyślałam ze smutkiem, że pewnie ma rację. Potem pomyślałam o moim świecie - o Elsie, Dan-nym, Finn i o mojej książce - i poczułam się jeszcze gorzej.

Elsie była w szkole, Danny Bóg wie gdzie, a kiedy weszłam do domu, Finn siedziała na sofie z zamkniętym czasopiśmem w ręku. Z bólem serca zerknęłam na drzwi do gabinetu, wzięłam głęboki oddech i stanęłam przed nią. - Idziemy na spacer?

Bez słowa wyszliśmy na dwór, skręciliśmy w lewo, potem ze dwa kilometry szliśmy wzdłuż brzegu morza i znów skręciliśmy w lewo. Droga wiodła nas skrajem pola, którym biegł rów tak szeroki, że wyglądał jak kanał. Przed nami widać było tylko rzędy drzew, prostych jak kołki w płocie - posadzono je pewnie dla osłony przed wiatrem.

Cały czas intensywnie myślałam. Jest dziewiętnasty lutego - Finn mieszkała z nami już od miesiąca. Wiedziałam, że jeszcze dwa, trzy tygodnie i powiem dość. Lecz wiedziałam również, że jej odejście zburzy życie Elsie. Uwielbiała schodzić rano na dół, zastawać nas przy kuchennym stole, patrzeć, jak pijemy kawę i rozmawiamy, Finn w moim starym szlafroku, ja w domowym ubraniu. Uwielbiała, kiedy odwoziłam ją do szkoły, gdy przystawałam w drzwiach klasy wraz z innymi rodzicami, gdy po pierwszym dzwonku cmokałam ją szybko w zimny policzek i mówiłam: „Przyjadę po ciebie po południu”. I codziennie o wpół do czwartej, gdy tylko zabrzmiał ostatni dzwonek, gdy wybiegała ze szkoły z tornistrem i z kolorowymi bazgrołkami na kartonie pod pachą, widziałam, że chce być taka jak inne dzieci, że jest bardzo szczęśliwa. Pamiętałam nawet, żeby przed wyjazdem włożyć zwyczajne, a przynajmniej mniej ekstrawaganckie ubranie. Próbowałam gawędzić z innymi matkami o płynach na wszy i o szkolnych wyprzedażach. W sumie ja też pragnęłam wtopić się w tłum. Na podwieczorek Finn robiła dla Elsie grzanekę z miodem - był to już swego rodzaju rytuał - a gdy miała iść spać, wślizgiwała się cichutko do sypialni, żeby powiedzieć jej dobranoc. Pewnego dnia uświadomiłam sobie, że nie jesteśmy już tylko matką i córką, że dzięki Finn poczułyśmy się jak prawdziwa rodzina. Z Dannym było inaczej. Z mojej winy.

Jednakże i ona, i ja zdawałyśmy sobie sprawę, że jest to życie fałszywe i bajkowo sztuczne. Finn miała wkrótce wrócić do świata swoich przyjaciół i prawników, do szkolnych egzaminów, obowiązków, imprez, rywalizacji, do seksu, bólu i ryzyka.

Doszłyśmy do małego, surowego kościółka, niewiele większego od pudełka. Miał szare ściany i jedno okno - napis na drzwiach informował, że pochodzi z ósmego wieku. Urządzono w nim niegdyś stodołę, zagrodę dla bydła i - wedle miejscowych przekazów - magazyn wina z przemytu. Nie owijając niczego w bawełnę, spytałam Finn, czy myślała o przyszłości. Wzruszyła ramionami, kopnęła jakiś kamyk i wepchnęła głębiej ręce do kieszeni.

- Nie możesz z nami zostać, przecież wiesz. Za dwa miesiące zaczynam pracę, zresztą masz swoje miejsce w życiu.

Mruknęła coś w odpowiedzi.

- Co?

Wystawiła twarz do wiatru.

- Mówię - odparła gniewnie - że nie mam.

- Posłuchaj...

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie jesteś moją matką.

- A propos - odrzekłam oschle, urażona tonem jej głosu. -Jutro jemy lunch z moją matką.

Podniosła głowę. Twarz jej złagodniała.

- Tak? Jaka jest? Podobna do ciebie?

- Chyba nie. - Ugryzłam się w język i wykrzywiłam usta w uśmiechu.

- Pewnie bardziej, niż myślę. Jest podobna do Bobbie. To bardzo zacna, powszechnie szanowana matrona. Nienawidzi mnie, bo nie wyszłam za męża. Przynoszę jej wstyd.

- Chce, żebyś wyszła za Danny'ego?

- Boże, a skąd!

- A Danny? Przyjedzie?

Wzruszyłam ramionami i powoli ruszyliśmy przed siebie, zataczając wielki krąg, który miał nas zaprowadzić do domu.

- Sam? Kto był ojcem Elsie?

- Miły facet - ucięłam. I nagle zaszokowałam samą siebie, mówiąc coś, czego prawie nikomu nie mówiłam. - Zmarł kilka miesięcy przed narodzinami Elsie. Popęłnił samobójstwo.

Finn nie powiedziała ani słowa. I dobrze. To była jedyna właściwa reakcja. Wykorzystałam okazję.

- Nigdy nie mówisz o przeszłości. Doskonale to rozumiem, ale opowiedz mi coś. Opowiedz o kimś czy o czymś, co było dla ciebie ważne.

Jakby mnie nie słyszała. Martwiłam się już, że ją do siebie zraziłam, gdy wtem, sto metrów dalej, wciąż idąc, przemówiła.

- Wiesz, gdzie byłam w zeszłym roku?

- Ktoś mi mówił, że w Ameryce Południowej.

- Tak. Wszystko jest teraz tak odległe i zamazane, że nie potrafię już odróżnić jednego kraju od drugiego. To była dziwna podróż. Wyleczyła mnie, dała mi drugie życie... Ale jedną chwilę pamiętam jak dziś. Byłam w Peru, w Machu Picchu, stolicy imperium starożytnych Inków. Kiedy księżyc jest w pełni, za siedem dolarów można wykupić coś, co miejscowi nazywają *boleto nocturno* i zwiedzić ruiny nocą. Zapłaciłam, zwiedziłam, a na koniec poszłam obejrzeć Intihua-tanę, jedyny kamienny kalendarz, którego nie zniszczyli Hiszpanie. Stałam tam w blasku księżyca, myśląc o świetle i o tym, że imperia umierają jak ludzie. Imperium Inków już nie ma. Hiszpanie swoje też stracili. I stojąc tam, uzmysłowiłam sobie, że pozostały po nich tylko te ruiny. Ruiny i to piękne światło.

Nigdy dotąd tak nie mówiła. Byłam głęboko poruszona.

- Finn, to było cudowne. Dlaczego opowiedziałas mi o tym akurat teraz?

- Bo mnie prosiłaś - odparła i wyczułam w tych słowach lekki chłód, jakby chciała mnie zbyć. Chyba, że był to chłód wiatru od morza.

- Co dla niej ugotujesz? - spytała, gdy w oddali zamajaczył mój dom.

- Dla nich. Tato też przyjeżdża. Nie wiem. Pojadę do sklepu i kupię jakąś mrożonkę.

- Mogłabym cię wyręczyć?

- W gotowaniu lunchu?

- Tak. Bardzo bym chciała. I moglibyśmy zaprosić doktora Daleya?

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że odczuwam podświadomą niechęć do Daleya za to, że Finn jest do niego tak bardzo przywiązana. Wiedziałam, że to zrozumiałe. Że Michael jest jej lekarzem, przystojnym mężczyzną i jedynym człowiekiem, który łączy ją z dawną normalnością. Mimo to, w swej przewrotnej próżności, pragnęłam, żeby uzależniła się ode mnie, chociaż podjęłam twarde postanowienie, że za dwa tygodnie Finn powinna odejść.

- Zadzwoń do niego - odrzekłam.

- I do Danny'ego?

- Może nie tym razem.

Mignęła mi przed oczyma jego nocna twarz, czuła, zarośnięta i wyzuta z dziennej ironii - miałam nadzieję, że tylko ja ją widuję - i ogarnięta paniką, poczułam nagły przypływ pożądania. Nie wiedziałam nawet, gdzie on jest. Nie wiedziałam, czy jest w Londynie czy gdzieś indziej. Co ja, u licha, robiłam na tym błotnistym zadupiu? Pomagałam porąbanej dziewczynie, tracąc kochanka?

Podły nastrój gnębił mnie cały dzień niczym zła pogoda i nie minął nawet wtedy, gdy pojechałam po Elsie. Elsie też nie miała humoru, więc spróbowałam rozweselić ją opowieścią o tym, jak to odwiedziłam z Finn kościół, w którym dawno, dawno temu piraci przechowywali pr/.eszmuglowane na brzeg skarby.

- Jakie? - spytała.

- Złote korony, perłowe naszyjniki i srebrne kolczyki. Zakopali je, narysowali mapę i podpisali ją krwią z serdecznego palca.

Po powrocie do domu Elsie postanowiła narysować swoją własną mapę. My piłyśmy kawę, a ona rozłożyła się na kuchennym stole i ze zmarszczonym czołem - i z czubkiem języka

w kąciku ust - zawzięcie rysowała, wykorzystując niemal wszystkie flamastry z pudełka. Zadzwoił telefon. Odebrała Linda.

- Do pani - powiedziała.

- Kto?

- Nie wiem.

Rozdrażniona wstałam i poszłam do salonu.

- Pani doktor?

- Tak. Kto mówi?

- Frank Laroue. Bardzo miło wspominałam naszą sobotnią rozmowę i pozwoliłem sobie zadzwonić z nadzieją, że zechce pani spotkać się ze mną ponownie.

- Chętnie - odrzekłam spokojnie, chociaż w głowie miałam zupełny mętlik. - Co pan proponuje?

- Może zaprosi mnie pani na herbatę do swego nowego domu? Lubię oglądać domy.

- A pańska żona?

- Żona wyjechała.

- Boję się, że mój dom nie nadaje się chwilowo do oglądania. Może spotkamy się na drinku w mieście?

Ustaliliśmy datę i miejsce, i żeby mi się nie odwidziało, szybko odłożyłam słuchawkę. Powiedzieć Michaelowi? Nie. Jechałam z nim na przejażdżkę łodzią, to wystarczy. Należało mi się trochę rozrywki, i pieprzyć Danny'ego. Wróciłam do kuchni.

- Jesteśmy jak trzy piratki, prawda? - powiedziała Finn. - Mamusia, ty i ja.

- Tak - odrzekła Elsie.

- Skończyłaś?

- Tak.

Roześmiałam się.

- To co? Podpiszemy ją? Wszystkie trzy? Zapłonęły jej oczy.

- Tak! - wykrzyknęła entuzjastycznie.

- Dobra. Gdzie czerwony mazak?

- Nie! Krwią! Trzeba podpisać krwią!

- Elsie! - syknęłam, zerkając lękliwie na Finn, która wstała i wyszła z kuchni. - Nie można tak mówić.

Finn wróciła i usiadła obok mnie.

- Popatrz. - Między kciukiem i palcem wskazującym trzymała igłę. - Wszystko w porządku, Sam - powiedziała z uśmiechem. - Czuję się dużo lepiej. Może nie wspaniale, ale dużo lepiej. Spójrz, Elsie, to łatwe. - Ukłuła się igłą w kciuk, wycisnęła na mapę kroplę krwi i uszkiem igły nadała jej kształt litery „F”. - Teraz ty, Sam.

- Nie. Nie znoszę igieł.

- Jesteś lekarką.

- Właśnie po to nią zostałam, żeby kłuć igłami kogoś innego.

- Dawaj palec - powiedziała stanowczo Finn. - Nie bój się, przyniosłam dwie. - Niechętnie wyciągnęłam rękę i drgnęłam, gdy dźgnęła mnie w kciuk. Wycisnęła na papier kropelkę krwi.

- I co? - mruknęłam. - Mam napisać „Samantha”?

- Wystarczy samo „S” - odparła ze śmiechem. Wyrysowałam na papierze krwawe „S”.

- Dobra. A ty? - spytała Finn.

- Podpiszę się krwią mamusi - zdecydowała nieodwołalnie Elsie.

Finn wycisnęła mi z palca jeszcze jedną kroplę i Elsie wymalowała na mapie coś. co przypominało rozgniecioną malinę.

Obejrzałam swój kciuk.

- Boli.

- Pokaż. - Finn ujęła moją rękę, pochyliła się, musnęła językiem małą czerwoną kropkę na czubku palca i popatrzyła na mnie wielkimi, ciemnymi oczami.

- Już - powiedziała. - Zawarłyśmy przymierze krwi.

- Sam. Sam, obudź się!

Cichutki szept tuż przy uchu wyrwał mnie z obłąkanych snów. Otworzyłam oczy i ujrzałam białą, przerażoną twarz. Usiadłam i spojrzałam na bladozieloną tarczę radiowego budzika.

- Finn, jest trzecia rano...

- Ktoś tam chodzi. Na dworze. Słyszałam. Niemożliwe. Zmarszczyłam brwi i nagle... też to usłyszałam.

Coś zazgrzytało, zachrząściło. Już nie spałam. Sen pierzchł, pozostała noc, zimna i czarna jak aksamit. Chwyciłam Finn za rękę, wybiegłam na korytarz, wpadłam do sąsiedniego pokoju, wzięłam Elsie na rękę, z kołdrą, miśkiem i wszystkim, i przeniosłam ją do siebie. Nie obudziła się. Spała z kciukiem w buzi i ze zwisającą bezwładnie ręką, a gdy położyłam ją na łóżku, wymamrotała coś i zwinęła się w kłębek z kołdrą i pluszakiem. Podniosłam słuchawkę telefonu. Dziewięć, dziewięć, dziewięć.

- Halo, z jakimi służbami panią połączyć?

Nie pamiętałam numeru Bairda. Niemal zawyłam z rozpacz.

- Dzwonię z Domu pod Wiązami, to niedaleko Lymne. Ktoś nas nachodzi. Niech tu przyjedzie policja. Proszę zawiadomić inspektora Bairda z urzędu śledczego do spraw kryminalnych w Stamford... Tak, Samantha Laschen... - Boże, mam to przeliterować? Dlaczego nie nazywam się Smith czy Brown? Nareszcie skończyła mnie wypytywać i odłożyłam słuchawkę. Przypomniał mi się protokół z sekcji zwłok Mackenziech i poczułam się tak, jakby pełzało po mnie stado robali. Finn ścisnęła mnie mocno za rękę. Co robić? Przychodziło mi do głowy sto myśli naraz. Zabarykadować drzwi do sypialni? Zejść na dół i powstrzymać intruza do czasu przyjazdu policji? Nagle zrozumiałam, że zależy mi jedynie na Elsie. Ona się o to nie prosiła, ona nie miała z tym nic wspólnego. Byłaby bezpieczniejsza, gdybym odseparowała ją od Finn?

- Chodź - szepnęłam.

Chciałam stamtąd wyjść, zdobyć jakąś broń - plan był bardzo mętny i nie dopracowany - lecz nagle - o wiele za wcześniej jak na reakcję policji - na dworze zawarczały silniki samochodów, zachrząścił żwir i błysnęło światło latarek. Wyrzałam przez okno. Radiowozy, ciemne sylwetki biegnących mężczyzn. Pies. Podeszłam do Finn, wtuliłam twarz w jej włosy i szepnęłam:

- Już dobrze. Jesteś bezpieczna. To policja. Wspaniale się spisałaś. Naprawdę wspaniale. Odpręż się, odpocznij.

Ktoś zapukał do drzwi. Ponownie wyrzałam przez okno. Na ścieżce stała grupa umundurowanych policjantów, nieco dalej czekali inni. Nadjechał jeszcze jeden samochód. Naciągając szlafrok, zbiegłam na dół i otworzyłam.

- Wszystko w porządku? - spytał policjant stojący na czele grupy.

- Tak.

- Gdzie jest Fiona Mackenzie?

- Na górze, z moją córką.

- Możemy wejść?

- Oczywiście.

- Zabezpieczyć piętro - rzucił tamten przez ramię. Dwóch mundurowych minęło mnie i popędziło schodami na górę.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Chwileczkę - odrzekł policjant. Podbiegł do niego kolega i szepnął mu coś do ucha. - Zatrzymaliśmy jakiegoś mężczyznę. Twierdzi, że panią zna. Może go pani zidentyfikować?

- Tak.

- Chce się pani ubrać?

- Nie, pójdę tak.

- W takim razie proszę za mną. Jest w samochodzie. Gdy szłam w tamtą stronę, patrząc na ciemne sylwetki

w radiowozie, serce waliło mi tak mocno, że niemal boleśnie. A potem wybuchnęłam śmiechem. Między dwoma policjantami siedział rozczochrany Danny.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - To mój znajomy. Dobry znajomy.

Policjanci wypuścili go z wyraźną niechęcią. Jeden z nich ścisnął nos chustką.

- W przyszłości - rzucił ten bez chustki - powinien pan unikać chodzenia nocą po cudzych ogrodach.

Danny milczał. Łypnął na nas spode łba i ruszył w stronę domu. Dopędziłam go przy drzwiach.

- Co ty wyprawiasz?

- Kurwa mać! Wóz mi nawalił we wsi, więc szedłem piechotą. Ktoś chciał mnie zatrzymać, to mu przyłożyłem.

- Boże, tak się cieszę, że jesteś. - Objęłam go w pasie. -I tak mi przykro... - W piersi narastał mi ni to chichot, ni szloch.

Ponownie zachrząścił żwir i na podjazd wjechał nie oznakowany samochód. W otwartych drzwiach zamajaczyła sylwetka rosnącego mężczyzny. Baird. Przyczłapał do nas i znużonym spojrzeniem otaksował Danny'ego.

- Co za burdel - mruknął i wszedł do domu. - Muszę napić się kawy.

- Pańscy ludzie przyjechali nieprawdopodobnie szybko. Baird siedział przy stole, obejmując się za głowę. Danny

stał w kącie ze szklanką whisky i od czasu do czasu dolewał sobie z butelki, którą trzymał w drugiej ręce.

- Byli w pobliżu.

- Dlaczego?

- Podobno spotkała się pani z Frankiem Laroue.

- Daley panu powiedział?

- Sam, Laroue to niebezpieczny typ. Dzwonił do pani. Skonsternowana zmarszczyłam brwi.

- Skąd...? Założyliście mi podsłuch?

- Oczywiście. Na wszelki wypadek.

- Kurwa mać. - Danny wyszedł.

- Dużo wie? - spytał Baird.

- A co ja wiem? Dlaczego mi o tym nie powiedziano? Podejrzewacie Franka Laroue?

Baird zerknął na zegarek.

- Cholera jasna... - westchnął. - Morderstwo Mackenziech może mieć coś wspólnego z falą terroryzmu w okolicach Stamford, dlatego uznaliśmy, że Fionie grozi niebezpieczeństwo. Proszę przeprosić ode mnie swego przyjaciela. - Wstał. -Do pani wiadomości. Jutro... - Uśmiechnął się blado. - To znaczy, już dzisiaj mój kolega Carrier przeprowadzi w tym rejonie akcję przeciwko obrońcom praw zwierząt. Dojdzie do licznych aresztowań. Zatrzymają między innymi Franka Laroue, któremu zostanie postawiony zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i namawiania do przemocy.

- O Boże... Umówiłam się z nim na drinka. Chyba przełożymy to na później.

- Nie postąpiła pani zbyt rozsądnie. Tak czy inaczej, nic wam już nie grozi.

- A jeśli to nie ekolodzy zabili Mackenziech?

- Jeśli nie ekolodzy, to włamywacze.

- Włamywacze? Co ukradli?

- Coś ich spłoszyło. Wszystko jedno. Najważniejsze, że pani jest już bezpieczna.

- Nieprawda. Grozi mi najazd rodziców.

O dziesiątej rano ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. W progu stał chudy młodzian, dzieciuch o zebranych w kucyk włosach. Trzymał w ręku torbę i uśmiechał się z nerwowym uwielbieniem. Zobaczył mnie i momentalnie spoważniał.

- Przyniosłem warzywa dla Fiony - powiedział, wpychając mi torbę do rąk.

- Prawdziwe warzywka z prawdziwej wsi? - spytał Danny. - Co dalej? Czyżby domowy obiadek?

Z kuchni wyszły Fiona i Elsie. Obie miały zakasane rękawy, a Fisie owinęła się w pasie kuchennym ręcznikiem.

- A teraz idź z Dannym na spacer - powiedziała Fiona. -Do przyjazdu rodziców zostało sporo czasu.

Czy to ta sama dziewczyna, która jeszcze przed dwoma tygodniami nie potrafiła skłecić nawet krótkiego zdania? Nowe niebieskie dżinsy, biała bawełniana bluzka, ciemne włosy zebrane w kucyk i przewiązane aksamitką, osmagana wiatrem twarz, zarumienione od piecyka policzki - wyglądała świeżo i młodo, miała drobne, giętkie ręce i silne, szczupłe ramiona. Wiedziałam, że gdybym podeszła bliżej, poczułabym delikatny zapach mydła i talku. Patrząc na nią, postarzałam się i przywiedłam.

Wzięła ode mnie torbę i zajrzała do środka.

- Ziemniaki. I szpinak. O to nam właśnie chodziło, prawda, Elsie?

- Kto to był? - spytałam.

- Ten chłopak? - rzuciła obojętnie. - Roy, syn Judith. -Znała więcej miejscowych niż ja. - Chyba mu się podobam -dodała chichocząc i zaczerwieniła się aż po szyję, na której widać było blednącą już szramę.

- Dobrze wygląda - powiedział Danny, gdy wyszły.

- Ty i ten z kucykiem. Ha! Nie roześmiał się.

Niebo było bladoniebieskie i chociaż przed kilkoma dniami spadł śnieg - małe, mokre, wredne płatki, które zalegały teraz na skraju czerwonych pól - na dworze było ciepło i przyjemnie. Przykręciłam ogrzewanie i pootwierałam wszystkie okna. Wśród chwastów w ogrodzie złościły się żonkile, a z gęstego poszycia sterczał rząd ciasno zamkniętych tulipanów.

- Idziemy? - spytał Danny. - O której inwazja?

- Za dwie godziny. Wyjdźmy przez groble na brzeg. -Groble zmusiły morze do defensywy. Cofając się, pozostawiło po sobie dzikie, błotniste wrzosowiska i dziwaczne, otoczone łądem mola.

Było tak ciepło, że nie musieliśmy wkładać kurtek. Spojrzałam w kuchenne okno. Finn pochylała się w skupieniu nad

stołem. Elsie musiała stać gdzieś z boku, bo jej nie widziałam. Danny objął mnie i równym krokiem ruszyliśmy przed siebie. Długo milczeliśmy, wreszcie się odezwał:

- Sam, musimy pogadać.

- O czym? - Miał tak poważny ton głosu, że nie wiedzieć czemu ogarnął mnie lęk.

- Chodzi oczywiście o Finn. O ciebie i o Elsie... Do diabła, sam nie wiem. Chodź tu.

Przyciągnął mnie do siebie i wtulił głowę z zagłębienie mego ramienia.

- Co się stało? Mów. Powinniśmy byli porozmawiać już dawno temu.

- Zaczekaj - wymruczał. - Lepiej niech przemówią ciała... Wepchnęłam ręce pod jego sweter i koszulę, dotknęłam

silnych, nagich pleców. Drapiąc mnie w policzek szorstkim zarostem, po omacku rozpiął mi pasek, wsunął dłonie pod majtki i chwycił mnie za pośladki. Oddech miałam krótki i urywany.

- Nie tutaj...

- Dlaczego? Nikt nie widzi.

Jak okiem sięgnąć, wokół nas rozpościerały się wrzosowiska poznaczone karłowatymi drzewami i rdzewiejącymi wrakami łodzi, które uwięzły tam, gdy morze ujarzmiono gozlami. Wprawnym ruchem ręki Danny rozpiął mi stanik. Pociągnęłam go za niezbyt czyste włosy, odchyliłam mu głowę i spojrzałam w oczy. Twarz miał spiętą i nerwowo skupioną.

- Spokojnie, skarbie, spokojnie... - Rozpięłam mu spodnie, pozwoliłam, żeby rozpiął moje i gdy wraz z majtkami opadły do kostek, wszedł we mnie silnym, desperackim ruchem bioder. I staliśmy tak spleceni ze sobą na wielkim pustkowiu pod bladym słońcem. Pomyślałam, jak niegodnie muszę wyglądać -co powiedziałyby na to moja matka? - i modliłam się, żeby nikt tamtędy nie przechodził.

- To jest... - Mówił z pełnymi ustami. Matka ściągnęła z niesmakiem usta i przeszła go wzrokiem. - Finn, to jest pyszne.

Zaserwowała nam jagnięcy udziec szpikowany czosnkiem i przyprawiony majerankiem, ziemniaki w mundurkach ze śmietanką i masłem, i grubo siekany szpinak. Pamiętała nawet o sosie miętowym; kupiła go w supermarkecie poprzedniego dnia.

Ojciec - przyjechał ubrany na sportowo, co w jego przypadku oznaczało, że miał na sobie tweedową marynarkę, spodnie nieokreślonego, szarawego koloru oraz odprasowaną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, i że czesał się z przedziałką, który rozdzielał jego rzednące, siwe już włosy niczym nowa różowa droga - przywiózł dwie butelki wina. Matka jadła schludnie i kulturalnie: po każdym kęsie delikatnie ocierała usta serwetką, wino piła ostrożnie i małymi łyżkami. Finn nie jadła prawie nic, lecz siedziała przy stole z płonącymi oczami i nerwowym uśmiechem na twarzy. Po jej lewej stronie siedział Danny - zachowywał się dość przyzwoicie, chociaż był dziwnie wyciszony - a po prawej Michael Daley, sztucznie ożywiony i natarczywie czarujący. Przyjechał, tonąc w kwiatach: z wielkim bukietem żółtych róż (dla mnie), z zawilcami dla Finn (tuliła je do piersi jak nieśmiała panna młoda), z winem i męskim uściskiem dłoni. Z uwagą słuchał mojej matki, gdy opowiadała o koszmarnym poranku, który spędzili w samochodzie, z szacunkiem spytał ojca, którzy jechali, wziął na barana rozchichotaną Elsie, a ilekroć przemawiał do Finn, troskliwie się ku niej nachylał, odgarniając niesforne włosy, które opadały mu na oczy. Nie był uprzedzająco grzeczny - chciał po prostu być miły. Na każdą uwagę obracał się na krześle niczym kurek na dachu, był pełen dziwnie nerwowej energii. Usłużnie podawał półmisek z jarzynami, wybiegł do kuchni, żeby pomóc Finn. Przerazona pomyślałam, że się w niej zakochał, potem przyszło mi do głowy, że zakochał się we mnie, a jeśli tak, co właściwie powinnam odczuwać?

Popatrzyłam na siedzących obok Finn mężczyzn. Jeden ciemnowłosy, gburowaty i wspaniały, drugi jasnowłosy i tajemniczy. I z każdym pracowicie przeżutym przez matkę kęsem cieleciny coraz wyraźniej widziałam, którego z nich by wołała. Panowało między nimi dziwne napięcie. Jakby ze sobą rywalizowali, tylko za nic nie mogłam wyczuć, o co i dlaczego. Danny nerwowo przebierał palcami, drąc serwetkę na kawałki i robiąc z nich kwiatki i łądki.

Przy pieczonych jabłkach (Elsie nadziała je rodzynkami w miodzie; przed deserem poszła do siebie, mówiąc, że chce coś narysować) matka spojrzała na mnie i z egzaltowanym zainteresowaniem spytała:

- A jak tam twoja praca, Sam?

Mruknełam, że jeszcze nie pracuję, że wciąż czekam i na tym rozmowa by utknęła (Michael usiadł nieco prościej i zeszywniał, chcąc układnie pograżyć się w milczeniu), gdyby nie ojciec, który uroczyście odkaszlnął i odłożył serwetkę.

- Kiedy więzili mnie w Japonii... - Zamarło mi serce, bo znałam to na pamięć. - Tak więc, kiedy więzili mnie w Japonii, widziałem mnóstwo umierających ludzi. Tak, umierali jak muchy... - Zamilkł, a my czekaliśmy z wrodzonym szacunkiem ludzi, którzy muszą pochylić głowę na widok czy wspomnienie tragedii. - Widziałem więcej, niż którekolwiek z was zobaczy. Więcej, niż zobaczą wasi bezcenni pacjenci.

Spojrzałam na Finn. Siedziała ze spuszczoną głową, ścigając widelcem rodzynkę po talerzu.

- Wróciłem do domu i żyłem dalej. Pamiętam absolutnie wszystko. - Ojciec położył sobie rękę na piersi. - Ale odsunąłem to na bok. Gadanie o tych traumach, stresach i ofiarach nie przynosi nikomu pożytku, otwiera tylko stare rany. Niech się same zagoją, tak jest najlepiej. Wiem, że macz dobre chęci, Sam. Ale wy, młodzi, uważacie, że macie prawo do szczęścia. Trzeba wytrzymać, trzeba to znieść, i tyle. Uraz psychiczny! - prychnął. - Współczesny bełkot. - I łypiąc na nas znad kieliszka, pociągnął łyk wina.

Matka poruszyła się niespokojnie.

- Cóż... - zaczął ugodowo Michael.

- Tato... - jęknęłam jękiem z dzieciństwa. Przerwał nam dźwięczny, spokojny głos Finn.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedziała - uraz psychiczny jest określeniem, którego często się nadużywa. Nazywamy tak zwykły smutek, żal, poruszenie, uczucie towarzyszące bolesnej stracie. Prawdziwy uraz psychiczny to coś innego. Prawdziwy uraz sam nie minie. Trzeba go leczyć. - Strzeliła oczami w bok i posłała mi blady uśmiech. W pokoju zapadła dziwna cisza. - Dla tych, którzy nań cierpią, życie jest nie do zniesienia. Ci ludzie nie są tchórzami czy głupcami. Są ranni, a rany muszą się zagoić. Lekarze leczący ciało po prostu ich nie widzą. Ale one tam są. Są. Cierpiał pan bez słowa skargi, ale czy znaczy to, że inni też mają cierpieć? - Odpowiedziało jej milczenie. - Uważam, że Sam bardzo pomaga swoim pacjentom. Ona ich ratuje. Bo tu nie chodzi o szczęście. Tu chodzi o zdolność do życia.

Michael odebrał jej widelec, którym wciąż się bawiła, objął ją i lekko przytulił. Finn złożyła głowę na jego ramieniu.

- Zrobimy państwu kawę. - Wyszli razem do kuchni. Matka zaczęła pobrzękiwać talerzami po puddingu.

- Nastolatki bardzo wszystko przeżywają - oświadczyła ze zrozumieniem.

Spojrzałam na ojca.

- Wiesz, w czym problem? - spytał.

- Nie..

- Twoje drzwi skrzypią. Założę się, że to zawiasy. Potem na nie zerknę. Masz kalkę?

- Taką do papieru? Po co?

- Żeby rozłożyć ją na progu i sprawdzić, o co pocierają. To najlepszy sposób.

Kiedy miałam dziesięć lat, ojciec zabrał mnie latem do Filey Bay na wschodnim wybrzeżu. Nigdy potem tam już nie byłam i pamiętam tylko wydmy i paskudny, ostry wiatr, który wiał wieczorami na wybrzeżu, turlając z brzękiem puszek po chodnikach i podrywając latawce z gazet i śmieci. Pamiętam też, że ojciec zabrał mnie raz na przejażdżkę czerwonym rowerem wodnym. Ponieważ ledwo sięgałam pedałów, usiadłam na samym brzegu fotela, a wówczas on, chudy i przeraźliwie biały, zaczął szybko przebierać nogami. Spojrzałam na wodę i nagle uświadomiłam sobie, że nie widzę dna, że jest tam tylko bezdenna, brązowoszara otchłań. Pamiętam do dziś straszliwą panikę, jaka mnie ogarnęła, strach, który wlewał mi się do wszystkich zakamarków umysłu. Przerazona krzyknęłam. Chwyciłam zdumionego ojca za rękę i krzyczałam wniebogłosy, tak że czekająca na brzegu matka myślała, że coś się stało, chociaż odpłynęliśmy ledwie kilka metrów od brzegu. Na wodzie nie czuję się bezpiecznie - umiem pływać, ale wolę tego unikać - dlatego ilekroć zabieram Elsie na basen, wchodzę tylko po kolana i patrzę, jak mała się pluszcze. Morze nie jest dla mnie miejscem, gdzie można się dobrze zabawić. Gigantyczny ośrodek wypoczynkowy? Nie. Dla mnie jest to przerażający potwór, który wsysa okręty, łodzie, ludzi, odchody i radioaktywne odpady. Czasami, zwłaszcza wieczorem, kiedy czerwonoszara tafla zlewa się z szarą taflą nieba, patrzę na lśniącą wodę, wyobrażam sobie ukryły pod nią świat i dostaję dreszczy.

Więc dlaczego, u licha, zgodziłam się popłynąć z Daleyem? Kiedy zadzwonił, tryskałam entuzjazmem, powiedziałam, że tak, oczywiście, że chętnie popłynę na małą eskapadę. Lubię, kiedy ludzie uważają mnie za kobietę odważną, nieustraszoną. Nic krzyczałam ze strachu, odkąd skończyłam dziesięć lat.

- Co mam ze sobą zabrać?

- Nic. Mam pianki, które powinny na ciebie pasować, no i kapok. Aha, weź rękawice.

- Pianki?

- Kombinezon, taki dla płetwonurków. Będzie ci w nim do twarzy. O tej porze roku zamarzałabyś w wodzie na śmierć.

- W wodzie?

- To ty czy echo?

- I ja mam w to wejść? Jakim cudem?

Patrzyłam na coś, co przypominało splątany zwój cytrynowo-zielonych rur.

- Najpierw musisz się rozebrać.

Byliśmy w moim salonie. Danny pojechał do Stamford po farbę, Elsie poszła do szkoły, a Finn do sklepu po mleko i chleb. Michael miał na sobie kombinezon i żółtą sztormówkę. Szczupły i jakby wydłużony, wyglądał trochę absurdalnie, jak astronauta bez rakiety czy ryba bez wody.

- Aha.

- Pod spód włóż kostium kąpielowy.

- Dobra, ale w sypialni. Nalej sobie kawy.

Poszłam na górę, rozebrałam się, włożyłam kostium i zaczęłam wpychać nogi w grube, czarne rury. Boże, ależ były ciasne. Gdy przylgnęły do ud, naciągnęłam je na biodra. Rety, moja skóra nie miała czym oddychać, powoli się dusiła. Ale najgorzej było z rękami i gdy je wreszcie wepchnęłam, guma pociągnęła mnie w dół tak mocno, że omal nie złamałam się wpół. Zatrzask był na plecach, ale nie mogłam go dosięgnąć. Ba! z trudem podnosiłam ręce na wysokość piersi.

- Wszystko w porządku? - zawołał z dołu Michael.

- Tak.

- Pomóc ci?

- Pomóż.

Wszedł do pokoju i zobaczyłam nas w lustrze: wyglądaliśmy jak dwoje długonogich astronautów na księżycu.

- Miałem rację, dobrze ci w piankach. - Gdy zapinał zatrzask, sunąc mi po kręgosłupie zimnym metalem i ciepłymi palcami, skrępowana wciągnęłam brzuch. We włosach czułam jego oddech.

- Jeszcze buty... - Podał mi obcisłe kalosze. - I możemy jechać.

Na kamienistej plaży, gdzie wśród innych łodzi stała żaglówka Michaela, hulał lodowały wiatr. W hangarze Daley trzymał pewnie sprzęt, bo - jak utrzymywał - łódź zawsze stała na brzegu. Od strony nagich żaglówek dochodził dziwny odgłos, jaki słyszy się mroźną nocą w lesie: to brzęczały stalowe liny („Takielunek” - wyjaśnił Michael) podtrzymujące maszt. Fale były małe, ale z białymi barankami. Po szarej wodzie szalał szkwał. Daley odchylił głowę.

- Mmm... - wymruczał. - Pogoda w sam raz.

W sam raz? Przeszedł mnie dreszcz. Hen, daleko na morzu dostrzegłam tylko jeden malutki żagiel, pochylony tak mocno, że ledwo wystawał z wody. Oprócz tego pojedynczego żagielka, jak okiem sięgnąć nie było absolutnie nikogo. Horyzont tonął w mglistej szarości. W dzień laki jak len nigdy nie jest do końca jasno, a na wodzie leży wilgotna gaza.

Michael ściągnął z łodzi zielony brezent (łódź nazywała się „Belladonna”, ponieważ miała czarny spinaker; nie spytałam, co to znaczy) i wyjął z niej kapok.

- Nałóż. Postawię żagiel.

Wytrząsnął z torby złożony żagiel i zaczął weń wpychać długie, płaskie patyki.

- Listwy - wyjaśnił. - Bez nich ciągle by łopotał. Potem odczepił od masztu jakiś drut. Przeciągnął go przez

wierzchołek żagla, a spód mocno przymocował do bomu; tę nazwę znałam.

- To jest grotżagiel - powiedział. - Postawimy go dopiero na wodzie.

Przymocował drugi żagiel, dziesiątkami haczyków przyczepił go do forsztagu i rzucił na pokład. Potem przeciągnął długą linę przez otwór u jego podstawy, końce liny wetknął do uchwytów na burtach i zawiązał na nich węzeł przypominający ósemkę; pewnie po to, żeby nie uciekły. Skończywszy z węzłami, wyjął małą, czarną flagę, przywiązał ją do liny i wciągnął na wierzchołek masztu.

- Dobra. Na wodę z nią.

Uderzył mnie rozkazujący ton jego głosu, pewność, z jaką to powiedział. Ręce miał silne, ruchy dokładne, twarz skupioną. Pomyślałam, że musi być dobrym lekarzem; ciekawe, ile pacjentek traciło dla niego głowę? Pchnęliśmy wózek i łódź ruszyła. On wszedł do wody, ja stałam na brzegu, trzymając linę.

- Nie bój się zamoczyć - krzyknął. Wdrapał się na pokład, założył płetwę steru i zaczął stawiać żagiel. - Kiedy woda dostanie się między skórę i pianki, będzie ci cieplej.

- Dobrze - odrzekłam drżącym głosem i weszłam do morza z faleniem w sinych rękach, które piekły mnie w miejscach, gdzie jeszcze je czułam. Oczywiście zapomniałam rękawiczek. - Kiedy?

- Kiedy co?

- Kiedy będzie mi cieplej? Na nogach mam lód! Roześmiał się, stojąc wśród zwojów dziko łopoczącego

płótna, demonstrując równe, białe zęby. Wciągnął na maszt najpierw jeden żagiel, potem drugi i nagle łódź przestała się szarpać. Przedtem miałam wrażenie, że ściskam w rękach sznurek szalejącego na wietrze latawca, teraz, że trzymam na smyczy psa, który mnie dokądś ciągnie.

- Odepchnij dziób - zawołał Michael. - Dobrze, a teraz wskakuj... Powiedziałem, wskakuj, a nie wpadaj.

Wylądowałam na dnie jak wyrzucona na brzeg ryba i grzmotnęłam się w kolano. Łódź zachybotwała, przechyliła się na bok i moja głowa zawisła ledwie piętnaście centymetrów nad powierzchnią wody.

- Przejdź na tę burtę - rozkazał Michael, którego mój upadek

bynajmniej nie zaniepokoił - Usiądź i wsuń stopy pod te paski. To są strzemiona. Możesz się teraz wychylać i nie wypadniesz.

Przytrzymując rumpel, wepchnął miecz, chwycił linę przywiązaną do małego żagla i mocno ją napiął. Żagiel zeszywniał i poczułam, że łódź przestaje dryfować i błyskawicznie nabiera prędkości. Chryste, jak na mój gust płynęliśmy stanowczo za szybko.

- Dobra, jesteśmy na kursie. Wieje łagodny wiaterek...

- Łagodny wiaterek? - zapiszczałam.

- Silniej dmuchnie dopiero za cyplem, na otwartym morzu.

- Aha.

- Pamiętaj, że wykorzystując wiatr, można dopłynąć, gdzie się chce. Czasami będzie wiał z boku - jest to tak zwany półwiatr - czasami od tyłu - wtedy pójdziemy z wiatrem - a czasami od dziobu...

- I wtedy nas zdmuchnie - wychrypiałam.

- Masz tylko pilnować szotu. - Rzucił mi na kolana koniec liny przywiązanej do małego żagla. - Im ostrzej pójdziemy na wiatr, tym mocniej ciągnij. Kiedy powieje od rufy, wyluzuj go. A kiedy krzyknę: „Zwrot przez sztag”, musisz puścić koniec liny i pociągnąć za drugi. Resztę zostaw mnie. Jasne?

- Tak.

- Na dziobie są zapasowe rękawice.

Chciałam je wziąć, ale gdy tylko się poruszyłam, łódź gwałtownie pochyliła się na burzę.

- Do tyłu, Sam! - krzyknął. - Nie, do tyłu! Zbalastuj ją!

Wbiłam stopy w strzemiona, wychyliłam się za burzę najdalej jak mogłam i zawisłam w powietrzu. Ręce zgrabiały mi z zimna, bolał mnie kark, szyja mi pękała. Ilekroć zerkałam w dół, widziałam tylko wodę, od której dzieliła mnie niepokojąco duża odległość, a zerknąwszy w dół i przed siebie, widziałam prawie cały miecz i przeciwległą burzę, przez którą przelewały się fale. Zamknęłam oczy.

- Zmieniamy kurs. Kiedy krzyknę: „zwrot przez sztag”, puść linę i szybko przejdź na lewą burzę. Jasne?

- Nie. Jeśli wstanę, łódź się przewróci.

- Wywróci.

- Jak go zwał, tak zwał.

- Spokojnie, nie wywrócimy się, za słabo dmucha. - Nie podobał mi się protekcjonalny ton jego głosu.

- No to już! - krzyknęłam i puściłam linę. Żagiel dziko załopotał, łódź stanęła dęba, coś huknęło i trzasnęło. Skoczyłam na lewą burtę i potknęłam się o miecz. Michael pchnął rumpel, przytrzymał mi głowę, spokojnie przeszedł na drugą stronę łodzi, odczekał, aż przeleci nad nami bom, po czym ściągnął najpierw swoją, potem moją linę. Łopotanie ucichło, trzepotanie też. Płynęliśmy nowym kursem. Wstałam i usiadłam na burcie. Gdyby ręce nie zeszywniały mi z zimna, pewnie by się trzęsły.

- Następnym razem zaczekaj, aż krzyknę: „zwrot przez sztag”, dobrze?

- Przepraszam.

- Szybko się w tym połapiesz. Już wszystko dobrze, prawda? - Żagle były wybrzuszone, łódź płynęła gładko i równo. - Siedź i ciesz się życiem. Popatrz, czapla. Często je tu widuję. - Wskazał odległe skały sterczące z ciemnej wody. - To Iglica. Spotykają się tam dwa morskie prądy. Dość trudny akwen, zwłaszcza wiosną.

- Ale my tam nie popłyniemy, prawda? - spytałam nerwowo.

- Iglicę - odrzekł poważnie, trzymając żagiel - zostawimy sobie na kiedy indziej.

Przez kilka minut, kiedy „Belladonna” szła równym kursem, kiedy mogłam spokojnie siedzieć, patrzeć na wodę, na wyrazisty profil Michaela, na jego jasne włosy i wysokie czoło, było mi całkiem dobrze. Rytmicznie chlupotały fale, zza ołowianych chmur wychyły się skąpe promienie słońca. Kilkadziesiąt metrów za rufą śmignęła żaglówka i kiedy płynący nią wodniacy pozdrowili nas braterskim gestem, zdołałam pomachać im z uśmiechem. Raz odbyliśmy nawet coś w rodzaju rozmowy.

- Nie lubisz być w czyichś rękach, prawda?

- Niewielu rękom ufałam.

- Mam nadzieję, że moim ufasz.

Czyżby ze mną flirtował? Nie mógł wybrać lepszego momentu.

- Próbuje.

- Chyba trudno z panią żyć, pani doktor. Danny też tak uważa?

Nie odpowiedziałam. Policzki smagał mi mokry wiatr, tuż obok galopowało szare morze.

- Z drugiej strony, wygląda na takiego, co to potrafi się obronić. Doświadczony facet...

„Facet”. Gdybym nie wbijała wzroku w coraz odleglejszy brzeg i gdyby łódź mniej kołysała, uznałabym pewnie, że to rażące słowo. A tak kiwnęłam tylko głową i zaczęłam skubać mokry węzeł na luźnej linie.

Ale zaraz potem Michael pchnął rumpel i odczekawszy, aż łódź ustawi się tyłem do wiatru, jednym płynnym ruchem wyciągnął miecz i poluzował linę. Żagiel rozkwitł niczym soczysty, przejrzały kwiat, a wówczas Daley kazał mi przerzucić spinaker na drugą stronę.

- Przez jakiś czas będziemy szli z wiatrem - powiedział. - Usiądź po drugiej stronie. Musimy ją zbalansować.

Łódź zadarła dziób i pomknęliśmy przed siebie, prując fale.

- Uważaj. Jeśli zmieni się kierunek wiatru, będziemy musieli zrobić zwrot przez rufę.

- Przez rufę? Nie, nie, lepiej nic mi nie tłumacz. Powiedz tylko, jak tego uniknąć.

Michael w skupieniu obserwował czarną flagę i leciutko korygował kurs. Łódź kołysała się coraz mocniej. Opadała, dźwigała się, znowu opadała i znowu się dźwigała, a wraz z nią opadały i dźwigały się moje wnętrzności. Nie wiedzieć kiedy język urósł mi, stężał i stał się chropowaty.

- Michael...

- Uhm?

- Możesz ją trochę uspokoić? Czuje, że...

- Wiatr się zmienia, robimy zwrot. Puść linę.

Mogło to trwać najwyżej sekundę. Żagle zwisły i łódź znieruchomiła. A potem z przerażeniem zobaczyłam, że bom drga, rusza i szerokim łukiem pędzi prosto na nas. Łódź gwałtownie się przechyliła. Żołądek podjechał mi do gardła, więc wstałam, myśląc tylko o tym, żeby dopaść burty, zanim zwymiotuję.

- Głowa, Sam!

Bom grzmotnął mnie tuż za uchem z tak koszmarną siłą, że pociemniało mi w oczach. Zatoczyłam się na bok, omal nie przewracając łodzi, a wówczas bom zaatakował mnie z drugiej strony. Tym razem chybił (leżałam już i prawie nie kontaktowałam), trafił za to Michaela, który wstał, żeby mi pomóc. Skończyliśmy jak dwa wielkie żuki na zalanym wodą pokładzie. Żagle dziko łopotały, bom szalał. Czułam się o wiele bezpieczniej, gdy tego wszystkiego nie widziałam.

- Nie ruszaj się - powiedział.

- Ale...

Wyciągnął rękę i powoli, bardzo ostrożnie i delikatnie założył mi kolczyk.

- Któż inny popłynąłby na przejażdżkę w tak absurdalnie długich kolczykach? Nic ci nie jest?

Nie wiedzieć czemu, nagle i niespodziewanie ogarnął mnie błogi spokój. Mdłości ustąpiły, przerażone serce biło coraz wolniej i tylko skroń miałam spuchniętą i obolałą. Łódź wciąż się kołysała, lecz żagle stały w łopocie i wiatr nie mógł ich wypełnić. Michael. Był taki silny, taki pewny siebie. Widziałam lekki zarost na jego twarzy, wyrazisty łuk górnej wargi, wielkie źrenice szarych oczu.

- Nigdy nie naraziłbym cię na niebezpieczeństwo, Sam - powiedział cicho, nie odrywając ode mnie wzroku.

Zdołałam się uśmiechnąć.

- Następnym razem - szepnął - zabiorę cię do kina.

Wracaliśmy w milczeniu. Czułam, że jest rozczarowany, a ja nie znoszę nikogo rozczarowywać, i to do tego stopnia, że jeśli już kogoś rozczaruję, natychmiast wpadam w złość i na wszystkich warczę. Wolałam więc milczeć, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mogłabym później żałować. Puścił kasetę z muzyką poważną i udawałam, że słucham. Zmierzch powoli ustępował miejsca nocy i gdy jechaliśmy krętymi drózkami wzdłuż brzegu morza, zaglądałam do rozświetlonych okien domów. Ponieważ gęstniejący mrok wyssał z krajobrazu całą dziwaczność, okolica była teraz cicha, spokojna i bardzo wiejska. Kiedy dojechaliśmy do domu, poczułam, że wulkan w moich piersiach ponownie usnął. Wzięłam głęboki oddech.

- Chyba nie jestem urodzoną żeglarką.

- Świetnie ci poszło.

- Tak, wiem. A Nelson wymiotował, ilekroć wypływał w morze. Ale to miło z twojej strony, że mnie zaprosiłeś. - Michael milczał z lekkim uśmiechem na ustach, więc paplałam dalej, żeby wypełnić ciszę. - Musimy spróbować jeszcze raz. Na pewno pójdzie mi lepiej.

Cholera jasna. W co ja się pakuję? Ale chyba sprawiłam mu przyjemność.

- Bardzo chętnie - odrzekł.

- Jeszcze kilka takich wypraw i będę robiła zwroty sztagiem przez rufę, zobaczysz.

Roześmiał się, wysiedliśmy, wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy w stronę domu. Było już ciemno, a w oknie paliło się światło. Podeszliśmy bliżej. W kominku płonął ogień. Danny siedział w fotelu tyłem do mnie, tak że widziałam tylko tył jego głowy i butelkę piwa na podłokietniku. Mimo to wiedziałam, jaką ma minę: rozmarzony patrzył w ogień. Elsie była w piżamie. Miała świeżo umyte, gładko zaczesane włosy i zaczerwienioną z podniecenia twarz, na której igrały świetliste

refleksy. Układała coś z drewnianych klocków. Nic nie słyszałam, lecz widziałam jej nieustannie poruszające się usta: mówiła do Finn, która leżała obok niej, też tyłem do mnie, dlatego nie widziałam, czy ona też coś mówi czy nie. Pewnie po prostu leżała z przymkniętymi oczami. Myślę, że na Elsie oddziaływały przede wszystkim jej spokój i młodość. Wiedziałam, że są sobie bliskie bliskością, której mnie nigdy nie będzie dane zaznać. Scena była tak urocza, że poczułam się boleśnie odrzucona. A może miałam wyrzuty sumienia, że zostawiłam je same? Michael położył mi rękę na ramieniu.

- Rodzina przy kominku. Piękny widok - rzuciłam oschle. Długo nie odpowiadał. Zafascynowany patrzył na nich i patrzył, z satysfakcją zaciskając usta.

- To dzięki tobie - szepnął.

- Co dzięki mnie?

- Kiedy po pierwszej rozmowie z policją zaczęliśmy rozpytywać o odpowiednią kandydatkę, wszyscy się tobą zachwycali. Mieli rację. To nie do wiary, co z nią zrobiłaś.

Zmarszczyłam czoło i pchnęłam go żartobliwie w pierś.

- Nie musi mi pan schlebiać, doktorze. Poza tym, ja jej nie leczyłam. To, co zrobiła, zrobiła dla samej siebie.

- Jesteś za skromna.

- Nigdy w życiu nie byłam skromna.

- Mylisz się. Jestem lekarzem ogólnym i często zastanawiam się, jak pracowali moi koledzy po fachu sto lat temu, kiedy nie było ani antybiotyków, ani insuliny, tylko naparstnica, morfina i kilka innych medykamentów. Lekarz nie miał w torbie właściwie nic, czym mógłby pokonać chorobę. Mimo to leczył. Siadał przy pacjencie i uzdrawiał go swoją obecnością, tym, że brał go za rękę. - Mówił cichym szeptem, jego twarz była kilka centymetrów od mojej. - Jesteś kobietą gwałtowną i wybuchową. Arogancką i utalentowaną. Szorstką i opryskliwą. Ale masz w sobie tę dobrą moc: moc uzdrawiania.

Milczałam. Podniósł rękę i musnął palcem moje włosy. Zamierzał mnie pocałować? Tutaj? Kilka metrów od Danny'ego?

Co bym wtedy zrobiła? W ułamku sekundy wyobraziłam sobie, że mamy romans, że leżymy nago w łóżku, a zaraz potem pomyślałam o tych wszystkich konfliktach, o udreće i zdradach. Przyjacielskim, niemal siostrzanym gestem wzięłam go za rękę.

- Nie zasłużyłam na komplementy, mimo to dziękuję. Chodź, dam ci kielicha. Jako żeglarz pijasz pewnie tylko grog.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Muszę wracać, bo zaraz się w tym uduszę. Dobranoc, uzdrowicielko.

Weszłam do domu, promieniejąc, jak promienieje tylko kobieta, której powiedziano wielki komplement. Gdy pchnęłam drzwi do salonu, odwróciły się w moją stronę trzy głowy i ujrzałam trzy różne wyrazy twarzy. Danny wykrzywił usta w ironicznym uśmiešku. Chciał mnie za coś skarcić? Twarz Elsie jaśniała, jakby palił się w niej żywy ogień. Finn obróciła się leciutko, jak kotka wyrwana z długiego, błogiego snu na dywanie przed kominkiem. Głęboko w trzewiach poczułam ukłucie niepokoju.

- Spójrz, mamusiu, spójrz! - zawołała Elsie, jakbym ani na chwilę nie wychodziła z salonu.

- Niesamowite. Co to jest?

- Tajemnica. Zgadnij.

- Dom.

- Nie.

- Łódź.

- Nie.

- Zoo.

- To nie zoo, to tajemnica.

- Co dzisiaj robiłaś?

- Byłam z Danem i Fing. Spojrzałam na nich.

- Zbudowaliśmy zamek z piasku i kamieni - wyjaśniła Finn. - I z puszek.

- Dzięki. - Usiadłam w fotelu i cmoknęłam Danny'ego w czubek głowy. - Tobie też.

- Jutro jadę do miasta - powiedział.

- Do pracy?

- Nie.

Poczułam się nieswojo, bo tuż obok były Elsie i Finn. Zapadła niezręczna cisza.

- Wszystko w porządku? - spytałam cicho.

- Jak najbardziej - odparł zwyczajnym, obojętnym tonem, którego nigdy nie potrafiłam rozgryźć. - Dlaczego pytasz?

- Tak sobie, bez powodu.

Ponownie zapadła niemila cisza. Finn i Elsie wymienili wesołe spojrzenia.

- Co jest? - spytałam.

- Spytaj ją, co wisi na drzwiach - odrzekła Finn.

- Co wisi na drzwiach twego bezpiecznego domu, Elsie? Podekscytowana Elsie przypominała za mocno nadmuchany balon, który, gdyby go tylko wypuścić, śmigałby z sykiem po całym pokoju.

- Na drzwiach wisi szpadel.

- Spytaj ją, co jest na wycieraczce.

- Co jest na wycieraczce, Elsie?

- Zamek z piasku! - zapiszczała.

- Zamek z piasku na wycieraczce? Bomba.

- I co jest w łóżku mamusi.

- Co jest w łóżku mamusi?

- Wielki przytulasek! - Elsie podbiegła bliżej i mocno mnie objęła.

Czując na szyi uścisk jej słabych rączek, omal się nie rozpłakałam. Spojrzałam na Finn i ponad ramieniem córki bezgłośnie szepnęłam: „Dziękuję”.

Elsie chciała, żeby Finn położyła ją spać, ale nie ze mną te numery. Uparła się, ale uparłam się i ja, i chociaż rozchichotana wiła się jak piskorz i wrywała, zaniiosłam ją na górę, obiecując, że Finn opowie jej bajkę na dobranoc. Zdjęłam kombinezon, włożyłam dzinsy i podkoszulek, wyszorowałam jej zęby i zrzędlwym tonem głosu przeczytałam rozdział z książki wyrazów trudnych i niemożliwych do wymówienia.

- A teraz Finn, tak?

- Najpierw całusek na dobranoc.

Westchnęła, złożyła usteczka w ciup, cmoknęła mnie w policzek i wysłała na dół po Finn. Finn bez słowa poszła do sypialni na spotkanie z moją niepoprawną córką. Danny wciąż siedział w fotelu, lecz zauważyłam, że napoczął świeżą butelkę piwa. Przy jego nodze stały trzy puste.

- Daj łyka. - Podał mi butelkę. - Co się dzieje?

- Nic. Muszę wracać do Londynu, i tyle.

- Aha.

Ponownie zapadła cisza i ponownie była to cisza niezręczna. Usiadłam na podłodze i oparłam się plecami o jego kolana. Wypiłam łyk piwa i oddałam mu butelkę.

- Co myślisz o Finn? - spytałam.

- To znaczy?

- Co o niej sądzisz?

- Nie jestem lekarzem, pani doktor.

- Ale jesteś człowiekiem.

- Dzięki.

- No więc? Spędziłeś z nią prawie cały dzień.

- Interesująca dziewczyna.

- Interesująca i rozbita psychicznie.

- To ty się na tym znasz.

- Myślisz, że jest pociągająca? Danny zmarszczył czoło.

- O czym ty gadasz?

- Kiedy Michael odwiózł mnie do domu, zajrzałam przez okno. Zobaczyłam, jak Finn leży przed kominkiem i pomyślałam, że gdybym była mężczyzną, mogłaby mi się spodobać. Urocze, uwodzicielskie stworzonko.

- Na szczęście nie jesteś mężczyzną.

Ponownie zapadła cisza. Nadśluchiwałam jej kroków na schodach, lecz dobiegł mnie tylko stłumiony chichot Elsie. Wiedziałam, że Finn zejdzie dopiero za kilka minut.

- Danny, czy coś ci wadzi albo przeszkadza?

- W czym?

- W tym układzie z Finn i w ogóle.

Poczułam jego rękę na skroni. Nagle chwycił mnie za włosy, odchylił mi głowę, zmiął wargi swoimi wargami, wsunął język do ust i lewą ręką powiódł po moim brzuchu. Boże, jak go pragnęłam. Nagle przestał mnie całować, usiadł prosto i uśmiechnął się ironicznie.

- Wiesz, nigdy bym ci nie mówił, jak żyć, ale...

- Ciii...

Ciche kroki na schodach. Finn weszła do salonu i usiadła na dywanie przed kominkiem.

- Elsie już zasypia - powiedziała. - Zrobiłam sałatkę i chleb z czosnkiem. Pomyślałam, że nie będziecie głodni. Mam nadzieję, że to wystarczy.

- Na pewno. Chyba, że Sam, nasza niezastąpiona kucharka, przyrządzi coś naprawdę pysznego - zakpił Danny.

Finn zachichotała.

Danny wypił jeszcze dwa piwa. Ja piłam wino. Finn wodę. Sałatka była chrupka i kolorowa, niemal dokładnie taka, jakie kupuje się w plastikowych kubkach w M&S. Opowiedziałam im o przejażdżce z Michaeliem. Finn zadała mi jedno czy dwa pytania. Danny prawie cały czas milczał. Potem przeszliśmy z kawą do salonu. W kominku został już tylko żar. Danny sięgnął po kolejne piwo. Rzuciłam na żar kilka szczap drewna i dmuchałam dopóty, dopóki się nie zajęły. Wiatr targał okiennymi ramami i ciskał deszczem w szyby.

- W taką noc najcudowniej jest siedzieć przed kominkiem - powiedziałam.

- Pieprzysz - mruknął Danny.

- O co ci chodzi?

- Gadasz jak ci z reklam. - Podeszedł do okna. - To do ciebie nie pasuje, Sam. Co ty tu robisz? Drzewa, błoto, wrzosowiska, deszcz i morze. Ludzie z krwi i kości nie mogą tu żyć. Tu żyją tylko przebrani idioci i skretyniali myśliwi.

- Przestań - warknęłam, spoglądając na zaszokowaną Finn.

- Dlaczego? Co ty na to, Finn? Podoba ci się tu?

- Nie wiem - wymamrotała. - Muszę posprzątać. W kuchni. Szybko wyszła, a ja wpadłam w furję.

- Ty pieprzony pajacu - syknęłam. - Co ty wyprawiasz? Wzruszył ramionami.

- Wieś mnie wkurza. Wszystko mnie tu wkurza.

- Jak mogłeś tak przy niej mówić? Jak mogłeś? O co ci chodzi? Nie znosisz jej czy Michaela? Jesteś zazdrosny?

Dopił piwo.

- Idę spać. - I wyszedł.

Przez kilka minut przeglądałam czasopisma. Z kuchni wyszła Finn.

- Przepraszam - powiedziałam. - Danny bywa dziwny.

- Nie szkodzi. Lubię go. Za to, że jest szczery. I trudny. Zawsze podobali mi się srodzy, posepni mężczyźni.

- Mnie nie.

Uśmiechnęła się, usiadła przed kominkiem i przytuliła się do mnie. Poczułam zapach jej miękkiej, ciepłej skóry.

- Masz chłopaka?

- Wiesz, co mnie najbardziej wkurza?

- Co?

- To, że po tym, co zaszło, wszyscy mają mnie za delikatną, świętą dziewicę i martwią się, żeby nie powiedzieć przy mnie czegoś, co mogłoby mnie zdenerwować. Nie, nie mam chłopaka. Kiedy byłam gruba, żaden się mną nie interesował, a ja nie interesowałam się nimi. Nie wiem, może się po prostu bałam. Może bałam się dlatego, że byłam gruba. Potem schudłam i chociaż uważałam, że wciąż jestem za tęga, poczułam się zupełnie odmieniona i zaczęłam sypiać z chłopakami. Zwłaszcza w Ameryce Południowej; traktowałam seks jako część wielkiej przygody. Cóż... - Roześmiała się chrapliwie. - Mama zawsze powtarzała, że jestem za młoda, by wiązać się z kimś na stałe. Szokuje cię to?

Owszem, szokowało.

- Nie. Boję się tylko, że ja, ten dom, ta okolica... Że się tu nudzisz.

- Ależ skąd. - Odwróciła głowę, pogłaskała mnie po twarzy i leciutko pocałowała w policzek. Chciałam się cofnąć, ale zacisnęłam zęby i nawet nie drgnęłam. - Nie jesteś nudna. - Usiadła prosto. - Kiedyś... Nie, Chryste, nawet teraz reaguję bardzo impulsywnie i spontanicznie. Kiedy Danny mówił o tych drzewach, wrzosowiskach, deszczu i morzu, w duchu przyznałam mu rację, ale to wcale nie znaczy, że się tu nudzę. Cały czas dręczy mnie myśl. że... Tam, w ciemności, jest ktoś, kto zakleił mi usta taśmą, kto próbował poderżnąć mi gardło, ktoś, kto zrobiłby to jeszcze raz, gdyby tylko miał okazję...

- Przestań.

- To jeszcze nie koniec. Nawiedzają mnie koszmary i często nie wiem, czy to jawa czy sen. Dom w środku nocy. Błysk latarki na dworze, uchylone okno, czyjeś kroki na skrzypiących schodach. Budzę się z taśmą na ustach i z nożem na szyi. Idą do twojej sypialni, potem do sypialni Elsie...

- Przestań. - Omal nie krzyknęłam. - Nie wolno ci tak mówić. Nie masz prawa.

Ten gorzki smak w gardle. Zrobiło mi się niedobrze.

- Czyje uczucia próbujesz chronić? - spytała Finn. - Moje czy swoje?

- Swoje. Choć raz swoje.

- A więc wiesz, jak to jest. Wpadłam w złość.

- Wiem i od dawna wiedziałam. Tak, wiedziałam. Nie powinnaś była mówić tego o Elsie. Nie wciągaj w to mojej córki.

- Bardzo chcę, żeby ich schwytano, Sam. Było w tym coś dziwnie teatralnego.

- Wszyscy tego pragniemy.

- I bardzo chcę pomóc. Myślę o tym i myślę. Cały czas próbuję przypomnieć sobie coś, co pomogłoby policji. Jakiś zapach, głos, sama nie wiem...

Wino, buchające z kominka ciepło, późna godzina - nie mogłam zebrać myśli. Czyżby Finn próbowała dać mi coś do zrozumienia? Potrząsnęłam głową.

- Finn, czy jest coś, o czym nie chcesz mówić? Czego nie powiedziałaś policji?

- Nie, chyba nie. Przynajmniej...

- Czy tamtej nocy stało się coś jeszcze? Coś, o czym nikt nie wie?

- Nie, dlaczego? Bardzo bym chciała, żeby się stało, i żebym to pamiętała. A może po prostu nie potrafię stawić temu czoła? Może tchórze? Sam, ja chcę pomóc, naprawdę. Zrób coś. Proszę cię, zrób coś...

Objęła mnie i przytuliła się tak mocno, że czułam bicie jej serca. Przywarła do mnie całym ciałem, rozpaczliwie, desperacko. Przeszły mnie ciarki. Ona, ja - to było złe, to było niedopuszczalne. Poczułam się nagle tak, jakby próbował mnie uwieść ktoś, kto wie, że go nie odtrączę. Objęłam ją gestem matki pocieszającej skrzywdzone dziecko, jednocześnie widziałam, jak ją obejmuję i zastanawiałam się, co tak naprawdę robię. Nie chciałam być jej lekarką, nie wierzyłam, że pomogę jej jako przyjaciółka, a teraz dostrzegła we mnie pokrewną duszę i kogoś w rodzaju psychodetektywa.

- Sam - zawodziła - Sam. Jestem taka samotna, taka bezbronna... - Jeśli przeżywała jakiś kryzys, wołałabym bardziej nad tym panować i nie czuć się manipulowana.

- Przestań. Uspokój się. Przestań. Finn! - Odepchnęłam ją. Oczy miała mokre i napuchnięte, oddychała ciężko i chrapliwie. - Posłuchaj. Jesteśmy tu po to, żeby podtrzymywać cię na duchu i chronić. Nie stanie ci się nic złego. Rozumiesz? Poza tym, jest całkiem możliwe, że po silnym wstrząsie psychicznym i fizycznym-częściowo straciłaś pamięć, ale da się to wyleczyć. Już późno. Jesteśmy zmęczone i podenerwowane. Nie pora o tym rozmawiać. Można zrobić wiele rzeczy, ale wątpię, czy byłabym dla ciebie odpowiednią terapeutką. Z wielu powodów, a przede wszystkim dlatego, że w twoim przypadku i w tym otoczeniu, nie mogłabym zastosować pewnych metod leczenia. Trzeba to dokładnie przemyśleć. Uważam, że recepcja... Nie, po co ten żargon. Traktuję cię jak bliską przy-

jaciółkę. I powtarzam: musimy to wszystko przemyśleć. Ale nie w tej chwili. Może nawet nie jutro. A teraz idź spać.

- Dobrze - odrzekła skruszonym, łamiącym się głosem.

- Natychmiast.

Kiwnęła głową, wypila ostatni łyk kawy i bez słowa wyszła. Ciężko westchnęłam. Co ja sprowadziłam na ten dom? W dodatku Elsie uwielbiała ją teraz jak nikogo innego na świecie. Dlaczego tak ich krzywdzę?

Poszłam na górę. Zrzuciłam ubranie, wślizgnęłam się po ciemku pod kołdrę i przytuliłam do Danny'ego. Pieściłam go wszędzie, i po, i nad, i pod i między - bardzo go pragnęłam. Odwrócił się, przygarnął mnie mocno do siebie, pocałował i uszczypnął zębami w wargę. Poczułam na ciele dotyk szorstkich rąk. Wgryzłam się zębami w jego ramię, żeby nie krzyknąć z rozkoszy tak wielkiej, że aż przerażającej. Zrzucił mi ręce za głowę, przytrzymał je i dotknął mnie tak, jakbym spała z nim pierwszy raz. Wiłam się i skręcałam jak wąż.

- Nie ruszaj się - szepnął. - Leż spokojnie.

Robił to gwałtownie i agresywnie, dając upust tłumionej pasji, może nawet gniewowi. Ani razu nie wypowiedział mego imienia, lecz patrzył na mnie w taki sposób, że musiałam zamknąć oczy. Gdy było po wszystkim, poczułam się zbita i obolała. Danny oddychał wolno i regularnie, więc pomyślałam, że śpi. Wtem przemówił niewyraźnym, zaspanym głosem człowieka, który nie jest w stanie pozbierać myśli.

- Przyjrzałaś się Finn? - wymamrotał. - Ale tak dokładnie, jak wielka lekarka... - Zaczęłam coś mówić, lecz on mamrotał dalej, jakby w ogóle mnie tam nie było. - A może widzisz tylko siebie, Elsie, dom, wieś i swoją nową przyjaciółkę? - Zaskrzypiało łóżko i poczułam na szyi jego oddech. - Przyjrzałaś się jej... Jak to się mówi? Obiektywnie. Naukowo.

- Masz na jej punkcie jakąś obsesję? - I nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. - Fantazjowałeś na temat Finn?

Zabrakło mi tchu, słyszałam, jak wali mi serce.

- Ty nic nie rozumiesz, co? - Odwrócił się do mnie plecami.

- Dobranoc, Danny.

- Dobranoc, Sam.

Kiedy obudziłam się rano, już go nie było.

21

- Wolno tu wchodzić?

- Pod warunkiem, że nie będziesz niczego dotykała - odrzekła Finn.

- Spokojna głowa, ani myślę.

Gorąco, wszędzie kłęby pary, syk i pobrzękiwanie pokrywek - kuchnia przypominała laboratorium chemiczne. W użyciu były wszystkie naczynia i przybory. Coś skwierczało na patelni, z rozdygotanej sosjerki buchała para, w garnku moczyły się jakieś liście, a w piecyku dochodziły piersi kurczaka. Finn siekała coś na krajalnicy. Katatata - brzmiało to jak warkot werbla.

- Nie rozumiem, jak można robić tyle rzeczy naraz - powiedziałam. - Kiedy próbuję coś ugotować, muszę robić wszystko po kolei, ale i tak nic z tego nie wychodzi.

Zaprosiłam na kolację dwoje przyjaciół. W normalnych okolicznościach odgrzałabym w mikrofalówce kilka gotowych dań ze sklepu, ale Finn powiedziała, żeby zdać się na nią, że przyrządzi coś prostego. Podrzuciwszy Fisie do szkoły, przejechałyśmy ponad trzydzieści kilometrów, mijając po drodze wsie, sklepy z antykami i padoki szkółek jezdzieckich, aż dotarłyśmy do supermarketu bardzo podobnego do tych, w których robiłam zakupy w Londynie. Ja wrzuciłam do koszyka kilka mrożonek i płyn do zmywania naczyń, natomiast Finn poszła po prawdziwe jedzenie: po piersi kurczaka bez celofanu, po grzyby i drogi ryż w małych pudełkach, rozmaryn, czosnek,

oliwę z oliwek, warzywa i po białe i czerwone wino. Widząc, że wózek się wypełnia, spróbowałam ją trochę przystopować.

- Sara i Clyde są tacy sami jak ja. Całe życie w pracy, całe życie jedzenie na wynos. Wyżarło im kubki smakowe, nie czują smaku...

- Ciesz się i raduj, bo życie jest krótkie - odparła. Z wrażenia omal nie rozdziawiłam ust.

- Właśnie dlatego nie zawracam sobie głowy jedzeniem.

- Wstydz się. Jesteś lekarką.

Finn stawiała się niepokojąco władczą, a ja dziwnie uległa; czułam się jak gość we własnym domu. Przyszło mi do głowy -za późno tę myśl odpędziłam - że w ciągu tych kilku tygodni ona doszła do siebie i ponownie rozkwitła, tymczasem ja straciłam kontrolę nad tym, co robię. Elsie prawie się w niej zakochała, Danny znowu wyjechał, moim ośrodkiem zawładnęli kapitaliści, a książka leżała odłogiem.

Do czwartej po południu kuchnia przypominała szpitalną izbę przyjęć. Trochę popracowałam, trochę pobawiłam się z Elsie, położyłam ją spać i kiedy weszłam tam dwie godziny później, izba przyjęć zmieniła się w oddział intensywnej opieki medycznej. Tu coś popiskiwało, tam bulgotało, lecz działo się w sumie niewiele. Badawczy ruch łyżką, sondujące dźgnięcie widelcem, niuch tu, niuch tam. to wszystko.

Sara i Clyde przyjechali kilka minut po siódmej, zadyszani i bardzo cnotliwi w swych świecących kombinezonach. Do Stamford dotarli pociągiem, a stamtąd przypedałowali rowerami. Wzięli kąpiel, zeszli na dół w dzinsach i obszernych koszulach i tak rozpoczął się wieczór cudów. Nawet gdybym podała na kolację pizzę z pizzerii i sześć piw, szalałabym po kuchni z obłędem w oczach. Lecz tego wieczoru było inaczej: tego wieczoru panowała atmosfera błęgiego spokoju. Na stole stały dwie otwarte butelki wina. a obok nich oliwki i maleńkie kanapeczki z serem i salami. Stół był pięknie nakryty, wszędzie

unosił się zapach pysznego jedzenia, nie miało się przy tym wrażenia, że ktoś coś robi. Finn nie miała zaczerwienionej z gorąca twarzy i nie wybiegała co chwilę do kuchni, żeby ratować jakiś garnek. Siedziała z nami, dolewała nam wina i nie rzucała się w oczy. Była w luźnych, jasnych spodniach i czarnej bluzce i miała zaczesane do tyłu włosy. Cholera, naprawdę mi imponowała.

Zaprzyjaźniłam się z Sarą i Clydem nie tylko dlatego, że byliśmy razem na stażu, ale i dlatego, że oboje są wysocy i smukli jak ja. Sara miała już zmarszczki wokół oczu i długie, szare włosy. Długonogi Clyde wciąż miał urodę Clarka Kenta i sylwetkę wioślarza - był członkiem uniwersyteckiej drużyny wioślarskiej - z tym, że trochę schudł, a jego sterczące jabłko Adama teraz sterczało jeszcze bardziej. Wszyscy troje osiągnęliśmy zawodowy sukces, dlatego żadne z nas się nie wywyższało. Clyde i Sara mieli prywatną praktykę w Tower Hamlets. W wolny weekend ładowali rowery do pociągu, wyjeżdżali na wieś i odwiedzając przyjaciół, do niedzieli wieczorem zaliczali zwykle ponad dwieście kilometrów. W ten weekend mój dom był ich pierwszym przystankiem.

- Jutro jedziemy do Helen. Wiesz, do Helen Farlowe.

- Gdzie ona mieszka?

- W Blakeney, w północnym Norfolkku.

- Chryste, zasłużycie sobie na porządną kolację.

- I o to chodzi.

Wyszliśmy z drinkami na dwór, żeby przejść się „po ogrodzie”, jak nazwałam mój zapuszczony spłachetek ziemi. Sara rozpoznawała ptaki po ich śpiewie, a Clyde nazywał rośliny i kwiaty, których najładniejsze okazy - o czym dowiedziałam się dopiero teraz - w entuzjastycznym napadzie pielienia wyrzuciłam na kompost. Potem Finn zawołała nas do domu i zjedliśmy ryż z duszonymi grzybami, pierś kurczaka pieczoną na oliwie z czosnkiem i rozmarynem, młode ziemniaki i świeże warzywa.

- W przeciwieństwie do mnie - wyjaśniłam siedzącej na-

przeciwko Finn - Sara i Clyde zostali w Londynie i ciężko pracują.

- Nie powinnaś robić sobie wyrzutów - odrzekła z uczuciem Finn.

Sara parsknęła śmiechem.

- Nie przejmuj się. Sam nie słynie z angielskiej skromności i rezerwy.

- Na pewno nie ze skromności - potwierdziłam. - Najważniejsze to konsekwentnie umniejszać swoją wartość, bo wtedy wszyscy ci mówią, że jesteś wspaniała. Bosko. Prawdziwy raj.

Finn pokręciła głową z pełnym zadumy uśmiechem.

- To chyba nie tak - odrzekła. - Nie sądzę, by ludzie byli niezależni na tyle, żeby kogoś obiektywnie ocenić. Za dużo z tym kłopotu. Oceniają cię tak, jak oceniasz samą siebie. Jeśli powiesz, że jesteś dobra, większość ci uwierzy. Jeśli jesteś skromna, natychmiast się z tobą zgodzą.

Po tym żarliwym oświadczeniu przy stole zapadła głucha cisza. Przerwał ją Clyde.

- A ty, Fiono? Czym się zajmujesz? Tylko pamiętaj, że nie oczekujemy po tobie skromności.

- Piszę pracę dyplomową.

- Z czego?

- Z historii nauki.

- A konkretnie?

- Nie chcę was zanudzać...

- Ależ skąd - nalegała Sara. - Opowiadaj. I chwal się, jak każdy z nas. Masz do tego pełne prawo.

Finn zerknęła w moją stronę. Wiedziałam, że zaraz dojdzie do katastrofy i rozpaczliwie próbowałam coś wymyślić, ale wszystko co wymyśliłam, tylko pogorszyłoby sprawę. Ponownie zapadła cisza. Finn sięgnęła po butelkę, dołała sobie wina i wypła mały łyk.

- Naprawdę chcecie tego słuchać? - spytała.

- Z ciekawości nie możemy usiedzieć na miejscu - odrzekł Clyde.

- Dobrze, sami tego chcieliście. Piszę pracę na temat klasyfikacji zaburzeń psychicznych ze szczególnym uwzględnieniem psychicznych zaburzeń pourazowych.

- A teraz przetłumacz to na angielski.

Finn puściła do mnie oko, ale zrobiła to tak sprytnie i szybko, że oprócz mnie nikt tego nie zauważył.

- Zasadniczo rzecz biorąc, postawiłam sobie pytanie, czy określona jednostka chorobowa istniała, zanim nadano jej konkretną nazwę. Została odkryta? Rozpoznana? Czy może wymyślona? Ludzie od zawsze łamali sobie ręce i nogi, od zawsze mieli wrzody. Ale czy na przykład neandertalczyki cierpieli na urazy psychiczne po walce na kamienne topory i noże?

- Po pierwszej wojnie światowej odkryto istnienie nerwicy frontowej, prawda? - wtrącił Clyde.

- Tak, ale wiesz, skąd się wzięła ta nazwa?

- Nie.

- Uważano, że wybuchy pocisków artyleryjskich powodują uszkodzenia nerwów biegnących wokół kręgosłupa. Pierwsze przypadki tej choroby rozpoznano jeszcze w czasach wiktoriańskich, po pewnej katastrofie kolejowej. Ofiary katastrofy doznały głębokiego szoku, lecz nie stwierdzono u nich żadnych urazów fizycznych. Uznano zatem, że szok był wynikiem silnego wstrząsu i nazwano ten przypadek „kręgosłupem kolejowym”. Kiedy podobne symptomy zaobserwowano w okopach, założono, że są wynikiem oddziaływania fali uderzeniowej po eksplozji pocisków artyleryjskich. Zastanawiano się też nad czymś innym: może była to całkiem naturalna reakcja? Może żołnierze reagowali w ten sposób nie na wybuchy, tylko na szaleństwo wojny? Ale potem ci, którzy mieli najwięcej do powiedzenia, nazwali te objawy psychicznymi zaburzeniami pourazowymi i postanowili leczyć je w szpitalach i klinikach.

- A więc uważasz, że to zwykły wymysł?

- Nie wiem. To Samantha jest specjalistką.

- A jak się spotkałyście?

- Koleżanka z wydziału słyszała o jej badaniach. Zebrałam sporo materiałów statystycznych, Sam miała wolny pokój, więc doszłam do wniosku, że fajnie by było trochę z nią pomieszkać. Miałam dużo szczęścia. Wierzę, że uda się jej zredefiniować temat i ustalić poprawną systematykę psychicznych jednostek chorobowych. To byłby prawdziwy przełom. Cieszę się, że choć trochę mogę jej pomóc.

Sara spojrzała na mnie i spytała:

- Fascynujące. A jak twoje badania? - Cisza. - Sam?

- Co?

- Jak twoje badania?

- Przepraszam, zamyśliłam się. Badania? Świetnie, świetnie...

- I ona na dodatek umie gotować.

- Tak - odrzekłam cicho. - Tak...

Nie pozwoliłam Finn zmywać i kategorycznie wyprosiłam ją z kuchni, żeby posiedziała z Clydem. Ja stałam przy zlewie, Sara wycierała.

- Jak twoja książka?

- Leży.

- O Boże... Kiedy skończysz, może dasz mi ją do przejrzenia?

- Bardzo chętnie, ale będziesz długo czekać.

- A jak Danny?

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparłam i ku swemu przerażeniu spostrzegłam, że wilgotnieją mi oczy.

- Dobrze się wam układa?

Nie ufając własnemu głosowi, tylko wzruszyłam ramionami. Sara zerknęła na mnie, metodycznie wypolerowała łyżkę i schowała ją do szuflady.

- Fiona to prawdziwy skarb - powiedziała.

- Tak - odrzekłam ponuro.

- Uwielbia cię. Jesteś jej idolem.

- Chyba nie.

- Chyba tak. Obserwowałam ją przy kolacji. Nie odrywała od ciebie wzroku. Naśladowała twoje miny, twoje gesty. Kiedy opowiadała o swojej pracy, cały czas patrzyła tylko na ciebie, jakby chciała się upewnić, czy dobrze mówi, i sprawdzić, jak reagujesz.

- Nie mów tak, bo ciarki mnie przechodzą.

- Przepraszam, nie chciałam.

- Nie sądzisz, że to dość powszechne? Relacja nauczyciel-uczeń. Tak samo jak z pacjentkami, które przywiązują się do swoich lekarzy. Zresztą Fiona niedługo wyjeżdża.

Sara uniosła brew.

- Tak? Myślałam, że pomaga ci w badaniach.

- Chwilowo.

- Jak ty sobie bez niej poradzisz?

Sara i Clyde wyjeżdżali bladym świtem, dlatego po kawie i krótkiej pogawędce poszli spać. Finn leżała na podłodze z książką.

- To było niesamowite.

- Co?

- Myślałam, że dostanę zawału, kiedy Clyde zaczął cię wypytywać.

Odłożyła książkę i podkurczyła kolana.

- Przeraziłam się, ze względu na ciebie i spróbowałam wymyślić coś przekonującego. Mam nadzieję, że dobrze mi poszło.

- Dobrze? Miałam ochotę przeczytać twoją pracę! To nie do wiary, że aż tyle sobie przyswoiłaś. Jesteś zdumiewającą dziewczyną, Finn. Przepraszam, kobieto.

- Wszystko dzięki tobie. Po prostu interesuje mnie twoja praca. Kiedy Clyde zaczął mnie wypytywać, początkowo okropnie spanikowałam, ale po chwili wiesz, co zrobiłam? Wyobraziłam sobie, że jestem tobą i spróbowałam powiedzieć to, co powiedziałabyś ty.

- Szkoda - odrzekłam ze śmiechem - że nie możemy zamienić się rolami. Jako ja byłabyś dużo lepsza ode mnie.

Ruszyłam w stronę schodów, ale mnie zatrzymała.

- Wiesz, chciałabym, żeby to trwało i trwało.

- Hm?

- Uwielbiam tak żyć. Nie śmieję się. Kocham ciebie, kocham Elsie i lubię się nią zajmować. Danny też jest cudowny. I Michael... Uratował mi życie, bez niego byłabym nikim. Nie wiem, czy kiedykolwiek odwdzięczę mu się za to, co dla mnie zrobił. - Spojrzała na mnie z błaganiem w oczach. - Dlatego...

Nadeszła chwila, na którą czekałam, i przyjąłam to z wielką ulgą. Uklękłam.

- Nie możesz, Finn. Masz swoje życie. I wkrótce będziesz musiała zacząć nim żyć. Sama widzisz, że jesteś silna. Dasz sobie radę.

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Tu, w domu, czuję się bezpieczna - szepnęła. - Na dworze czai się strach.

22

Danny'ego poznałam na przyjęciu, chociaż z zasady na przyjęciach spotykam tylko tych, których już znam. Było to pod sam koniec imprezy, w tej miłej, luźnej fazie wieczoru, kiedy większość gości już wyszła, kiedy gospodarze wynoszą szklanki do kuchni i opróżniają przepełnione popielniczki, kiedy ci, którzy zostali, nareszcie czują się swobodnie, kiedy z magnetofonu lecą słodkie, wolne kawałki, kiedy już nie trzeba się uśmiechać i błyszczeć inteligencją i kiedy chciałoby się, żeby wieczór potrwał trochę dłużej. I właśnie wtedy przez pokój przeszedł Danny ze wzrokiem utkwionym we mnie. Pamiętam, miałam tylko nadzieję, że nie jest głupi; jakby ktoś równie przystojny nie mógł być też inteligentny i jakby życie

było sprawiedliwe. Zanim zdążył się do mnie odezwać, wiedziałam, że będziemy mieli romans. Przedstawił się, spytał, jak mam na imię, powiedział, że jest marnym aktorem i bardzo dobrym stolarzem, a ja powiedziałam, że jestem lekarką. A potem dodał - tak zwyczajnie, po prostu - że chciałby się ze mną umówić, a ja odrzekłam, że chętnie. Po powrocie do domu, gdy zapłacałam opiekunce, zrzuciłam buty i napatrzyłam się na śpiącą Elsie - odsłuchiłam wiadomości na automatycznej sekretarce: Danny zapraszał mnie na kolację nazajutrz wieczorem. Musiał zadzwonić, gdy tylko wyszłam z przyjęcia.

Rzecz w tym, że Danny nigdy nie udaje, nie gra w żadne gierki. Przychodzi, odchodzi, czasami nie odzywa się do mnie przez kilka dni i nie wiem nawet, gdzie przepadł. Ale zawsze jest ze mną szczery i bezpośredni: kłócimy się, godzimy, krzyczymy na siebie i przepraszamy. Nie ma w sobie nic z krętacza. Nie wyjedzie wyłącznie po to, żeby dać mi nauczkę. Nie będzie zwlekał z telefonem tylko po to, żebym trochę pocierpiała.

Czekałam wiele dni. Po powrocie do domu natychmiast sprawdzałam, czy się nie nagrał. Sprawdzałam, czy Elsie nie straciła słuchawki. Ilekroć dzwoni! telefon, jak zdenerwowana nastolatka czekałam do drugiego czy trzeciego dzwonka i dopiero wtedy podnosiłam słuchawkę, by się przekonać, że to znowu nie on. Chodziłam późno spać, bo myślałam, że zaraz wejdzie do salonu, ot, tak, jakby nigdy nic. Podniecona, budziłam się w środku nocy, myśląc, że jest ze mną. Spałam jak zając na miedzy, zrywał mnie z łóżka każdy odgłos, czy to warkot samochodu na odległej drodze, czy szum wiatru, czy hukanie sowy. Dzwoniłam do niego, ale nikt nie podnosił słuchawki, a automatyczna sekretarka była wyłączona. Po tygodniu udreki zatelefonowałam do Ronana, jego najlepszego przyjaciela, i spytałam go obojętnie, czy nie widział ostatnio Danny'ego.

- Znowu się pożarliście? - rzucił wesoło. - Nie, nie widziałem go. Myślałem, że jest u ciebie.

Podziękowałam mu i już miałam przerwać połączenie, gdy dodał:

- Skoro już o tym gadamy, trochę się o niego martwię. Co mu jest?

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ostatnio jest jakiś taki markotny. Wiecznie zadumany...

- Mamusiu?

- Tak, kochanie.

- Kiedy przyjedzie Danny?

- Nie wiem, Elsie. Jest zajęty. Tęsknisz za nim?

- Obiecał zabrać mnie na kukielki i chcę mu pokazać, jak robię gwiazdę.

- Kiedy wróci, na pewno będzie z ciebie dumny. A teraz obejmij mnie i przytul.

- Mamusiu, nie tak mocno, to boli! Jestem jeszcze malutka.

- Sam.

- Uhm.

- Kiedy wraca Danny?

- Nie wiem, Finn. Na miłość boską, ty też nie możesz bez niego żyć?

Wróci, kiedy zechce.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne. Pewnie. Szlag by to trafił, idę na spacer.

- Chcesz, żebym...

- Nie. Sama.

- Sam, ojciec pyta, czy nie przyjechalibyście do nas w przyszłą niedzielę. Pomyśleliśmy, że... No wiesz, że najwyższa pora poznać lepiej Danny'ego.

- Bardzo chętnie, mamo, dzięki. To miło z waszej strony,

ale czy mogłabym do ciebie oddzwonić? To niezbyt dobry moment.

- Aha - mruknęła z urażoną dumą, a ja ni z tego, ni z owego zateśkniłam za domem. Obce, zupełnie nie proszone uczucie. -No cóż... Dobrze.

Tak, to zdecydowanie niedobry moment.

Przeszłam przez supermarket jak burza, z głową bolącą od nie kończących się rozmów z kandydatkami na sekretarki w szpitalu. Mrożony groszek. Płyn do kąpieli z bohaterem jakiejś kreskówki na butelce. Paluszki rybne. Trójkolorowy makaron. Herbata w torebkach. Herbatniki i biskwity. Pies mu mordę lizał, pies mu mordę lizał, pies mu mordę lizał. Chleb czosnkowy. Masmix. Krojony razowiec. Masło orzechowe. Żeby tylko wrócił, żeby tylko wrócił, co zrobić, żeby wrócił? Skrzydełka kurczaka po chińsku. Chrupkie, zielone jabłka prosto z Przylądka Dobrej Nadziei; w dzisiejszych czasach są już OK. Trzy kartony zupy, soczewica, szpinak, pasternak w curry do odgrzania w mikrofalówce. Lody waniliowe. Ciasto orzechowe; podgrzewać zamrożone. Belgijskie piwo. Nie powinnam była przeprowadzać się na wieś, nie powinnam była przyjmować jej pod swój dach. Cheddar i mozzarella. Jedzenie dla kota: królik, kurczak, łosoś i puszysta kocia mordka na puszcze. Chipsy. Orzechy. Telewizyjna kolacja na jedną osobę.

Drzwi były zamknięte na klucz. Weszłam i zawołałam Finn, ale Finn nie było. Wyładowałam torby, wepchnęłam jedzenie do przepelnionego zamrażalnika, nastawiłam czajnik, włączyłam radio, ale zaraz je wyłączyłam. Potem wzięłam głęboki oddech i weszłam do gabinetu, żeby sprawdzić sekretarkę. Światelko nie mrugało: nikt do mnie nie dzwonił.

Ale na biurku leżał list. List zaadresowany do mnie - musiałam oprzeć się o biurko - charakterem pisma Danny'ego.

Był tu. Przyjechał, kiedy robiłam zakupy i nie chcąc się ze mną widzieć, zostawił wiadomość. Podniosłam kopertę, odwróciłam ją i przez chwilę po prostu na nią patrzyłam. W środku były dwie kartki papieru. Na wierzchu - list od Danny'ego. Brudny, uwalany czymś papier. I tylko kilka słów, najwyraźniej pisanych w pośpiechu, lecz nie ulegało wątpliwości, że są to jego słowa.

Sam

Żegnaj. Przepraszam. Ja Danny

I tyle. Widać chciał się przede mną usprawiedliwić, ale zrezygnował i nawet nie dokończył zdania. Piersi podnosiły mi się i opadały. Palcami dotykałam szorstkiego blatu biurka. Powoli odłożyłam list. Drżały mi ręce. Spojrzałam na drugą kartkę, pokrytą błękitnymi zawijasami i podkreśleniami.

Kochana Sam... - Ciekawe, skąd ta nagła intymność. Czyżby po ucieczce z moim kochankiem zaczęła traktować mnie jak rodzoną siostrę? - To szaleństwo, wiem. Nie mogliśmy bez, siebie żyć. - Bardzo wzruszające. Miłość jak z kolorowych czasopism dla kobiet. Szaleństwo, przeznaczenie, gwałtowny poryw uczuć. - Przepraszam, że tak bardzo Cię ranię.

Całuję. Finn.

Włożyłam oba listy do koperty, kopertę położyłam tam, gdzie ją znalazłam. Danny i Finn, Danny i Finn. Wzięłam jego zdjęcie - tyłem do aparatu, patrzył w obiektyw z odwróconą głową - i schowałam je do szuflady biurka. Wbiegłam do pokoju Finn. Połóżono łóżko, na łóżku starannie złożony ręcznik. Zeszłam na dół. Brakowało jednej kurtki, tej granatowej. Czy to jakiś koszmarny dowcip, którego za nic nie potrafiłam zrozumieć? Nie. Oni uciekli. Oboje. Powiedziałam to na głos, żeby w końcu zrozumieć, co się stało.

- Uciekli. Finn. - Zagryzłam zęby. - I Danny. Spojrzałam na zegarek. Za dwie godziny wróci Elsie. Widok

jej małego ciała tulącego się do szczupłego ciała Finn, jej bladej, poważnej twarzyczki, zadartej główki, oczu wpatrzonych w uśmiechnięte oczy Finn. Gwiazdy, które ćwiczyła na przyjazd Danny'ego. Zamarłam. W gardle narosła mi gorzka gula. Stałam przy zlewie, spryskałam sobie twarz i wypłam dwie szklanki zimnej wody. Potem weszłam do gabinetu, podniosłam słuchawkę telefonu i trzykrotnie wcisnęłam ten sam przycisk.

- Poproszę Stamford dwadzieścia dwa, czterdzieści trzy. -Chwila ciszy. - Chciałabym rozmawiać z inspektorem Frankiem Bairdem... To niech go pan znajdzie.

Baird przyjechał niecałą godzinę później. Baird i Angeloglou. Obaj byli zdenerwowani i poważni. Nie patrzyli mi w oczy. Mój rozdygotany umysł skupił się nagle na tym, jak bardzo różnią się wyglądem. Baird, rostry, potężny, w pijącym pod pachami garniturze, miał wielką głowę i rude włosy. Angeloglou, bardziej elegancki i zadbany, był w mocno zaciśniętym krawacie, a na głowie miał ciemne kędziory. Jak on je rozczesywał? Spoglądali na mnie czujnie i podejrzliwie, jak na kogoś obcego. Nie byłam już psychiatrą - byłam porzuconą, roztrzęsioną kobietą. A ponieważ Danny uciekł z Finn, uważali go pewnie za kogoś w rodzaju kryminalisty, chociaż, żaden z nich głośno tego nie powiedział. Ja do powiedzenia miałam niewiele. Prosta sprawa, nawet głupiec by to zrozumiał. Angeloglou zapisał coś w notatniku, przeczytali oba listy, weszli do sypialni Finn i zajrzeli do szafy. Wśród pustych wieszaków wisiała tylko jedna bluzka; nie było tam ani bielizny, ani butów, ani niczego. W pokoju panował porządek. Złożona kołdra, zużyta chusteczka w koszu na śmieci. Byłam dość opryskliwa, ale Baird chyba mnie rozumiał. Tuż przed wyjściem stanął w drzwiach i czerwieniąc się z zażenowania, przekreślił złotą obrączkę na grubym palcu.

- Pani Laschen...
- Pani doktor.
- Pani doktor, bardzo mi...
- Niech pan nic nie mówi. Ale dziękuje.

Do powrotu Elsie pozostało pół godziny. Posprzątałam w kuchni, przetrąłam stół i otworzyłam okno, ponieważ na dworze zapanowała wiosna. Zerwałam kilka pomarańczowych tulipanów i wstawiłam je do wazonu w salonie. Pobiegłam na górę, posłałam łóżko Elsie, odchyliłam prześcieradło i posadziłam na poduszce łysiejącego misia. Potem zaczęłam grzebać w szafkach, szukając czegoś na kolację. Ludziki z makaronu; Elsie je uwielbiała. No i kupiłam lody. Wymyłam zęby i spojrzałam na twarz, która przyglądała mi się z lustra. Uśmiechnęłam się, a ona posłusznie odpowiedziała uśmiechem.

Elsie zjadła makaronowe ludziki, spałaszowała lody i wykąpała się w wodzie z dodatkiem płynu z Pocahontas na butelce. Potem pobawiłyśmy się smętnie w szarady i przeczytałam jej trzy książeczki. Gdy skończyłam, spytała:

- Gdzie jest Fing?

Co to ja miałam powiedzieć?

- Chwilowo jej nie ma. - Nie, to nie to. - Finn wyjechała, kochanie. Miała tu zostać tylko przez jakiś czas. Ma swoje życie.

- Przecież się ze mną nie pożegnała.

- Prosiła mnie, żebym zrobiła to w jej imieniu - zełgałam. -Przysyła ci całusa. - Pocałowałam ją w zmarszczoną brew i lśniące, miękkie włosy. - I przytulaska. - Objęłam ją nerwowo, czując opór jej zeszywniałych ramion.

- Ale dokąd wyjechała?

- Do Danny'ego - odrzekłam z upiorną wesołością w głosie. - Będą razem mieszkali. Fajnie, prawda?

- Ale Danny jest nasz.

- Kochanie, przecież mamy jeszcze siebie. Ty mnie, a ja ciebie.

- Mamusiu, nie tak mocno!

Kiedy zasnęła, wzięłam długą kąpiel. Leżąc w wannie, myślałam o Dannym i Finn. Wyobrażałam ich sobie. Jej gładkie, młode ciało przygniecione ciałem dużym i silnym. Strzałka ciemnych włosów na jego piersi. Jej delikatny biust. Wyobraziłam sobie ich nogi splecione na moim łóżku, jej białe, jego owłosione i muskularne. Wielkie stopy Danny'ego - drugi palec o wiele dłuższy niż palec duży - podwinięte pod jej uległą łydkę. Czy patrzył na Finn z laką samą powagą, z jaką patrzył na mnie? Oczywiście. Przecież się kochali, sama tak napisała, prawda? Kocham cię, kocham - na pewno często to sobie mówili. Jak mogłam tego nie zauważyć? Nawet teraz byłam jak ślepa, gdyż patrząc wstecz, stwierdziłam, że ostatnie dni i tygodnie toną w gęstym mroku. Pieprzyli się w tym domu, tłumiąc jęki i westchnienia? Na pewno. Tu, w moim domu, w gniazdku, które z ufnością dla nich uwiłam. Zaćma. Kompletna zaćma. Ileż to razy siadywaliśmy we troje przed kominkiem albo w kuchni. Cały czas myślałam, że jestem w centrum ich zainteresowania, tymczasem oni mieli mnie gdzieś, oni zerkali na siebie, dotykali się pod stołem nogami, wymieniali się rozkosznymi wibracjami, elektrycznymi prądami i subtelnymi aluzijkami. Czy wchodząc w nią, wydawał ten smutny, rozdzierający jęk? Oczyma duszy wyobraziłam sobie, jak się nad nią przeży, jak z wysiłku marszczy brwi, jak ocieka potem, jak ona się do niego uśmiecha. Wyszorowałam się energicznie, energicznie wtarłam szampon we włosy. Byłam zmęczona, lecz straszliwie rozbudzona. Potem, z głową oblepioną upiorną czerwienią, spojrzałam w lustro. Dotknęłam worków pod oczami, powiodłam palcami po wysuszonej twarzy. Wyglądałam jak starzejąca się wrona.

Włożyłam stare dresy i rozpałam w kominku, wtykając

między polana zwinięte gazety, puste koperty i kartonowe pudełka po płatkach. Gdy buchnął słomiany ogień i w twarz uderzyła mnie fala złudnego gorąca, usłyszałam pukanie do drzwi.

- Sam.

W progu stał Michael Daley z szeroko otwartymi ramionami. Gest śmieszny, tragiczny i teatralny. Czego się po mnie spodziewał? Że w nie padnę? Wyglądał tak, jak ja się czułam. Był blady i wstrząśnięty.

- Michael, cóż za niespodzianka - rzuciłam sarkastycznie. -Ciekawe, co cię tu sprowadza.

- Nie bądź taka, Sam. Przez godzinę gadałem z tym policjantem, z Bairdem. Tak mi przykro. Nie mogę w to uwierzyć, ale strasznie mi przykro. To moja wina. Jeśli tylko mógłbym coś dla ciebie zrobić... Jadę do Londynu, ale musiałem cię zobaczyć.

Ku swemu przerażeniu poczułam, że wilgotnieją mi oczy. Gdybym się rozplakała, nie mogłabym przestać. Boże, tylko nie to. Nie chciałam, żeby widział mnie zaryczaną. Skup się, Sam, skup.

- Do Londynu? Po co?

- Nic ważnego. Lecę do Belfastu na konferencję. Fundusz kapitałowy. Koszmar. Tak mi przykro... - Mówił coraz ciszej i ciszej, wreszcie umilkł.

Odwróciłam się, a wówczas położył mi ręce na ramionach. Pachniał papierosami i winem. Miał rozszerzone źrenice.

- Przy mnie nie musisz być dzielna - szepnął.

- Muszę - warknęłam, strząsając ręce z ramion.

Ujął mnie pod brodę i dotknął palcem łązy na policzku. Długo patrzyliśmy sobie w oczy. Czego ode mnie chciał?

- Do widzenia, Michael - powiedziałam i zamknęłam drzwi.

To nie mnie rzucają. To ja ich rzucam. Poniżenie? Nie wiem, co to znaczy. Kiedy dorastałam, to zawsze ja siadałam z chłopakiem, patrzyłam mu prosto w oczy - kiedy nie chciałam zawracać sobie głowy, podnosiłam słuchawkę telefonu i mówiłam, że pora przestać się widywać. To moi chłopcy, moi byli chłopcy a nie ja, czuli się zranieni i odrzuceni. I nigdy wcześniej nie cierpiałam na bezsenność. Nawet w najgorszych chwilach - dopóki nie wyjechałam na wieś - spałam snem niewiniątka. Ale po ucieczce Danny'ego i Finn obudziłam się w środku nocy i już nie mogłam zasnąć. Dostałam gęsiej skórki, mój mózg pracował jak elektryczny silnik, który spala się powoli na jałowych obrotach. Na ramieniu poczułam znajomy ucisk. Nie, to nie on, to Elsie. Spała, cichutko posa-pując. Nie słyszałam, jak wpełzła do łóżka. Pocałowałam ją we włosy i nosek, rogiem kołdry wytarłam gorącą łzę, która spadła na jej czoło. Spojrzałam w okno. Ciemno. Nie widziałam zegarka. Nie widziałam budzika, a gdybym się poruszyła, obudziłabym Elsie, która już by nie usnęła.

Chciałabym wziąć skalpel i powoli, powolutku, jedno po drugim, zrobić tysiąc nacięć na ciele Danny'ego. Nie mogłam uwierzyć, że tak postąpił. Miałam ochotę wysledzić go i spytać, czy zdaje sobie sprawę, co zrobił Elsie, która tak bardzo na nim polegała. I czy zdaje sobie sprawę, co zrobił mnie. Rozpaczliwie pragnęłam go odzyskać. Chciałam go odszukać i powiedzieć, że gdyby tylko wrócił, moglibyśmy zacząć od nowa. Spróbować jeszcze raz. Przeprowadziłabym się do Londynu, wzięlibyśmy ślub, zgodziłabym się na wszystko, żeby tylko było jak dawniej.

I Finn. Chciałabym chwycić ją za tę piękną twarzyczkę i stłuc pięścią na miazgę. Nie. Najchętniej bym ją stratowała. Rozgniotła jak zgniłe jabłko. Przyjęłam ją pod swój dach, odsłoniłam przed nią najintymniejsze tajniki swego życia,

zdradziłam sekrety, których nie znał nikt inny, powierzyłam jej Elsie. Zaufałam jej bardziej niż rodzonej siostrze, a ona nadeła się, dmuchnęła i mój dom wyleciał w powietrze. Przypomniały mi się szczegóły protokołu z sekcji zwłok jej rodziców, bandaż na szyi, gdy zobaczyłam ją pierwszy raz. Była wtedy taka cicha, taka zastraszona - przypominała porcelanową figurynkę, która przy najlżejszym podmuchu wiatru mogła przewrócić się i roztrzaskać. Na moich oczach porcelana ponownie zmieniła się w żywe ciało i tyle z tego miałam. A może to kolejny symptom? Wołanie o pomoc smutnej, samotnej dziewczyny? I czyż ucieczka Danny'ego nie była klasycznym przykładem zachowania słabego mężczyzny? Czyż nie reagują tak faceci, którym schlebia atencja pięknej, młodej dziewczyny? Łzy spływały mi na skronie. Miałam mokre uszy.

Po godzinie tłumionego szlochania pogrążyłam się w zimnym bezruchu. Potrafiłam ocenić swoją reakcję obiektywnie, przynajmniej tak myślałam. Ból układał się warstwami, lecz u jego źródła leżało zawiedzione zaufanie - to robota Finn -i fakt, że Danny nas zostawił. Początkowo paliło mnie to żywym ogniem, doskwierało tak bardzo, jakby zależało od tego moje życie, lecz po chwili odrętwiałam i zaczęłam myśleć

- o czymś innym. Ogarnęło mnie poczucie zawodowej klęski. Tak, wielokrotnie powtarzałam, że Finn nie jest moją pacjentką

i usilnie protestowałam przeciwko temu głupiemu układowi. Ale nawet biorąc to wszystko pod uwagę, klęska była druzgocząca. Oddano mi pod opiekę ofiarę morderczego napadu, dziewczynę, która przeżyła potworny wstrząs psychiczny, i co? Zamiast powrotem do zdrowia, cały epizod zakończył się straszliwą farszą, bo dziewczyna uciekła z moim kochankiem. Zawsze chlubiłam się tym, że jestem samotnym myśliwym i że mam gdzieś, co myślą o mnie inni. Zawsze, lecz nie tym razem. Wyobraziłam sobie twarze moich zawodowych rywali i wrogów, Chrisa Madisona z Newcastle, Paula Mastronarde z Londynu. Uznają, że to zabawne, powiedzą, owszem, straszne też, ale szczerze mówiąc, dobrze jej tak, bo zawsze była

arogancka. Pomyślałam o Thelmie, która wpadła na ten pomysł. O Bairdzie, który od samego początku miał co do mnie wątpliwości, i o jego wesołych kumplach z komisariatu. Pewnie boki zrywają ze śmiechu.

A potem - Boże święty - pomyślałam o rodzicach i o Bobbie. Nie wiem, co byłoby gorsze: szok, wstyd i dezaprobata, a więc ich pierwsza reakcja, czy reakcja wtórna, w więc współczucie: ach, pójdź w me ramiona, marnotrawna córko. Był taki moment - trwał ułamek sekundy - kiedy wołałabym zasnąć i już się nie obudzić, niż stawić czoło koszmarowi dnia. Wiedziałam, że będzie straszny i nudny, a ja nie miałam siły.

Oczywiście, wszystko przez niski poziom cukru we krwi. Przytłumiony metabolizm charakterystyczny dla wczesnego poranka, który należało pobudzić dawką ruchu i pożywienia. Zasłony były już szare, a Elsie kręciła się niespokojnie z głową na moim ramieniu. Zdrętwiała mi ręką. Potarłam ją energicznie i powoli ożyła. Pieprzyć świat. Pieprzyć to, co myślą inni. Nikt nie przyłapie mnie na słabości. Chwyciłam Elsie pod pachy i wyrzuciłam ją wysoko w powietrze. Z krzykiem przerażenia i radości spadła na koc.

- Jeszcze raz, mamusiu! Jeszcze raz!

Ze śniadania zrobiłam przygodę. Jajka na bekonie, grzanka z dżemem i grejpfrut. Elsie zjadła swoją połówkę i podkraśla część mojej. Wypiłam kawę. O wpół do dziewiątej pojechałyśmy do szkoły.

- Co ci przypomina to drzewo!'

- Staruszka. Ma zielone włosy i zieloną brodę. A tamto?

- Drzewo już było.

- Jeszcze tylko tamto, jeszcze tylko tamto!

- No dobrze. Na wietrze wygląda jak... jak zielona chmura.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Nieprawda.

Zabawa skończyła się żartobliwą sprzeczką i śmiechem.

Gdy wracałam do domu, zza chmur wyjrzało słońce i na tle nieba wyrosły sylwetki domów. Nagle coś sobie postanowiłam. Będę doglądała Elsie i pracowała. Cała reszta jest diabła warta. Zrobiłam sobie kawy, weszłam do gabinetu, włączyłam komputer i skasowałam wszystko to, co do tej pory napisałam. Bzdurny bełkot, bezużyteczny produkt wymuszonego działania. Otworzyłam na chwilę plik z danymi statystycznymi, zamknęłam go i zaczęłam pisać. Wszystko miałam w głowie. Do materiałów źródłowych mogłam zajrzeć później. Pisałam prawie dwie godziny, nie odrywając wzroku od ekranu monitora. Zdania dosłownie spływały mi z palców i wiedziałam, że są dobre. Czułam się jak Bóg podczas tworzenia świata. Tuż przed jedenastą usłyszałam skrzypienie frontowych drzwi. Sally. Trudno. I tak miałam dolać sobie kawy. Wstawiłam czajnik i streściłam jej pokrótce ostatnie wydarzenia. Głos miałam spokojny, nie drżały mi ręce, nawet się nie zaczerwieniłam. Sally prawie to nie obeszło, a mnie zupełnie nie obeszło to, co sobie pomyślała. Sam Laschen ponownie wzięła się w garść. Ona zaczęła sprzątać, a ja wróciłam do gabinetu. W porze lunchu robiłam pięciominutową przerwę. W lodówce została połówka lasagne. Zjadłam ją na zimno. Era zdrowego żywienia minęła. Pół godziny później skończyłam rozdział. Kilka razy klinkęłam myszką. Cztery i pół tysiąca słów. W tym tempie za dwa tygodnie będę miała książkę z głowy. Wyjęłam z szafki dwa skoroszyty z danymi, szybko je przejrzałam, odłożyłam na miejsce i otworzyłam nowy plik: „Rozdział drugi. Wyzdrowienie: definicje”.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Na dworze. Samochód. Wysiedli z niego Baird i Angeloglou. Przez ułamek sekundy myślałam, że to widziadło z przeszłości, że mam halucynacje.

Przecież byli tu wczoraj. Czyżbym podświadomie odtwarzała znajomy koszmar? Nie, tylko nie to. Ktoś zapukał do drzwi. Pewnie wpadli tylko na chwilę, chcą, żebym coś podpisała... Gdy otworzyłam, wymienili spłoszone spojrzenia.

- Tak? - spytałam.

- Pomyśleliśmy, że może...

- Nie. Danny nie dzwonił, a jeśli zadzwoni, to ja mu... Ponownie wymienili dziwne spojrzenia. Co tu się działo?

- Nie o to chodzi. Możemy wejść? - spytał z udawaną obojętnością Baird. Ani się do siebie nie uśmiechali, ani nie puszczała oka. Baird robił wrażenie kogoś, kto próbuje naśladować zachowanie policjanta. Na jego czole lśniły krople potu, chociaż na dworze było zimno i wilgotno.

- Co się stało?

- Sam, możemy?

Zaprosiłam ich do salonu i usiedli na sofie. Wyglądali jak Flip i Flap. Baird pocierał palcami włochatą rękę jak ktoś, kto ma zaraz się odezwać. Angeloglou siedział nieruchomo i unikał mego wzroku. Mocno zaciskał zęby i miał napięte policzki.

- Niech pani usiądzie, Sam - powiedział Baird. - Mam złe nowiny. - Wciąż skubał włosy na prawej ręce. Były zadziwiająco rude, niemal czerwone, czerwieniejsze niż te na głowie. Nie mogłam oderwać od nich oczu. - Wczoraj wieczorem wezwano nas do wypalonego wraka samochodu za Bayle Street; to jakieś trzydzieści dwa kilometry stąd. Szybko ustaliliśmy, że jest to furgonetka marki renault zarejestrowana na Daniela Reesa.

- Jezus Maria... Rozbił się?

- W szoferce znaleziono dwa ciała. Dwa zwęglone ciała. Zwęglone do stopnia uniemożliwiającego bezpośrednią identyfikację, dlatego musimy przeprowadzić testy laboratoryjne. Ale powinna pani przygotować się na najgorsze. Jesteśmy niemal pewni, że są to zwłoki pana Reesa i Fiony Mackenzie.

Próbowałam zatrzymać tę chwilę jak najdłużej, jakby szok i konsternacja były najcenniejszymi stanami umysłu. Przecież nic gorszego nie mogło już mnie spotkać.

- Sam? Pani doktor? Słyszała pani, co powiedziałem? Bair mówił cicho i łagodnie, jak do dziecka siedzącego mu na kolanach. Kiwnęłam głową. Lekko. Nie było w tym geście nic histerycznego ani przesadnego.

- Słyszała pani, co powiedziałem?

- Tak, oczywiście. Bardzo dziękuje, że zechciał pan mnie zawiadomić. Nie będę panów zatrzymywała.

Chris Angeloglou nachylił się w moją stronę.

- Chciałaby pani o coś spytać? Coś powiedzieć?

- Przepraszam, ale... - Spojrzałam na zegarek. - Zaraz muszę jechać po... po córkę i...

- Czy Linda nie mogłaby pani zastąpić?

- Właśnie. Nie bardzo...

Patrząc na mówiącego Bairda, doskonale rozumiałam, co się dzieje. Patrzyłam na niego, słuchałam i jednocześnie z zawodowym zainteresowaniem obserwowałam, w jaki sposób przekazuje bolesne nowiny. Rejestrowałam też swoją reakcję. Policzki. Miałam mokre policzki i nagle zdałam sobie sprawę, że od jakiegoś czasu moim ciałem wstrząsa gwałtowny szloch. Płakałam i płakałam, niemal dławiąc się z bólu i smutku. Poczułam, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu, że przytyka mi kubek do ust, i zdziwiłam się, że tak szybko zagotowali wodę i zaparzyli herbatę. Wypiłam kilka łyków i sparzyłam sobie wargi. Chciałam coś powiedzieć, lecz nie mogłam. Kilka razy głęboko odetchnęłam i spróbowałam jeszcze raz.

- Rozbili się?

Baird tylko pokręcił głową.

- W takim razie co? - wychrypiałam.

- Kilka kroków od samochodu znaleziono list.

- Jaki list?

- Do pani.

- Do mnie? - powtórzyłam tępo.

- Tak, od Fiony Mackenzie. Píše, że kiedy uświadomili sobie, co zrobili, przede wszystkim pani, doszli do wniosku, że nie mają po co żyć i postanowili razem umrzeć.

- Popelnili samobójstwo? - spytałam jak idiotka.

- Tak zakładamy.

- To śmieszne. - Baird i Angeloglou milczeli. - Słyszycie? Śmieszne i absurdalne. Danny nigdy nie popełniłby samobójstwa. Nigdy. Przenigdy. W żadnych okolicznościach... On... Jak to zrobili?

Patrzyłam na Bairda. Trzymał rękawiczki i wykręcał je tak mocno, jakby chciał wycisnąć z nich wodę.

- Musi to pani wiedzieć?

- Muszę.

- Podpalono szmatę wetkniętą do wlewu paliwa. Wygląda na to, że się zastrzelili. Pojedynczym strzałem w głowę. W samochodzie znaleziono pistolet.

- Pistolet? Skąd go wzięli?

Rupert z trudem przełknął ślinę i założył nogę na nogę.

- Sprawdziliśmy, był zarejestrowany na Leopolda Macken-ziego - wymamrotał.

Chwilę trwało, zanim zdałam sobie sprawę, co powiedział, a kiedy to wreszcie nastąpiło, z wściekłości zawirowało mi w głowie.

- Chce pan powiedzieć, że Finn weszła w posiadanie pistoletu ojca? - Zawstydzony Baird wzruszył ramionami. - I że trzymała go w tym domu? Nie wiedzieliście, że Mackenzie miał broń i że broń ta zaginęła?

- Nie. To dla nas bardzo trudne i wiem, że musi być trudne dla pani.

- Niech pan skończy z tym psychologicznym bełkotem i przestanie traktować mnie jak dziecko.

- Nie to miałem na myśli. Chciałem tylko powiedzieć, że jest pani w szczególnie trudnej sytuacji.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Dlaczego?

- Bo zdarza się to pani drugi raz. Opadłam na fotel zrozpaczona i pokonana.

- Ależ z was sukinsyny. Prześwietliliście mnie, co?

- Umiem liczyć do stu.

- Niemożliwe. Udowodnij.

- Raz, dwa, trzy, teraz ty, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto. Zachichotałam z uznaniem. Ręce na kierownicy, przekrwione oczy przed siebie, nos, na nosie ciemne okulary.

- Słuchaj, słuchaj. Puk, puk, puk.

- Kto tam?

- My, krasnoludki.

- A ilu was?

- Raz. A teraz słuchaj, słuchaj. Co jada Miś Uszatek na kolację?

- Nie wiem. Co?

- Pora na dobranoc.

- Świetne. Kto ci to powiedział?

- Joshua, który mnie kocha i całuje, kiedy pani nie patrzy. On mówi, że kiedy będę duża, to się z nim ożenię. A dlaczego Ala ma kota?

- Nie wiem. Dlaczego?

- Bo Sierotka Marysia. Aleja tego nie rozumiem. Co Sierotka Marysia?

- Bo Sierotka ma rysia. To też Joshua?

- Nie, Danny. Bardzo się z tego śmiał.

- Spójrz - rzuciłam wesoło. - Już prawie jesteśmy.

Białe skarpetki podciągnięte aż do pulchnych kolan, niebieska sukienka ze sztywnym, białym kołnierzykiem, czerwone paltko w rękę, błyszcząca wstążka w lśniących brązowych włosach - w drzwiach czekała Kirsty.

- Fing nie jedzie? - spytała, widząc tylko mnie i Elsie. Stojąca za nią pani Langley robiła miny i gwałtownie poruszała ustami: Jeszcze jej nie mówiłam!

- Fing... - zaczęła z ważną miną Elsie.

- Nie dzisiaj, Kirsty, ale będziemy się dobrze bawiły,

zobaczysz-gdzie masz kostium i rzeczy-jak ty ładnie wyglądasz-wskakuj do samochodu-i hopla! - trajkotałam, jakbym mówiąc długo i szybko, mogła uniknąć pytania, zastąpić je chlorowaną wodą, chipsami i popołudniem spędzonym w starym kinie z wyłysiałymi, rozklekotanymi fotelami i prażoną kukurydzą na podłodze, gdzie postacie z kreskówki są bite, klute i wrzucane do wrzącego oleju, mimo to wciąż są całe i zdrowe.

Pani Langley nachyliła się i z przesadnym współczuciem gładką ręką przykryła moją zgrubiałą dłoń, kurczowo zaciśniętą na kierownicy. Ma spiłowane paznokcie, pomyślałam.

- Jeśli mogę w czymś...

- Dziękuję. Przywiozę Kirsty po południu. - Zabrałam rękę i przekreśliłam kluczyk w stacyjce. - Pasy zapięte?

- Tak - odrzekły chórem. Dwie podekscytowane twarzyczki, dwie pary zwisających nóżek w skórzanych bucikach.

- Dobra. W takim razie jedziemy.

W gumowych kołach i nadmuchiwanym rękawkach pływały sztywno, dostojnie i prawie pionowo, nie moczając ani piersi, ani tym bardziej głowy. Białe nóżki młóciły wodę, drobne twarzyczki poróżniewały z zachwytem nad własną odwagą.

- Popatrz! - krzyknęła Kirsty. Zanurzyła czubek nosa i usta i ułamek sekundy później triumfalnie podniosła głowę, zamiatając wodę mokrym kosmykiem włosów. - Umiem nurkować. A ty nie umiesz!

Elsie, mój mały zatrwożony szczurek lądowy, spojrzała na mnie żałośnie i pomyślałam, że zaraz, się rozplacze. Nagle, szamocząc się niezdarnie z pomarańczowymi rękawkami, zanurzyła głowę do wody.

- Zanurkowałam! Zanurkowałam! Widziałaś, mamusiu? Miałam ochotę wziąć ją na ręce i przytulić.

- Jesteście jak dwie małe rybki. To może ja będę rekinem? Pod wodą byłam nieważka i półślepa; mrużyłam oczy w gęstej, ciemnej zieleni, a świecące nogi kołysały się wokół mnie

jak las wodorostów; wyciągnęłam przed siebie ręce, żeby schwytać umykające stopki. Wyłożone kafelkami dno było na szczęście tylko kilkanaście centymetrów niżej. Wynurzając się, słyszałam pisk dziewcząt. O nie, nie jestem rybą. Zdecydowanie wolę stały ląd.

W przebieralni, gdy naciągałam podkoszulki na mokre głowy, gdy wciskałam krnąbrne stopy w odporne buciki i zapinałam sztywne paski, jakaś nastolatka trąciła łokciem swoją koleżankę. Trąciła ją i wskazała mnie wzrokiem.

Kurczak, frytki i jasnoróżowe lody na lunch. Prażona kukurydza, kandyzowane owoce i gazowany napój pomarańczowy w olbrzymim kubku z dwiema słomkami. One oglądały kreskówkę, a mnie ekran rozmazywał się przed oczami. Jedna siedziała z lewej, druga z prawej strony, obie trzymały mnie za ręce. Palce miały lepkie, głowy oparte o moje ramiona. Powietrze w kinie było zmęczone i zużyte. Próbowалам dostosować oddech do ich oddechu, ale nie mogłam. Mój był krótki, chrapliwy, nierówny i bolesny. Gdy tylko wyszliśmy na korytarz, włożyłam ciemne okulary.

- Mamusiu.

- Tak, kochanie. - Zwróciłyśmy Kirsty mamie i jechałyśmy przez mleczną mgłę do domu.

- Pamiętasz *Lwa, czalownicę i szafę*? Ten film na wideo. -Czalownica. Ostatnie ślady dziecięcej wymowy, ostatni zbrą-zowiały liść na gałęzi drzewa.

- Pamiętam.

- Pamiętasz, jak zła wiedźma go zabija i rzuca między zdechłe myszy?

- Tak.

- Ale potem on odżywa, naprawdę...

- Nie, córeczko. Danny i Finn nie odżyją. Będziemy za

nimi tęsknili, będziemy o nich pamiętali i rozmawiali. Musimy o nich rozmawiać, bo wtedy ożyją. Tutaj. - Położyłam rękę na swoim walącym jak młot sercu. - Ale już nigdy ich nie zobaczymy.

- Gdzie oni teraz są? W niebie?

Zwęglone ochłapy ciała, wesoło wyszczerzone zęby czaszek, wypalone oczy, rysy twarzy spływające upiorną rzeką po nagiej kości, stopione kończyny. Na stalowym wózku w chłodni kilka kilometrów stąd.

- Nie wiem, skarbie. Ale na pewno nic nie zakłóca im spokoju.

- Mamusiu?

- Tak?

- Czy byłam odważna, kiedy zanurkowałam?

- Bardzo. Jestem z ciebie dumna.

- Odważna jak lew?

- Odważniejsza.

Wszędzie białe światła, wszędzie samochody - kiedy z mgły wynurzył się dom, w pierwszej chwili pomyślałam, że na trawniku trwa wielkie przyjęcie. Zahamowałam i lekko nacisnęłam palcem czubek jej nosa.

- Pi-pip! Przedrzemy się przez tłum tych niegrzecznych ludzi z kamerami i magnetofonami. Oprzyj głowę na moim ramieniu i przekonajmy się, czy dobiegniemy do drzwi, zanim doliczysz do stu.

- Raz, dwa trzy, teraz ty...

- Ojciec i ja uważamy, że powinnaś przenieść się na kilka dni do nas. Dopóki ta wrzawa nie przycichnie.

- Mamo, to bardzo... - Szukałam słów, nie wiedziałam, co powiedzieć.

- To bardzo miło z waszej strony, ale damy sobie radę. Musimy tu zostać.

Rodzice przyjechali zaraz po nas i wmaszerowali do domu jak strażnicy. Lewa, prawa, lewa, prawa, głowa do góry, oczy prosto przed siebie. Byłam im wdzięczna. Okazali wielki hart ducha, gdyż wiedziałam, jak bardzo im to wszystko doskwiera. Przywieźli keks w dużym, brązowym pudełku, bukiet kwiatów w celofanie, paczkę żelków i książeczkę do kolorowania dla Elsie. Elsie nie znosi kolorowanek, za to uwielbia żelki. Zniosła je do kuchni i zjadła kolor po kolorze, pomarańczowe zostawiając na deser. Ojciec rozpałił pod kominkiem. Nałamał gałązek, ułożył je w zgrabny stos, podpalił zapalniczką i obłożył czterema polanami. Matka zakrzętnęła się w kuchni, zaparzyła herbatę i rzuciła mi na talerz kawałek keksu.

- W takim razie może my zostaniemy tutaj?

- Mamo, nic mi nie jest, naprawdę.

- Sama sobie nie poradzisz.

Powiedziała to w taki sposób, że podniosłam głowę. Miała wilgotne oczy i zaciśnięte usta; z trudem nad sobą panowała. Kiedy ostatni raz widziałam, jak płakała? Nachyliłam się i niezdarnie dotknęłam jej kolana pod grubą, wełnianą spódnicą. Kiedy ostatni raz jej dotykałam, nie licząc tych sztywnych, sztucznych pocałunków w policzek?

- Przestań, Joan. Nie widzisz, że Sam jest zdenerwowana?

- Nie, nie widzę! Właśnie o to mi chodzi, Bill. Powinna być zdenerwowana, powinna być... zdruzgotana. Jej przyjaciółka, zawsze ci powtarzałam, że to przebiegła szelma, więc ta niby przyjaciółka ucieka z jej chłopakiem, strzelają sobie w łeb w samochodzie, wszystko trafia do gazet, a ona siedzi tu jak głaz, nie zważając na to, co się tam dzieje. - Machnęła ręką w stronę okna i świata za oknem. - Przecież ja chcę tylko pomóc. Pomóc, nic więcej. - Umilkła i może bym ją nawet objęła, przytuliła, ale akurat wtedy matka drgnęła, poderwała głowę i powiedziała coś, czego zapewne obiecała sobie nigdy nie mówić. - Zwłaszcza, że to już nie pierwszy raz.

- Joan...

- Nie szkodzi, tatusiu. - Mówiłam szczerze. Ból, jaki

sprawiły mi jej słowa, był tak wielki, że aż masochistycznie przyjemny.

- W każdym razie Elsie powinna natychmiast wyjechać -dodała matka. - Z nami.

Wstała, jakby zamierzała wyjść z domu z moją córką.

- Nie - powiedziałam. - Moja córka zostanie ze mną. -Jakby na umówiony znak do salonu weszła Elsie, zaciskając w dłoni kilka ostatnich żelków. Posadziłam ją sobie na kolanach i przytuliłam się policzkiem do jej główki.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zawołałam.

- To ja. Michael.

Wpuściłam go i szybko zatrzasnęłam drzwi. Zdjął płaszcz. Był w starych dżinsach i w wypłowiałym dżinsowej koszuli, ale poza tym robił wrażenie spokojnego i odprężonego.

- Przywiozłem wędzonego łososia, razowy chleb i butelkę wina. Pomyślałem... O, dzień dobry. Nie wiedziałem, że...

- Rodzice właśnie wychodzą - powiedziałam.

- Samantha, przecież dopiero co...

Ojciec stanowczo skinął na matkę i wziął ją pod rękę. Bez słowa pomogłam im się ubrać i odprowadziłam ich do drzwi. Matka spojrzała przez ramię. Nie wiem, co zaniepokoiło mnie bardziej, wyraz zaskoczenia czy aprobaty w jej oczach.

W łóżku czekała na mnie Elsie. Gdy weszłam pod kołdrę, przekreśliła się na bok, owinęła mi szyję ramieniem, wtuliła twarz w ramię i westchnęła. A potem, z tą cudowną łatwością, jaką mają tylko dzieci, ponownie zamknęła oczy i zapadła w sen. Długo nie mogłam zasnąć. Noc była ciemna i bezksiężycowa. Wszyscy rozjechali się do domów; słyszałam jedynie szum wiatru w drzewach i odległy krzyk jakiegoś ptaka nad morzem. Gdybym położyła Elsie rękę na piersi, poczułabym bicie jej serca. Oddechem ogrzewała mi szyję. Od czasu do czasu mruczała coś i posapywała.

Michael nie został długo. Otworzył wino, nalał mi kieliszek, a ja wychyliłam go jak setkę wódki. Posmarował chleb masłem - masło też przywiózł - i położył na wierzch plasterek wędzonego łososa. Ponieważ łosoś skojarzył mi się upiornie z ludzkim mięsem, uskubałam kawałek spieczonej skórki i na tym poprzestałam. Prawie nie rozmawialiśmy. On mówił o konferencji w Belfaście, ja patrzyłam na żar gasnący pod kominkiem. Anatol owinał się wokół naszych nóg i głośno mruczał.

- Nierealne, zupełnie nierzeczywiste, prawda? Znałem Finn od lat. Od lat.

Milczałam. Nie byłam w stanie nawet kiwnąć głową.

- Cóż... - Wstał i włożył płaszcz. - Idę. Zaśniesz? Może dać ci jakiś proszek?

Tylko machnęłam ręką. Kiedy odjechał, poszłam na górę. Tuląc do siebie Elsie, suchymi, szeroko otwartymi oczami patrzyłam w niemy mrok.

25

- Te samobójstwa... Fatalna sprawa.

- Jakoś się trzymam.

- Fatalna dla nas.

- Nie rozumiem.

Geoff Marsh musnął węzeł krawata, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze go zawiązał i czy krawat się nie przekrzywił. Umówiliśmy się na to spotkanie przed dwoma tygodniami, żeby wyjaśnić możliwość dofinansowania ośrodka z nowych źródeł. Załatwiliśmy wszystko przy kawie. Wstałam, żeby wyjść, ale wskazał mi fotel i zrobił zmartwioną minę.

- Nie mogli wybrać gorszego momentu. Chciałam coś powiedzieć, ale ugryzłam się w język.

- Powinnaś była nas uprzedzić, Sam.

- O czym?

Geoff otworzył notatnik i w pokazie biurokratycznej sprawności zerknął na jakieś zapiski.

- Technicznie rzecz biorąc, jesteś naszą pracownicą - rzekł po chwili i wzruszył ramionami. Zdążyłam już poznać ten gest. Wyrażał całkowitą bezradność wobec nieugiętej polityki ekonomicznej, która bezdusznie go krępowała. - Naturalnie nie zamierzam wykorzystywać tego przeciwko tobie, ale powinnaś była nam powiedzieć, że uwikłałaś się w delikatne przedsięwzięcie, które może wpłynąć na nasz projekt.

Miałam pracować z tym człowiekiem długie lata, dlatego trudno mi było wymyślić w miarę grzeczną ripostę. Wzięłam głęboki oddech.

- Sądziłam, że postępuję jak dobra obywatelka. Policja poprosiła mnie o pomoc. Nalegali na zachowanie tajemnicy. Nie powiedziałam o tym nawet najbliższej rodzinie.

Geoff delikatnie oparł ręce o blat gigantycznego biurka. Poczułam się jak uczennica w gabinecie dyrektora szkoły.

- Napiszą o tym w prasie - powiedział ze zmarszczonym czołem.

- Już napisali. Mój trawnik przypomina plac targowy.

- Tak, tak, ale nie wspomnieli jak dotąd o... No, wiesz. -Zatoczył ręką łuk. - O nas. O naszym ośrodku.

- Niby dlaczego mieliby wspominać o ośrodku?

Geoff wstał i podszedł do okna. Próbowałam coś wymyślić, żeby skończyć to męczące spotkanie, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Wreszcie, po długiej chwili ciszy, nie wytrzymałam.

- Geoff, jeśli nie masz do mnie nic więcej, to mam dużo pracy.

Odwrócił się nagle, jakby zapomniał, że jeszcze tam siedzę.

- Sam, czy mogę być z tobą zupełnie szczery?

- Jasne - odrzekłam oschle. - Nie oszczędzaj mnie. Złożył ręce w geście posagowej powagi.

- Psychiczne zaburzenia pourazowe to temat bardzo kontrowersyjny. Sama wielokrotnie to powtarzałaś. Tworzymy nowy ośrodek, jednocześnie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy

zamknąłem Bóg wie ile oddziałów. Za parę tygodni opublikują raport Lindena. Wiesz, na temat tej fotogenicznej sześciolatki, która zmarła w Birmingham zaraz po tym, jak odesłaliśmy ją do domu. Czekam tylko, aż jakiś bystry reporter wyciągnie tę sprawę i połączy ją z twoją.

- Co znaczy z moją?

Twarz mu poczerwieniała i zhardziała.

- Dobrze - odparł. - Ponieważ stoję nad przepaścią, mogę ci powiedzieć. Wybraliśmy cię na kierowniczkę największego przedsięwzięcia medycznego za czasów mojego panowania, mojej kadencji czy jak tam sobie chcesz. Sir Reginald Lennox z naszego komitetu twierdzi, że psychiczne zaburzenia pourazowe to, by przytoczyć jego słowa, wymówka słabeuszy i maminsynków. Ale my nie, my postawiliśmy na swoim i ściągnęliśmy do Stamford słynną doktor Samanthę Laschen. Przyjechała, przyjęła pod swój dach młodą kobietę z silnym urazem psychicznym i na miesiąc przed otwarciem ośrodka pokazała światu, na co ją stać. Nieodpowiedzialny dziennikarz mógłby wytknąć, że na skutek tej specyficznej terapii pacjentka doktor Laschen zakochała się w jej własnym chłopaku, że następnie uciekli i popełnili samobójstwo. - Geoff odchrząknął. - Takie ujęcie problemu byłoby oczywiście niesprawiedliwe, jednak szczerze powiedziawszy, gdyby doszło do wymiany zdań, trudno byłoby udowodnić, że kuracja Fiony Mackenzie zakończyła się wielkim sukcesem.

- Ja jej nie leczyłam. Fiona Mackenzie nie była moją pacjentką. Chodziło tylko o to, żeby zapewnić jej ciche, bezpieczne i czasowe schronienie. I jeśli już chcesz wiedzieć, od początku uważałam, że to zły pomysł.

Czułam do siebie odrazę. Skamlałam, jęczałam, tłumaczyłam się przed nim... Boże.

Ale na Geoffie nie wywarło to większego wrażenia.

- Powiedziałbym, że różnica jest bardzo... subtelna - odrzekł niepewnie.

- O co chodzi, Geoff? Jeśli coś do mnie masz, wal prosto z mostu.

- Próbuję cię ratować, Sam. Ciebie i nasz ośrodek.

- Ratować? Mnie?! O czym ty mówisz?

- Sam, to nie jest moje widzimisie, to są nagie fakty. Jeśli funduszowi zagrozi publiczny skandal, wszyscy znajdziemy się w bardzo niezręcznej sytuacji.

- Nie chcę być arogancka, ale czy ty mi grozisz, Geoff? Chcesz, żebym złożyła rezygnację?

- Nie, absolutnie, nie teraz. To twój projekt i doprowadzisz go do końca. A my cię poprzemy.

- A tymczasem?

- Uważam, że powinniśmy zastosować strategię... powstrzymywania.

- To znaczy?

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Moim zdaniem dobrze by było, gdybyś udzieliła wywiadu jakiemuś rozsądnemu dziennikarzowi. Zastosowalibyśmy coś w rodzaju uderzenia wyprzedzającego.

- Nie, wykluczone.

- Sam, zastanów się...

- Nie.

- Przemyśl to sobie.

- Nie. Muszę już iść, Geoff. Czekają mnie rozmowy z lekarzami. Jeszcze trochę, a zapomnimy, że nasz ośrodek ma leczyć ludzi.

Odprowadził mnie do drzwi.

- Zazdroszczę ci, Sam.

- Trudno w to uwierzyć.

- Chorzy przychodzą do ciebie, ty ich leczysz i już. Natomiast ja muszę użerać się z lekarzami, potem z politykami, jeszcze potem z biurokratami, a na końcu ponownie z lekarzami.

Odwrociłam się i popatrzyłam na meksykańskie kobierce na ścianach, na sofę, biurko wielkości stadionu, na okna, za którymi roztaczał się panoramiczny widok na podmokłe łąki i wrzosowiska dzielące miasto od morza.

- Ale coś za to masz - odrzekłam.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Sam, chciałbym móc spojrzeć im prosto w oczy. Dlatego proszę, nie rób nic, czego mógłbym się potem wstydić. A jeśli jednak najdzie cię ochota, natychmiast mnie uprzedź.

Odegranie wszystkich wiadomości zajęło mi piętnaście minut. Dziennikarze, redaktorzy, eufemizmy, których używali, propozycje umów, konsultacji i honorariów za konsultacje, wyrazy współczucia - było tego tyle, że straciłam rachubę. Gdzieś na końcu taśmy nagrała się matka, wyraźnie zaskoczona długą serią piskliwych sygnałów rozdzielających wiadomości, po matce Michael Daley, po Michaelu Linda, która uprzedzała, że się spóźni, i Rupert Baird, który chciał porozmawiać ze mną o rzeczach Finn.

Rzeczy Finn. Zirykowało mnie to i zasmuciło. Co zrobić z tymi kilkoma rzeczami? Na pewno nie przedstawiają żadnej wartości dla śledztwa. Były jedynie dowodami zmarnowanego życia dwojga ludzi i kroniką emocjonalnej zagłady. Majątek powinien być przekazywany z pokolenia na pokolenie, tymczasem mnie nie przychodził do głowy nikt, komu mogłabym oddać tych kilka żalonych pamiątek. Zastanawiałam się, kto odziedziczy nietknięty spadek.

Doszłam do wniosku, że skoro już mam to zrobić, zrobię od razu, zwłaszcza że roboty było niewiele. Wzięłam z kuchni pusty karton, pobiegłam na górę i stanęłam przed drzwiami do pokoju, którego przez długi czas celowo unikałam: do sypialni Finn. Lecz nawet teraz, gdy nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi, miałam wrażenie, że wchodzę bez pozwolenia do czyjegoś domu. Pokój był żałośnie nagi, jakby od wielu miesięcy nikt w nim nie mieszkał. Pierwszy raz uświadomiłam sobie, że Finn nie zgromadziła żadnych, często zupełnie niepotrzebnych drobiazgów, które nie wiedzieć jak i kiedy gromadzi większość ludzi. Nie licząc kilku książek w miękkich okładkach na półce, nie dostrzegłam tam ani jednego przedmiotu

użytku osobistego, choćby ołówka. Nic, tylko starannie posłane łóżko, równiutko ułożony dywanik i obnażone ściany. W powietrzu wisiał lekki zapach stęchlizny, więc szybko otworzyłam okno. W szafie grzechotały tylko puste wieszaki. Popatrzyłam na książki: kilka thrillerów, *Dom na pustkowiu*, *Kobieta w bieli*, wiersze Anne Saxton, zniszczony przewodnik po Ameryce Południowej. Zdjęłam go z półki i wyrzuciłam przez drzwi na korytarz. Poczułam się tak, jakbym uciekła na drugą półkulę. Pozostałe książki zaczęłam wkładać do kartonu i właśnie wtedy z którejś z nich wypadła biała koperta.

Już miałam włożyć ją do pudła, gdy wtem spostrzegłam, co jest na niej napisane, i zamarłam. Wielkie, dziecinne litery, dwa słowa: MÓJ TESTAMENT. Finn, ta zalękniona, ta pochłonięta myślą o śmierci Finn, spisała testament.

Dygocząc z przerażenia, pomyślałam, że wszystko zostawiła mnie i że dojdzie do kolejnego publicznego skandalu. Powoli odwróciłam kopertę. Była nie zaklejona; zagięcie wetknięto do środka, jak do koperty z karłą święteczną. Wiedziałam, że nie powinnam, że to wbrew prawu, ale otworzyłam ją i wyjęłam pojedynczy arkusz papieru, niebieski formularz z nagłówkiem: „Sporządź swój testament”, łatwy do wypełnienia i zrozumiały. W rubryce: „Nazwisko i adres sporządzającego testament” widniały słowa: Fiona Mackenzie, Wilkinson Crescent 3, Stamford, Essex. W rubrykę: „Na wykonawcę testamentu wyznaczam” Fiona wpisała nazwisko Michaela Daleya, zamieszkałego przy Alice Road 14 w Cumberton, Essex. To samo nazwisko widniało w rubryce: „Wszystko, co posiadam, zapisuję”: Michael Daley, Alice Road 14, Cumberton, Essex. Własnoręczny podpis i data: 4 marca 1996. Zaznaczyła też, że po śmierci chce być skremowana.

Pod spodem, w dwóch rubrykach dla świadków - „Podpisano przez sporządzającego testament w mojej obecności i poświadczono moim własnoręcznym podpisem” - widniały dwa nazwiska: Linda Parrias, zamieszkała przy Lam Road 22 w Lymne i Sally Cole, zamieszkała przy Primrose Villas 3b. też w Lymne.

Finn kompletnie zwariowała. Zwariowała, zawiązała jakiś obłąkany spisek i pod dachem mojego własnego domu wciągnęła do niego tę durną opiekunkę do dziecka i skretyniałą sprzątaczkę. Zawirowało mi w głowie i musiałam usiąść na łóżku. Chwila. Moment. Jaki spisek? Stare damy zostawiały miliony funtów swoim kotom, więc dlaczego Finn nie mogła zostawić wszystkiego Michaelowi Daleyowi? Ale kiedy pomyślałam, jak mało skuteczną odegrał rolę w leczeniu Finn i pani Ferrer, wpadłam w złość. Kto wiedział o testamencie? Świadomość, że cały majątek Mackenziech miałby przejść w ręce Daleya, stała się nagle nie do zniesienia. A może po prostu zniszczyć ten głupi testament, żeby sprawiedliwości stało się zadość? Tym bardziej, że spadek miał dostać wykonawca, co było chyba niezgodne z prawem. Pograżona w zadumie zauważyłam, że w kopercie jest coś jeszcze, karteczka niewiele większa od wizytówki. „Kopia niniejszego testamentu jest w posiadaniu jego wykonawcy, Michaela Daleya. Fiona Mackenzie”. Jej charakter pisma, nie miałam co do tego wątpliwości. Zadrzałam, jakby nagle weszła do pokoju i przyłapała mnie na szperaniu w jej rzeczach. Zaczerwieniłam się tak mocno, że zapiekły mnie policzki.

Starannie włożyłam obie kartki do koperty, kopertę wrzuciłam do pudła. A potem, chociaż byłam zupełnie sama, powiedziałam na głos:

- Ale syf.

26

Nie wierzę w Boga i chyba nigdy nie wierzyłam, mimo to jak przez mgłę pamiętam - podejrzany stereotyp - że będąc małą dziewczynką, klęczałam przy łóżku jak Krzyś Robin i klepałam: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje”. Pamiętam również, jak wielkim przerażeniem napawała mnie dziecięca modlitwa, której słowa pamiętam do

dziś: „A gdybym we śnie umrzeć miała, prosto do nieba pójść bym chciała”. Leżałam w długiej do kolan koszuli - falbanki na rękawach, perłowe guziczki, przesadnie skromny dekolt - wsłuchiwałam się w spokojny oddech śpiącej naprzeciwko Bobbie i zatrwożona mrugałam w ciemności, próbując zburzyć mur obezwładniającego snu. Nie, nigdy nie lubiłam kapryśnego bóstwa, które jednym ludziom pomaga, a innym nie.

Ale kiedy obudziłam się tego marcowego poranka na wąskim skrawku łóżka niemal całkowicie zajętego przez Elsie, ni stąd, ni zowąd wymamrotałam:

- Proszę, cię, Boże, dobry Boże, spraw, żeby to nie była prawda.

Lecz poranki są okrutne. Oczywiście nie tak okrutne jak noce, kiedy czas przelewa się przez brzegi niczym wielka rzeka, tracąc pęd i zalegając w płytkich, stojących bajorach. Moi pacjenci często skarżą się na nocne koszmary. Na koszmary i na przerażenie, które ogarnia ich, gdy wreszcie się budzą, by stawić czoło namacalnej rzeczywistości dnia.

Leżałam kilka minut, czekając, aż minie panika i zacznę normalnie oddychać. Elsie drgnęła, ściągnęła ze mnie kołdrę i owinęła się nią jak hibernujący w kokonie stworek. Widać było tylko czubek głowy. Pogłaskałam ją i głowa też zniknęła. Zza okna dochodziły odgłosy dnia: poszczekiwanie psów, krakanie wrony, warkot samochodu zmieniającego biegi na ostrym zakręcie. Reporterzy odjechali; gazety pisały już

o czymś innym, telefon przestał się urywać, na automatycznej sekretarce było coraz mniej troskliwych rad i ciekawskich pytań. To było moje życie.

Wstałam cichutko, żeby nie obudzić Elsie, włożyłam krótką, wełnianą sukienkę i rajstopy. Potem buty, takie do kostek,

i sznurując je metodycznie, zauważyłam, że już nie drżą mi ręce. Długie kolczyki, szczotka do włosów - nigdzie nie wychodziłam, lecz wiedziałam, że jeśli będę człapać po domu w opadających leginsach, z przygnębienia strzelę sobie w łeb. Thelma powiedziała mi kiedyś, że samopoczucie zależy od

zachowania, a nie odwrotnie: jeśli postępujesz odważnie, dodajesz sobie odwagi; bądź wspaniałomyślna i opuści cię małostkowa zazdrość. Dlatego chociaż świat napełniał mnie wywołującą mdłości paniką, postanowiłam stawić mu czoło jakby nigdy nic, licząc na to, że nudności wkrótce miną.

Nakarmiłam Anatola, wypiliśmy mocną, gorącą kawę i zanim do kuchni weszła rozespana Elsie, zdążyłam zrobić listę zakupów. Elsie zjadła kólecza z miodem, które musiałam za nią dokończyć, a potem musli z owocami; wybierała łyżką rodzyнки, a rozmokłe beżowe gluty podsuwała mnie.

- Chcę patyczaka w słoiku - oświadczyła.

- Dobrze. - Uznałam, że sprzątanie słoika jest jeszcze do przyjęcia.

Elsie była zaskoczona. Może zaczęła zbyt nisko? W negocjacjach to poważny błąd.

- Chcę chomika.

- Pomyślę o tym.

- Ale ja chcę.

- Kłopot z domowymi zwierzątkami polega na tym, że trzeba je karmić i po nich sprzątać. Szybko się znudzisz i zgadnij, kto to będzie robił. Poza tym zwierzątka umierają. -Natychmiast tych słów pożałowałam, lecz Elsie nawet nie mrugnęła.

- Chcę dwa chomiki. Jak jeden umrze, drugi zostanie.

- Elsie...

- Albo jednego psa.

Listonosz wrzucił listy przez otwór w drzwiach. Upadły z trzaskiem na podłogę.

- Przyniosę. - Elsie zsunęła się z krzesła.

Listów było więcej niż zwykle. Te w brązowych kopertach -rachunki - odłożyłam na bok. Te w białych, z nazwiskiem starannie wypisanym na maszynie i znaczkiem w rogu, podejrzliwie obejrzałam i położyłam obok rachunków; dałabym głowę, że są to zaproszenia z gazet i programów telewizyjnych. Te zaadresowane ręcznie otworzyłam i szybko przejrzałam.

„Kochana Sam, jeśli tylko mogę coś dla Ciebie zrobić...” „Kiedy przeczytałam o tym w gazecie, byłam tak zaskoczona, że...” „Droga Sam. Wiem, że dawno się nie widziałyśmy, ale wierz mi, kiedy przeczytałam...”.

Był tam też list, z którym nie wiedziałam, co zrobić. Pięknie drukowane litery, adres i nazwisko: Daniel Rees. Doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli odeślę to jego rodzicom. Podniosłam kopertę do światła, jakby zawierała klucz do wielkiej tajemnicy. W rogu była odklejona. Wsunęłam palec i odkleiłam ją jeszcze bardziej. A potem do końca.

Szanowny Panie,

Dziękuję za dzisiejszy telefon i zainteresowanie weekendowymi wyjazdami do Wioch. Niniejszy list jest oficjalnym potwierdzeniem, że zarezerwował pan dwudniowy pobyt w Rzymie (18-19 maja, pokój ze śniadaniem) dla dwóch osób. Wkrótce przyślemy panu szczegółowy rozkład lotów oraz bilety. Uprzejmie proszę o potwierdzenie nazwisk pasażerów: D. Rees i dr S. Laschen.

Z poważaniem Sarah Kelly, Globe Travel

Włożyłam list do koperty. Do Rzymu z Dannym. My w podkoszulkach. My trzymający się za ręce i zakochani. My pod wykrochmalonym hotelowym prześcieradłem, nad nami wirujący w spiekocie wentylator. Spaghetti i czerwone wino. Dużo wina i dużo starożytnych ruin. Chłodne kościoły i fontanny. Nigdy nie byłam w Rzymie.

- Mamusiu, od kogo to?

- To? Od nikogo.

Dlaczego tak nagle zmienił plany? Co robiłam, a może czego nie zrobiłam, że zamiast wyjechać ze mną do Włoch, wybrał śmierć w wypalonym wraku samochodu z tą porąbaną dziewczyną u boku? „Dziękuję za dzisiejszy telefon...”. Data? 8 marca 1996. Dzień, w którym to się wydarzyło, dzień, kiedy uciekł z Finn. Ból wezbrał, gotów wytrysnąć oczami.

- Mamusiu, czy znowu spóźnimy się do szkoły?
- Co? Nie! Oczywiście, że nie. Przyjedziemy przed czasem. Chodź.
- Podpisałam, gdzie kazała, i tyle.
- Nawet nie spojrzałaś? Sally, to był jej testament, testament młodej, zestresowanej dziewczyny.
- Przepraszam. - I zaczęła szorować duchówkę.
- Dlatego chciałam porozmawiać z tobą przed powrotem Elsie.
- Mówiła, że to nic takiego. - Oczy Lindy wypełniły się łzami. - Że to tylko formalność.
- Nawet tego nie przeczytałaś?

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Dlaczego te baby nie są tak wścibskie jak ja?

Dom Michaela był nieduży, za to uroczy, przyjemnie chłodny i stylowy. Na parterze mieścił się tylko wielki salon i kuchnia z oknami wychodzącymi na wyłożone kamiennymi płytami podwórko z małą, stożkową fontanną pośrodku. Rozejrzałam się: zastawione książkami półki, surowa podłoga, kolorowe dywany, abstrakcyjne czarno-białe grafiki wijące się na kojąco białych ścianach, soczystozielone rośliny w doniczkach, wypełniony stojak na wino, zdjęcia jachtów i skał, na których nie było ani jednego człowieka. Jakim cudem zwykły lekarz mógł sobie pozwolić na życie w takim stylu? Cóż, przynajmniej żył zgodnie ze statusem, który miał wkrótce osiągnąć. Usiedliśmy przy długim stole, pijąc prawdziwą kawę z kubeczków o delikatnych uchwytych.

- Miałaś szczęście, że mnie zastałaś. - Wziął mnie za rękę. Zauważyłam, że ma długie, czyste paznokcie.

- Dobrze się czujesz?

Przemawiał do mnie jak do pacjentki. Zabrałam rękę.

- Czy to znaczy, że nie? - spytał. - Posłuchaj, wiem, że to potworne. Potworne dla ciebie i dla mnie, dlatego powinniśmy sobie pomóc, a przynajmniej spróbować.

- Czytałam testament Finn. Uniósł brew.

- Pokazała ci? - Pokręciłam głową, a on westchnął. -A więc o to chodzi?

- Michael, wiesz, co ona tam napisała? Masz kopię. Ponownie westchnął.

- Tak, tak. Jestem wykonawcą jej ostatniej woli, cokolwiek to znaczy. Prosiła mnie.

- To znaczy, że nie wiesz? Zerknął na zegarek.

- Zostawiła wszystko tobie? - spytał z uśmiechem.

- Nie. Tobie.

Znieruchomiał. Steżała mu twarz. Wstał i podszedł do okna.

- I co ty na to? Odwrócił się.

- Mnie? - Przechesał ręką włosy. - Dlaczego?

- Przyjmiesz? Zmarszczył czoło.

- Nie wiem, co powiedzieć. To takie...

- Nieetyczne. Dwuznaczne.

- Co? - Poderwał głowę, jakby dopiero teraz mnie usłyszał. - Dlaczego to zrobiła? O co jej chodziło?

- Przyjmiesz? - powtórzyłam.

- Co? Tak nagle, tak...

Coś zapiszczało. Włożył rękę do kieszeni marynarki.

- Przepraszam, muszę lecieć. Jestem... wstrząśnięty. -Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu. - W sobotę? - Zrobiłam zaskoczoną minę. - Płyniemy, zapomniałaś? Odżyjemy. Spojrzymy na to wszystko z dystansu. I spokojnie porozmawiamy.

Sobota, przejażdżka po morzu: tylko tego mi brakowało.

- Tak - odrzekłam głucho. - Odżyjemy.

Tuliłam do siebie Elsie jak najcenniejszy klejnot; bałam się, że zgniotę ją siłą matczynej miłości. Czułam się dziwnie. Smutek i wściekłość ożywiały mnie i wprawiały w stan euforii. Krew krążyła w żyłach, serce biło głośno i regularnie: byłam czysta, wypoczęta i bardzo przytomna.

- Czy Danny mówił ci coś o Finn? - Ostrożnie i obojętnie. Wzruszyła ramionami.

- A Finn? - Poglaskałam ją po jedwabistych włosach, zastanawiając się, jakie tajemnice kryją się w tej małej główce. - Mówiła coś o Dannym?

- Nie. - Przełożyła nóżki przez moje kolano. - To Danny pytał mnie o nią.

- Aha.

Spojrzała na mnie ciekawie swymi wielkimi oczami.

- I powiedział, że jesteś najlepszą mamusią w świecie.

- Tak?

- A jesteś?

Kiedy zasnęła, obesłam dom, rozsuwając zasłony, zaglądając pod łóżka i macając po wszystkich kątach. Godzinę później ustawiłam na kuchennym stole zakurzoną menażerię złożoną z sześciu maleńkich, papierowych zwierzątek: z trzech ptaszków, dwóch psów i czegoś o nieokreślonym kształcie. Ja patrzyłam na nie, one patrzyły na mnie.

27

Odziedziczyła po nim ciemne oczy i gęste brwi, które niemal stykały się ze sobą pośrodku czoła. Włosy miała jaśniejsze i delikatniejsze, a twarz usianą piegami, chociaż była dopiero

wiosna. Danny był blady, ale piegów nigdy nie miał. I zawsze opalał się na piękny, brązowokarmelowy kolor. Wciąż pamiętałam zapach jego skóry, jej wilgoć, gdy schodził ze słońca.

Nie znałam jego rodziny. Mówił, że mieszkają gdzieś na zachodzie, że ma brata i siostrę, że ojciec jest właścicielem spółki budowlanej, to wszystko. Właśnie stukałam na komputerze - szło mi znakomicie i czułam, że za kilka tygodni książka będzie gotowa - gdy zadzwonił telefon. Nie odebrałam. Od czego są automatyczne sekretarki?

- Dzień dobry. Mówi... Nazywam się Isobel Hyde. Nie znamy się, ale jestem siostrą Danny'ego...

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Czego ona ode mnie chciała? Podniosłam słuchawkę.

- Halo? Mówi Samantha Laschen. Udawałam, że mnie nie ma.

Rozmowa była niezręczna i cały czas się rwała. Myślałam, że Isobel chce zabrać rzeczy Danny'ego, tymczasem ani słowem o tym nie wspomniała, więc w dalszym ciągu nie wiedziałam, po co tak naprawdę dzwoni. Powiedziałam, że nie zostawił nic cennego, ale oczywiście może to zabrać, na co odrzekła, że nie o to jej chodzi, że przyjechała na kilka dni do Londynu i że chciałaby się ze mną spotkać. Nie wiem dlaczego - może to jakiś instynkt - ale nie chciałam, żeby odwiedziła mnie w domu. Miałam dość ciekawskich gości, poza tym uznałam, że siostrą, która chce zobaczyć dom, w którym mieszkał jej zmarły brat z kobietą, którą perfidnie porzucił dla innej, muszą kierować wynaturzone motywy. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, co o tym wszystkim sądzić, dlatego zaproponowałam, że nazajutrz rano wyjdę po nią na stację i wpadniemy na kawę do pubu.

- Jak panią poznam? - spytała.

- Może ja poznam panią, ale cóż, jestem wysoka i mam bardzo krótkie, czerwone włosy. Nikt, komu wolno chodzić po ulicach, nie wygląda tak jak ja, przynajmniej w tym hrabstwie.

Kiedy wysiadła z pociągu, omal się nie rozplakałam. Nie mogłam mówić. Uścisnęłam jej rękę i bez słowa zaprowadziłam do kawiarni naprzeciwko dworca. Usiadłyśmy i przez długą chwilę bawiłyśmy się filiżankami.

- Gdzie pani mieszka?

- Teraz w Bristolu.

- W której części?

- Zna pani Bristol?

- Nie bardzo.

- W takim razie nie ma sensu wchodzić w szczegóły, prawda?

Wdzięk i urok osobisty Reesowie mieli we krwi.

- Nie przywiozłam jego rzeczy. Zostawił dwie koszule, bieliznę, szczoteczkę do zębów, brzytwę, takie tam drobiazgi. Nigdy zbyt dużo nie miał. Mogę je pani wysłać.

- Nie, nie trzeba.

Ponownie zapadło milczenie. Doszłam do wniosku, że to ja powinnam je przerwać.

- Isobel, spotkanie z panią jest dla mnie ciekawym przeżyciem. Ciekawym i niesamowitym, bo jest pani do niego bardzo podobna. Ale Danny nigdy nie mówił o swojej rodzinie. Może uznał, że nie jestem osobą, którą przedstawia się mamie. Odszedł ode mnie w potworny sposób i szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, po co pani przyjechała, chociaż oczywiście bardzo państwu współczuję.

Ponownie zapadła cisza, co mnie trochę zaniepokoiło. Co miałam zrobić z kobietą, która siedziała i patrzyła na mnie oczyma Danny'ego?

- Ja chyba też nie - odrzekła w końcu. - Może to głupie, ale chciałam panią poznać, po prostu na panią spojrzeć, i to od dawna. Pomyślałam, że teraz... pewnie już się nic zobaczymy.

- W tych okolicznościach to zrozumiałe. Że możemy się już nie zobaczyć.

- Bardzo to przeżywamy.

- Nic dziwnego.

Odpędziłam od siebie myśl o jego rodzicach. Isobel długo wbijała wzrok w filiżankę, lecz nagle uniosła wielkie, osłonięte ciężkimi powiekami oczy i przeszła mnie fala fizycznego pożądania. Zaciśnęłam zęby. Mocno, aż do bólu.

- Przyjedzie pani na pogrzeb?

- Nie.

- Tak myśleliśmy.

Przyszła mi do głowy potworna myśl.

- Czyżby chciała mnie pani prosić, żebym nie przyjeżdżała?

- Ależ skąd. Nie powinna pani tak myśleć. Wyglądało na to, że chce mi powiedzieć coś ważnego, że zbiera się na odwagę.

- Isobel, mam dużo pracy, więc jeśli...

- Tak, tak. Nie umiem ładnie mówić, ale... Dobrze pani wie, że Danny miał mnóstwo romansów, bardzo wiele kobiet...

- Przyjechała pani aż z Londynu, żeby mi to powiedzieć? Wielkie dzięki.

- Nie, nie o to chodzi. On już taki był, kobiety zawsze za nim szalały. Ale panią traktował inaczej. Zupełnie inaczej.

Poczułam, że zaraz się rozryczę.

- Ja też tak myślałam, ale cóż, okazało się, że byłam tylko jedną z wielu, prawda? Skończyłam jak tamte, porzucona i zapomniana.

- Właśnie, dlatego nie wiem, co powiedzieć. Nie mogłam w to uwierzyć. Po prostu nie mogłam. Nadal w to nie wierzę.

Odsunęłam filiżankę. Chciałam skończyć tę rozmowę.

- Tak, ale widzi pani, bez względu na to, co podpowiada pani instynkt, Danny mnie jednak zostawił. Rozumiem, że kierował panią miły odruch, lecz odruch ten nie poprawił mi samopoczucia. Bo niby jak mam zareagować na pani słowa? Szczerze mówiąc, próbuję o tym wszystkim zapomnieć i żyć dalej.

Skonsternowana, odchrząknęła.

- Chciałam coś pani dać, ale pewnie pani nie zechce... Poszperała w torebce i wyjęła plik kserokopii. Natychmiast rozpoznałam śmiały charakter pisma Danny'ego.

- Co to?

- Danny do mnie pisał, średnio dwa listy rocznie. To kopia ostatniego. Rozstanie musiało być dla pani strasznym ciosem. A potem ta śmierć... Przypuszczam, że musiała pani przeżyć potworne upokorzenie.

- Owszem.

- Nie chciałam być nietaktowna. Pomyślałam tylko, że ten list może panią pocieszyć.

Podziękowałam jej głucho. Nie byłam pewna, jak zareagować, ale tak, list wzięłam, choć zrobiłam to ostrożnie, jakby mógł mnie sparzyć. Potem Isobel wsiadła do pociągu, a ja pomachałam jej na drogę jak komuś, kogo widzi się pierwszy i ostatni raz w życiu. Kusiło mnie, żeby wyrzucić list bez czytania.

Godzinę później siedziałam już w urzędzie śledczym do spraw kryminalnych w Stamford. Konstabl przyniósł herbatę i posadził mnie przed biurkiem Chrisa Angeloglou. Popatrzyłam na marynarkę wiszącą na krześle, na zdjęcie kobiety i pulchnego dziecka, pobawiłam się długopisami, wreszcie przyszedł sam Angeloglou i z wyćwiczoną spontanicznością położył mi rękę na ramieniu.

- Dobrze się pani czuje?

- Dobrze.

- Rupert jest zajęty.

- Jak śledztwo?

- Nieźle. W zeszłym tygodniu zrobiliśmy kilka nalotów. Wpadło nam w ręce sporo ciekawych rzeczy.

- Związanych z tymi morderstwami?

- Niezupełnie. Westchnęłam.

- A więc znowu nikogo nie oskarżycie. Proszę spojrzeć na ten list. Danny napisał go do siostry dwa tygodnie przed śmiercią.

Chris zrobił minę.

- Spokojnie, wystarczy zerknąć na ostatnie dwie strony. Angeloglou pochylił się i zaczął czytać.

- No i? - spytał.

- Czy pisze tak ktoś, kto zamierza uciec z inną kobietą? Chris wzruszył ramionami.

- Czytał pan to. Nigdy kogoś takiego nie spotkałem. Nie chcę żadnej innej. Chcę się z nią ożenić i spędzić z nią resztę życia, martwię się tylko, że mnie nie zechce.

- Tak... - mruknął niepewnie Angeloglou.

- Jest jeszcze to.

Podaliśmy mu list z biura podróży. Przeczytał go z krzywym uśmiechem.

- Zaplanował coś takiego i uciekł z inną? - spytałam. Tym razem się uśmiechnął, i to całkiem przyjaźnie.

- Cóż, nie wiem, może i tak. Czy był człowiekiem impulsywnym?

- Raczej tak.

- Takim, który może nagle wstać i wyjść?

- Tak, ale on by tego nie zrobił - jęknęłam.

- Jeszcze coś? - spytał łagodnie.

- Nie, tylko że... - Ogarnęła mnie czarna rozpacz. - Tylko że to wszystko nie ma sensu. Myślał pan o tym?

- O czym?

- Młoda dziewczyna spisuje testament...

- Skąd pani wie o testamencie? Nie, lepiej niech pani nie mówi. Wolę nie wiedzieć.

- Spisuje testament i zaraz potem umiera. Czy to nie dziwne? Angeloglou dumiał chwilę w milczeniu.

- Czy Finn rozmawiała z panią o śmierci?

- Tak, oczywiście.

- A o samobójstwie?

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Też.

- Tak myślałem. Ale co pani właściwie sugeruje?

- Czy rozważał pan możliwość, że ich zamordowano?

- Na miłość boską, kto miałby ich zamordować?
- A kto zgarnie fantastyczną fortunę po śmierci Finn?
- Oskarża go pani? Tak na poważnie?
- Nie, podejrzewam. Na poważnie. Parsknął śmiechem.
- No, dobrze, poddaję się. Mogę to zatrzymać? - spytał, wskazując listy. Kiwnęłam głową. - Ponieważ jestem człowiekiem litościwym i współczującym - pani też bardzo współczuję - przeprowadzę małe, dyskretne śledztwo. Jutro do pani zadzwonię. A teraz, pani doktor, proszę wrócić do domu, wziąć jakieś proszki, wypić drinka albo pooglądać telewizję. Albo zrobić to wszystko naraz.

Zadzwonił dużo wcześniej, bo już o siódmej wieczorem tego samego dnia.

- Zebrałem trochę informacji o pani podejrzanym.
- No i?
- Sam, ustalmy coś. Płonący samochód znaleziono dziewiątego, kilka minut przed szóstą wieczorem, tak?

- Tak.
- Ósmego doktor Daley poleciał do Belfastu na konferencję lekarzy ogólnych. Dziewiątego wygłosił przemówienie i późnym wieczorem wrócił do Londynu. Wystarczy?

- Tak. Szczerze mówiąc, wiedziałam o tym. Przepraszam. Jestem głupia.

- Nie szkodzi. Sam?
- Tak?
- Mamy wyrzuty sumienia, że w to panią wciągnęliśmy. Zrobimy wszystko, żeby pomóc.

- Dziękuję.
- To pani jest ekspertką od psychicznych zaburzeń pourazowych, ale myślę, że my powinniśmy usprawnić i zrationalizować nasze śledztwo, a pani swój smutek i żal.

- Słusznie. Ma pan rację, Chris.

Sześć lat temu zabił się ojciec mojego nie narodzonego dziecka. Oczywiście wszyscy powtarzali mi wtedy, że nie powinnam się o to obwiniać, w ogóle, ani przez sekundę. Ja też to sobie powtarzałam głosem lekarza-specjalisty. Łatwo wpadał w depresję. Próbował zabić się wcześniej. Myślałaś, że mu pomożesz, ale pomoc możemy tylko sobie. I tak dalej.

Tydzień temu zabił się mój kochanek, jedyny mężczyzna, którego naprawdę kochałam, i gorliwe zapewnienia, że nie powinnam się za to obwiniać, zaczynały brzmieć cokolwiek nieszczerze. Nazajutrz był jego pogrzeb, ale nie zamierzałam w nim uczestniczyć. Ostatecznie umarł w ramionach innej, prawda? Uciekł ode mnie, całkowicie i na zawsze. Na myśl

- o nim i Finn w łóżku zrobiło mi się słabo i gorąco. Byłam niemal podniecona, niemal załamana i niemal chora z zazdrości

1 rozpaczliwego pożądanie.

- Wychodzę, Sally - powiedziałam kilka minut później. -Wrócę, kiedy już cię nie będzie, dlatego zostawiłam pieniądze na kominku. Pięknie posprzątałaś. Dziękuję.

- Nie pracuje pani? - Spojrzała na moją skórzaną kurtkę i na wypłowiałe dżinsy z dziurą na kolanie.

- Jadę na żagle.

Zmarszczyła czoło. Z dezaprobatą?

- Fajnie.

Lekarze Finn, jej rzekoma protektorka i jedyny spadkobierca gigantycznego majątku, nie mieli sobie prawie nic do powiedzenia w drodze do przystani. Michael robił wrażenie głęboko zamyślnego i spoglądał przez okno, niewiele widząc. Kiedy przystanęliśmy, popatrzył na mnie i rzekł:

- Zapomniałaś włożyć piankę.

Kombinezon był w torbie stojącej między moimi nogami.

- Zapomniałeś mi o tym przypomnieć.

Ruszyliśmy i znowu zapadło milczenie. Poszukałam wzrokiem morza. Nie, dzień był zbyt szary. Samochód skręcił w wąską drogę między wysokimi żywopłotami. Zdziwiona uniosłam brwi.

- Przetawilem łajbę bliżej hangaru.

Czułam się tak, jakbyśmy jechali przez tunel i z ulgą powitałam otwartą przestrzeń. Zobaczyłam kilka łodzi. Kiedy zgasł silnik, usłyszałam, jak śpiewają i grzechoczą na wietrze. Na brzegu stało kilka obłazących z farby szop. Jedna z nich, najwyraźniej opuszczona, nie miała dachu. W pobliżu nie było żywego ducha.

- Możesz przebrać się w samochodzie - rzucił raźnie.

- Wolę w przebieralni - odparłam posepnie i wysiadłam. -Który jest twój?

- Szczerze mówiąc, nie chce mi się go otwierać. W samochodzie będzie wygodniej.

- Nie będzie.

Wygramolił się z wozu. W kombinezonie był wielki, szczupły i czarny.

- No, dobrze - odparł z tłumioną niechęcią. - Chodź. Zaprowadził mnie do wysłużonego drewnianego baraku

o podwójnych drzwiach od strony morza i podał pęk kluczy.

- Drzwi mogą ciężko chodzić. Nie zaglądałem tu od zeszłej wiosny. Na ścianie wiszą kapoki. - Pasem zmierzwionej, pożółkłej trawy rosnącej za kamienistym brzegiem ruszył w stronę łodzi. - Trzymaj się blisko drzwi - rzucił przez ramię. -Jeśli wejdiesz głębiej, nastąpisz na coś ostrego albo zrzucisz coś sobie na głowę.

Powiodłam wzrokiem wzdłuż wybrzeża. Nikogo. I nic dziwnego: niebo tonęło we wszystkich odcieniach szarości, wodę smagał porywisty szkwał, a wzburzone fale pluły pianą. Z miejsca, gdzie stałam, wystawiając twarz do lodowatego wiatru, prawie nie widziałam cypla. Włożyłam klucz do zamka, z trudem go przekręciłam i uchylłam prawe skrzydło

drzwi. W środku panował bałagan: na dużym haku po lewej stronie wisały żółte i pomarańczowe kapoki, przy ścianie stały dwie wędki i kilka wielkich toreb; zaciekawiona trąciłam je nogą i okazało się, że zawierają żagle. W głębi hangaru leżała deska surfingowa. Były tam również różne wiadra, czerpaki, pudełka z gwoździami, haczykami i jakimś małymi przyborami, kilka pustych butelek po piwie, zielony brezent, kilka puszek farby, papier ścierny, skrzynka z narzędziami, łom i szczotka. Cuchnęło smarami i olejem, solą i czymś słodkim, pleśnią i zgnilizną. Pewnie w jakiejś szparze rozkładał się zdechły szczur.

Położyłam pianki na chropowatej ławce i drżąc z zimna w stęchłym, lodowatym powietrzu, zaczęłam się rozbierać. Potem naciągnęłam na siebie oporny kombinezon i bezlitosna guma ponownie usztywniła mi kończyny. Boże, co ja tu robię?

Wchodząc do hangaru, upuściłam gumowe buciki, dlatego musiałam wstać, pokuśtykać po nie na bosaka między drzazgami i kamykami i ponownie dokuśtykać do ławki. Usiadłam i przetrąłam ręką podeszwy stóp, żeby oczyścić je z piasku. Coś utkwilo mi między palcami. W pierwszej chwili pomyślałam, że to źdźbło trawy, i ostrożnie je rozchyliłam. Kawałek papieru. Kawałek różowego papieru wygięty w kształt zwierzaczka o czterech nogach i śmiesznym ogonku. Obróciłam go i położyłam sobie na dłoni: mały kuzyn sześciu stworków z menażerii na moim kuchennym stole.

Czy to możliwe, że Michael go tutaj przyniósł? Że stworek przylgnął do jego ubrania? „Nie zaglądałem tu od zeszłej wiosny.” Zeszłej wiosny kłóciliśmy się z Dannym w Londynie. Nie, on tu był. Dostałam czegoś w rodzaju gorączki. Wiedziałam, że muszę myśleć trzeźwo, ale otaczające mnie przedmioty zaczęły zmieniać kształt, zawirowało mi w głowie, żołądek podjechał do gardła, a każdy włoszek na skórze stanął dęba, napierając na wewnętrzną stronę gumowej skóry kombinezonu. Gdzieś tam, daleko, w najdalszych zakamarkach umysłu rozblęskło słabe światełko i czułam, że muszę do niego dojść,

jednak wszystko to, czego do tej pory byłam stuprocentowo pewna, powyginało się i monstrualnie zniekształciło. Danny tu był.

- Nie zapomnij o kapoku.

Odwróciłam głowę i na tle szarego nieba za drzwiami zobaczyłam ciemną sylwetkę Michaela. Zacisnęłam palce, chroniąc papierowego stworka. Daley podszedł bliżej.

- Pomogę ci. - Zapiął zatrzask tak szybko i gwałtownie, że aż sapnęłam. Jego obecność przygniatała mnie fizycznie. -A teraz kalosze. - Ukląkł. Kiedy usiadłam na ławce, ujął moje stopy i jedną po drugiej łagodnie wsunął do butów. Podniósł głowę. - Pantofelki pasują, Kopciuszk. - Danny tu był. Daley zdjął z haka żółty kapok i narzucił mi go na ramiona. - I wreszcie rękawice. - Zerknęłam na swoją zaciśniętą pięść i wyciągnęłam prawą rękę.

- Zaraz je włożę.

- Świetnie. A więc jesteśmy gotowi.

Z dłonią lekko wspartą na mych plecach, zaprowadził mnie do łodzi i weszliśmy na pokład. Wiatr wiał nam prosto w twarz, dlatego nie bardzo wiedziałam, jaką ma minę.

- A teraz się zabawimy - powiedział.

Już to przerabiałam: mokra lina wrzynająca się w dłonie, wysoko zadarty dziób łodzi, przeraźliwy łopot żagli, stalowo-szara woda, dziki krzyk mew, krótkie komendy - „Zwrot przez sztag!” - moje desperackie skoki z burty na burte, długie, nieme minuty balastowania gwałtownych przechyłów. Danny był w hangarze. Próbowałam wymyślić jakieś niewinne wytłumaczenie. Poszedł tam na spacer z Michaeliem? Przecież drzwi nie były otwierane od zeszłej wiosny, to słowa Daleya. W przemarznętej na kość ręce wciąż ściszałam papierowego stworka.

Płynęliśmy prawym halsem i brzeg szybko się oddalał. Twarz siekała mi piana, tak że jeśli płakałam, na pewno tego nie widział. On nie widział, a ja nie wiedziałam. Przed oczyma przesuwiał mi się rząd obrazów. Przyjazd Finn; była wtedy

taka blada, taka milcząca. Danny, który zerka na nią z drugiego końca stołu. I wyraz jego twarzy; doskonale pamiętałam, że patrzył na nią nie z pożądaniem, tylko z wyraźnym niezadowoleniem. Danny i Elsie: Danny bierze ją na kolana i lekko pochyla głowę, tak że jego czarne włosy splatają się z jej jasnymi kosmykami. Za wszelką cenę próbowałam zatrzymać ulotne myśli. Danny tam był. Danny nie uciekł z Finn. Danny nie popełnił samobójstwa.

- Milczysz. Zaczyna cię to wciągać?

- Może.

W tym samym momencie uderzył w nas silny powiew wiatru i łódź omal nie stanęła dęba. Wychyliłam się za burtę, żeby ją zbalansować.

- Zaraz minimy półwysep. - Mówił zupełnie spokojnym głosem. - Nie będziemy musieli iść tak ostro na wiatr. Uważaj, jeszcze chwila...

Załopotały żagle, śmignął bom i z silnym, bocznym wiatrem wyszliśmy na otwarte morze. Spojrzałam za siebie. Brzeg zniknął we mgle i szarej poświacie.

- Bardzo dobrze.

- Dzięki.

- Lepiej się czujesz?

Wzruszyłam ramionami i wymamrotałam coś pod nosem.

- Słucham?

- Już nie zbiera mi się na wymioty. - Zmrużył oczy. I się odwrócił. Jedną ręką przytrzymał rumpel i linę, drugą coś robił. Ponownie zerknęłam przez ramię i nagle wyrósł tuż przede mną.

- Co tam znalazłaś, Sam?

Miałam wrażenie, że w brzuchu wyrosła mi zimna metalowa gula.

- Nic.

Nim zdążyłam zareagować, chwycił mnie za nadgarstek i rozwarł palce. Był bardzo silny. Odebrał mi papierowego zwierzaczka.

- Mógł przywrzeć do twego ubrania.

- Tak.

- Albo do mojego.

- Tak.

Pokręcił głową i zachichotał, krótko i upiornie.

- Niestety, nie - powiedział. - Ściągnij linę. Zaraz dmuchnie. Wiatr się wzmógł, szczypał mnie w policzek. Michael pchnął

rumpel i główny żagiel wydał się jak balon. Bezpiecznie opłynęliśmy półwysep i wzięliśmy kurs na brzeg, a raczej na ostre skały, które wskazał mi poprzednim razem. Przyjrzałam mu się z bliska. Smagana wiatrem i chłostana pianą jego dziwna twarz była bardziej męska niż zwykle. Zasnuwająca mój umysł mgła zaczynała powoli ustępować. Finn zamordowano. Danny'ego zamordowano. Zginę i ja. Musiałam się odezwać.

- Zabiłeś Finn.

Spojrzał na mnie z cieniem uśmiechu na ustach, lecz nie odpowiedział. Miał rozszerzone źrenice: pod maską spokoju i opanowania kryła się twarz człowieka spiętego i podekscytowanego. Co mi kiedyś powiedział? Że oboje lubimy wyzwania?

- Poluzuj. Przez chwilę pójdziemy z wiatrem. Posłusznie poluzowałam linę i mały żagiel wypełnił się

wiatrem. Łódź osiadła na rufie i zadarła dziób. Za burtami śmigła woda.

- Danny cię nakrył? Nakrył cię, tak? Więc zabiłeś go i upozorowałaś samobójstwo, tak? I ten list, ten straszny list...

Michael skromnie wzruszył ramionami.

- Niestety, list wymagał zastosowania pewnego przymusu. Ale Sam, wciąż nie widzisz i nie doceniasz piękna całości obrazu.

- A przedtem... - Przestało mi na czymkolwiek zależeć, przestało mi zależeć na własnym życiu. Musiałam, po prostu musiałam poznać prawdę. - Rodziców Fiony zamordowaliście razem, prawda? Ty i ona.

„Belladonna” była coraz bliżej miejsca, gdzie krzyżowały się niebezpieczne prądy morskie: widziałam, jak wprawnym okiem żeglarza Michael ocenia odległość. Spojrzałam na wodę. Śmierć przez utonięcie.

- Coś w tym rodzaju - odparł obojętnie i uśmiechnął się nagle, jakby przyszedł mu do głowy jakiś dowcip. Lśniące bielą zęby, błyszczące, szare oczy, smagane wiatrem i pianą włosy: był ożywiony, piękny i odrażający.

I wtedy pomyślałam o Elsie. Niemal poczułam, jak się do mnie tuli, jak oplata mi szyję silnymi rączkami. Przypomniało mi się, jak wyglądała tego ranka, kiedy odwiozłam ją do szkoły: szkarłatne rajstopy, sukienka w plamy, masywne nóżki, piegi. Połysk jej włosów. Różowy czubek języka, skupienie, z jakim zawsze rysowała. Nie, nie zamierzałam umierać i osierocać córki. Bezmyślnie bawiłam się liną.

- W takim razie po co zabiłeś Finn?

Roześmiał się. Odrzucił do (yłu głowę i ryknął rubasznym śmiechem, jakbym opowiedziała przedni dowcip.

- Dla pieniędzy, oczywiście. Ale wciąż nie dostrzegasz piękna całości obrazu.

Nagle powiało z przeciwnej strony i łódź przechyliła się gwałtownie na lewą burtę. Załopotały żagle, zahurkotał bom. Nie czekając na komendę, napięłam linę, on ściągnął grotzagiel i pomknęliśmy w kierunku wiru. Teraz widziałam go całkiem wyraźnie: wyglądał jak wielka, lśniąca plama. Skały rosły w oczach, wystrzępione i najeżone czarnymi szpikulcami. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej i mogłam już tylko krzyczeć.

- Iglica? Kiwnął głową.

- Zabijesz mnie.

Powiedziałam to za cicho, poza tym był za bardzo pochłonięty sterowaniem. Spojrzałam na dno łodzi. Czerpak. Długi metalowy bosak. Zapasowy żagiel na rufie. Zwój liny. Dwa wiosła. Łódź zachowywała się teraz jak dziki rumak, to dźwigała się na falach, to gwałtownie opadała i wierzała na wszyst-

kie strony. Nagle znieruchomiała, zamarła. Wiatr ucichł, chociaż wokoło widziałam spienione fale. Byliśmy w oku cyklonu. Spojrzałam na Michaela, on spojrzał na mnie. I pokręcił głową, jakbym czymś go rozczarowała.

- To takie irytujące i niepotrzebne - powiedział. - Jak z tą przeklętą sprzątaczką.

- Jak z panią Ferrer? Ją też...?

Odwrócił się. Popatrzył w lewo i w prawo, próbując odgadnąć, z której strony powieje wiatr. Wciąż milczał i przez jakiś czas siedzieliśmy obok siebie, ja i człowiek, który miał mnie zabić. To niezręczne milczenie i niespodziewana cisza zdawały się go krępować. Nagle dmuchnęło potężnie od rufy. Żagle trzasnęły głośno, zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu, a łódź zadarła pysk tak wysoko, że przez chwilę myślałam, że zrobimy salto. Spadłam z burty na dno. Gdy bezsilnie przebierając nogami, podniosłam wzrok, tuż przed sobą ujrzałam twarz Michaela. Wynurzała się z wiatru i piany, uprzejma i męska.

- Przykro mi, Sam - rzekł, lekko pochylając głowę, jakby się kłaniał. W rękę trzymał bosak.

Wstałam i z czerpakiem w zaciśniętej dłoni runęłam na bom. Bom zatoczył ostry łuk, lecz Michael zdążył się uchylić. Cisnęłam w niego czerpakiem, dziko wierzgnęłam. Oberwał w głowę, głucho jęknął, wypuścił rumpel, linę i bosak. Przez burty przelewała się woda, bom szalał. Chwycił mnie w pasie i ponownie przygniótł do dna łodzi. Jego twarz znalazła się kilka centymetrów od mojej twarzy - z czoła spływała mu strużka krwi - i zobaczyłam ślad ciemnego zarostu pod warstwą potu i morskiej piany. Podkurczyłam nogę i grzmotnęłam go kolanem w krocze, a kiedy szarpnął się spazmatycznie, ugryzłam go w to, czego mogłam dosięgnąć: w nos. Wrzasnął i zaczął mnie bić, w twarz, w szyję, piersi i w osłonięty sprężystym kombinezonem brzuch. Dźgnął mnie palcem w oko i świat zginął na chwilę w czerwonej kuli bólu. Czułam na sobie jego oddech, czułam ciosy, którymi mnie zasypywał.

Rozkrzyżował mi ramiona, przygniótł je kolanami do dna

łodzi i chwycił mnie za szyję. Plunęłam krwią w jego wykrzywioną, zakrwawioną twarz. To już koniec. Poddusi mnie i wyrzuci za burtę niczym kawał żywej przynęty na ryby. Zaczął zaciskać palce, powoli i w skupieniu. Zza jego głowy wynurzyła się gigantyczna skała. Iglica. Górowała nad nami, przesłaniając pół nieba. Naprężyłam wszystkie mięśnie. Musiałam żyć. Tak bardzo chciałam żyć. Pomyślałam, że jeśli zdołam wypowiedzieć na głos imię Elsie, przeżyję. Otworzyłam usta i poczułam, że wysuwa mi się język, że nieprzytomnie przewracam oczami. Tak, jeśli zdołam wymówić jej imię, na pewno przeżyję, chociaż świat poczerniał i zgasł.

Coś nami szarpnęło, usłyszałam piskliwy zgrzyt drewna trącego o kamień. Wstrząs zrzucił ze mnie Michaela. Wokoło nic, tylko czarne fale i czarne skały. Z trudem łapiąc oddech, uklęknęłam, chwyciłam bosak i gdy Daley wstał, zebrałam resztki sił i pchnęłam go w pierś. Zachwiał się i zatoczył do tyłu. Nic z tego, za słabo. Rozejrzałam się rozpaczliwym, wygłodniałym wzrokiem. Rumpel. Pociągnęłam go mocno ku sobie. Bom zatoczył łuk, grzmotnął go w ramię i Michael runął do morza.

- Elsie - wychrypiałam. - Elsie, wracam do domu. — W tym samym momencie łódź roztrzaskała się o skały i otoczyła mnie woda.

29

Najpierw jak przez mgłę wyczułam jakiś ruch. Wiedziałam, że długo mnie nie było, że przez wiele godzin, a może nawet dni błądziłam w mrocznym bezczasy. Zatrzepotałam powiekami. Zobaczyłam jakąś twarz i z ulgą ponownie runęłam w czarną otchłań. W trakcie późniejszych prób - nie pamiętam, ile ich było - światło stawało się coraz znośniejsze, przesuwanie się wokół łóżka kształty coraz wyraźniejsze, mimo to w dalszym ciągu ich nie rozpoznawałam. Dlatego zaczęłam

przypisywać im twarze. Danny'ego, Finn, ojca, Michaela. Kosztowało mnie to sporo wysiłku.

Pewnego dnia światło wyraźnie poszarzało. Usłyszałam kroki i wyczułam, że ktoś opiera się o moje łóżko. Otworzyłam oczy i świat odzyskał dawną wyrazistość. Wróciłam. Przedemną stał Geoff Marsh i przypatrywał mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Kurwa mać...

- Tak... - Geoff niespokojnie zerknął w stronę drzwi. -Twoja matka jest w stołówce. Obiecałem, że posiedzę przy tobie kilka minut. Wpadłem po drodze z biura. Zaraz zawołam lekarza. Jak się czujesz?

Wymamrotałam coś pod nosem.

- Hm?

- Dobrze.

Przystawił sobie krzesło i usiadł. I nagle się uśmiechnął. Prawie się roześmiał. Zaskoczona zmarszczyłam czoło. I drgnęłam z bólu.

- Przypomniało mi się nasze ostatnie spotkanie - powiedział. - Pamiętasz?

Powoli, ostrożnie skinęłam głową.

- Obiecałaś nie rozrabiać. Unikać rozgłosu... Nie, mówienie kosztowało zbyt dużo wysiłku.

- Ale cóż - ciągnął jowialnie - najważniejsze, że media przestały interesować się psychicznymi zaburzeniami pourazowymi. Wypadki na morzu, cudowne ocalenia... Nasz ośrodek nie jest już w centrum zainteresowania. I bardzo dobrze.

Wyteńczyłam siły i chwyciłam go za rękaw.

- Michael.

- Co?

- Daley. Gdzie? - Jeszcze tylko kilka słów. - Gdzie jest Michael Daley?

Co go tak przeraziło? Dlaczego poczuł się nagle tak nieswojo? Zacisnęłam palce.

- Jest tu? Mów.

- Nie powiedzieli ci? No tak. byłaś nieprzytomna...
- Czego mi nie powiedzieli?
- Lepiej pójde po lekarza.
- Czego?

Już nie mówiłam, już krzyczałam.

- Ciiiicho - syknął. - Na miłość boską, tylko nie rób scen. Powiem ci. Daley nie żyje. Utopił się. Ciało znaleźli dopiero wczoraj. To zdumiewające, że ktokolwiek uszedł z tego z życiem. Nie wiem, jak dopłynęłaś do brzegu. Minęło wiele godzin, zanim cię znaleźli. Szok, ta koszmarna pogoda, masz szczęście, że w ogóle żyjesz. - Spróbował zabrać rękę. - Możesz mnie już puścić?

- Baird. Sprowadź Bairda.

- Kto to jest Baird?

- Detektyw. Z urzędu śledczego w Stamford.

- Najpierw sprowadzę lekarza. I twoją matkę. Siedzi tu od wielu dni.

Byłam kompletnie wyczerpana. Chciałam krzyknąć, lecz z gardła wydobył się tylko chrapliwy szept.

- Bairda. Natychmiast.

Obudził mnie pomruk przyciszonych głosów. Otworzyłam oczy. Rupert Baird rozmawiał z jakimś mężczyzną w garniturze w jodełkę. Zauważywszy, że nie śpię, mężczyzna podszedł bliżej, przysiadł na brzegu łóżka i uśmiechnął się figlarnie.

- Dzień dobry. Nazywam się Frank Grcenberg. Nie mogłem się doczekać, kiedy pani do nas zawita, ale nie przypuszczałem, że zrobi to pani w takim stylu.

Omam nie parsknęłam śmiechem i uświadomiłam sobie, że jestem dużo silniejsza i przytomniejsza.

- Przepraszam za ten dramatyzm - odrzekłam.

- Czy zawsze przychodzi pani do nowej pracy w taki sposób?

Nie wiedziałam, że jestem w pracy.

- Ależ tak. Pani ośrodek będzie mieścił się na drugim końcu korytarza. Za dwa, trzy dni, kiedy poczuje się pani lepiej, możemy tam panią zawieźć.

- Chyba już czuję się lepiej.

- To dobrze. Może to panią zaskoczy, ale przywieziono tu panią w bardzo ciężkim stanie.

- Z jakimi objawami?

- Gwałtowny spadek ciśnienia krwi i oczywiste oznaki zwężenia naczyń obwodowych. Mieszanina symptomów silnego wstrząsu i efektów długotrwałej ekspozycji na czynniki pogodowe. Miała pani niezwykle szczęście. Groziła pani ostra niewydolność krążenia.

- Kto mnie znalazł?

- Jakiś spacerowicz. Szedł plażą z psem i z telefonem komórkowym. Baird odchrząknął.

- Moglibyśmy zamienić kilka słów? Doktor Greenberg spojrzął na mnie i spytał:

- Czuje się pani na siłach?

- Tak.

- Nie dłużej niż pięć minut.

Kiwnęłam głową. Greenberg wyciągnął do mnie rękę.

- Miło mi panią poznać, pani doktor. Do zobaczenia jutro rano.

Baird podszedł bliżej i rozejrzał się nieporadnie za czymś do siedzenia. W rogu stało plastikowe krzesło. Nie bardzo wiedział, czy może przysiąść na łóżku, jak Greenberg.

- Proszę. - Poklepałam koc. Usiadł na samym brzeżku. Wyglądał jak kupa nieszczęścia.

- Cieszę się, że pani z tego wyszła. Przekłęta sprawa, co? - Niezdarnie położył rękę na mojej ręce. - Będę musiał zadać pani kilka rutynowych pytań, ale na razie nie ma takiej potrzeby...

- To Michael.

- Co Michael?

- Na podłodze jego hangaru znalazłam papierowego zwierzaczka, jednego z tych, które robił Danny.

Zrezygowany Baird ciężko westchnął i przybrał współczującą minę.

- To jeszcze nie dowód, że...

- Rupert, on się przyznał. Próbował mnie zabić. Tam, na łodzi. Dlatego roztrzaskaliśmy się o skały. Razem z Finn zabili jej rodziców. Potem zabił panią Ferrer. A potem Finn. I Danny'ego.

Baird drgnął, z udawanym zaskoczeniem wytrzeszczył oczy i uśmiechnął się lekko.

- Nie wierzy mi pan.

- Naturalnie, że wierzę. Ale widzi pani, cyniczny gliniarz mógłby powiedzieć, że przeżyła pani straszną przygodę, że doznała pani silnego wstrząsu, szoku, i że...

- Wszystko to sobie wyobraziłam, tak?

- Jestem bardzo ostrożny, Sam, czasami nawet przesadnie ostrożny. Muszę uważnie analizować dowody, bo nie chcę ponownie szlifować bruku. Jeśli ma pani dla nas coś konkretnego, chętnie się tym zajmiemy.

Już siedziałam, ale usłyszawszy te słowa, wyczerpana opadłam na poduszkę.

- Nie obchodzi mnie, co pan zrobi. Ja wiem, po prostu wiem, i to mi wystarczy. Zajrzyjcie do jego hangaru. Myślę, że właśnie tam ukrywał ciało Danny'ego. I kazał mu napisać ten list. I tam go zastrzelił.

Bird długo milczał. Nie widziałam jego twarzy.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zajrzymy. Moje pięć minut chyba minęło, a jest tu ktoś, kto chce się z panią natychmiast zobaczyć.

- Jezu Chryste, jeśli to Marsh albo jakiś inny dupek z administracji, niech pan mu powie, żeby poszedł sobie do diabła.

- Przykro mi, Sam. Boję się, że tej osobie nie mogę wydawać rozkazów. To ktoś dużo ważniejszy ode mnie.

- Boże, królowa mnie odwiedziła czy co?

- Ciepło, bardzo ciepło. - Podeszedł do drzwi. - Proszę, może już wejść
- powiedział do kogoś, kogo nie widziałam.

Wyczekująco podniosłam głowę i w progu, mniej więcej metr niżej, gdzie spodziewałam się cokolwiek zobaczyć, ukazała się piegowata twarz. Głośno zastukały buciki i wskoczyła na mnie Elsie. Przytuliłam ją tak mocno, że mogłam przeliczyć wszystkie kręgi jej kręgosłupa. Bałam się, że ją uduszę.

- Elsie - szepnęłam. - Teraz będziesz moją pielęgniarką. Wyślizgnęła się z moich objęć.

- Nie jestem twoją pielęgniarką - odparła zdecydowanie.

- W takim razie lekarką.

- Ani lekarka. Możemy pójść się pobawić ?

- Jeszcze nie, kochanie.

Zmrużyła oczy i przyjrzała mi się podejrzliwie.

- Ale ty nie jesteś chora. - Zabrzmiało to niemal jak wyzwanie.

- Nie. Jestem trochę zmęczona, ale już za kilka dni będziemy mogły biegać i skakać.

- Widziałam wielbłąda.

- Gdzie?

- Dużego wielbłąda.

Zobaczyłam matkę, która kręciła się w progu z ostentacyjną dyskrecją. Przywołałam ją gestem ręki, objęłyśmy się z czułością, z jaką nie obejmowałyśmy się od lat, a potem zaczęła mi opowiadać o Elsie. Robiła to z tak demonstracyjną tajemniczością, tak cichym szeptem, że Elsie natychmiast zapytała,

o co chodzi, a ja się rozplakałam. Chwilę później wyszły

i ponownie zostałam sama. Rozplakałam się dlatego, że nagle pomyślałam o Dannym. Nie o Dannym z przeszłości, lecz o Dannym, o którym nic już nie będę wiedziała. Wyobraziłam sobie, jak Daley celuje do niego z pistoletu, jak każe mu pisać list, wyobraziłam sobie, jak musiał się wtedy czuć. Umarł, myśląc, że mnie zdradził, że nigdy nie poznam prawdy. Już jako nastolatka dostawałam zawrotów głowy na myśl o tym, że kiedyś umrę, że rozplnę się w nicości. Myśl o śmierci

Danny'ego była o wiele straszniejsza. Dręczyła nie tylko umysł, lecz i ciało, skórę, dno oczu i uszy, sprawiając, że czułam się nieugięta i zimna jak gład.

Matka wprowadziła się do mnie, żeby doglądać Elsie. Okazywała mi iście operetkowe współczucie.

- Ten dom jest pełen złych wspomnień. Dasz radę tam wrócić?

Nie lubię, jak mówią mi, co mam robić.

- Ten dom jest pełen Elsie. Nie ma tam złych wspomnień. Dwa dni później poczułam się na tyle dobrze, że wypisano

mnie ze szpitala, a jeszcze po czterech dniach odprowadziłam matkę na dworzec, uwalniając ją od odpowiedzialności, a siebie od niej. Wszystko było w porządku, nie licząc tego, że Baird uparcie milczał, a ja czułam, iż milczy nie bez powodu, i nie chciałam o tym myśleć, dobrze wiedząc, że jeśli tylko zacznę, nie będę mogła przestać. Dokładnie tydzień po szpitalnej rozmowie z Bairdem zadzwonił do mnie Chris Angeloglou i poprosił, żebym przyjechała na posterunek. Spytałam po co, a on na to, że muszę złożyć zeznania, poza tym mają dla mnie coś ważnego. Czy mogłabym przyjechać dziś po południu?

Chris i Rupert zaprowadzili mnie do sali przesłuchań. Byli bardzo mili i uśmiechnięci. Posadzili mnie, przynieśli herbatę i ciasteczka, włączyli podwójny magnetofon i poprosili, żebym opowiedziała o wydarzeniach tamtego dnia. Ze wszystkimi wstawkami, dopowiedzeniami, dodatkowymi pytaniami i uzupełnieniami zajęło to prawie półtorej godziny, ale gdy wreszcie skończyłam, nie ukrywali zadowolenia.

- Znakomicie - powiedział Rupert, wyłączając magnetofon.

- A więc wierzycie mi?

- Oczywiście. Chwileczkę. O wpół do czwartej miał tu być Phil Kale. Pójdę sprawdzić, czy już jest.

Rupert wyszedł. Chris ziewnął i potarł oczy.

- To ja powinnam tak wyglądać, nie pan.

- Wszystko przez panią - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Odkąd dostaliśmy ten cynk o hangarze, harujemy non stop. Ale nowiny na pewno panią ucieszą.

- Świetnie. Przyda mi się trochę rozrywki.

Baird wrócił z rozkojarzonym, rozczocharanym mężczyzną, którego pamiętałam z mieszkania pani Ferrer. Zawiasy jego drucianych okularów były teraz oklejone taśmą, miał na sobie sztruksową marynarkę, jedną z tych, jakie nosili moi nauczyciele pod koniec lat siedemdziesiątych. Pod pachą ścisnął plik dokumentów. Chris podał mu krzesło i mężczyzna usiadł.

- Przedstawiam pani doktora Philipa Kale'a, naszego patologa. Phil, oto nasza bohaterka, doktor Samantha Laschen.

Uścisnęliśmy sobie ręce, skutkiem czego wszystkie dokumenty wylądowały na podłodze.

- Detektyw Baird powiedział mi, że złożyła pani zeznania w związku ze śmiercią doktora Daleya.

- Tak.

- Bardzo dobrze. Mogę zostać tylko chwilkę. Właśnie wyłowili z kanału jakąś prostytutkę. A więc krótko: specjalistyczne badania laboratoryjne w pełni potwierdzają to, co powiedziała pani policji. Boże, od czego by tu zacząć?

- Byliście w jego hangarze? - spytałam.

- Tak. Znaleźliśmy liczne ślady krwi i przeprowadziliśmy testy serologiczne. Znaleźliśmy również włosy i włókna materiału, które zbadaliśmy metodą analizy neutronowej. Wyniki porównaliśmy z wynikami badań włosów pana Reesa i włosów znalezionych w mieszkaniu państwa Mackenziech. Wciąż czekamy na ostateczne rezultaty testów DNA, ale wiemy już, jakie będą. Przez nieokreślony czas w hangarze doktora Michaela Daleya przechowywano zwłoki Daniela Reesa i Fiony Mackenzie. Potwierdzają to wyniki sekcji zwłok znalezionych we wraku samochodu. Stwierdziłem ewidentny brak przekrwienia, brak pozytywnej reakcji proteinowej oraz mnóstwo innych oznak świadczących o tym, że Daniel Rees i Fiona Mackenzie zginęli, zanim podpalono samochód.

- A więc w hangarze były również zwłoki Finn, to znaczy Fiony?

- Na płótnie leżącym w kącie hangaru znaleźliśmy jej włosy i włókna materiału z ubrania. Zakładamy, jesteśmy niemal stuprocentowo pewni, że była tym płótnem owinięta. Przepraszam, ale muszę już iść. Kanały czekają.

- A co z panią Ferrer? Kale pokręcił głową.

- Musiała pani źle go zrozumieć. Dokładnie przejrzałem raport. Niestety, niczego tam nie ma.

- Dlaczego miałby ją zabijać? - spytał Baird.

- Nie wiem - wymamrotałam odrętwiała. Kale wyciągnął do mnie rękę.

- Dobra robota, pani doktor.

- Dobra robota?

- To pani triumf.

Uścisnął mi dłoń i wyszedł. Angeloglou i Baird szczyrzyli zęby jak dwóch uczniów, którym chodzą po głowie brudne myśli.

- Z czego tak się cieszyacie? spytałam.

- Jutro rano zwołujemy konferencję prasową - wyjaśnił Baird. - Opowiemy o naszych odkryciach i oznajmimy, że sprawa morderstwa Leopolda i Flizabcth Mackenzie oraz morderstwa Fiony Mackenzie i Daniela Reesa jest zakończona. Dalsze śledztwo zostanie umorzone. Podkreślimy również pani wielkie zasługi i podziękujemy pani za pomoc oraz za bohaterską postawę w bezpośrednim starciu z Michaeliem Daleyem. Może nawet przedstawimy panią do odznaczenia. To powinno zamknąć usta tym ze szpitala. Wszyscy będą szczęśliwi.

- Nie przesadzajmy.

- Wiem, co pani przeszła - powiedział Rupert - i nie chcę być niewrażliwy, ale w tych okolicznościach to chyba najlepsze rozwiązanie.

Przepraszam, muszę to sobie przemyśleć. Wiecie już, jak zamordowano Mackenziech?

Musiałyby pani porozmawiać z Kale'em, ale wygląda na to, że związali ich i zabili w nocy. Potem Daley związał Fionę. Kiedy przyszła sprzątaczką, zrobił skalpelem płytkie nacięcie na szyi Fiony i uciekł kuchennymi schodami do ogrodu. Uznaliśmy, że krwotok był stosunkowo mały dlatego, że dziewczyna doznała szoku, co

spowodowało gwałtowny spadek ciśnienia krwi, tymczasem było tak dlatego, że ranę zadano ledwie kilka minut wcześniej. Wystarczy? Widzę, że coś panią dręczy.

- Wciąż o tym myślę, próbuję to wszystko rozwikłać... A więc po prostu to sfingowali. Finn pomogła Daleyowi poderżnąć gardło rodzicom i pozwoliła mu poderżnąć swoje. Czy odkryliście jakieś przesłanki, które mogłyby to zapowiadać?

Zaskoczony Chris potarł czoło.

- To znaczy, czy kogoś przedtem zabiła?

- Nie. Czy są dowody na to, że była w konflikcie z rodzicami? Albo czy miała symptomy braku równowagi psychicznej.

- Tego nie wiem, ale wiem, że jej ojciec miał na koncie osiemnaście milionów funtów. Wielu ludzi zamordowałoby swoich rodziców za o wiele mniejsze pieniądze. Poza tym sprawdziliśmy rachunki bankowe Daleya i wiemy, że żył ponad stan. Był poważnie zadłużony.

- A ten napis na ścianie, ślad wskazujący na członków ruchu obrońców praw zwierząt?

- Daley uczestniczył w pracach zespołu, który ich monitorował i doskonale wiedział, co robi. Miał doskonałą okazję, żeby zrzucić na nich podejrzenie. Proste.

Zaczęłam myśleć tak, jak myślałam w szkole na lekcjach matematyki, kiedy to marszcząc nos i czoło, dumałam tak intensywnie, że aż bolała mnie głowa.

- Dla mnie nie - odparłam. - Może to i prawda, ale bardzo zagmatwana prawda. Bo dlaczego Finn zapisała cały majątek Daleyowi? Przecież o to mu chodziło.

- Może zamierzali się pobrać.

- Na miłość boską, Rupert. Jest jeszcze coś.

- Co?

- Jak zapewne pamiętacie, podejrzewałam Daleya już przedtem, ale wy twierdziliście, że nie mógł mieć nic wspólnego z podpaleniem samochodu. O ile dobrze rozumiem, nie dysponujecie żadnymi dowodami na jego obecność w domu Mackenziech, dlatego powiedzieliście mi, że kiedy samochód płonął, Daley był już w Befasście.

Zażenowani wymienili spojrzenia.

- Sam, pani miała rację, a my błędziiliśmy. Czego pani chce? Żebyśmy upadli na kolana? Przyznaję, kilku spraw jeszcze nie wyjaśniono i zrobimy co w naszej mocy, żeby je wyjaśnić, ale w prawdziwym życiu nie wszystko układa się jak w dziecięcej układance. Wiemy, kogo zamordowano, i wiemy, kto zamordował. Ale dokładnie jak, prawdopodobnie nigdy nie rozgryziemy.

- A gdyby Daley zdołał dopłynąć do brzegu, oskarżylibyście go o morderstwo?

Baird podniósł palec w geście świętoszkowatej przestrogi.

- Wystarczy, Sam. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. My ustaliliśmy sprawcę, pani będzie słynna jak królowa Bou-dicca albo jak...

- Spojrzał bezradnie na Chrisa.

- Edith Cavell - podpowiedział ochoczo tamten.

- Edith Cavell została stracona.

- W takim razie jak Florence Nightingale. Najważniejsze, że to już koniec, i że możemy wrócić do normalnego życia. Za kilka miesięcy spotkamy się przy kielichu i będziemy się z tego śmiać.

- Krzyż świętego Jerzego.

- Co?

- Ten medal zawsze mi się podobał.

- Była pani za mało odważna. No, może gdyby się pani utopiła...

Wstałam.

- Gdybym się utopiła, nie dowiedzielibyście się, jaką wspaniałą byłam bohaterką. Do zobaczenia w telewizji, Rupert.

Robiłam mnóstwo rzeczy naraz. I odczuwałam mnóstwo rzeczy naraz. Pierwszy raz w życiu pochłoneły mnie nudne sprawy, które zauważa się dopiero wtedy, kiedy się je zawala, i było mi z tym dobrze. Robiłam wszystko: prowadziłam dom, sprzątałam, zmywałam, pilnowałam, żeby Elsie dobrze się ubierała, chodziłam krok w krok za Sally, żeby robiła coś więcej poza przecieraniem podłogi, wynoszeniem śmieci i układaniem papierów na kuchennym stole. Raz w tygodniu Elsie dawała się terroryzować Kirsty, raz w tygodniu Kirsty przychodziła do nas i dawała się terroryzować Elsie. Znalazłam dla niej drugą przyjaciółkę, Susie, chudą, anemiczną dziewczynkę z wstążeczkami w jasnych włosach, której krzyk do złudzenia przypominał hurkot młota pneumatycznego. Kupiłam wielką, kolorową książkę i wieczorami, kiedy Elsie była sama, siadałyśmy razem, żeby przeliczyć banany w kiściach albo żeby pogrupować zwierzęta według wielkości, skrzydeł, liczby nóg i tego, czy żyły na wodzie czy na lądzie. Mimo swej „biologiczności”, książka była przeznaczona do nauki matematyki.

No i pisałam. Rozdział za rozdziałem, jak maszyna. Mój rozkład dnia prawie nigdy nie ulegał zmianie. Odwieźć Elsie do szkoły. Pisać. Zjeść kanapkę z tego, co było pod ręką, i na czym nie wyrosło nic, czego nie można by łatwo usunąć. Pójść na krótki spacer nad morze, najczęściej w porze przyływu. Popatrzeć na fale i pomyśleć o czymś trudnym. Wrócić do domu. Pisać.

Pomyśleć. Tak, w głowie kłębiło mi się od myśli, a właściwie od ich skrawków, ścinek i zrzyneków. Analizowałam je wszystkie, tworząc mniej lub bardziej prawdopodobne rozwiązania. Jedne skrawki były mniej skomplikowane, inne bardziej. Po pierwsze, motyw. Oczywiście pieniądze. Olbrzymie pieniądze i być może swoiste poczucie żalu. Zbrodnię zaplanował Michael Daley. Dokonał jej przy współudziale

dziecka, które zawsze rozpieszczano i które wedle wszystkich dostępnych informacji nigdy nie wykazywało najmniejszych oznak młodzieńczego buntu przeciwko rodzicom. Ale oczywiście my, psychologowie, zawsze mamy na to odpowiedź. Oznaki buntu? *Quod erat demonstrandum*. Brak oznak buntu? To jeszcze gorzej, bo pewnie długo je w sobie tłumiała i wreszcie nie wytrzymała. *Quod erat demonstrandum*.

Dokonanie morderstwa było w sumie proste. Michael musiał zaplanować je dużo wcześniej, kiedy to pracując w Komitecie monitorującym działalność terrorystów z ruchu obrońców praw zwierząt, dowiedział się o groźbach pod adresem Leo Mackenziego. Stworzyło mu to znakomitą okazję. Musiał jedynie zabić ich w taki sposób, żeby podejrzenie padło na jakiegoś obłąkanego aktywistę, stąd poderżnięte gardła i napis na ścianie. Znałam Mackenziech jedynie z dwóch zamazanych fotografii w gazecie i - ciężko mi o tym mówić - z tych kilku mało istotnych szczegółów, które zdradziła Finn, dlatego wydawali mi się mało realni. Realny był za to Danny z lufą pistoletu przytknięta do skroni. Płakał i błagał o litość czy był dzielny i milczał? Co robiłam w chwili, gdy zrozumiał, że nie ma już nadziei, że się z tego nie wywinie, że Daley go zastrzeli? Pewnie był zły. Pewnie było mu przykro. Ze względu na mnie.

Zabił też Finn, swoją współniczkę. Przypomniłam mi się wylewny list, który do mnie napisała, i nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogła go ułożyć pod lufą pistoletu. Cóż, ostatecznie prawie nic o niej nie wiedziałam. Finn w moim domu. Zadręczały mnie te małe wspomnienia. Ilekroć o niej myślałam, czułam się tak, jakbym dotykała językiem złamanego zęba. Każdy dotyk wywoływał falę bólu i mdłości, mimo to nie mogłam się temu oprzeć. Finn na sofie. Finn w swoim pokoju. Genialny pomysł, żeby przywrócić ją do życia przy pomocy mojej córki. Finn paląca swoje ubrania. Rozmowy w ogrodzie. Wino i śmiech. Moja opowieść o szachach. Finn, która się mną opiekuje. To coś w rodzaju masochizmu. Zaufanie, jakim obdarzyłam Michaela Daleya. Daley, który chwali mnie za cudowne postępy Finn. Boże, o Boże, o Boże, o Boże. Byłam ostatnią naiwniaczką, pionkiem w maskaradzie, w wyrafinowanej grze pozorów, która rozpoczęła się od krwawej jatki na przedmieściach

Stamford, którą perfidnie kontynuowano w moim domu i która skończyła się pożarem samochodu na odludnym wybrzeżu w Essex.

Ale była też pani Ferrer. O co tu chodziło? Czy Michael naprawdę przyznał, że ją zabił, czy też źle go zrozumiałam, drżąc o swoje życie? Próbowałam wyobrazić sobie, co mogła odkryć. Może jako sprzątaczką natknęła się przypadkiem na jakiś obciążający dowód i wspomniała o tym człowiekowi, któremu ufała: swojemu lekarzowi. Tylko co to mogło być?

Nagle, pewnego ulewnego popołudnia, gdy stałam w sinym deszczu, obserwując żaglówki w słońcu dwa kilometry dalej, zrobiłam coś, czego próbowałam oduczyć swoich pacjentów: Zadałam sobie pytanie: „Dlaczego akurat ja?”. Pomyślałam, jak zostałam nieświadomą współniczką morderczego spisku, jak skutecznie odegrałam swoją rolę. Ja i moja niezrównana wiedza, mój cudowny zmysł obserwacji, moje trafne diagnozy.

- Ale ona nie była moją pacjentką - jęknęłam i zawstydziałam się, jakby mogły mnie podsłuchać mewy i wodorosty. Jakże żałowałam, że nie zrealizowali tego planu beze mnie, że nie wybrali kogoś innego, że to akurat mnie zmarnowali życie, że to mojego kochanka zamordowali.

- Dlaczego ja? Dlaczego ja? - Po jakimś czasie skróciłam to jeszcze bardziej i pozostało tylko: - Dlaczego? Dlaczego?

Wyobraziłam sobie, że to partia szachów. Grający z przewagą jednego gońca nie spekuluje, nie komplikuje sytuacji. Grający z przewagą gońca upraszcza. Motywy kierujące Michaeliem Daleyem i Fioną Mackenzie były odrażające, lecz proste. Więc dlaczego tak bardzo to wszystko zagmatwali? Jeszcze raz przeanalizowałam przebieg zbrodni. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego w domu Mackenziech musiała być Finn. Przecież Daley musiał poderżnąć jej gardło w ostatniej chwili, narażając się na schwytanie. Mogła być gdzie indziej, mogła

załatwić sobie doskonałe alibi, a wówczas Daley nie musiałby jej kaleczyć ani rozpoczynać długiej, wyrafinowanej, bardzo niebezpiecznej rozgrywki i podstępnie wciągać do niej mnie, Elsie, biednego Danny'ego i biednej, wiecznie smutnej pani Ferrer, jeśli rzeczywiście ją wciągnął. Poza tym dlaczego Finn tak nagle sporządziła testament, zapisując cały majątek człowiekowi, który potem ją zamordował? A może jednak popełniła samobójstwo? Czy Michael zabił ją, doszedłszy do wniosku, że połowa pieniędzy to za mało? Żadna z wersji nie miała sensu. Próbowałam opracować scenariusz, w którym Daley morduje Mackenziech i grożąc Finn śmiercią, zmusza ją do współudziału w zbrodni. Ale nie, to też mi nie pasowało.

Tego popołudnia już nie pracowałam. Po prostu szłam w deszczu i szłam, wreszcie spojrzałam na zegarek i spostrzegłam, że jeśli się nie pośpieszę, Elsie wróci do domu przede mną. Wbiegłam na podjazd zasapana i z bólem w piersiach, by zobaczyć, że samochód już tam jest. Wpadłam do środka, porwałam na ręce moje pulchne zawiniątko, przytuliłam je i ukryłam twarz w jej włosach. Odchyliła się w bok i sięgnęła po kompletnie niezrozumiały obrazek, który narysowała w szkole. Wyjęłyśmy farby, nakryłyśmy stół gazetami i namalowałyśmy jeszcze kilka obrazków. Ułożyłyśmy trzy układanki. Bawiłyśmy się w zagadki i w chowanego. Potem wzięła kąpiel i przeczytałyśmy dwie książeczki. Od czasu do czasu przerywałam czytanie, wskazywałam jakieś słowo - krótkie, na przykład „kos”, „nos” czy „dom” -pytałam, co to jest, a ona szukała podpowiedzi w rysunkach nad tekstem. Jeśli sprawa była zupełnie oczywista - „Krowa przeskoczyła przez... Przez co przeskoczyła krowa?” - Elsie odgrywała przedstawienie, udając, że potrafi literować - „D... O... O... N... Przez dom!” - robiąc to z tak namaszczonego zakłamaniem, że imponowała mi bardziej, niż gdyby umiała czytać.

Gdy po kąpieli przytuliłam do siebie pulchne, nagie ciało, gdy ponownie ukryłam twarz w słodko pachnących włosach („Szukasz gnid?”), nagle uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, spędziłam prawie trzy godziny, nie rozmyślając

o morderczym koszmarze, fałszu i poniżeniu. Po drugie, Elsie nie spytała mnie o Finn ani nawet o Danny'ego. W najczarniejszych chwilach miałam wrażenie, że ściany domu ociekają śluzem pozostawionym przez ludzi, którzy w nim mieszkali, tymczasem ona żyła dalej. Tuliłam ją do siebie, wierząc, że nie jest skażona złem. Wychrypiałam kilka kotysanek i wyszłam.

Chociaż minęła dopiero ósma, zrobiłam sobie kubek rozpuszczalnej kawy - zazwyczaj pijała ją tylko Linda - dolałam dużo mleka i położyłam się. Elsie przetrwała ten horror z typowo dziecięcą łatwością i nagle zapragnęłam zabrać ją stąd

i wywieźć w jakieś bezpieczne miejsce, dalej od strachu i zagrożenia. Nigdy nie uciekałam. Jako nastolatka spuszczałam głowę i pracowałam, i pracowałam. Jeszcze ciężiej pracowałam na studiach, jeszcze ciężiej po dyplomie. Na końcu tunelu nigdy nie było światelka. Nic, tylko kolejny egzamin, kolejna nagroda, stypendium czy posada - według znajomych jak zawsze nie dla mnie. Jedzenie, zabawa, seks i inne rzeczy, z których miało się składać życie, były czymś, co chwytalo się w locie i załatwiało na chybcika.

Przyszło mi coś do głowy i wykrzywiłam usta w szyderczym uśmiechu. Zupełnie zapomniałam. Finn od tego uciekła, pojechała do Ameryki Południowej czy gdzieś tam. Skaziła nawet samą myśl o czystości i bezpieczeństwie. Przypomniałam sobie, że tak, że coś po niej zachowałam. Przebiegłam na drugą stronę zimnego pokoju, chwyciłam obszarpaną książeczkę, wskoczyłam do łóżka i nakryłam się kocami. Pierwszy raz przyjrzałam się jej dokładnie. *Ameryka Łacińska praktycznie: inteligentny przewodnik*. Jęknęłam. „Najlepsze przewodniki w świecie - pięć milionów sprzedanych egzemplarzy”. Jęknęłam ponownie. Ładna mi ucieczka. Mimo to puściłam wodze fantazji i wyobraziłam sobie, że biorę dwa lata wolnego i wyjeżdżamy do Ameryki Południowej, tylko ja i Elsie. Było kilka przeszkód technicznych: niedługo otwierano mój ośrodek, nie miałam pieniędzy, nie znałam hiszpańskiego. Ale dzieci łatwo uczą się języków. Elsie mogłaby być moją tłumaczką.

Wszyscy mówili, że najpiękniejsze jest Peru. Przekartkowałam przewodnik i w rozdziale o Peru natrafiłam na ustęp zatytułowany „Problemy”.

W rejonach miejskich należy zachować dużą ostrożność. Napady na turystów są nagminne: wszędzie grasują kieszonkowcy, kobietom wyrywa się torebki z rąk, a przecinanie brzytwami pakunków i kieszeni to miejscowa specjalność. Mnóstwo naciągaczy i skorumpowanych policjantów.

Jęknęłam po raz trzeci. Nic to, dałybyśmy sobie radę. Dokąd to ona pojechała? Miczu piczu? Zajrzałam do indeksu. Machu Piechu. To jest to. „Najsłynniejsze i najwspanialsze zabytki archeologiczne Ameryki Południowej”. Mogłabym wziąć roczny urlop naukowy, trochę popodróżować, a Elsie nauczyłaby się przy okazji hiszpańskiego. Sunęłam wzrokiem w dół strony, aż napotkałam znane mi słowa:

Jeśli będziesz miał szczęście i trafisz na pełnię księżyca, odwiedź Machu Piechu nocą (US \$ 7 za tak zwane boleto nocturno). Stań przed Intihuatana - jedynym kamiennym kalendarzem, którego nie zniszczyli Hiszpanie - i podziwiając wspaniałą grę światła, zadumaj się nad losem imperiów. Imperium Inków już nie ma. Hiszpanie też stracili swoje. Pozostały tylko te ruiny. Ruiny i światło.

No i proszę. Swoje największe transcendentalne przeżycie ukradła z głównianego przewodnika. Pamiętam jej błyszczące oczy, jej drżący głos, gdy mi je opisywała. Klęska. Ostateczna klęska. Gdzieś tam, w odległym zakamarku psychiki, chowałam odrobinę chełpliwej nadziei, że być może do niej trafiłam, że mimo swej podłości i zakłamania trochę mnie lubiła, tak samo jak pokochała Elsie i jak Elsie pokochała ją. Teraz wiedziałam już, że nawet w sprawie tak błahej jak ta, Finn nie zawracała sobie głowy, żeby rzucić mi coś prawdziwego, coś

od siebie. Wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Dosłownie wszystko.

31

- Myślałaś, żeby z kimś o tym porozmawiać? No, wiesz... Sara robiła kanapki. Przywiozła biały ser, szynkę, pomidory, awokado - prawdziwe jedzenie - i teraz wkładała to wszystko między kromki pszennego chleba. Była bezpośrednia i mówiła

o uczuciach obiektywnie, jak matematyczka rozwiązująca trudne zadanie. Przez okno wpadały promienie słońca i miałyśmy dla siebie prawie całe popołudnie. Potem ze szkoły przyjeżdżała Elsie, a Sara wracała do Londynu.

- Z kim? - spytałam, pociągając łyk piwa. - Z psychoanalitykiem?

- Na przykład - odrzekł spokojnie. - Przecież jest ci ciężko. Długo patrzyłam na wygięte metalowe oko w puszcze.

- Najgorsze - odrzekłam w końcu - że jest tego aż tyle. Gniew. Poczucie winy. Kontuzja. Smutek. Żal.

- Hmm, oczywiście. Bardzo ci go brakuje?

Często mi się śnił. Zazwyczaj były to sny dobre, w których zamiast go tracić, ponownie go odnajdywałam. W jednym z nich stałam na przystanku autobusowym i nagle zobaczyłam, że idzie w moją stronę; wyciągnął rękę i jak dawniej padłam mu w ramiona. Sen był bardzo realistyczny - czułam bicie jego serca, dotykałam ciepłego zagłębienia w jego ramieniu -

i obudziwszy się w wielkim łóżku, przekreśliłam się na bok, żeby go objąć. W innym śnie rozmawiałam z kimś, kto nie wiedział o jego śmierci. Bardzo płakałam i nagle twarz mojego rozmówcy przybrała rysy uśmiechniętej twarzy Danny'ego. Obudziłam się z policzkami mokrymi od łez.

Co rano traciłam go ponownie. Co rano płonęłam, nie tyle z pożądania, co z samotności. Pamiętało go moje wytęsknione ciało: sposób, w jaki ujmował moją głowę, jego szorstkie dłonie na moich sutkach, on wtulony we mnie „na łyżeczkę”. Czasami brałam Elsie na rękę i przyciskałam ją do siebie tak mocno, że krzyczała z bólu i próbowała się wyrwać. Moja miłość do córki stała się nagle zbyt wielka, zbyt zachłanna.

Bardzo często wyjmowałam list, który napisał do siostry. Nie czytałam go, tylko patrzyłam na grube, czarne litery, skupiając wzrok na takim czy innym zdaniu. Miałam ledwie kilka zdjęć Danny'ego; jak większość mężczyzn zwykle krył się za obiektywem aparatu. Na jednym z nich staliśmy w szortach i podkoszulkach; ja spoglądałam przed siebie, on patrzył na mnie. Nie pamiętam, kto to zdjęcie zrobił. Na innym leżał na plecach i podnosił na nodze Elsie. Jego twarz rozmywała się w słońcu - zamiast oczu miał rozmazaną plamę - za to szeroko otwarte usta zachwyconej i trochę wystraszonej Elsie widać było bardzo wyraźnie. Na pozostałych stał tyłem do aparatu. Pragnęłam mieć zdjęcie, na którym patrzy prosto na mnie, jak filmowy gwiazdor z okładki kolorowego pisma, gdyż. bardzo się bałam, że zapomnę, jak wyglądał. Jego twarz widziałam wyraźnie tylko w snach.

- Tak - odpowiedziałam, biorąc kanapkę, z której natychmiast wypadł plaster pomidora. - Bardzo. - Ugryzłam kawałem chleba i dodałam: - Nie wiem, jak odtworzyć go w pamięci we właściwych rozmiarach. Rozumiesz?

- Jej też ci brakuje?

- Finn? Boże, to skomplikowane. Najpierw prawie ją pokochałam; była częścią rodziny. Potem ją znienawidziłam; robiło mi się niedobrze z nienawiści i poniżenia. A potem umarła i moje uczucia umarły wraz z nią. Nie wiem, co do niej czuję. Jestem zagubiona jak rozbitek na morzu. - Na wspomnienie czarnej wody przeszedł mnie dreszcz. Ponownie ujrzałam Michaela Daleya stojącego na roztrzaskującej się

łodzi, ponownie ujrzałam - w zwolnionym tempie - jak dźga go metalowy bosak, jak uderza go bom, jak jego długie ciało odchyła się do tyłu.

- Ci z policji skaczą z radości, że nareszcie mogą zamknąć sprawę. Nieściskości? Z czasem je wyjaśnimy, jedną po drugiej. Ale mnie nie daje to spokoju. Nie. to niedobre określenie. Po prostu nie mogę poukładać tego w głowie. Są pewne rzeczy... Nie rozumiem na przykład, jak to możliwe, że... - Urwałam. -Zagrajmy w szachy. Nie grałam Bóg wie jak dawno.

Rozłożyłam szachownicę, wyjęłam z szufladki dwa gładko-głowe pionki, zacisnęłam je w dłoni i Sara klepnęła mnie w lewą rękę.

- Białe - powiedziałam i wysypałam resztę figur. Po chwili stanęły w zwartym szyku, lśniąć w słońcu jak rycerze. Za oknem zaświergotał ptaszek. Nie był to samotny krzyk mewy, który zawsze przyprawiał mnie o dreszcz, tylko swojski szczebiot angielskiego ptaszka siedzącego na małym drzewie, które lada dzień miało wypuścić pierwsze listki.

Potem, kiedy Sara pojechała do Londynu i kiedy odebrawszy Elsie ze szkoły, oddałam ją pod opiekę Lindzie, zrobiłam wyprawę do supermarketu. Byłam tam ledwie przed kilkoma dniami, tak że półki i pojemniki w lodówce pękały w szwach od jedzenia, jednak pchanie wózka znajomymi przejściami, wkładanie doń solidnych, kojąco namacalnych przedmiotów, które zawsze leżały lub stały tam, gdzie trzeba, bardzo mnie uspokajało. Lubiłam porównywać ceny wieprzowiny z fasolą w melasie o zmniejszonej zawartości cukru, proszku do prania i masła orzechowego.

Właśnie stałam przed ladą z puddingami - wziąć ten z orzechami czy może ten z cytrynowymi bezami? - gdy nagle usłyszałam:

- Sam?

Wzięłam oba i odwróciłam się.

- Jak się masz... - Tak samo jak wtedy, znowu zapomnia-

łam, jak jej na imię. Zakupy z Finn. Krótkie, bolesne wspomnienie. Tamtego dnia uwierzyłam, że zaczyna się przede mną otwierać. Teraz już wiedziałam, że była to tylko maskarada.

- Lucy - podpowiedziała. - Lucy Myers.

- Oczywiście. Przepraszam, zamyśliłam się. - Włożyłam puddingi do przepełnionego wózka. - Co słyszeć?

- Powiedz lepiej, co słyszeć u ciebie - odrzekła z ożywieniem. - To straszne. Czytałam w gazetach, wszyscy czytaliśmy. Bardzo cię podziwiamy. Jesteś taka odważna. W szpitalu nie mówią o niczym innym.

- Świetnie.

- Właśnie. - Niczym uśmiechnięty cerber zastawiła mnie wózkiem, tak że utknęłam między chłodnią z puddingami i błyszczącym koszem jej wózka. Miała w nim jedzenie dla psa, wodę mineralną, pory, dezodorant, papierowe ręczniki i worki na śmieci. Zrobiło mi się niedobrze i czym prędzej wrzuciłam do chłodni pudding z cytrynowymi bezami. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś teraz taka sławna. Pewnie rozpoznają cię na ulicy, i w ogóle...

- Czasami. - Pudding z orzechami też zwróciłam.

- Omal się nie utopiłaś. Straszne.

- Owszem. - Zapomniałam o jedzeniu dla Anatola.

- A wiesz, co jest w tym wszystkim najbardziej zdumiewające?

- Nie.

Weszła między wózki i stanęła tuż przede mną, tak że widziałam soczewki jej szkieł kontaktowych.

- To, że ją znałam.

- Kogo?

Triumfalnie kiwnęła głową, zadowolona, że jej też dostała się porcja pysznego dramatu.

- Fionę Mackenzie. Znam ciebie i znałam ją. Niesamowite, prawda?

- Przecież...

- Naprawdę. Nasze matki się przyjaźniły. Nawet opiekowałam się nią, kiedy była mała. - I zachichotała, jakby to, że opiekowała się dziewczynką, która później zaszlachtowała swoich rodziców i spaliła się w samochodzie, było fantastyczną nowiną. - Ostatni raz widziałam ją chyba trzy lata temu. Tak, przyszła z rodzicami na ślub mojej siostry, ale...

- Chwileczkę, Lucy. - Mówiłam powoli, jakby nie znała angielskiego.

- Przecież niedawno ją widziałaś.

- Właśnie, to tak niedawno...

- Nie, widziałaś ją ze mną. W Goldswan Green. Pamiętasz? Towarzyszyła mi młoda kobieta.

- Oczywiście.

- Finn. Fiona Mackenzie.

- To była Fiona? Taka szczuplutka? Ale tak, słyszałam, że miała problemy.

Kiwnęłam głową.

- Anoreksja.

Spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem i nagle w nasze wózki wjechał wózek grubasa o wystającym brzuchu w prze-poconej pod pachami koszuli.

- Gdzie się stoi? - warknął.

- Gdzie się idzie? - odszczeknęłam i ponownie spojrzałam na Lucy. Nie zamierałam pozwolić jej odejść; nareszcie znalazłam kogoś, kto znał Fionę Mackenzie. - Opowiedz mi o niej.

- Mam ci ją opisać? O Boże, Fiona była... - Lucy rozłożyła ręce, jakby chciała złapać plażową piłkę. - No wiesz, dość krągła, ale miła. Tak. - Popatrzyła na mnie tak, jakby powiedziała coś niezmiernie ważnego. - Bardzo miła.

Uniosłam brew.

- Miła?

- Tak. I bardzo cicha. Nikomu się nie narzucała. Myślę, że była trochę nieśmiała.

- A więc miła i cicha?

- Tak. - Lucy wyglądała tak, jakby miała się za chwilę

rozplakać. Jak ona wytrzymała w szpitalu? - To było tak dawno temu...

- Jak wtedy wyglądała? Jak się ubierała?

- Trudno powiedzieć... Nigdy nie nosiła niczego ekstrawaganckiego. Była dość ładna, tylko że bardzo pulchna. I miała takie długie, rozpuszczone włosy... Sam, strasznie się cieszę, że cię widzę, ale...

- Przepraszam, twoje zakupy czekają. Mam nadzieję, że się wkrótce spotkamy.

- Byłoby cudownie. - Teraz, kiedy już się zegnałyśmy, w jej ożywionym głosie ponownie zabrzmiała przyjacielska nutka. - Sam, zaczekaj! Twój wózek!

- Zmieniłam zdanie - rzuciłam przez ramię i z pustymi rękami ruszyłam w stronę wyjścia. - Niczego nie potrzebuję.

W domu panowała idealna cisza. Na górze spała Elsie w czyściutkiej, świeżo wyprasowanej piżamce. Salon oświetlała tylko jedna lampa. Usiadłam na sofie z Anatolem na kolanach i przypomniał mi się wieczór, który spędziłam tu z Dannym kilka dni po przeprowadzce, kiedy to na nagiej podłodze stały jeszcze pudła i pakunki. Wypożyczył kasetę i rozłożył na gazetach hinduskie jedzenie na wynos. Siedzieliśmy po turecku, oglądaliśmy film i chichotaliśmy tak nieprzytomnie, że się popłakałam. Danny objął mnie, odsunął foliowe pojemniki z ciemnoczerwonym mięsem w złowieszczych warzywach, powiedział, że mnie kocha, ale ja śmiałam się dalej. I nie powiedziałam, że ja też go kocham. Ani wtedy, ani nigdy, ani przedtem, ani potem. Dlatego siedząc w jego szlafroku z kotem na kolanach, powiedziałam mu to teraz. Powtarzałam to jak mantrę, jakby czuwał gdzieś w niemej ciemności i wszystko słyszał, jakbym wypowiadając te słowa mogła wrócić mu życie. A potem wzięłam poduszkę, wcisnęłam w nią twarz i płakałam, i wypłakiwałam sobie serce w pulchny kwadrat kolorowego sztruksu.

Myślałam też o Finn. Mieszkała w tym domu prawie dwa miesiące i nie zostawiła po sobie żadnego śladu. Spaliła stare ubrania, a nowe zabrała. Nie zostawiła po sobie absolutnie nic. Rozejrzałam się po ciemnym pokoju: wszędzie wały się jakieś drobiazgi. Zgromadziłam je niedawno, przed dwoma miesiącami na pewno ich tu jeszcze nie było. Krzywy gliniany wazon - Elsie ulepiła go dla mnie w szkole - brzoskwinia z papier-mache od Sary, szklana kula, którą kupiłam w Gold-swan Green, bo spodobał mi się jej kobaltowy kolor, hebanowy kot, wczorajsza lista sprawunków, drewniany świecznik, bukiet wędnących anemonów, pudełko cukierków, sterta czasopism, sterta książek, cynowy kubek na ołówki. Natomiast jej sypialnia zawsze wyglądała jak hotelowy pokój. Weszła tam i wyszła, nie naruszając jego anonimowości.

Co wiedziałam o dziewczynie, z którą mieszkałam pod jednym dachem przez dwa miesiące, z którą jadłam posiłki i zostawiałam moją córkę? Niewiele, chociaż zdawałam sobie sprawę, że ona dowiedziała się o mnie całkiem sporo. Powiedziała jej nawet o ojcu Elsie. Co mówiła o niej Lucy? I jej szkolne koleżanki na pogrzebie Mackenziech? „Miła”. Tak, „bardzo miła”. A przyjaciele rodziny? „Urocza”. Tym protekcyjnym tonem głosu, który oznacza, że „nikomu nie sprawiała kłopotu”. Ja zapamiętałabym ją choćby dlatego, że emanowała czymś miękkim, delikatnym i dziewczęcym. Śmierć ujmuje ludzi w ramki, przypina ich do tablicy skończonego życia. Natomiast ją śmierć roztapiała, rozmywała jak obłok.

32

Monotonne noce i dni powoli znormalniały: noc zaczęła gładko przechodzić w dzień, a dzień w noc. Stan błogości? Bez przesady, bo z trudem to znosiłam, ale jakoś znosiłam i tymczasem musiałam się tym zadowolić. Wydarzenia? Oczy-

wiecie były. Po miesiącu posepnego skupienia skończyłam książkę. Drukarka wypluła pokaźny stos kartek, które wysłałam Sarze, żeby szybko je przeczytała i choć trochę mnie pochwaliła. Elsie robiła postępy. Zaczęłam podejrzewać, że jeśli słowo w książeczce jest bardzo krótkie - na przykład: „kot” czy „syn” - i jeśli Elsie jest w dobrym humorze, to potrafi je rozszyfrować bez pomocy rysunku nad tekstem. Poza tym znalazła sobie trzecią koleżankę, Wandę, a tak naprawdę Mirandę. Zaprosiłam ją - a raczej ona ją zaprosiła, bo ja tylko to zaproszenie potwierdziłam - na noc.

To nieprawdopodobne, ale już niedługo mieliśmy otworzyć nasz ośrodek. Przyjęłam do pracy dwóch lekarzy i dwóch stażystów; byli w drodze. Całymi godzinami siedziałam w biurze, omawiając szczegóły ich wynagrodzenie i ubezpieczenia, jeździłam na spotkania poświęcone strukturze podaży miejscowych usług lekarskich, objeżdżałam z Marshem wszystkie agencje ubezpieczeniowe, reklamując konsultacje, które miały zwolnić ich z odpowiedzialności za szkody wywołane konsumpcją gumowego kurczaka czy wody mineralnej. Tydzień zażywania jadowitych medykamentów słynnej doktor Laschen i gwarantujemy, że żadnych pozwów nie będzie. Sprzedawałam się tak dobrze, że zaczynałam żałować, iż nie mogę sprzedać się sama sobie.

Myślałam o Dannym, ale już nie cały czas. Kiedyś był w każdym pokoju, teraz bywał tam coraz rzadziej. Czasami otwierałam drzwi albo szafkę i kojarzył mi się z jakimś głupim szczegółem czy przedmiotem. Czasami budziłam się w środku nocy i płakałam. Do płaczu zdążyłam przywyknąć, ale nareszcie przestały mnie dręczyć obsesyjne i bezsensowne spekulacje na temat naszego wspólnego - i straconego - życia, straszliwa gorycz, że odebrał mi go zwyrodniały szaleniec.

Zainteresowanie prasy słabło. Artykuły na temat zawodności leczenia psychicznych zaburzeń pourazowych przeszły swoistą metamorfozę i zajmowały się teraz wnikliwą analizą kobiecej odwagi. Klęska ustąpiła miejsca zwycięstwu, ale

mnie nie interesowało ani jedno, ani drugie. Zasypywano mnie prośbami o zdjęcie w ogrodzie, zaproszeniami do rozmowy

- o moim dzieciństwie, o wpływach, jakim ulegałam, przysyłano mi ankiety do wypełnienia, zapraszano do radia, żebym puszczała swoje ulubione płyty. Zaproponowano mi rozmowę z radiowym psychiatrą o tym, jak się czułam, gdy zamordowano mi kochankę, a potem omal nie zamordowano mnie. Jako najślynniejsza angielska specjalistka, powracająca do zdrowia po silnym wstrząsie psychicznym, doszłam do wniosku, że tego rodzaju ekshibicjonizm mi nie posłuży i ku lekkiemu rozdrażnieniu Geoffa Marsha, wszystkim odmówiłam.

Jednakże był taki dzień, który nie wtopił się gładko w inne. Tego dnia Miranda miała spędzić u nas noc i obiecałam im tajemniczą ucztę o północy. Przy śniadaniu Elsie zdecydowała, że muszę kupić biskwity, lizaki, małe kiełbaski salami w srebrzystym papierze, serowe chipsy i czekoladowe paluszki, dlatego wycierając jej usta, myjąc zęby i czesząc włosy, zastanawiałam się gorączkowo, kiedy zdążę to zrobić. Strasznie nam się spieszyło i już miałyśmy wybiec z domu, gdy spostrzegłam, że szyby spływają brązowym deszczem. Szybko zdjęłam kurtkę, włożyłam płaszcz i czapkę.

- Włóż płaszcz, Elsie. Elsie zachichotała.

- Nie ma czasu na zabawy - warknęłam. - Płaszcz.

- Śmiesznie wyglądasz, mamusiu - odrzekła, zanosząc się śmiechem.

Zirytowana westchnęłam, spojrzałam do lustra i też parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. Rzeczywiście, wyglądałam dość komicznie.

- Jak Hardy Hardy.

Miała na myśli Laurela i Hardy'ego, którzy w jednej ze scen filmu na wideo myślą swoje kapelusze. Czapka była na mnie za mała: tkwiła na czubku głowy. Co jest, do diabła? Zdjęłam ją

i obejrzałam. Czapka Finn. Rzuciłam ją w kąt, chwyciłam kapelusz i podbiegłyśmy do samochodu.

- Bardzo śmieszna czapka.

- Tak, bardzo. - A co tam. Powiem jej, czemu nie? - To czapka Finn.

- Ta też jest Finn - odrzekła Elsie, wskazując kapelusz. Gwałtownie przystanęłam.

- Tak. Słusznie. Ta też...

- Mamusiuuu! Mokro!

Obiegrałam samochód, otworzyłam drzwi, przypięłam ją pasami i usiadłam za kierownicą. Przemokłam do suchej nitki.

- Mamusiu, pachniesz jak pies.

Bawiłyśmy się w liska koło drogi, w muzyczne komórki do wynajęcia i grałyśmy w skomplikowaną grę, której reguł nie byłam w stanie zrozumieć, lecz najważniejsze, że Elsie i Miranda śmiały się do rozpuku. Kwadrans po ósmej wydałyśmy tajemniczą nocną ucztę, a potem ukazałam się jako duch ze szczoteczką do zębów, żeby coś im przeczytać. Chciałam otworzyć książkę, lecz Elsie powiedziała: „Nie, z głowy, mamusiu, z głowy”, dobrze wiedząc, że znam tylko jedną bajkę. Usiadły wygodnie na łóżku, a ja próbowałam przypomnieć sobie główne wydarzenia *Czerwonego Kapturka*. Czy babcia umarła? Ale w mojej wersji nie umrze. Prześlizgnęłam się przez szczegóły i doszłam do punktu kulminacyjnego.

- Wejź, Czerwony Kapturku - wychrypiałam.

- Dzień dobry, babuniu. - To głosem małej dziewczynki. -Babuniu, jakie ty masz wielkie uszy.

- Żeby cię lepiej słyszeć, kochanie. Elsie i Miranda zachichotały.

- Babuniu, jakie ty masz wielkie oczy.

- Żeby cię lepiej widzieć - zaskrzeczałam tak przekonująco, że aż się rozkaszałam. Dziewczynki ponownie zachichotały.

- Babuniu, a dlaczego masz takie wielkie zęby? - spytałam i tym razem zrobiłam dłuższą przerwę, żeby popatrzeć na ich rozszerzone z napięcia oczy.

- Żeby cię zjeść! - Tu wskoczyłam na łóżko, warcząc i skubiąc je ustami. Dziewczynki radośnie krzyczały, piszczały, i wyrzywały się. Kiedy wreszcie ucichły, odezwałam się tym, co pozostało z mego normalnego głosu.

- A więc kto był w łóżku, Mirando?

- Babunia - odrzekła wesoło Miranda.

- Nie, chyba nie. Elsie? Kto był w łóżku?

- Babunia - odparła Elsie i dziewczynki ponownie zaniósły się śmiechem, tarzając się i podskakując.

- Jeśli ktoś ma oczy jak wilk, uszy jak wilk i zęby jak wilk, to kim jest?

- Babuuuunią! - krzyknęła Elsie i wybuchła jeszcze głośniejszym śmiechem.

- Jesteście jak dwa małe wilczki - powiedziałam.- Pora, żeby wilczki poszły wreszcie spać. - Przytuliłam je, pocałowałam i zeszłam do salonu, w którym od ciągłego skakania na łóżku, kołysała się lampa na długim, giętkim sznurze. W lodówce stała butelka zwietrzałego białego wina, więc nalałam sobie pół kieliszka. Musiałam chwilę pomyśleć. Coś nie dawało mi spokoju, coś brzęczało w czaszce jak mała muszka i chciałam to coś schwytać. Gdybym wiedziała, co ścigam, na pewno by mi się udało. Ukradkiem. Najlepiej podejść ukradkiem, od tyłu.

- Jeśli coś ma oczy jak wilk - wymamrotałam - uszy jak wilk i zęby jak wilk, musi być wilkiem. - Wypiłam łyk wina. -Ale jeśli nie ma oczu jak wilk i uszu jak wilk i zębów jak wilk, jeśli nie wyje do księżyca, to czym jest?

Wzięłam kawałek papieru i zaczęłam pisać. Sporządziłam listę, a potem zaczęłam podkreślać, zakreślać i łączyć poszczególne pozycje liniami. Rozluźniłam palce i wypuściłam długopis. Pomyślałam o Geoffie Marshu i jego średnioterminowej strategii działania, pomyślałam o Elsie i o swoim nowym, spokojnym życiu, pomyślałam o słabnącym zainteresowaniu prasy i nieuchronnie pomyślałam o Dannym.

W kieszonce torebki, wśród starych biletów, rachunków za zakupy na kartę kredytową, szpitalnych identyfikatorów,

paprochów i śmieci, które powinnam była wyrzucić już dawno temu, znalazłam karteczkę z numerem telefonu Chrisa Angelog-lou. Dał mi go podczas naszego ostatniego spotkania i powiedział, że mogę zadzwonić, kiedy zechcę. Podejrzywałam, że próbuje poddać mnie terapii własnego pomysłu, i tylko uśmiechnęłam się oschle. O Boże. Policja miała mnie dość. Wszyscy -rodzina, ci ze szpitala, dosłownie wszyscy - pragnęli zapomnieć o tym koszmarze. Gdybym sobie odpuściła, nie byłoby sprawy. Ale jeśli odpuścę, nie będę mogła spokojnie pracować, już nigdy nie odzyskam równowagi emocjonalnej i bez końca będę wracać do wspomnień, co nie wyjdzie na dobre Elsie. Jeśli na domiar złego zadzwonię do Chrisa Angeloglou, pomyśli, że zapraszam go na randkę. Ale kiedy miałam szesnaście lat, poprzysięgam sobie coś głupiego. Pod koniec życia żałuje się nie tego, co się zrobiło, ale tego, czego się nie zrobiło. Dlatego przyrzekłam sobie, że ilekroć przyjdzie mi wybierać między działaniem i zaniechaniem działania, zawsze wybiorę to pierwsze. Rezultaty często bywały katastrofalne, co nie napawało mnie optymizmem. Podniosłam słuchawkę i wystukałam numer.

- Halo? Czy zastałam pana Angeloglou? O, to pan, cześć. Dzwonię, żeby... Zastanawiałam się właśnie, czy nie moglibyśmy się spotkać. Chciałabym o czymś porozmawiać... Nie, wieczorem nie dam rady. Może w porze lunchu? Świetnie... To ten przy rynku? Dobrze, do zobaczenia.

Odłożyłam słuchawkę.

- Głupia, głupia, głupia - powiedziałam, żeby dodać sobie choć trochę otuchy.

Dyrektor administracyjny w marynarce o dziwnych klapach próbował wyjaśnić mi filozoficzną różnicę między szpitalnym łóżkiem w ujęciu sprawozdawczo-księgowym i szpitalnym

łóżkiem jako namacalnym przedmiotem, na którym spoczywa pacjent, i zanim zdążyłam zrozumieć z tego chociaż połowę, stwierdziłam, że się spóźnię. Zadzwoiłam do Chrisa, ale go nie zastałam. Następne spotkanie załatwiłam przez telefon, kolejne idąc szpitalnym korytarzem. To ostatnie skróciłam i pobiegłam do samochodu. Po drodze wpadłam do apteki po lekarstwo dla Elsie (jakby można było wyleczyć bezsenność wywołaną chroniczną niegrzecznością i brakiem posłuszeństwa), po czym objechałam miejski parking, co chwilę utykając w korkach za samochodami, które próbowały zaparkować jak najbliżej wjazdu, chociaż nieco dalej było od groma wolnego miejsca.

Spóźniłam się prawie pół godziny. Zasapana, wbiegłam do Queen Anne i natychmiast dostrzegłam Chrisa, który siedział w kącie sali. Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że układa z zapalek jakąś skomplikowaną budowlę. Zalałam go kaskadą przeprosin, usiadłam ciężko na krześle i budowlę szlag trafił. Uparłam się na coś mocniejszego i o nic go nie pytając, podeszłam do baru i histerycznym głosem zamówiłam dwa duże dziny z tonikiem, wszystkie rodzaje krakersów, jakie mieli, oraz porcję bekonowych chipsów.

- Ja nie piję - powiedział Chris.

- Ja też nie, ale pomyślałam, że ten jeden raz...

- Ja w ogóle nie piję.

- Pan kto? Muzułmanin?

- Nie, alkoholik.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Aha. To może zamówię wodę mineralną?

- To już trzecia.

- Bardzo przepraszam. Wiem, że jest pan bardzo zajęty, ale zatrzymano mnie. Dzwoniłam, ale już pan wyszedł, a teraz plotę, co mi ślina na język przyniesie...

Zamilkłam, próbując ocenić, jak bardzo jest zły i czy dalsza rozmowa ma jakikolwiek sens. Wypił łyk wody i posłał mi wymuszony, współczujący uśmiech.

- Wygląda pani dużo lepiej.
- Niż kiedy?
- Martwiliśmy się o panią. Mieliśmy wyrzuty sumienia.
- Niepotrzebnie. Po tej przymusowej kąpieli nie złapałam nawet kataru.

Zapalił papierosa.

- Mogę? - Kiwnęłam głową. - Nie to miałem na myśli.
- A co?
- Było pani ciężko. Bardzo pani współczuliśmy.
- Innym było jeszcze ciężiej.
- Ofiarom tych morderstw? - Roześmiał się sztucznie. - Tak... Ale to już przeszłość. Widzę, że nowa praca dobrze pani robi. Szukamy tej dziewczyny, tej Kendall. Pewnie widziała pani w telewizji.

- Nie oglądam telewizji.

- Szkoda. Jest sporo ciekawych programów, głównie amerykańskich...

Zmrużył oczy i uśmiechnął się wyczekująco. Pewnie chciał, żebym wreszcie wyjaśniła, po co zaprosiłam go do pubu.

- Chris, co się według pana stało?

Zainteresowanie, które miał wypisane na twarzy, nieco osłabło, jakbym zmniejszyła je, kręcąc ukrytym w torebce potencjometrem. Miał kształtne kości policzkowe i wyraźnie zarysowaną szczękę, którą czasami pocierał, jakby dziwiła go jej twardość. Był dla mnie za porządny. Zbyt wypielegnowany. Myślał pewnie, że powiem, iż chciałam lepiej go poznać, ale postanowiłam zaczekać do końca śledztwa. Więc może umówimy się na kolację i zobaczymy, co z tego wyniknie? Ostatecznie jestem profesjonalistką, feministką i farbuję na czerwono włosy, co zapewne oznacza, że nie Stronię od seksualnych przygód. Tymczasem okazało się, że mam neurotycznego szmergla na punkcie zamkniętej już sprawy.

- Sam, Sam - odrzekł cichym, kojącym tonem głosu, jakim przemawia się do dziecka, które obudziło się w środku nocy. - Nie musi pani tego robić.

- Nic nie muszę, ale nie o to chodzi.

- Przeżyła pani straszne, straszne chwile. Przeżyła pani silny wstrząs...

- Tylko proszę mi nie mówić o wstrząsach.

- Stała się pani wielką bohaterką, bardzo panią chwaliliśmy, byliśmy pani - wciąż jesteśmy - bardzo wdzięczni. Ale sprawa jest zamknięta. Wiem, że to pani jest specjalistką i że nie powinienem tego mówić, ale powinna pani sobie odpuścić.

- Nie odpowiedział pan na pytanie, Chris. Co się według was stało?

Zaciągnął się dymem tak gwałtownie, że niemal brutalnie.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Sam. Ci, którzy byli w to zamieszani, już nie żyją. Bardzo niezdrowa sprawa. - Prychnął ironicznie. - Ale już się skończyła i nie mam ochoty o niej myśleć.

Wypiłam duży łyk dzinu z tonikiem, wzięłam głęboki oddech i mniej lub bardziej szczerze powiedziałam:

- Proszę dać mi pięć minut. Jeśli to pana nie zainteresuje, już nigdy więcej do tego nie wrócę.

- Jak na razie jest to najbardziej obiecująca propozycja, jaką pani złożyła.

Spróbowałam zebrać myśli.

- Uważacie, że Finn i Michael zamordowali Mackenziech, i że Michael poderżnął Finn gardło, chociaż w chwili zabójstwa wcale nie musiała tam być i chociaż mogła zapewnić sobie doskonałe alibi.

Chris zapalił kolejnego papierosa.

- Na miłość boską, Sam, już to przerabialiśmy. Nie zamierzam analizować ich zachowania. Może postanowili zrobić to wspólnie, we dwoje. Byli szaleńcami, psychopatami, może nawet sadomasochistami, których cholernie to brało.

- Jest jeszcze morderstwo pani Ferrer.

- Pani Ferrer nałożyła sobie plastikową torbę na głowę i się udusiła. Klasyczne samobójstwo.

- Możliwe, ale w dalszym ciągu pozostaje sprawa morderstw

Danny'ego i Finn. To wy udowodniliście mi, że Michael nie mógł ich popełnić.

- Nie mogę uwierzyć, że siedzę tu i słucham tych bzdur. Proszę się na chwilę skupić, dobrze? W swoim zeznaniu twierdzi pani, że Michael Daley przyznał się do popełnienia tych morderstw. Badania przeprowadzone w hangarze jednoznacznie to potwierdziły. Byłoby nielogiczne podważać założenie, że Daley i Fiona zamordowali Mackenziech, że Daley - przy lub bez pomocy Fiony - zamordował następnie Danny'ego Reesa, a potem samą Fionę. Po prostu pozbył się niewygodnego świadka i gdyby udało mu się sfingować wypadek na łodzi, wyszedłby z tego czysty jak łąza.

- Czy przychodzi panu do głowy jakikolwiek powód, dla którego Finn miałyby zapisywać cały majątek Daleyowi?

Spojrzał na mnie może nie z pogardą, ale prawie.

- Szczerze? Powody głównie mnie obchodzą. Pacjentki często zakochują się w swoich lekarzach, prawda? - Zamilkł, po czym z okrutnym rozmysłem dodał: - Powszechnie wiadomo, że w chwili dużego stresu niektóre kobiety zachowują się irracjonalnie. Może miała jakiś uraz psychiczny, może dobijała ją napięcie przedmiesiączkowe. Niestety, ale właśnie tak kończy się większość spraw. Najważniejsi są sprawcy. Pytania, na które nie znaleziono satysfakcjonującej odpowiedzi, liczą się znacznie mniej. O tym chciała pani ze mną rozmawiać?

- Nie. W ciągu ostatnich dwóch dni przydarzyły mi się dwie bardzo dziwne i zabawne rzeczy. Pomyślałam, że pana zainteresują.

- Sam, dobrze się pani czuje?

- Parę miesięcy temu kupowałam z Finn ubranie i zupelnym przypadkiem wpadłam na znajomą ze studiów.

- Fascynujące. Pięć minut już chyba minęło...

- Jeszcze chwilę. We wtorek spotkałam ją ponownie.

- Jeśli spotkają pani po raz trzeci, proszę się jej ode mnie kłaniać. - Chris wstał.

- Siadaj - warknęłam.

Zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się, czy zignorować mnie i wyjść, czy zostać. Ciężko westchnął i usiadł.

- Czytała o mnie w gazetach. Powiedziała, że to zabawny zbieg okoliczności, ponieważ była przyjaciółką rodziny Mackenziech. Ale kiedy spotkała nas pierwszy raz, wtedy, w sklepie, potraktowała Finn jak powietrze. Po prostu jej nie poznała.

Chris patrzył na mnie z kamienną twarzą, czekając na puentę.

- I to coś znaczy? - spytał.

- Tak. Nie uważa pan, że to dziwne? Roześmiał się chrapliwie.

- Sam, czy Fiona bardzo schudła?

- Tak.

- Czy unikała ludzi?

- Tak.

- Więc może pani znajoma jej się nie przyjrzała? Może nie miała okularów?

- Finn zostawiła u mnie przewodnik po Ameryce Południowej. Przeglądając go, natrafiłam na pewien fragment. Ten sam fragment, dokładnie ten sam, zacytowała mi kiedyś w charakterze wspomnień z wycieczki do Machu Picchu. Jakby nauczyła się go na pamięć.

Chris zaczął wyłamywać sobie palce u rąk. Był wyraźnie znudzony i przyglądał mi się pogardliwie. Nawet nie raczył odpowiedzieć.

- A wczoraj przydarzyło mi się coś bardzo zabawnego. Wybiegając z domu, włożyłam pierwszy lepszy kapelusz i niech pan sobie wyobrazi, że był za mały. Sterczał na samym czubku głowy. Elsie pękała ze śmiechu.

- Przypuszczam, że trzeba było tam być, żeby docenić wyrafinowaną śmieszność tej sytuacji.

- Niech pan spojrzy. - Włożyłam kapelusz. - Pasuje jak ulał, prawda? To kapelusz Finn.

- Może tamten skurczył się w praniu? Ale to miło, że zechciała pani podzielić się ze mną swoimi przeżyciami.

- Bo kapelusze pierze się w pralce, prawda? To by coś wyjaśniało. Uczył się pan w szkole logiki?

- Zakładam, że to jeden z najważniejszych elementów pani śledztwa. Tak, ale założę się, że miałem gorsze stopnie niż pani.

- Na pewno. Proszę posłuchać. Zdaję sobie sprawę, że rzeczywistość jest skomplikowana, że ludzie zachowują się nielogicznie i że dowody nie są jednoznaczne. Ale... - Dopiliśmy dzin i trzasnęłam kieliszkiem tak głośno, że kilka osób się obejrzało, a Chris nieswojo poprawił się na krześle.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani wracać do domu samochodem.

- Ale - powtórzyłam. - To wszystko jest nie tylko straszliwie zagmatwane. To jest po prostu niemożliwe. Zanim zajrzeliście do tego hangaru, uznaliście za całkowicie możliwe, że Finn i Danny uciekli i popełnili samobójstwo. Ja, choć uważałam, że to mało prawdopodobne, zupełnie niepodobne do Danny'ego i bardzo stresujące, też uznałam za możliwe. A teraz niech pan uważnie posłucha. Jest całkiem prawdopodobne, że Michael zamordował Finn i Danny'ego i upozorował ich samobójstwo - to do niego podobne, prawda? - ale możliwe to już nie jest, tak? Ba! to wręcz niemożliwe. - Angelog-lou milczał. - No i co?

Chris strząsnął popiół z papierosa.

- W tym świetle, cóż... - odrzekł. - Może i tak. Ale oni już nie żyją. Nie wiemy, co się stało.

Nie mam pojęcia dlaczego - pewnie przez ten dzin, który wypiliśmy na pusty żołądek - ale nagle zadzwoniło mi w uszach, a panujący w pubie gwar zaczął rozsadzać mi czaszkę. Wpadłam w straszliwy gniew.

- Na miłość boską, poudawaj przez chwilę, że nie jesteś gliną. Poudawaj, że jesteś zwykłym, inteligentnym facetem, któremu zależy na ustaleniu prawdy. I nie martw się, kumple cię nie podsłuchają. Nie musisz się przed nimi sadyć.

- Ty bezczelna... - Ugryzł się w język, ale zrobił to z wyraż-

nym trudem. - Dobrze. Słucham. Bardzo chciałbym poznać prawdę. Jeśli byliśmy aż tak głupi, powiedz, co przeoczyliśmy. Ale zanim zaczniesz, muszę cię uprzedzić, że jeszcze trochę i zrobisz z siebie pośmiewisko. Wprawisz w zażenowanie i swoich pracodawców, i samą siebie, i swoją córkę. Tego chcesz? Zasłynąć jako grasująca na wolności wariatka? Jeśli tak, to słucham, mów.

Przez chwilę poważnie się zastanawiałam, czy nie chwycić ze stołu popielniczki i nie rozwalić mu łba. Ochłonawszy, uznałam, że wystarczy, jeśli chlusnę mu w twarz resztką drugiego dzinu z tomkiem. A potem zaczęłam liczyć. Liczyłam dość długo.

- Myślałam, że oddaję panu przysługę.

- Więc proszę mi ją oddać. Czuję, że jeszcze trochę i eksploduję.

- Nie oddam panu żadnej przysługi, ale pomogę panu myśleć.

- Muszę iść.

- Jeszcze tylko minutka. Spalony samochód znaleziono dziewiątego marca. Co wtedy twierdziliście? Że Finn i Danny strzelili sobie w łeb i podpalili wóz, wtykając szmatę do wlewu paliwa, tak?

- Tak.

- Ale skoro w hangarze natrafiono na ślady wskazujące na to, że przetrzymywano tam ich zwłoki, oczywiste jest, że kiedy samochód podpalono, oni już nie żyli, prawda?

- Tak.

- Prawdą jest również i to, że nie mógł tego zrobić Michael. Tak?

- Sam, już pani mówiłem, że jest w tej sprawie kilka nieścisłości. Niech pani spróbuje zrozumieć jedno. - Mówił powoli, jakbym słabo znała angielski. - Wiemy na pewno, że Michael Daley zamordował Danny'ego Reesa i Fionę Mackenzie. Zgoda? - Zachowanie spokoju przychodziło mu z takim trudem, że dosłownie drżały mu mięśnie twarzy.

Ja też mówiłam bardzo powoli.

- Michael Daley był w tym czasie w Belfaście. Tak?

- Tak.

- A więc kto podpalił samochód?

- Są różne możliwości.

- Na przykład?

Chris wzruszył ramionami.

- Różne. Mogli użyć jakiegoś urządzenia.

- Czy znaleziono coś, co mogłoby to potwierdzić?

- Nie.

- Zwłoki musiałyby leżeć w samochodzie przez dwa dni. To też nie wchodzi w rachubę. Zresztą, po co miałyby to robić? Po co ten pożar?

- Daley był psychopatycznym mordercą.

- Rozwesel mnie na chwilę i przestań bredzić. Nie zamierzam się na ciebie powoływać, niczego ci wytykać ani się z ciebie wyśmiewać, powiedz mi tylko, w jaki sposób podpalono ten cholerny samochód.

Mruknął coś pod nosem.

- Przepraszam, nie dosłyszałam.

Zapalił papierosa, z absurdalnym rozmysłem zdmuchnął zapałkę i położył ją w popielniczce.

- Możliwe - odparł - że Daley miał jakiegoś współnika.

- Nie, Chris, to nie tak. Jest zupełnie niemożliwe, żeby go nie miał.

Spojrzał na zegarek w wstał.

- Muszę iść.

- Odprowadzę pana.

W drodze na posterunek posepnie milczał. Spojrzał na mnie dopiero wtedy, gdy stanęliśmy przed schodami wiodącymi do głównego wejścia.

- A więc uważa pani - powiedział cicho - że powinniśmy wznowić śledztwo, żeby zidentyfikować tego tajemniczego współnika, tak?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo wiem, kto nim był.

- Kto?
- Finn - odrzekłam, rozkoszując się widokiem jego rozdziawionych ust. - Na swój sposób.
- Jak to „na swój sposób”? O czym pani, do diabła, mówi?
- Niech pan ruszy głową. Na tym polega pańska praca. Zmarszczył czoło.
- Jest pani... Pani jest...
- Zupełnie się pogubił. Podałam mu rękę. Ujął moją dłoń tak ostrożnie i delikatnie, jakbym mogła porazić go prądem.
- Czy... Czy robi pani coś dziś wieczorem?
- Robię. - Odwróciłam się i odeszłam, zostawiając go na schodach.

34

Usłyszałam kroki, za mleczną szybą zobaczyłam cień głowy, więc wyprostowałam się na onieśmielająco wielkiej werandzie, przybierając ufny, ugrzeezniony wyraz twarzy, i nagle zdałam sobie sprawę, jak obskurnie wyglądam. Drzwi uchylły się na kilka centymetrów i w szparze ujrzałam twarz kobiety. Miała na sobie szlafrok i nie zdążyła się jeszcze umalować. Jedno oko było obwiedzione kredką i miało poczernione rzęsy, a drugie, to częściowo ukryte za drzwiami, nie.

- Lauro? - rzuciłam w szparę. - Bardzo przepraszam, że przychodzę w nieodpowiedniej porze, ale czy mogłaby pani poświęcić mi kilka minut? - Wyraz przyprawionej irytacją uprzejmości w stosunku do nieznajomej, która odwiedziła ją w złym momencie, powoli ustępował miejsca wyrazowi zaskoczenia i lekkiego przerażenia, co wzięłam za znak, że Laura zaczyna mnie rozpoznawać. - Samantha - dodałam. - Sam Laschen.

Szpara się powiększyła. Przestronny hol, wypolerowana na połysk podłoga, duże pieniądze, dobry gust i codzienne sprzątanie.

- Ależ tak, oczywiście. Była pani na przyjęciu, prawda? Z... - Trwoga walczyła na jej twarzy z ciekawością.

- Z Michaelem Daleyem. Tak. Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia, ale muszę się czegoś dowiedzieć i chciałabym prosić panią o pomoc. Mogę przyjechać później, jeśli tak będzie dogodniej.

Laura zmrużyła oczy. Kto to? Plotkarska sensacja roku czy niebezpieczna wariatka? Zwyciężyło zamiłowanie do plotkowania.

- Nie, nie, dzisiaj zaczynam później. Nie dalej jak wczoraj mówię Gordonowi... Ale proszę, proszę, niech pani wejdzie. -Szczelnie owinięta kordonkowym szlafrokiem zaprowadziła mnie do pokoju, w którym przed kilkoma miesiącami jadłam szparagi i piłam białe wino. - Tylko pójdę coś na siebie włożyć. Napije się pani kawy? Albo herbaty?

- Kawy.

- Wracam za pięć minut. - Weszła na schody i podniecona zawołała: - Gordon. Gordon!

Wyjęłam telefon komórkowy - służbowy, szpitalny; wciąż mnie onieśmielał - i wystukałam numer.

- Halo? Czy mogę rozmawiać z Philipem Kale'em? Nie, zaczekam.

- Pani doktor? - Był wyraźnie zaskoczony i jak zwykle się spieszył.

- Tak. Mam pytanie. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jaką grupę krwi miała Finn... Fiona Mackenzie? Na pewno ustalił to pan podczas sekcji.

- Grupę krwi? Tak, naturalnie. Sprawdzę i oddzwonię. Na myśl, że coś miałyby zapisać mi w kieszeni, dostałam dreszczy.

- Nie, nie. Jestem dzisiaj w rozjazdach. Ja zadzwonię do pana. Powiedzmy za godzinę? Bardzo dziękuję.

Z kuchni dochodził jazgot młynka do kawy i brzęk porcelany. Wystukałam drugi numer.

- Halo? Szpital? Może mnie pani połączyć z Margarct Lessing? Tak, z kadrami. Maggie? To ja, Sam.

- Sam! - zabręczało cichutko w słuchawce. - Cześć. Co słyhać?

- Różnie. Możesz coś dla mnie zrobić? Leżała u was Fiona Mackenzie. Chciałabym zajrzeć do jej karty chorobowej. Mogłabyś ją dla mnie zdobyć?

Chwila wahania.

- Nie widzę przeszkód.

- Dzięki. Wpadnę do ciebie, dobrze?

- Najpierw zadzwoń.

- Jasne. Na razie.

Szare, lśniące loki, pewniejsza siebie mina, szarozielony żakiet, szarozielona spódnica do kolan, zrobione oko, wyszmin-kowany uśmiech - od razu spostrzegłam, że Laura czuje się dużo lepiej. Postawiła tacę na stoliku: wysoki dzbanek, dwie porcelanowe filiżanki ze srebrnymi łyżeczkami na spodeczkach, filigranowy dzbanuszek z mlekiem, kostki jasnobrazowego i śnieżnobiałego cukru. Pomyślałam o butelce mleka i słoiku dżemu na moim stole i o wciąż nie rozpakowanych pudłach na gołej podłodze w gabinecie. Nigdy jej nie dorównam. I dzięki Bogu.

- Jak się pani miewa? Wszyscy bardzo panią podziwiamy. -Zgrabnym ruchem naląła mi kawy; dodałam trochę mleka.

- Dobrze, dziękuję. - Wypiłam łyk. - Chciałam porozmawiać z kimś, kto znał Finn.

Bardzo jej pochlebiłam. Wyciągnęła silną, starannie wypielegnowaną rękę i położyła mi ją na kolanie; jak zwykle byłam w dżinsach.

- To, co pani przeszła, jest straszne. Byliśmy wstrząśnięci, nawet ludzie tacy jak my, stojący na uboczu, dlatego...

- Proszę mi opowiedzieć o Finn.

Wyraźnie skonsternowana wypiła łyżeczkę kawy i poprawiła się na krześle. Chciała, żebym to ja mówiła, nie ona.

- Nie znałam jej za dobrze. Była bardzo miłą, łagodną dziewczyną i, jak to dziewczyna, zapewne cierpiała w szkole z powodu nadwagi. - Laura uniosła brwi. - Potem ciężko zachorowała i wyjechała, porzucając wszystkich, których znała. Leo i Liz strasznie to przeżyli. Ale Finn wydobrzała. Liz powiedziała mi kiedyś, że córka jest szczęśliwa jak nigdy przedtem. Zupełnie odmieniona. Moim zdaniem uznali, że wyjazd do Ameryki Południowej był dla niej początkiem nowego życia, znakiem, że dorosła.

Nie tego chciałam. Amatorskie diagnozy Laury mnie nie interesowały. Szukałam informacji, faktów, które mogłabym zinterpretować bez niczyjej pomocy.

- Pewnie nie ma pani jej zdjęcia, prawda? Te, które były w domu, zostały zniszczone.

- Nie, chyba nie. Tak naprawdę widywaliśmy się z jej rodzicami... Chwileczkę. - Wyszła z pokoju, po chwili wróciła z grubym, kwadratowym albumem oprawionym w czerwone płótno i kręcąc głową, wdychając i cmokając, zaczęła go szybko przeglądać. Przed moimi oczyma migają obce twarze, anonimowe domy, wzgórza, plaże i grupy upozowanych ludzi. - To jest garden party u Liz i Leo. Fiona mogła tam być, ale nigdzie jej nie widzę...

Państwo Mackenzie, których niewyraźne zdjęcie widniało na pierwszej stronie wszystkich gazet, stali na gładkim trawniku, uśmiechając się do obiektywu. Ona była chuda i miała na głowie duży słomkowy kapelusz, on miał na sobie garnitur i było mu chyba gorąco. Po lewej stronie zdjęcia dostrzegłam nagie ramię, które uciekało z kadru, kawałek zwiewnej, kwiecistej sukienki i pukiel ciemnym włosów.

Dotknęłam ramienia palcem. Mocno, jakbym chciała wcisnąć go w żywe ciało.

- To jest Finn.

Skwer i ławka. Usiadłam. Matka bujała dziecko na samotnej huśtawce stojącej na plackowatym kawałku zieleni. Wyjęłam telefon.

- Z doktorem Kale'em poproszę.

- Dzień dobry, pani doktor - rzucił szybko. - Tak, mam przed sobą protokół. Zaraz... Jest: Fiona Mackenzie, grupa krwi „0”, tak samo jak prawie połowa mieszkańców Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. To wszystko?

Maggie była zdenerwowana.

- Przepraszam cię, Sam, ale musisz dać mi trochę więcej czasu. Te przekłete komputery. Ktoś się źle zalogował i wszyscy wisimy. Wystarczy ci karta z izby przyjąć?

- Tak.

- Przekreść.

- Pan Donald Helman? Dzień dobry. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Nazywam się Samantha Laschen. Poznaliśmy się na przyjęciu u Laury i Gor... Tak, właśnie. Laura dała mi pański numer. Mówił pan, że pańska córka przyjaźniła się z Finn. Chciałabym z nią porozmawiać... Aha. A kiedy wróci? Cóż, w takim razie... Na pogrzebie poznałam przyjaciółkę Finn; miała na imię Jenny. Nie pamięta pan przypadkiem jej nazwiska? Glaister. Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

Jenny Glaister była w domu, ponieważ jako studentka miała już ferie; zbliżała się Wielkanoc. Jej rodzice mieszkali trzydzieści parę kilometrów na południe od Stamford, w dużym domu z ogrodem, i kiedy zaparkowałam na szerokim, wyżwirowanym podjeździe, Jenny wyszła mi na spotkanie. Dzień był szary i dość chłodny, mimo to miała na sobie króciutką, kolorową spódnicę i cienką bluzkę. Z pogrzebu pamiętałam, że jest elokwentna i pewna siebie. Była zaskoczona, lecz i zaciekawiona. Kobieta, o której rozpisywały się gazety,

interesowała wszystkich na tyle, że chętnie mnie wpuszczali, choćby tylko na kilka minut. Zaparzyła herbatę i usiadła naprzeciwko mnie. Miała owalną twarz i ani jednego pierścionka na palcach.

- Szczerze mówiąc - zaczęła - Finn nie należała do naszej grupy. To znaczy, należała i nie należała. - Jenny zagryzła dolną wargę i dodała: - W szkole była nieśmiała. Trochę nieporadna. Kiedy... kiedy zachorowała i wyjechała, niektórym z nas było trochę głupio. Mielśmy wyrzuty sumienia, że cały czas stała trochę z boku. że nie wciągnęliśmy jej do naszego grona. Może zapadła na anoreksję dlatego, że za bardzo chciała być taka jak my? Widziałam się z nią krótko, kiedy wróciła z Ameryki Południowej i ledwo ją poznałam. Nikt z nas jej nie poznał. Miała fantastyczne ciuchy, była taka szczupła, opalona i chyba nieco pewniejsza siebie, jakby mniej zależało jej na naszej aprobacie. Trochę się jej bałyśmy, jak obcej. Była zupełnie niepodobna do pulchnej Finn, która się za nami włóczyła.

Próbowałam wyciągnąć z niej coś konkretnego. Jenny bardzo się starała.

- Kilka tygodni temu powiedziałabym, że była inteligentna, miła. Coś w tym stylu. I lojalna - dodała. - Tak, lojalna: mogłyśmy jej zaufać. Zawsze odrabiała lekcje, była punktualna i solidna. Chętna do pomocy. Spędziła z nią pani dużo czasu. Jakie wywarła na pani wrażenie?

- Czy ma pani jej zdjęcie?

Przeszukałyśmy pudełko, które zawierało głównie fotografie Jenny: na koniu - wyglądała uroczo - nad morzem, z rodziną, grającej na wiolonczeli, odbierającej nagrodę w szkole i z wdziękiem szusującej na nartach. Ani śladu Finn.

- Niech pani spróbuje w szkole - zaproponowała. - Tam muszą mieć jej zdjęcie, a semestr się jeszcze nie skończył. Proszę porozmawiać z sekretarką, z Ruth Plomer. Na pewno pani pomoże. Jest kochana.

Dlaczego sama na to nie wpadłam?

Pojechałam do szkoły Grey Hall, która, wbrew nazwie, wcale nie była szara, tylko wielka, czerwona i oddzielona od ulicy pięknym, zielonym trawnikiem. Po boisku, pod okiem wściekle pokrzykującej nauczycielki, biegały stadka dziewcząt w szarych szortach i białych podkoszulkach, wymachując kijami do hokeja na trawie. W gmachu głównym powitał

mnie zapach politory, zieleniny, lnianego oleju i kobiecości. Z zamkniętych drzwi dobiegał głos nauczycielki prowadzącej lekcję. W mojej szkole było zupełnie inaczej. Kobieta w roboczym kombinezonie wskazała mi sekretariat na końcu korytarza.

Ruth Plomer miała oczy jak paciorki i ptasi nos. Siedząc między stertami dokumentów, drucianymi koszami i plikami formularzy, wysłuchiwała mnie uważnie i kiwnęła głową.

- Szczerze mówiąc, przychodziło tu mnóstwo dziennikarzy z prośbą o zdjęcia, wywiady i komentarze, ale zgodnie z polityką szkoły, wszystkim odmówiliśmy. - Zamilkła na chwilę i nagle jakby trochę zmiękła. - Chce je pani tylko obejrzeć? Tu, na miejscu? I nie chce pani z nikim rozmawiać?

- Nie. Chciałabym zobaczyć, jak wyglądała, zanim ją poznałam.

Ruth Plomer była chyba trochę zaskoczona. Stoczyła ze sobą wewnętrzną walkę i przegrała.

- To chyba nikomu nie zaszkodzi. Nie mamy zdjęć legitymacyjnych, tylko grupowe. Który rocznik?

- Myślę, że oficjalnie odeszła latem pięćdziesiątego piątego, ale przedtem długo chorowała, prawie przez cały rok. Może zerkniemy na to z pięćdziesiątego czwartego?

- Proszę zaczekać. Zobaczą, co da się zrobić.

Wyszła, zastukała obcasami na korytarzu i dość szybko wróciła z dużym rulonem, który rozwinęła na zawałonym papierami biurku. Nachyliłam się i powiodłam wzrokiem po rzędach dziewcząt. Ruth włożyła okulary.

- Rocznik pięćdziesiąty czwarty - powiedziała. - Mam tu listę. Finn powinna stać w trzecim rzędzie od tyłu. Jest.

Tutaj. - Krótko obciętym paznokciem dotknęła postaci po lewej stronie zdjęcia. Ciemne włosy, lekko zamazana twarz: gdy fotograf zwolnił migawkę, musiała odwrócić się bokiem. Podniosłam zwój do światła i wyteżyłam wzrok, lecz wciąż rozmazywała mi się przed oczyma. Nigdy nie powiedziałabym, że to Finn. Albo ktokolwiek inny.

- Maggie? To jeszcze raz ja. Znalazłaś?

- Nie. W izbie przyjęć też jej nie ma. Ktoś musiał ją wziąć i próbuje ustalić kto. Zadzwoń. - Była zniecierpliwiona, rozdrażniona i wyraźnie nie miała ochoty na rozmowę.

Wszystko wyparowało. I co teraz?

Gdzie to było, Chryste, gdzie to było? Otworzyłam kufer. Malunki, dziesiątki jeśli nie setki malunków Elsie. Niektóre posklejane ze sobą farbą, inne z resztką klejącej taśmy na rogach. Trójnogie potwory w zieleniach i szkarłatach, żółte stokrotki o prostych łodygach i dwóch zapętlonych listkach, fioletowo-szkarłatne maziaje, twarze o zezowatych oczach, nieokreślone zwierzęta, mnóstwo krajobrazów i niebieskich fal zalewających gruby, biały papier. Tęcze o zachodzących na siebie kolorach, księżyc i gwiazdy kapiące złotem w kost-ropatą, czarną noc. Każdy rysunek podnosiłam i uważnie oglądałam z obu stron. Na pewno gdzieś tu była. Musiała być. Natknęłam się na ślady obecności Finn: starannie wypisane tytuły i daty, narysowany jej ręką pies obok koślawego psa Elsie, kilka pospiesznie naszkicowanych koni, drzew i żaglówek. Ale tego, czego szukałam, nie było. Utknęłam w ślepych zaułku.

Weszłam do pokoju Elsie i pootwierałam wszystkie szuflady. Spoglądały z nich na mnie różowe lalki w krzykliwych ubrankach, zwierzaki z dzianiny, małe puste pudełka, koraliki w czterech podstawowych kolorach, aksamitne wstążeczki i cała

armia maleńkich, plastikowych zabawek, które dzieci dostają w torbach z przysmakami. W bloku rysunkowym znalazłam kilka malunków, lecz tego malunku tam nie było. Pod łóżkiem leżał papuś i śpiący Anatol. Stałam na krześle i zdjęłam z szafy plik niechlujnie poukładanych i złożonych na pół papierów. Na pierwszym z wierzchu widniało imię Elsie napisane wielkimi, krzywymi literami. Na drugim była mapa. Nareszcie.

Zeskoczyłam z krzesła i ostrożnie rozłożyłam ją na podłodze, chłonąc wzrokiem plamy kolorów i małe, rdzawe litery. „S” i „E”. A pod spodem „F” wypisane jej własną krwią.

Podniosłam rysunek powoli i niepewnie, jakby był rysunkiem ze snu, który może zniknąć, gdy się po niego sięgnie. Poszłam do gabinetu, włożyłam go do dużej, brązowej koperty, kopertę zakleiłam, wzięłam kluczyki i wybiegłam z domu. Nareszcie miałam namacalny dowód.

- To znowu pani.

Usiadłam, lecz on wciąż stał, podpierając się pod boki.

- Znalazłam ją. A raczej to.

- To czyli co?

Położyłam na biurku zaklejoną kopertę.

- W tej kopercie - zaczęłam powoli, jakbym przemawiała do osoby dotkniętej demencją albo jakbym sama na nią cierpiała - jest rysunek.

- Rysunek. Jak miło.

- Rysunek Elsie.

- Proszę posłuchać, Sam. - Chris nachylił się nade mną i zauważyłam, że ma bardzo zaczerwienioną twarz. - Dobrze pani życzę, szczerze, ale niech pani wraca do domu, zajmie się córką i da mi wreszcie święty spokój.

- To pamiątka po pewnej zabawie. Finn i ja podpisałyśmy go własną krwią. - Christ otworzył usta i myślałam, że na mnie ryknie, ale nie, nie wydał żadnego dźwięku. - Proszę dać to Kale'owi. Niech zrobi testy.

Angeloglou ciężko usiadł.

- Pani jest obłąkana. Pani kompletnie zwariowała.

- I poproszę o pokwitowanie. Nie chcę, żeby to gdzieś wsiąkło.

Długo przeszywał mnie wzrokiem.

- Mam prowadzić rejestr pani wybryków? Dobrze! - krzyknął i zaczął gorączkowo szperać wśród papierów na biurku. Nie znalazł tego, czego szukał, wypadł jak burza na korytarz i wrócił z jakimś formularzem. Trzasnął nim w blat i chwycił długopis.

- Nazwisko - warknął.

35

- Wezmę... - Przesunęłam palcem w dół listy. - Wędzoną makrelę i sałatkę. A wy?

- Kawalki kurczaka i frytki - oznajmiła stanowczo Elsie. -I napój pomarańczowy z bąbelkami. I lody czekoladowe na deser.

- Dobrze - zgodziłam się potulnie; Elsie doznała szoku. -A ty, Saro?

- Chłopski lunch: chleb, ser i marynowane cebulki.

- Coś do picia? Może shandy?

- Świetnie.

Złożyłam zamówienie u kelnerki, która wyglądała jak kobieta w dziesiątym miesiącu ciąży, po czym wzięłyśmy napoje, wyszłyśmy na dwór - był cudowny wiosenny dzień -i w szczelnie zapiętych płaszczach usiadłyśmy przy rozchwierutanym, drewnianym stole.

- Mogę się pohuścić? - spytała Elsie i popędziła przed siebie, nie czekając na pozwolenie. Z trudem weszła na krzeselko i zaczęła się na nim gwałtownie szarpać, jakby to mogło ją rozbudzić.

- Szybko się z tym uporała - zauważyła Sara.

- Wiem. - Sąsiednią huśtawkę zajął mały chłopiec w swetrze w paski. Przypatrywał się podejrzliwie Elsie, Elsie jemu. -Zabawne, prawda?

- Dzieci są bardzo elastyczne.

Chwilę milczyłyśmy, popijając shandy i grzejąc twarze w słońcu.

- Dość, wystarczy - powiedziałam. - Nie trzymaj mnie w niepewności. Co myślisz o książce. Mów. Tylko szczerze. Milczysz, bo jest aż tak fatalna?

- Dobrze wiesz, że nie. - Objęła mnie i omal nie wybuchłam płaczem; nie licząc Elsie, już dawno nikt mnie nie obejmował. - Moje gratulacje, Sam. Jest świetna. Naprawdę. I szalenie kontrowersyjna - dodała z uśmiechem. - To niesamowite, że zdołałaś napisać coś takiego w tak krótkim czasie, zwłaszcza po tym, co przeszłaś. Może właśnie dlatego jest tak dobra. Tak, bardzo dobra...

- Ale?

- Mam kilka drobnych uwag. Wypisałam je na marginesach.

- Ale? - powtórzyłam.

- Nie ma żadnego „ale”. Jest pytanie.

- Wal.

- Może nawet nie tyle pytanie, co komentarz. - Sara przesunęła palcem po brzegu szklanki. - Piszesz jak ktoś, kto chce skończyć karierę, a nie jak ktoś, kto ją zaczyna.

- Lubię palić za sobą mosty. To taki nawyk. Sara parsknęła śmiechem.

- Tak, ale tym razem palisz mosty przed sobą! Te wszystkie ataki na dyrektorów administracyjnych szpitali, na nudnych, ospałych terapeutów, te uwagi o „projektantach” urazów psychicznych...

Chłopiec bujał Elsie na huśtawce. Ilekroć szybowiała w powietrze, nóżkami wskazując niebo, a główką ziemię, serce podjeżdżało mi do gardła.

Nadeszła kelnerka z talerzami. Moja makrela leżała pośród kilku strzępków sałaty, wielka i pomarańczowa. Jedzenie Elsie było w beżach.

- Twoje wygląda najlepiej - powiedziałam i zawołałam Elsie. Natychmiast przybiegła.

Po lunchu, kiedy Elsie wyjadła już wszystkie frytki i spałaszowała lody czekoladowe, poszliśmy na krótki spacer do starego kościółka, przed którym rozmawiałam kiedyś o Ameryce Południowej i o ojcu mojej córki.

- Podoba ci się tu? - spytała Sara. Szliśmy pod bezkresnym niebem. Tego dnia morze było niebieskie i przyjazne, ziemia miękka i gąbczasta, a nad naszymi głowami krążyły ptaki.

Rozejrzałam się. Niedaleko stąd kochałam się z Dannym, uważając, czy nie nadjeżdża jakiś traktor. Tu spacerowałam z Finn, która, wracając do zdrowia, prowokowała mnie do wyznań. A gdzieś tam omal nie umarłam.

Zadrzałam. Zdawało się, że stoimy w miejscu. Szliśmy i szliśmy, a krajobraz się nie zmieniał. Można było tak iść przez cały dzień, a horyzont po prostu odpływał.

Zawsze uważałam, że „posinić z wściekłości” jest hiperbolą lub określeniem czysto metaforycznym, tymczasem Geoff Marsh naprawdę posiniał. Posiniał i stęzał tak bardzo, że pulsowała mu żyła na szyi, ale gdy spytałam, czy dobrze się czuje, wskazał mi fotel przed biurkiem i usiadł. Mówił z wymuszonym spokojem.

- Co słyszać?

- W ośrodku?

- Tak.

- Malarze kładą ostatnią warstwę farby. I te dywany. Recepcja wygląda jak gabinet dyrektora spółki akcyjnej.

To źle?

- Pomieszczenia interesują mnie tylko ze względu na ich funkcję terapeutyczną.

- Tak, ale istnienie ośrodka i jego rola w naszej polityce ekonomicznej zależy od tego, czy ośrodek ten zbierze odpowiednie fundusze, a to z kolei zależy od jego wkładu w podejmowane przez nas przedsięwzięcia i od towarzystw ubezpieczeniowych, które uwierzą, że program leczenia

psychicznych wstrząsów pourazowych uchroni je przed roszczeniami klientów. Posiniaczone berbecie i strażacy, którzy boją się ognia, nie zapłacą za twoje bezcenne środowisko terapeutyczne.

Policzyłam do dziesięciu, potem jeszcze raz do dziesięciu i kiedy się wreszcie odezwałam, mówiłam dużo spokojniej niż on.

- Goeff, gdybym cię nie znała i nie kochała, pomyślałabym, że chcesz mnie obrazić. Wezwałeś mnie, żeby dać mi wykład na temat podstawowych zasad leczenia psychicznych wstrząsów pourazowych?

Wstał, obszedł biurko i przysiadł na krawędzi blatu, przybierając pozę, której nauczyli go pewnie na kursie dla personelu kierowniczego.

- Udzieliłem oficjalnego ostrzeżenia Margaret Lessing -powiedział. - Ma szczęście, że jej nie zwolniłem.

- Co znaczy „nie zwolniłem”? O czym ty mówisz?

- Trust prowadzi surową politykę zobowiązującą nas do przestrzegania tajemnicy służbowej, którą Margaret Lessing świadomie naruszyła. Jak rozumiem, zrobiła to na twoje polecenie.

- Tajemnica służbowa? Gdyby wszedł tu pułkownik Kadafi i poprosił cię o kopie kart chorobowych twoich pacjentów, bez wahania byś mu je sprzedał. O co tu chodzi, Gcol I?

- Pani doktor, sama pani wielokrotnie powtarzała, że Fiona Mackenzie nie była pani pacjentką. Nie ma pani prawa wglądu do jej dokumentów.

- Mam. Jestem lekarką i pracuję w tym szpitalu.

- Jeśli dokładnie przeczyta pani swoją umowę i nasz regulamin wewnętrzny, przekona się pani, że pani tak zwane prawa są oparte na ściśle określonych warunkach zatrudnienia.

- Jestem lekarką i jako lekarka zawsze robię to, co uznam za słuszne. A tak z ciekawości: od kiedy to monitorujecie rutynowe prośby o wydanie kart chorobowych? - Lekko się zawahał i w tym samym momencie wszystko zrozumiałam. -To nie ma nic wspólnego z etyką, prawda? Po prostu mnie szpiegujesz.

- Czy karta chorobowa tej dziewczyny była pani potrzebna do jakiejś terapii?

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie.

- Czy wgląd do tej karty leżał w pani kompetencjach?

- Tak. Pośrednio.

- Pośrednio - powtórzył sarkastycznie. - A może, wbrew moim ostrzeżeniom i z własnej inicjatywy, prowadzi pani prywatne śledztwo w tej sprawie? W sprawie, którą policja już zamknęła.

- Otóż to.

- No i co?

- No i pstro. Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

- Owszem, musi pani. Nie do wiary. Mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu. Śledztwo się skończyło, cudem uniknęliśmy złej reklamy. Kiedy doniesiono mi, że znowu zaczęła pani w tym grzebać, pomyślałem, że załamała się pani psychicznie. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy wysłać panią na leczenie, czy ukarać dyscyplinarnie.

Zerwałam się na równe nogi i podeszłam tak blisko, że poczułam na twarzy jego oddech.

- Coś ty powiedział?

- To, co powiedziałem.

Chwyciłam go za krawat i zacisnęłam węzeł tak mocno, że omal nie zmiażdżyłam mu grdyki. Cichutko zapiszczał.

Ty nadęty kutasie. - Puściłam krawat i cofnęłam się

o krok. Myślałam nie dłużej niż sekundę i gdy podjęłam decyzję, odczułam olbrzymią ulgę. Tak będzie dużo lepiej, nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Próbujesz zmusić mnie do rezygnacji. - Geoff spuścił oczy. - Sama odejdę. - Ożywiony poderwał wzrok. Postawił na swoim, ale miałam to gdzieś. - Różnice w poglądach na sprawy zawodowe. Tak się to mówi, prawda?

Uciekł wzrokiem w bok. Czyżbym próbowała wciągnąć go w jakąś pułapkę?

- Przygotuję odpowiednie oświadczenie - wymamrotał.

- Na pewno już leży w twojej szufladzie. Odwróciłam się, żeby odejść, ale nagle o czymś sobie przypomniałam.

- Zrobisz coś dla mnie?

Zaskoczyłam go. Spodziewał się łez albo mordobicia, ale na pewno nie tego.

- Co?

- Wycofaj ostrzeżenie dla Maggie Lessing. Ja dam sobie radę, ona nie.

- Zastanowię się.

- Już dostała nauczkę, to wystarczy.

- Nie bądź rozgoryczona, Sam. Na moim miejscu załatwiłabyś to tak samo.

- Odejdę natychmiast.

- Tak będzie najlepiej.

- Znaleźliście tę kartę? Zmarszczył czoło.

- Fiony Mackenzie? Nie. Widocznie gdzieś się zapodziała. Ale na pewno znajdziemy.

Pokręciłam głową.

- Nie sędzę. - Pomyślałam o czymś i uśmiechnęłam się. - Nie szkodzi. Mam za to rysunek mojej pięcioletniej córki.

Zamykając drzwi, widziałam, jak Geoff stoi przed biurkiem z rozdziawionymi ustami. Przypominał karpia.

Pośrednik wyglądał na czternastolatka.

- Uroczy - powiedział, przekraczając próg. - Po prostu uroczy.

To były jego pierwsze słowa.

- Bardzo chodliwy obiekt. Bardzo.

Weszliśmy na górę. Na górze też było uroczo i chodliwie.

- Ogród jest trochę zapuszczony - powiedziałam. Pokręcił głową.

- Wyzwanie dla łaknącego przygód ogrodnika - odrzekł.

- Brzmi to trochę odstraszająco.

- Żart. Język pośredników.

- Jak pan widzi, jest stąd bardzo blisko do morza.

- Świetny punkt. Bardzo atrakcyjny. Klienci to lubią. Dom z widokiem na morze.

- No, niezupełnie.

- Żart. Nasz język.

- Aha. To już chyba wszystko. Jest jeszcze strych i szopa. Ale to od was go kupowałam, więc na pewno znacie szczegóły.

- Owszem, mimo to chciałem się rozejrzeć. Powąchać, jak pachnie, wczuć się w atmosferę.

- Mieliście go wycenić.

- Tak, pani doktor. Pamięta pani, ile pani zapłaciła?

- Dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. - Uniósł brwi. - Spieszyło mi się.

- Bardzo interesująca kwota - odrzekł. - Bardzo interesująca.

- Za wysoka? Szkoda, że nie wspomniał pan o tym w zeszłym roku.

- Na rynku handlu nieruchomościami we wschodnim Essex panuje zastój. Mamy bardzo niewiele ofert.

- To jakiś problem?

Nie, to okazja. - Wyciągnął rękę. - Do widzenia, pani

doktor. Po południu zadzwonię i przedstawię pani naszą wycenę. Musimy pójść ostro, agresywnie. Jestem pewien, że w przyszłym tygodniu kogoś tu przywiozę.

- Ale mnie już nie będzie. W sobotę wracam z córką do Londynu.

- Nie szkodzi. Tylko proszę zostawić nam klucze i numer telefonu.

Ucieka pani? Dlaczego? Nie podoba się pani okolica?

- Za dużo tu przestępstw. Roześmiał się niepewnie.

- To taki żart, prawda?

- Tak. To taki żart.

Tamten tydzień składał się wyłącznie z pilnych spraw. Zaczęłam od tego, że usiadłam z Elsie i spytałam ją, czy nie chciałyby wrócić do Londynu i odwiedzić starych przyjaciół.

- Nie - odrzekła wesoło.

Na tym poprzestałam. Reszta sprowadzała się do odhaczania kolejnych punktów z listy: uprzedzić o wyjeździe Lindę i Sally, które uodporniły się już na wszelkie możliwe wstrząsy, wypłacić im miesięczną odprawę, zawiadomić zakład użyteczności publicznej, zdjąć pudła ze strychu i wypełnić je rzeczami, które, jak się zdawało, dopiero co z nich wyjmowałam.

Mnóstwo czasu spędziłam wisząc na telefonie, bo kiedy tylko odkładałam słuchawkę, dzwonili reporterzy i lekarze. Reporterom odmówiłam, większości lekarzy też. Stopniowo zawężyłam listę propozycji i pod koniec tygodnia przyjąłm tymczasową posadę konsultantki na wydziale psychologii w St. Clementine w Shoreditch. Zadzwoniła do mnie Thelma - pytała, co się, do diabła, dzieje - i Sara, która całkowicie mnie poparła. Jeden z jej kolegów wyjechał na rok do Ameryki, więc może chciałabym wynająć jego mieszkanie? Tak, w Stoke Newington, tylko dwie ulice od parku. Czemu nie, bardzo chętnie. Co prawda niedaleko jest stadion piłkarski Arsenalu

i co drugą sobotę - bywa, że i niedzielę - pełno tam ludzi, ale chyba mi to nie przeszkadza, prawda? Prawda.

W tak zwanym międzyczasie wydzwaniałam do Chrisa Angeloglou. Wciąż czekali na wyniki badań. Chris wyszedł. Tak, detektyw Baird też. Nie, nie można się z nimi skontaktować. Są na odprawie. A dzisiaj w sądzie. Poszli do domu. W piątek rano, dzień przed wyjazdem, zadzwoniłam do komendy i po raz kolejny połączono mnie z oficerem dyżurnym. Niestety, Chris Angeloglou i detektyw Baird byli zajęci. Dobrze, powiedziałam, chcę tylko zostawić wiadomość. Ma pan kawałek papieru? Świetnie. Proszę notować. Niniejszym ostrzegam panów Angeloglou i Bairda, że zamierzam udzielić wywiadu gazecie o krajowym zasięgu, w którym przedstawię swoją wersję sprawy morderstwa Mackenziech oraz oskarżę miejscową policję o to, że nie chce wznowić śledztwa. Bardzo panu dziękuję.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam liczyć. Raz, dwa, trzy... Zadzwonili, gdy doszłam do dwudziestu siedmiu.

- Sam?

- Jak się masz, Rupert?

- Czego pani chce?

- Wiedzieć, co robicie.

- Uważa pani, że groźbami osiągnie pani coś konstruktywnego?

- Owszem, i powiem wam, czego dokładnie chcę. Chcę się z wami spotkać, w komendzie. - Zapadła długa chwila ciszy. -Rupert, jest pan tam?

- Oczywiście. Będzie nam bardzo miło. Właśnie miałem do pani dzwonić...

- Poza tym chcę, żebyście zaprosili doktora Kale'a.

- Dobrze.

- I tego, kto prowadził śledztwo w tej sprawie.

- To chyba mnie.

- Chcę rozmawiać z kataryniarzem, nie z jego małpką.

- Nie wiem, czy kataryniarz będzie miał czas.

- Lepiej niech ma.

- Jeszcze coś?

- Tak. Niech doktor Kale przyniesie protokół z sekcji zwłok Mackenziech.

- Wszystkiego dopilnuję i oddzwonię.

- Szkoda fatygi. Będę u was o dwunastej.

- Daje nam pani bardzo mało czasu.

- Mielicie go pod dostatkiem.

Gdy tylko się przedstawiłam, młoda kobieta w mundurze policjantki zaprowadziła mnie do pustej sali przesłuchań. Gdy wróciła z kawą, towarzyszyli jej Angeloglou i Baird. Skinęli mi na powitanie głową i usiedli. Czulałam się tak, jakbym to ja gościła ich u siebie w biurze.

- A gdzie pozostali?

Baird spojrzał pytająco na Chrisa.

- Kale wisi na telefonie. Zaraz przyjdzie. Val poszła po szefa.

- Zadowolona? - spytał Baird z nutką sarkazmu w głosie.

- To nie zabawa, Rupert.

Rozległo się pukanie do drzwi i do sali zajrzał łysawy mężczyzna w średnim wieku. Szef - poznaję ich na kilometr. Wyciągnął do mnie rękę.

- Cieszę się, że nareszcie się spotykamy, pani doktor. Nazywam się Bill Day i jestem kierownikiem urzędu śledczego do spraw kryminalnych. Myślę, że powinniśmy panią przeprosić.

Uścisnęłam mu dłoń.

- Właśnie tłumaczyłam panu Bairdowi, że nie prowadzę tu prywatnej kampanii reklamowej i nie zamierzam przypisywać sobie żadnych zasług. Chcę tylko jednego: wyjaśnić sprawę tych morderstw.

- Od tego powinna być policja. - Day roześmiał się i natychmiast zatuszował śmiech kaszlem.

- Otóż to. Właśnie dlatego tu jestem.

- Świetnie, świetnie... Wiem od Ruperta, że zażyczyła pani sobie rozmowy w mojej obecności i doskonale to rozumiem. Niestety, wyszedłem z bardzo ważnej narady i muszę wracać. Ale zapewniam, że może pani liczyć na naszą współpracę. Jeśli będzie pani z czegokolwiek niezadowolona, proszę skontaktować się ze mną osobiście. Oto moja... - Poszperał w kieszeniach i podał mi zużytą wizytówkę z oślimi uszami.

-Zostawiam panią w dobrych rękach. Było mi bardzo miło. Do widzenia.
- Ponownie uścisnęliśmy sobie ręce i Day wyszedł, omal nie wpadając w drzwiach na Philipa Kale'a.

Usiedliśmy we czworo.

- No, dobrze - zagaił Rupert. - Kto zacznie?

- Kusilo mnie, żeby przyjść z adwokatem - odrzekłam.

- Dlaczego? Chce się pani do czegoś przyznać? - zażartował.

- Nie. Pomyślałam, że rozsądnie by było mieć tu bezstronnego świadka.

- To zupełnie niepotrzebne. Jesteśmy po tej samej stronie. Dlaczego chciała się pani z nami widzieć?

- Jezu Chryste, Rupert, po co ta maskarada? No, dobrze, skoro nalegasz... - Pogrzebałam w portfelu i wyjęłam złożony formularz. - W zeszłym tygodniu zostawiłam w komendzie coś, co według mnie jest wystarczającym dowodem do wznowienia śledztwa w sprawie morderstwa Mackenziech. Pokwitowanie numer SD czterdzieści siedemdziesiąt jeden łamane przez „A”. Sugerowałam ustalenie grupy krwi. Pytanie: czy to zrobiliście?

- Tak - odrzekł doktor Kale.

- I jaka to grupa?

Kale nawet nie zaglądał do notatek.

- Inicjał „F” na rysunku sporządzono krwią grupy A Rh plus.

- I nie ma pan żadnych wątpliwości, że zwłoki znalezione w spalonym samochodzie były zwłokami Finn Mackenzie?

Kale pokręcił głową.

- Absolutnie. Mamy zdjęcie rentgenowskie jej zębów. Ale żeby ostatecznie to potwierdzić, detektyw Angeloglou ustalił, że w ciągu ostatnich dwóch lat Fiona Mackenzie była dawcą krwi. - Kale pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Dawcą krwi grupy O.

- Tak z ciekawości - spytałam - jaką grupę krwi mieli jej rodzice?

Kale zajął się dokumentami.

- Leopold Mackenzie miał grupę B... - Przerzucił kilka kartek - A jego żona grupę A. Ładnie.

Zachichotałam jak stara wiedźma. Angeloglou zmarszczył czoło.

- A więc gdybyśmy sprawdzili to wcześniej - powiedział - byłoby oczywiste, że nie mogła być ich córką.

Nie mogłam się powstrzymać i gniewnie westchnęłam.

- Nie, Chris - odparł Kale. - Jeśli jeden z rodziców ma grupę krwi A, a drugi B, ich dzieci mogą mieć grupę AB, A, B lub 0. O czym Michael Daley dobrze wiedział.

Zapadła długa chwila ciszy. Drżałam z podniecenia i z trudem zachowałam spokój. Nie chciałam się odzywać, bo gdybym się odezwała, na pewno powiedziałabym coś w rodzaju: „A nie mówiłam?”. Philip Kale zaczął ostentacyjnie układać dokumenty. Angeloglou i Baird mieli niewyraźne miny. W końcu Baird coś wymamrotał.

- Słucham? - rzuciłam.

- Dlaczego nie pobraliśmy próbek krwi na miejscu zbrodni?

- Na miejscu zbrodni była tylko krew jej rodziców - odrzekł Kale. - Nie przyszło nam do głowy, że jej grupa krwi może mieć jakieś znaczenie.

- Cholera jasna - mruknął Baird. - Wiozłem ją swoim własnym samochodem. Oboje ich wiozłem. Wiecie, co z nami teraz zrobią? Zburzą komendę, zaorają ziemię, urządzą tu park, a mnie i Chrisa zatrudnią jako dozorców. A nasz wielki naukowiec Phil - ostatnie trzy słowa wypowiedział

z jadowitym naciskiem - mógłby chodzić po trawnikach z gwoździem na kiju i zbierać papierki.

Siedzący pod ścianą Angeloglou zmełł przekleństwo. Robił, co mógł, żeby tylko na mnie nie patrzeć. Założyłam ręce, prawą dłoń powoli wsunęłam pod pachę i żeby nie wykrzywić ust w triumfalnym uśmiechu, mocno się uszczypnęłam.

- A więc jaka wersja obowiązuje teraz? - spytałam arcy-poważnym tonem głosu, próbując nie akcentować zbytnio ostatniego słowa.

Rupert rysował na kartce skomplikowaną sieć kwadratów i trójkątów. Potem cieniował je starannie i wypełniał krzyżującymi się kreskami. Mówiąc, nie odrywał od nich wzroku.

- Michael Daley stanął przed podwójnym wyzwaniem. Musiał wymordować całą rodzinę Mackenziech i zdobyć ich pieniądze. Pierwsze wyzwanie nie miało sensu bez drugiego. Drugie było niepraktyczne bez pierwszego. Dlatego zdecydował się na coś tak prostego i oczywistego, że nikt na to nie wpadł. Miał współpraczkę podobną do Finn. Podobną tylko trochę, lecz większe podobieństwo nie było konieczne, ponieważ z góry założył, że współpraczka nie spotka się z nikim, kto znał prawdziwą Finn. Jako jej lekarz doskonale wiedział, że wygląd Finn uległ radykalnej zmianie. Zdjęcia? Wszystkie zdjęcia opublikowane w prasie po morderstwie Mackenziech pochodziły z czasów, kiedy nie chorowała jeszcze na anoreksję. Współpraczkę - nazwijmy ją X - miała ciemne włosy i była mniej więcej tej samej budowy ciała co Finn. To w zupełności wystarczyło. Michael należał do komitetu śledzącego poczynania terrorystów z ruchu obrońców praw zwierząt, dlatego wiedział o groźbach pod adresem Leo Mackenziego. Nie da się ustalić tego dokładnie, ale przypuszczam, że siedemnastego stycznia, za dnia lub wieczorem, prawdziwą Finn uprowadzono i zamordowano, i że jej zwłoki ukryto w hangarze. Mackenziech zabito osiemnastego rano. Fiona była dziewczyną towarzyską i lubiła podróżować. Jej rodzice nie byliby zdziwieni, gdyby wróciła do domu późnym wieczorem. Mordercy zdobyli klucz i weszli do domu. Zabili Leo i Elizabeth, pó czym X prze-

brała się w koszulę nocną Finn i tuż przed przybyciem sprzątaczkę Daley naciął jej gardło. Ponieważ była zakneblowana, miała na sobie ubranie prawdziwej Finn i leżała w jej sypialni, pani Ferrer nie zauważyła podmiiany. Zaraz potem na miejscu zdarzenia pojawiła się policja, czyli my.

- Jak mogli zaplanować coś tak ryzykownego? - Angeloglou pokręcił głową. - Jak mogli założyć, że im się uda?

- Dla... Ile tego jest? Osiemnaście milionów? Dla osiemnastu milionów niektórzy zaryzykowaliby jeszcze bardziej. Zresztą pomyślmy: czy rzeczywiście tak bardzo ryzykowali? Dziewczynie może grozić niebezpieczeństwo, więc trzeba umieścić ją w bezpiecznym miejscu. Oczywiście w żadnym wypadku nie może zobaczyć się ani ze znajomymi, ani z rodziną. Zresztą rodziny już nie ma, a po silnym wstrząsie, jaki przeżyła, konsekwentnie odmawia wszelkich spotkań z przyjaciółmi. To całkiem zrozumiałe, prawda, pani doktor?

- Tak - odrzekłam głucho. - Swego czasu wyraziłam taką opinię.

- Zresztą, kwestia tożsamości nie jest żadną kwestią, ponieważ pod ręką jest jej lekarz, człowiek, który dobrze ją zna i sypie medycznymi szczegółami, takimi jak na przykład grupa krwi z karty chorobowej Finn.

- Nawiasem mówiąc, karta chorobowa naszej X zniknęła - wtrąciłam.

- Czy Daley mógł mieć do niej dostęp? - spytał Baird.

- Oczywiście - odparłam. - Gdyby mnie nie uprzedził, ja też bym miała.

- Najważniejsze było to - ciągnął Rupert - żeby X odgrywała rolę Finn na tyle długo, by móc zapisać majątek Dale-yowi; musiała też podrobić jej podpis, ale to nic trudnego. Napotkali tylko jedną przeszkodę. Pani Ferrer, sprzątaczkę Mackenziech, zamierzała wrócić do Hiszpanii i przed wyjazdem wyraziła chęć spotkania z Finn. Groziła im wpadka.

- Dlatego Michael ją zamordował - wtrąciłam. - Udusił ją, a potem wrócił tam ze mną. Jeśli podczas pierwszej wizyty

zostawił w mieszkaniu jakieś ślady, skutecznie je zatarł, robiąc jej sztuczne oddychanie.

Rupert poprawił się nerwowo na krześle.

- Potem - mówił dalej - wystarczyło już upozorować samobójstwo z wykorzystaniem zwłok prawdziwej Fiony Mackenzie. Dlatego koniecznie musieli podpalić ten wóz. Dalej nie potrzebował alibi na siedemnastego i osiemnastego stycznia, ponieważ nikt go o nic nie podejrzewał. Ale załatwił sobie wyjazd do Belfastu, żeby zniknąć ze sceny wydarzeń na czas, kiedy X będzie podpałała samochód Danny'ego.

- Plan doskonały - powiedziałam z mimowolnym podziwem w głosie.

- Samobójstwo ludzi, którzy już nie żyli, i alibi stworzone przez kogoś, o którym istnieniu nikt nie wiedział. Gdyby były jakieś podejrzenia, mieli do dyspozycji zwłoki prawdziwej Finn, mogli je badać choćby w nieskończoność. Biedny, biedny Danny...

- Pan Rees musiał wpaść na nią w chwili, gdy wyjeżdżała. Spojrzałam na swoją kawę. Była zimna i mętna. Palił mnie wstyd.

- Mieszkała z nami. Ze mną, z moim dzieckiem i moim kochankiem. Poświęciłam życie analizie psychicznych wstrząsów pourazowych, a ta młoda dziewczyna zrobiła ze mnie posłuszną marionetkę. Udawała, że jest chora, udawała, że darzy nas przyjaźnią, udawała ciągle i zawsze. Im więcej o tym myślę, tym jest mi gorzej. Nie chce jechać na pogrzeb? Uznaję, że to symptomatyczne. Chce spalić ubrania prawdziwej Finn? Dochodzę do wniosku, że to konieczna faza przejściowa. Zwierza mi się, że nie czuje więzi z dawnym „ja”, a ja twierdzę, że to dobry znak, że wkrótce zacznie wracać do zdrowia.

Rupert oderwał wzrok od swego rysunku.

- Proszę nie robić sobie wyrzutów, Sam - powiedział. - Jest pani lekarką, nie detektywem. Życie jest takie, jakie jest, ponieważ większość z nas zakłada, że ludzie, z którymi mamy do czynienia, nie są psychopatami czy oszustami. - Zerknął na Chrisa. - To my mieliśmy być detektywami. Niestety.

- Ale co działoby się potem? - spytałam.

- Po czym?

- Po sfingowanym samobójstwie Finn.

- To bardzo proste - odrzekł Chris. - Daley dostaje pieniądze. Rok czy dwa lata później doszłyby nas plotki w rodzaju: biedny Michael zapisał się do Anonimowych Hazardzistów. Wykoleił się, stracił połowę majątku na wyścigach konnych. Tymczasem on spłaciłby tylko... - Bezradnie rozłożył ręce. - Naszą X.

- Domyślcie się, kim może być ta młoda dama? - spytałam. - Pacjentką? Starą przyjaciółką? Byłą dziewczyną?

Nikt mi nie odpowiedział.

- Może była notowana? - dodałam.

- Ale kto? - spytał beznamiętnie Rupert. - Moglibyśmy ją odnaleźć tylko dzięki jednej osobie.

- To znaczy?

- Dzięki tobie.

- Jak to? O czym pan mówi?

- Znała ją pani lepiej niż ktokolwiek inny.

- Zwariowaliście? Wcale jej nie znałam.

- Prosimy tylko - wtrącił Chris - żeby spróbowała pani pomyśleć. Nie musi pani odpowiadać natychmiast. Proszę tylko sobie przypomnieć. Coś, cokolwiek, co mogła powiedzieć lub zrobić. Co pomogłoby nam ustalić jej prawdziwą tożsamość.

- Mogę odpowiedzieć już teraz. Myślałam całymi dniami, odtwarzałam w pamięci wszystkie nasze rozmowy i pogawędki. To była jedna wielka maskarada. Co mogę o niej powiedzieć? Że umiała gotować. Że znała kilka prostych magicznych sztuczek. Ale im dłużej o niej myślę, w tym głębszą zapada nicość. Wszystko to, co robiła, wszystko to, co mówiła, było tym, czym jest garść pyłu ciśniętego w oczy. Gdy oczy przestają łzawić, jej już tam nie ma. Boję się, że wam nie pomogę. Niestety. I co teraz?

Rupert wstał i przeciągnął się, dotykając ręką polistyrenowych płytek na suficie.

- Przeprowadzimy dochodzenie.

- Kiedy wznowiecie śledztwo?

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy widziałam, jak wziął głęboki oddech, żeby przygotować się na odparcie ewentualnego ataku z mojej strony?

- Oficjalnie wznowienia nie będzie - oznajmił.

- Dlaczego? Rupert odchrząknął.

- Po konsultacjach na najwyższym szczeblu doszliśmy do wniosku, że morderczyni nie powinna o tym wiedzieć. Nie dostała pieniędzy. Może popełni jakiś błąd.

- Ale kto? Skąd będziecie wiedzieć, że to akurat ona? Baird wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Rupert - rzuciłam ostro. - Czyżbyście chcieli ukreć tej sprawie łeb? Zrobił zaszokowana minę.

- Absolutnie. To zarzut niegodny pani, ale wiem, w jakim żyła pani napięciu. Nie, Sam. Naszym zdaniem jest to najskuteczniejszy sposób postępowania i jestem przekonany, że przyniesie dobre rezultaty. Chyba wyczerpaliśmy temat. Kiedy wraca pani do Londynu?

- Jutro.

- Zostawi nam pani adres, prawda?

- Tak.

- To dobrze. Jeśli coś pani sobie przypomni, jeśli coś się pani przydarzy, proszę się z nami skontaktować. - Wyciągnął do mnie rękę. - Jesteśmy bardzo wdzięczni, że doprowadziła pani do ujawnienia prawdy o tych tragicznych wydarzeniach.

Uścisnęłam mu dłoń.

- Cieszę się. Ale jeśli kiedykolwiek poweźmę podejrzenie, że próbujecie to wyciszyć...

- Proszę nam zaufać, Sam. Proszę nam zaufać. Gwałtownie mrugając, wyszłam na rynek, wpadłam na jakąś

staruszkę i przewróciłam jej wózek z zakupami. Gdy zbierałam z chodnika cebulę i marchewki, czułam się jak małe dziecko,

które obudziło się z hermetycznego snu i ze zdziwieniem spostrzegło, że życie toczy się dokładnie tak samo jak przedtem. Lecz obudziłam się nie do końca. Musiałam jeszcze dokądś pojechać.

37

Był to weekend tekturowych pudeł, ciekawskiego dziecka, zaniepokojonego kota, wielkiej ciężarówki, flirtujących tragarzy, hektolitrów wypitej herbaty, weekend ostatnich ustaleń, pęków kluczy, przechowalni rzeczy i pieniędzy na nowe mieszkanie; musiałam przeznaczyć na nie pięć procent moich zasobów.

Z natłoku zobowiązań na pierwszy ogień wybrałam dwie sprawy, które musiałam załatwić. Po pierwsze, przejrzałam plik próśb o wywiad, zadzwoniłam do kilku obeznanych z prasą przyjaciół, poprosiłam ich o radę i w poniedziałek rano zatelefonowałam do Sally Yates z „Participanta”. Godzinę później -kubek kawy, notatnik, gotowy do pracy długopis - siedziała już przy kuchennym stole faceta, który wyjechał na rok do Stanów. Pulchna, rozczochrana, bardzo miła i współczująca, lubowała się w długich chwilach ciszy, którą miałam wypełnić intymnymi zwierzeniami. Nigdy nie próbuj oszukać oszusta. Miałam na koncie wystarczająco dużo rozmów z ludźmi załamanymi psychicznie, żeby bez większego trudu odegrać rolę nobliwie cierpiącej kobiety. Nie byłam tak świetna jak Finn, a raczej X, ale całkiem dobra. Dokładnie ustaliłam, które intymności jej sprzedam: ból po stracie kochanka, fizyczny strach w obliczu zbrodni, udękę załamanej specjalistki od urazów psychicznych i wypływającą z tej sytuacji ironię:

- Jedna z naszych maksym mówi, że zawsze dopadnie cię to, w czym się specjalizujesz - dodałam ze smutnym uśmiechem i pociągnęłam nosem, jakbym zaraz miała uronić łzę.

Na koniec wygłosiłam oświadczenie, dla którego zorganizowałam ten nieszczęsny wywiad.

- Tak więc postanowiła pani uciec... - powiedziała ze współczuciem Sally i znacząco zawiesiła głos, żebym mogła podchwycić wątek.

- Sally, zarówno jako lekarka, jak i kobieta zastanawiam się często, czy ucieczka od przeżyć jest dobrym sposobem na zapomnienie. - Umilkłam, pozornie zbyt zdenerwowana, żeby zaufać własnemu głosowi. Sally położyła rękę na mojej dłoni. - To była dla mnie wielka tragedia - kontynuowałam z wyraźnym trudem. - Tragedia osobista i zawodowa - strata nowego ośrodka, konsekwencje, jakie się z tym wiążą - a u jej źródeł stali ludzie, którzy nie byli tacy, za jakich ich miałam.

- Na przykład Michael Daley? - spytała Sally, z zatroskaniem marszcząc czoło.

- Nie - odrzekłam, a gdy zrobiła zdziwioną minę, dałam jej znak, że nie powiem nic więcej.

Przed drzwiami objęłam ją na pożegnanie.

- Moje gratulacje. Wyciągnęła pani ze mnie więcej, niż chciałam powiedzieć.

Spiekła raka. Nie mogłam sprawić jej większej przyjemności.

- Rozmowa z panią to wyjątkowe przeżycie - odrzekła, obejmując mnie jeszcze mocniej niż ja ją.

Redaktorom wyraźnie się spieszyło, bo już dwie godziny później odwiedził mnie młody fotograf. Był bardzo rozczarowany, że nie zastał córeczki i ustawiając mnie do zdjęcia, zastąpił ją wazonem z kwiatami. Patrzyłam na nie z sentymentalną zadumą i zastanawiałam się, jak się nazywają. Nazajutrz czekała mnie nagroda w postaci dużego zdjęcia i nagłówka: „Sam Laschen: kobiecy heroizm i tajemniczość, które nigdy nie umrą”. Niezbyt chwytny, ale dobre i to: byłam pewna, że detektywa Bairda i jego wesołych kompanów przejdą ciarki. Postanowiłam, że następnym razem będę mniej tajemnicza.

Teraz czekało mnie drugie zadanie, dużo poważniejsze i bo-

leśniejsze. Jedna z przyjaciółek zaproponowała mi niezobowiązująco, że gdyby wypadło mi coś pilnego, chętnie popilnuje Elsie. No i właśnie coś mi wypadło. Zaprowadziłam Elsie do domu za rogiem, gdzie czekały hiszpańska nastolatka i pięcioletnia dziewczynka o nastroszonych brwiach. Córka weszła tam i nawet się nie odwróciła, żeby pomachać mi na do widzenia. Wsiadłam do samochodu i ruszyłam na zachód. W obu kierunkach miałam jechać pod prąd.

Bristol, Avonmouth i kościół św. Anny. Znalazłam go bez trudu. Minęłam bramę i z bukietem wiosennych kwiatów w ręku znalazłam się w cichej zieleni cmentarza. Grób Danny'ego dostrzegłam już z daleka, gdyż wśród porośniętych mchem nagrobków z niemal całkowicie zatartymi nazwiskami nowa płyta z różowego, cętkowanego kamienia rzucała się w oczy. Ktoś położył na niej kwiaty. Popatrzyłam na czarny napis: Daniel Rees, ukochany Syn i Brat. Wykrzywiłam twarz. Kochanki tam nie było, skutecznie mnie wykluczyli. 1956-1996. Nie dożył nawet urodzinowego przyjęcia, które chcieliśmy wydać. Ja się zestarzeję, moja twarz się zmieni i pomarszczy, zaczną mi dokuczać starcze bóle, pochyle się i przygarbię, a on zawsze będzie silny, piękny i młody.

Spojrzałam na długą, prawie dwumetrową płytę brzydkiego, różowego marmuru i zadrżałam. Gniło pod nią jego nadpalone ciało, niegdyś tak wspaniałe, ciepłe i pełne pożądania, ciało, które tak mocno do siebie tuliłam. Jego twarz, usta, którymi mnie odkrywał i którymi się do mnie uśmiechał, jego zamglone oczy - wszystko to rozsypywało się w proch. Usiadłam na brzegu płyty, przytknęłam do niej rękę jak do ciepłego boku zwierzęcia i lekko ją pogłaskałam.

- Wiem, że mnie nie słyszysz, Danny - rzuciłam w bezwietrzną ciszę. Danny. Wystarczyło, że wypowiedziałam jego imię i rozboleło mnie serce. - Wiem, że cię tu nic ma. Ani pod tą płytą, ani nigdzie indziej. Ale musiałam tu przyjechać.

Rozejrzałam się. Na cmentarzu nie było nikogo. Nie śpiewały nawet ptaki. Dochodził mnie tylko przytłumiony warkot

samochodów z oddalonej o kilkaset metrów drogi. Ściągnęłam kurtkę, postawiłam torebkę na ziemi, zdjęłam kwiaty z nagrobka, położyłam się na nim, przytknęłam policzek do zimnego kamienia i wyciągnęłam się na Dannym, jak robiłam to czasem we snach. I rozpłakałam się. Płakałam jak bóbr, z żalu nad sobą, z łatwego smutku. Płakałam jak nigdy dotąd, a na marmurze zbierała się kałuża słonych łez. Wspominałam nasze pierwsze spotkanie, wieczór, kiedy pierwszy raz poszliśmy ze sobą do łóżka, nasze spacerowanie z Elsie - byliśmy wtedy tylko we troje, nie wiedząc nawet, jakie to wielkie szczęście. Myślałam o jego śmierci. Wiedziałam, że z tego wyjdę. Że któregoś dnia spotkam kogoś innego, że cały proces zakochiwania się rozpocznie się od nowa, lecz na razie czułam się samotna do szpiku kości. W gałęziach drzew cicho wzdychał wiatr. Te nagrobki, te napisy, te martwe ciała w ziemi... Sztywno wstałam.

- No i tak - powiedziałam absurdalnie skrepowana, jakbym odgrywała rolę oplakującej męża wdowy na deskach kiepskiego, amatorskiego teatru. - No i tak. To moje pożegnanie. - Słowa ociekały melodramatyzmem, lecz nie mogłam się powstrzymać i powtórzyłam je po raz ostatni: - Żegnaj, żegnaj, żegnaj.

Potem włożyłam kurtkę, wzięłam torebkę, położyłam na płycie dwa bukiety kwiatów i wyszłam z cmentarza, ani razu nie obejrzawszy się za siebie. Wiedziałam, że jeśli będę jechała w miarę szybko, zdążę utulić Elsie do snu i zaśpiewać jej kołysankę.

Dzwonił telefon. Wbiegłam na schody z plikiem dokumentów pod pachą i dwiema torbami zakupów w ręku. Potknęłam się o Anatola, zakląłam, rzuciłam torby i podniosłam słuchawkę w chwili, gdy włączyła się automatyczna sekretarka.

- Chwileczkę - wysapałam na tle swego wytwornego głosu z taśmy. -
Zaraz się wyłączy.

- Sam? To ja, Miriam. Dzwonię, żeby spytać, czy dzisiejszy wieczór jest aktualny. Aktualny?

- Jak najbardziej. Film zaczyna się o wpół do dziewiątej. Spotykamy się przed kinem dwadzieścia po ósmej. Kupiłam mrożonki na kolację. Cieszę się, że znowu was zobaczę.

Wepchnęłam jedzenie do lodówki. Elsie i Sophie miały wrócić z parku mniej więcej za godzinę. Zdziwią się, że już jestem. Weszłam do sypialni (odpowiedniejszym określeniem byłaby „pakamera”, bo żeby dotrzeć do łóżka, za każdym razem musiałam przeciskać się obok małej komody), zgarnęłam stertę brudnych ubrań z kąta i włożyłam je do pralki.

Na kuchennym stole leżał plik rachunków, w małym zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, a przy ścianach stało kilkanaście krzywych wież z książek i płyt CD. Kosz na śmieci był przepełniony. Przez otwarte drzwi do pokoju Elsie widziałam istne pobojuwisko. W doniczkach wędły rośliny, które dostałam od licznych znajomych na nowe mieszkanie. Podlałam je byle jak, nucąc jedną z absurdalnych piosenek Elsie i układając listę rzeczy do zrobienia. Zadzwoić do biura podróży. Zadzwoić do banku. Porozmawiać z nauczycielką Elsie; to jutro. Zadzwoić do pośrednika handlu nieruchomościami. Kupić prezent na czternaste urodziny OHvii. Przeczytać raport o katastrofie kolejowej w Harrogate. Napisać obiecany artykuł do „Lanceta”. Sprowadzić stolarza, żeby zamontował w drzwiach klapkę dla Anatola.

Trzasnęła zasuwa i do mieszkania wtoczyła się Sophie, dźwigając koszyk Elsie i jej skakankę.

- Cześć - rzuciłam, przeglądając pocztę w poszukiwaniu listu z linii promowych. - Co tak wcześnie? Ale gdzie jest Elsie?

- Coś niesamowitego! - Sophie postawiła koszyk na stole i usiadła, pulchna i błyszcząca w kusym, obcisłym podkoszulku i jeszcze bardziej obcisłych legginsach ze sztucznego

geparda. - Przed wejściem do parku spotkałyśmy twoją siostrę. Elsie strasznie się ucieszyła, dosłownie padła jej w ramiona. Bobbie - chyba tak ma na imię, prawda? - powiedziała, że zaraz ją przyprowadzi. Wzięły się za ręce i poszły. Miały zafundować sobie lody.

- Przyjechała? - spytałam zdziwiona. - Nic nie wiedziałam. Mówiła, co tu robi?

- Tak. Mąż podrzucił ją w drodze na jakieś spotkanie. Chciała pójść na Church Street, do jednego z tych eleganckich sklepów z materiałami; szyje zasłony czy coś tam. Zresztą sama ci powie. Chcesz herbaty?

- Taki kawał drogi po materiał na zasłony. Cała Bobbie. Dobra. Skoro sprzedaliśmy dziecko i zostało nam trochę czasu, może byśmy zaczęły układać książki i płyty. Wszystko alfabetycznie.

Doszłyśmy do litery „G” - brudna jak nieboskie stworzenie, cała sływałam potem - gdy zadzwonił telefon. Moja siostrzyczka.

- Bobbie, co za miła niespodzianka! Gdzie jesteście? Kiedy przyjdziecie?

- Słucham? - spytała zdumiona.

- Przyjść po was do parku?

- Do jakiego parku? O czym ty mówisz, Sam? Dzwonię, żeby spytać, czy mama do ciebie...

- Zaraz, chwileczkę. - Dziwnie zaschło mi w ustach. - Skąd dzwonisz ?

- Jak to skąd? Z domu.

- Nie jesteś z Elsie?

- Z Elsie? Jakim cudem? Nie mam pojęcia...

Trzasnęłam słuchawką, krzyknęłam do Sophie, żeby natychmiast zadzwoniła na policję i powiedziała im, że porwano mi dziecko, zbiegłam wąskimi schodami na dół po dwa. po trzy stopnie naraz i z walącym sercem dopadłam drzwi. Boże,

żeby tylko nic jej się nie stało, Boże, żeby tylko nic jej się nie stało. Pędziłam gorącym chodnikiem, raniąc sobie stopy. Przepchnęłam się między dwiema staruszkami, między kobietami z wózkiem, minęłam jakiegoś mężczyznę z wielkim psem, staranowałam leniwy tłum wracających z pracy i nie zważając na trąbienie klaksonów i przekleństwa kierowców, przebiegłam na drugą stronę ulicy.

Brama parku, mały mostek, pod mostkiem utuczone kaczki, nieco dalej jelenie wtykające aksamitne nosy między pręty ogrodzenia i wysadzana kasztanowcami aleja. Biegłam i patrzyłam, patrzyłam i biegłam. Coś małego tu, coś małego tam. Tyle dzieci, tyle dzieci i nigdzie mojego. Wpadłam na plac zabaw. Wszędzie chłopcy i dziewczynki w jaskrawych kurtkach z kapturami: huścili się na huścawkach, zjeżdżali na zjeżdżalniach, skakali i wspinali się na drabinki. Przystanąłam między huścawką i piaskownicą, w której rok temu dozorca znalazł zużyte strzykawki, i rozejrzałam się rozpaczliwie na wszystkie strony.

- Elsie! - wrzasnęłam. - Elsie!

Nie było jej tam, chociaż widziałam ją w każdym dziecku i słyszałam w każdym krzyku. Popatrzyłam w stronę opustoszałego, turkusowego stawu i pobiegłam dalej. Do kawiarenki, do wielkich stawów w głębi parku, gdzie zawsze karmiłyśmy kaczki i kłótlive kanadyjskie gęsi. Spojrzałam przez ogrodzenie na resztki chleba i pływające w oleistej wodzie śmieci, bojąc się, że zobaczę wśród nich ciało mojej córki. Potem popędziłam w przeciwną stronę. Elsie! krzyczałam, Elsie, kochanie, gdzie jesteś?, choć ani nie oczekiwałam, ani nie doczekałam się odpowiedzi. Zatrzymywałam ludzi: kobietę z dzieckiem w wieku Elsie, grupę nastolatków na deskorolkach, starsze małżeństwo trzymające się za ręce.

- Widzieliście państwo małą dziewczynkę? - pytałam. -Małą blondyneczkę w granatowej kurtce. Nie? Była z nią kobieta...

Jakiś mężczyzna chyba ją widział. Machnął ręką w stronę

rosnących kręgiem dzikich róż za nami. Mały chłopiec - zaczepiłam jego matkę - widział dziewczynkę w niebieskim ubranku na ławce. „Na tamtej”, dodał, pokazując palcem. Ławka była pusta.

Nie było jej. Nigdzie jej nie było. Zamknęłam oczy i ujrzałam koszmar: krzycząca Elsie, którą ktoś wlecze; Elsie, której ktoś robi krzywdę; Elsie, która nieustannie mnie woła. Nie, w ten sposób jej nie pomogę. Ruszyłam z powrotem do bramy, biegiem, chwiejąc się i potykając. Bolały mnie płuca, strach zżerał żołądek niczym kwas. Cały czas wykrzykiwałam jej imię, a tłum rozstępował się przede mną jak przed wariatką.

Popędziłam na pobliski cmentarz, ponieważ jeśli ktoś chciał ją uprowadzić i zrobić jej krzywdę, było to najlepsze i oczywiste miejsce. Kolczaste jeżyny dały mi ubranie. Potykałam się o zmurszałe nagrobki, widziałam zakochane pary i grupki nastolatków, ale dzieci tam nie było. Wołałam i krzyczałam, wiedząc, że to bez sensu, że cmentarz jest olbrzymi i pełen zakamarków, że nawet jeśli Elsie tam jest, nigdy jej nie znajdę.

Dlatego wróciłam do domu z nadzieją, że już na mnie czeka, że mój żołądek będzie mógł wreszcie wrócić na swoje miejsce. Nie czekała. Drzwi otworzyła mi Sophie z pomarszczoną, zrozpaczoną twarzą. Towarzyszyło jej dwoje policjantów; kobieta rozmawiała przez telefon. Ciężko dysząc, opowiedziałam im, co się stało - ktoś podszył się pod moją siostrę - ale znali już sprawę z fragmentarycznych zeznań Sophie.

- To moja wina - powtarzała, a w jej zazwyczaj spokojnym głosie pobrzmiwała wyraźna nutka hysterii. - To moja wina.

- Nie - odrzekłam wyczerpana. - Skąd mogłaś wiedzieć?

- Była taka radosna, taka szczęśliwa, że może z nią pójść. Nie rozumiem. Przecież ona nie garnie się do obcych.

- To nie była obca.

Zdjęcie córki? Nie, nie mam, przynajmniej nie tutaj. Kiedy zaczęłam podawać im szczegółowy rysopis, zadzwonił dzwonek u drzwi. Ponownie zbiegłam schodami, otworzyłam i...

Mój wzrok ześlizgnął się z uśmiechniętej twarzy kolejnego policjanta i spoczął na małej dziewczynce w granatowej kurtce, która zlizywała resztki pomarańczowego lodu na patyku. Ukucnęłam, objęłam ją i wtuliłam głowę w jej miękki brzusek. Nareszcie raczyła mnie zauważyć.

- Uważaj na mojego lodu - wymlaskała z zatroskaniem. Wstałam i porwałam ją w ramiona. Policjant uśmiechnął się i powiedział:

- Chodziła po parku. Znalazła ją jakaś młoda kobieta. Mądra dziewczynka: pamiętała, gdzie mieszka. - Poklepał Elsie po policzku. - Następnym razem proszę jej lepiej pilnować. - Spojrzał na schodzących schodami mundurowych. - Zgubiła się. - Tamci skinęli mu głową. Policjantka minęła mnie, odwołując coś przez radio. Policjant znacząco uniósł brew. Kolejna zwariowana matka.

- Niezupełnie... - zaczęłam i urwałam. - Nieważne. Jak wyglądała? Ta kobieta, która ją „znalazła”.

Mundurowy wzruszył ramionami.

- Była młoda. Powiedziałem, że pewnie zechce pani jej podziękować, a ona na to, że nie ma za co.

Podziękowałam mu z udawaną wylewnością, zamknęłam drzwi i nareszcie zostałam sam na sam z córką.

- Elsie, z kim byłaś?

Popatrzyła na mnie z wysmarowanymi na pomarańczowo ustami.

- Skłamałaś - odrzekła. - Ona ożyła. Wiedziałam, że ożyje.

39

Wyjście do kina, kolacja - musiałam to wszystko odwołać. Znowu byłyśmy razem, tylko Elsie i ja, i dałam jej dokładnie to, czego chciała: rzadki ryżowy pudding ze złocistym syropem, którym wrysowałam kształt żrebaczka.

- To jednak koń. Spójrz. Tu jest ogon, a tu szpiczaste uszy. - A co słyhać u Finn? - rzuciłam obojętnie, choć przyszło mi to z wielkim trudem.

- Wszystko dobrze - zbyła mnie, rysując łyżką kręgi w syropie.

- Bardzo ładny wzorek. Zjesz trochę? Świetnie. Co robiłyście z Finn?

- Oglądałyśmy kurczaki.

Podczas kąpieli zabawiałam ją puszczaniem bąbelków przez palce.

- Ale wielki!

- Zrobić jeszcze większego? O czym rozmawiałyście z Finn?

- Rozmawiałyśmy, rozmawiałyśmy i rozmawiałyśmy.

- Masz. Dwa maciupkie. O czym?

- O naszym domu.

- Fajnie.

- Mamusiu, mogę spać w twoim łóżku?

Niosłam ją do sypialni, rozkoszując się ciepłą wilgocią jej ciała. Kazała mi się rozebrać, więc zdjęłam ubranie i weszłyśmy razem pod koc. Wzięłam szczotkę ze stolika i wyszczotkowałyśmy sobie nawzajem włosy. Potem śpiewałyśmy piosenki i nauczyłam ją grać w kamień, papier i nożyce. Nożyce tępią się na kamieniu, papierem można owinąć kamień, a nożycami przeciąć papier. Zawsze zwlekała, czekając, aż pokażę coś pierwsza, i dopiero wtedy podejmowała decyzję. Zarzuciłam jej perfidne oszustwo i pękałyśmy ze śmiechu. Byłam bardzo szczęśliwa, tak szczęśliwa, że co jakiś czas musiałam mocno zaciskać zęby, żeby nie wybiec z pokoju i nie zacząć wyć. Może bym i wybiegła, ale nic mogłam znieść myśli, że Elsie zostałaby sama.

- Kiedy możemy zobaczyć się z Finn? - spytała nagle. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- To zabawne, że rozmawiałas z nią o naszym domu. Pewnie dlatego, że tak dobrze się tam bawiłyście.

- Nie - odparła zdecydowanie Elsie. Nie mogłam się nie uśmiechnąć.
- Nie?
- To był inny dom.
- Inny?
- Ten nasz, ten bezpieczny.
- To cudownie. - Przytuliłam ją.
- Mamusiu, boli.
- Przepraszam, kochanie. Czy Finn wkładała do domu jakieś rzeczy?
- Tak. - Elsie przypatrywała się moim brwiom. - Masz biały włos.
Zawrót głowy i mdłości. Jakbym spojrzała w czarną otchłań.
- Tak, wiem. Śmieszne, prawda? - Nie przestając jej obejmować,
sięgnęłam za siebie po kredkę i papier, który widziałam przy telefonie. -
Wejdziemy do naszego domu?
- Jakiego koloru masz oczy?
- Aj! - krzyknęłam, gdy dźgnął mnie w oko ciekawski palec.
- Przepraszam.
- Niebieskie.
- A ja?
- Też niebieskie. Wejdziemy do domu i zobaczymy, co tam jest?
- No, dobrze - odrzekła jak zadziorna nastolatka.
- Zamknij oczy, kochanie. O tak. Idziemy ścieżką. Co jest na
drzwiach?
- Okrągłe liście.
- Okrągłe liście? Niesamowite. Otwieramy drzwi i... Co widzisz na
wycieracze?
- Szklanek mleka. Szybko to zanotowałam.
- Szklanka mleka na wycieracze? - powtórzyłam głosem
nauczycielki z przedszkola. - Jakie to dziwne! Obejdźmy ją ostrożnie,
żeby mleko się nie wylało, i zajrzyjmy do kuchni. Co jest w kuchni?

- Bęben.

- Bęben? Cóż to za zwariowany dom! A teraz zobacz, co jest na telewizorze. Jest coś?

- Gruszka.

- Fajnie. Lubisz gruszki, prawda? Ale na razie jej nie jedz. Nie dotykaj. Widziałam, jak ją dotknęłaś. - Elsie zachichotała. - Chodźmy na górę. Co widzisz na schodach?

- Bęben.

- Jeszcze jeden bęben? Na pewno?

- Taaaak! - odrzekła niecierpliwie.

- No, dobrze. Cudowna gra, prawda? Ciekawe, co jest w wannie.

- Pierścionek.

- Pierścionek w wannie? Dziwne. Hmm... Może zsunął ci się z palca, kiedy się pluskałaś?

- Nie! - krzyknęła Elsie.

- Wychodzimy z wanny i idziemy do łóżeczka. Co jest w łóżeczku? Elsie zachichotała.

- Łabędź.

- Łabędź. Jak Elsie zaśnie z łabędziem w łóżeczku? Zatrzepotała powiekami, główka opadła jej na bok. Wiedziałam, że za chwilę zaśnie.

- A teraz chodźmy do sypialni mamusi. Co widzisz w jej łóżku?

Elsie mówiła coraz ciszej i niewyraźniej.

- Mamusię. I Elsie, którą mamusia obejmuje. Mamy zamknięte oczy.

- Piękny widok. - Ale Elsie już spała. Nachyliłam się i odgarnęłam jej z twarzy zabłąkany kosmyk włosów. Paul, tajemniczy, nieobecny właściciel mieszkania, miał biurko w kącie sypialni, więc podeszłam tam na palcach i usiadłam z notatnikiem w ręku. Delikatnie przytknęłam palce do szyi i zbadałam sobie puls. Serce biło mi prawie sto dwadzieścia razy na minutę. Morderczyni mojego kochanka wprowadziła moją có-

reczkę. Dlaczego jej nie zabiła? Dlaczego nie zrobiła jej nic złego? Wybiegłam do łazienki, ale nie, nie zwymiotowałam. Kilka razy odetchnęłam, powoli i głęboko. Niewiele brakowało. Wróciłam do biurka, zapaliłam lampkę i przejrzałam notatki.

Narażając się na niebezpieczeństwo schwytania, morderczyni, X. porwała Elsie tylko po to, żeby zagrać z nią w głupią pamięciową grę, w którą grałam z córką na wsi. Myślałam, że usłyszę coś przerażającego, że ukryły w domu jakieś okropień-stwa, tymczasem okazało się, że są to rzeczy całkiem zwyczajne, jeśli nie banalne: okrągłe liście, szklanka mleka, bęben, gruszka, jeszcze jeden bęben, pierścionek i łabędź. No i byłyśmy tam my. Elsie i ja: leżałyśmy w łóżku i miałyśmy zamknięte oczy. Co znaczy „okrągłe liście”? Naszkicowałam wszystkie przedmioty. I nic. Z nazwy każdego przedmiotu wzięłam pierwszą literę i próbowałam ułożyć z nich jakieś słowo. Znowu nic. Próbowałam kojarzyć przedmioty z miejscem, w którym leżały. Na próżno. Czy w tym, że na łóżku był łabędź, a na wycieracze szklanka mleka, tkwił jakiś celowy paradoks? Może X wybrała te rzeczy na chybił trafił i wbiła je Elsie do głowy tylko po to, żeby zademonstrować swoją władzę?

Zostawiłam notatnik na biurku i położyłam się obok córki. Słyszałam oddech, czułam, jak podnosi się i opada jej pierś. Miałam wrażenie, że przez całą noc nie zmrużyłam oka i zastanawiałam się właśnie, jak przeżyję ten dzień, gdy poczułam, że Elsie rozwiera mi palcami powieki. Jęknęłam.

- Co dzisiaj robimy, kochanie?

- Nie wiem.

To był jej pierwszy dzień w nowej szkole. Moja matka bardzo tego nie pochwałała. Elsie nie jest meblem, mówiła, nie można jej wiecznie przenosić z miejsca na miejsce. Dziecko musi mieć stały dom. Tak, doskonale wiedziałam, o co jej chodzi. Chciała mi powiedzieć, że Elsie potrzebuje ojca, braci, siostrzyczek i matki, która byłaby moim stuprocentowym przeciwieństwem. Rozmawiałam z nią z wesołym ożywieniem, ale

kiedy odłożyłam słuchawkę, popłakałam się, wpadłam w złość, potem w przygnębienie, a jeszcze potem poczułam się lepiej. Szkoła musiała ją przyjąć, ponieważ okna naszego mieszkania dosłownie wychodziły na boisko.

Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy razem z córką - była w nowej, żółtej sukience i miała gładko uczesane, związane wstążeczką włosy - przechodziłam na drugą stronę ulicy. Zobaczyłam mnóstwo dzieci. Witwały się ze sobą i biegły do szkoły. Boże, jak ona to przeżyje? Poszłyśmy do sekretariatu, gdzie czekała kobieta w średnim wieku. Uśmiechnęła się do Elsie, a Elsie łypnęła na nią spode łba. Zaprowadziła nas do klasy w przybudówce. Nauczycielka była młoda, ciemnowłosa i bardzo opanowana, czego natychmiast jej pozazdrościłam. Objęła Elsie i powiedziała:

- Cześć. Chcesz, żeby mamusia trochę z nami została?

- Nie, nie chcę - odparła Elsie z gniewnie nachmurzonym czołem.

- W takim razie uściśnij ją na pożegnanie. Przytuliłam ją, a ona objęła mnie za szyję.

- Wszystko dobrze? - spytałam. Kiwnęła głową.

- Elsie, dlaczego te liście są okrągłe?

- Miałyśmy takie na naszych drzwiach - odrzekła z uśmiechem.

- Kiedy ?

- Na Mikołaja.

Okrągłe liście. Miała na myśli bożonarodzeniowy wieniec. Odebrało mi mowę. Cmoknęłam ją w czoło, wybiegłam z klasy i popędziłam korytarzem. Pilna sprawa, krzyknęłam przez ramię do zniesmaczonej nauczycielki. Ulica, dom, schody, mieszkanie. Bolało mnie w piersiach, czułam niesmak w ustach. Byłam bez formy. Nie zdążyłam jeszcze przywieźć rzeczy z magazynu, ale miałam kilka pudeł z książkami Elsie. Opróżniłam jedno z nich na podłogę i zaczęłam szukać. Nie, tu jej nie było. Opróżniłam drugie. Leżała na samym wierzchu.

„Boże Narodzenie w obrazkach". Poszłam do sypialni i usiadłam przy biurku. Tak. to było to. Pływające łabędzie. Pięć złotych pierścieni. Grający na bębnach dobosze. I przepiórka na gruszy. A szklanka mleka? Przerzucałam kartki, przekonana, że znowu wpadłam na zły ślad. Nie. Pozwoliłam sobie na lekki uśmiech. Osiem dojarek dojących krowy. Zakamuflowana aluzja do bożonarodzeniowej piosenki? O co jej chodziło?

Spisałam wszystko w odpowiedniej kolejności: osiem dojarek, dziewięciu doboszy, przepiórka na gruszy, ponownie dziewięciu doboszy, pięć złotych pierścieni, siedem łabędzi. Patrzyłam na listę i nagle zamiast słów ujrzałam cyfry. Osiem, dziewięć, jeden, dziewięć, pięć, siedem. Co to jest? Numer. Znajomy numer. Podniosłam słuchawkę: osiem, dziewięć, jeden, dziewięć, pięć, siedem. Nic, cisza. No, jasne. Zadzwońłam do informacji, spytałam o kierunkowy do Otley, ponownie wystukałam rozszyfrowany numer i usłyszałam... ciągły sygnał. Wyprowadziłam się i wyłączyli mi telefon? Skonsternowana zadzwoniłam do urzędu śledczego do spraw kryminalnych w Stamford. Odebrał Rupert.

- Właśnie miałem do pani dzwonić.

- Chciałam tylko powiedzieć... - Urwałam. - Tak? Po co?

- Nikt nie został ranny, nie musi się pani o nic martwić, ale cóż, w nocy był pożar. Niestety, dom spłonął. - Odebrało mi mowę. - Halo? Sam?

- Tak, jestem. Ale jak? Co się stało?

- Nie mam pojęcia. U nas jest sucho i gorąco, ciągle coś się pali. Może było jakieś zwarcie? Dokładnie to sprawdzimy. Wkrótce powinienem coś wiedzieć.

- Dobrze.

- To zabawne, że dzwoni pani akurat teraz. Co chciała mi pani powiedzieć?

Przypomniało mi się moje pytanie i słowa Elsie. „Co widzisz w jej łóżku?". „Mamusię. I Elsie, którą mamusia obejmuje. Mamy zamknięte oczy". Bezpiecznie spałyśmy czy byłyśmy martwe i zimne jak zwłoki, na które X kiedyś patrzyła? Jak

ciała Leo i Liz Mackenziech. Jak ciała Danny'ego i Finn, których połączyła śmierć.

- Nic, nieważne - odrzekłam. - Chciałam tylko spytać, jak idzie śledztwo.

- Dobrze. Robimy postępy.

Akurat. Ani za grosz nic mu nie wierzyłam.

40

Po południu zadzwonił do mnie Mark, ten od nieruchomości.

- Oby miała pani dobre alibi - rzucił wesoło.

- Mark...

- Żartuję. Nic się nie stało.

- Jak to nic? Spalił mi się dom.

- Najważniejsze, że nikt nie zginął. A nie w tym rzecz. Zabrzmi to trochę dziwnie, ale jest pani ubezpieczona i niektórzy mogą nam wytknąć, że na pożarze wyszła pani znacznie lepiej niż na sprzedaży domu.

- Jak to?

- Nikomu innemu bym tego nie powiedział, ale sprzedajemy coraz mniej obiektów droższych i coraz więcej tańszych. O wiele tańszych.

- Mówił pan, że dom był bardzo „chodliwy”.

- Teoretycznie.

- Sądząc po pańskim głosie, raczej się pan tym nie przejął. Wy też byliście ubezpieczeni?

- Oczywiście, jak zwykle. Tak na wszelki wypadek.

- A więc oboje dobrze na tym wyszliśmy.

- Prawdopodobnie będzie pani musiała podpisać kilka dokumentów.

Może spotkamy się na drinku?

- Proszę mi je przysłać, Mark. Na razie.

Odłożyłam słuchawkę, zastanawiając się, czy pożar nie był przypadkiem ostrzeżeniem albo perwersyjnym podarun-

kiem od kobiety, która wiedziała, że lubię ogień, albo i tym, i tym.

- Wszystko dobrze - powiedziała panna Olds, gdy przyszedłam odebrać Elsie. - Jest trochę zmęczona, ale usiadła mi na kolanach i czytałyśmy razem książeczkę. Prawda, Elsie?

Moja córeczka, która pomachała mi od niechcienia na dzień dobry, była w domowym kąciku, gdzie wraz z koleżanką jadła plastikowe jedzenie z plastikowych talerzy. Spojrzała na pannę Olds i bez słowa kiwnęła głową.

- Ostatnio miałyśmy trochę... kłopotów. - Serce biło mi coraz szybciej; czułam się jak silnik samochodu przed startem do szalonego wyścigu. Zaciśnęłam pięści i spróbowałam zapanować nad oddechem.

- Wiem - odrzekła z uśmiechem panna Olds; ona też czytała gazety.

Ponownie spojrzałam na Elsie i ledwo się powstrzymałam, żeby nie porwać jej w ramiona.

- Właśnie. Dlatego tak bardzo chcę, żeby była tu bezpieczna.

Panna Olds popatrzyła na mnie ze współczuciem. Miała głębokie, brązowe oczy i mały pieprzyk na górnej wardze.

- Myślę, że Elsie szybko się zaaklimatyzuje.

- Cieszę się... Obcy nie mogą tu wchodzić, prawda? Panna Olds położyła mi rękę na ramieniu.

- Nie - odrzekła - nie mogą. Chociaż oczywiście nie wszystkiego możemy dopilnować. Co rano przychodzi tu dwustu uczniów.

Wykrzywiłam usta i kiwnęłam głową. W oczach miałam łzy i widziałam jak przez mgłę.

- Dziękuję - szepnęłam.

- Nic jej nie grozi, wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję.

Zawołałam Elsie, wyciągnęłam do niej rękę i podbiegła do mnie żółciutka jak motylek. Na zaróżowionym policzku miała niebieską kreskę; pewnie od mazaka.

- Chodź, lalczko.
- Idziemy do domu?
- Tak, do domu.

„A u jej źródeł stali ludzie, którzy nie byli tacy, za jakich ich miałam”. Aluzyjny cytat z mojego wywiadu. W ten zakamuflowany sposób chciałam ostrzec Ruperta Bairda, tymczasem zamiast Bairda, ostrzegłam X, kimkolwiek była. Ostrzegłam ją, a ona po raz kolejny udowodniła mi, że coś takiego jak poczucie bezpieczeństwa nie istnieje. Spaliła mój dom i zawładnęła umysłem mojej córki.

Zrobiłam Elsie kąpiel. Pluskała się w wannie i coś do siebie mamrotała, a ja wyszłam z łazienki, usiadłam na schodach i wbiłam wzrok w ścianę. O samej X nie wiedziałam dosłownie nic, lecz znałam trochę Michaela Daleya i gdybym uważnie prześledziła jego życie, mogłabym natknąć się na mroczny cień, z którego wychynęła fałszywa Finn. Myślałam też o sypialni w naszym bezpiecznym domu. „Mamusia i Elsie, którą mamusia obejmuje. Mamy zamknięte oczy”. Ta historia mogła mieć dwa różne zakończenia. Elsie i mamusia umierają. Albo Elsie i mamusia żyją długo i szczęśliwie. Nie, to za dużo. Po prostu żyją. Tyle w zupełności wystarczy. Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu. Oczywiście Baird.

- Oby miała pani dobre alibi - zażartował, cytując słowa pośrednika handlu nieruchomościami.

- Nie mam, ale i tak mnie nie złapiesz, gliniarzu - odrzekłam i wybuchnął śmiechem. Potem zamilkliśmy. -I co? Koniec rozmowy?

- Słyszałem, że wczoraj zdarzył się pewien incydent...

A jednak. Mieli mnie na oku. Nadeszła rozstrzygająca chwila, lecz słysząc, jak Elsie chlapie się w wannie, zdałam sobie sprawę, że już podjęłam decyzję.

- To było nieporozumienie, Rupert. Fałszywy alarm. Elsie zgubiła się w parku, i tyle. Nic się nie stało.

- Na pewno?

Byliśmy jak dwoje szachistów, którzy obserwują się wzajem-

nie i badają, by wreszcie zgodzić się na remis, skończyć partię i wrócić do domu.

- Tak.

Wyczułam, że mu ulżyło. Pożegnał się ze mną ciepło i serdecznie, obiecując, że będzie w kontakcie, choć wiedziałam, że już nigdy nie zadzwoni.

Wyjęłam Elsie z wanny, posadziłam ją w szlafroku na sofie i postawiłam na kolanach talerz z grzanką posmarowaną konfiturą.

- Puścisz mi film?

- Może potem, po kolacji.

- Poczytasz mi książeczkę?

- Dobrze, ale najpierw się pobawmy.

- W kumkające żabki?

- We dwie byłoby trudno, bo jedna z nas musiałaby siedzieć przy magnetofonie. Wiesz co? W żabki pobawimy się na twoich urodzinach. To już za dwa tygodnie.

- Na urodzinach? To znaczy, że będzie przyjęcie? Naprawdę? - Czubkiem różowego języka oblizwała usta. Jej blada, piegowata twarzyczka dosłownie promieniała.

- Właśnie do tego zmierzam. Musimy zaplanować urodziny i powkładać do naszego bezpiecznego domu najważniejsze rzeczy.

- Żebyśmy niczego nie zapomnieli!

- Otóż to. Od czego zaczniemy?

- Od drzwi. - Uszczęśliwiona, niecierpliwie poruszyła się na sofie i usmarowaną drożdżami rączką chwyciła mnie za rękę.

- Tak jest. Zdejmijmy wieniec. Święta już dawno minęły. Co tam powiesimy? Skoro masz urodziny, to na pewno...

- Już wiem: baloniki!

- Baloniki: czerwony, zielony, żółty i niebieski. Namalujemy na nich oczy, usta i uszy! - Wyobraziłam sobie rząd małych dziewczynek w różowych i żółtych sukienkach: wszystkie przyszły do Elsie. Przypomniały mi się moje dziecięce

przyjęcia: lepki od czekolady tort, różowy lukier na ciasteczkach, chrupkie sucharki, napój z bąbelkami, zabawa w zgadywanke, w podaj dalej, w pomidora, w komórki do wynajęcia, w głuchy telefon - każdy musiał coś wygrać - no i nieodłączne torebki z prezentami: z cukierkami, plastikowym ludkiem -przez godzinę uwielbianym i na wieki zapomnianym - gwizdkiem i z błyszczącym balonikiem do nadmuchania. Elsie powinna to wszystko mieć, każdą z tych tanich, kiczowatych rzeczy.

- A więc baloniki. Co dalej?

- Wycieraczka, a na wycieraczce szklanka mleka od Fing.

- Hmm... Wiesz, chyba niechcący ją potrąciłyśmy. - Elsie zachichotała. - Co tam postawimy?

- A co może leżeć na wycieraczce?

- Jest taki ktoś, kogo bardzo lubimy, kto skrada się właśnie do twego talerzyka i kto bardzo lubi spać na wycieraczce.

- Anatol!

- Będzie naszym kocim stróżem. A co zaniesiemy do kuchni? Może coś, co ugotowałyśmy?

Elsie aż podskoczyła na łóżku. Talerz zsunął jej się z kolan i lepka grzanka wylądowała na mojej dłoni.

- Tort! Mój tort w kształcie domku dla koników!

Była kiedyś na urodzinach u koleżanki i jadły tam tort, który miał czekoladowe ściany i kilka plastikowych koników w środku. W połowie przyjęcia zrobiło jej się niedobrze. Objęłam ją i przytuliłam.

- A więc tort w kształcie domku dla koników. Teraz telewizor. Co postawimy na telewizorze? - Elsie zmarszczyła czoło. - Może twój urodzinowy prezent? Coś, co od dawna chciałaś mieć. Coś, co ładnie śpiewa...

Elsie zamarła.

- Naprawdę? Obiecujesz, mamusiu? Obiecujesz?

- W sobotę pojedziemy do sklepu i wybierzemy. A więc na telewizorze śpiewa kanarek, tak?

- Mogę nazwać go Żółtek?

Nie. A co postawimy na schodach?

Tu Elsie była bardzo stanowcza:

- Na schodach siedzi Thelma i Kirsty, i Sara, i babcia, i dziadek, bo chcę, żeby przyszli na przyjęcie. I ta dziewczynka, z którą bawiłam się dzisiaj w szkole. I ta, z którą widziałas mnie po lekcjach. Wszystkim wyśle zaproszenie.

- Dobrze. A więc na schodach siedzą twoi goście. A co włożymy do wanny?

- To łatwe. Moją czerwoną łódkę ze śrubą. Tę, która nie tonie nawet na wielkich falach.

- Świetnie. - Mignęła mi przed oczami inna łódź, pochylona na burtę i nabita na sterzącą z morza skałę. - Dokąd pójdziemy teraz?

- Do mojego pokoju.

- Co posadzimy na łóżku?

- Możemy mojego misia? Trzeba go wyjąć z pudełka, żeby nie spóźnił się na przyjęcie.

- Oczywiście. W ogóle nie powinnam była go tam chować. A wiesz, kto jest w moim łóżku? Bo ja wiem.

- Nie. Kto?

- My. Ty i ja. Leżymy razem i wcale nie śpimy. Przyjęcie już się skończyło, goście poszli do domu, a my rozmawiamy o urodzinach, które będziesz miała za rok, za dwa lata, za trzy lata i za mnóstwo, mnóstwo lat.

- Czy ty jesteś bardzo stara, mamusiu?

- Nie. Dorosła, ale nie stara.

- I nie umrzesz szybko?

- Nie. Będę żyła bardzo, bardzo długo.

- A kiedy będę stara jak ty. to ty już umrzesz?

- Nie wiem. Może urodzisz mi wnuka i zostanę babcią?

- Mamusiu, czy możemy zawsze mieszkać razem?

- Jak długo zechcesz.

- Puścisz mi teraz film?

- Tak.

Zamknęłam za sobą drzwi, weszłam do kuchni i szeroko otworzyłam okno. Osaczyły mnie odgłosy miasta: śmiech i gniewny krzyk wracających ze szkoły nastolatków, dudniące synkopy z przenośnego radia, niecierpliwy ryk samochodowych silników, nerwowe trąbienie klaksonów przed ulicznymi światłami, natarczywe wycie zlekceważonego alarmu, odległy jęk syreny, przytłumiony warkot samolotu. Wzięłam głęboki oddech: kapryfolium, spaliny, smażony czosnek, upał. Zapach miasta.

Była tam, w tym cudownym, nieuchwytnym chaosie, w tłumie ludzi na ulicy. Może krążyła gdzieś blisko, może przepadła na zawsze. Zastanawiałam się, czy jeszcze ją zobaczę. Może pewnego dnia, po drugiej stronie ulicy albo w kolejce na lotnisku, dostrzegę jej gładką, dobrze znajomą twarz. Przystanę wtedy, pokręcę głową i szybko pójdę dalej, wiedząc, że będzie uśmiechała się do mnie w snach. Jej wolność była niską ceną za bezpieczeństwo Elsie. I będę uważnie czytać gazety. X uciekła, lecz uciekła bez pieniędzy - co zrobi teraz? Zamknęłam oczy i kilka razy głęboko odetchnęłam. Danny zginął, ale my, Elsie i ja, przeżyliśmy. To już coś.

Z saloniku dochodził śpiew Mary Poppins. Śpiewała swoim dzieciom i mojej córce. Otworzyłam drzwi. Elsie siedziała po turecku na sofie i z przejęciem wpatrywała się w ekran. Uklękłam przy niej, a ona poklepała mnie po głowie.

- Mamusiu, pooglądasz ze mną jak kiedyś Fing?
Więc zostałam z nią do końca filmu.